I 42 755 I. 43. 149

V

Z księgozbioru
№ 197
A. J. Rosenberga

197

NĘDZNICY.

V.

Druk W. Dunina, Warszawa, Nowy Świat 35.

Wiktor Hugo.

NĘDZNICY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

MARJUSZ.

V.

WARSZAWA.
Nakład Księgarni S. Bukowieckiego
Marszałkowska № 100.
1900.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002734582

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Февраля 1899 года.

I. 43. 149

STAATSBIBLIOTHEK WARSCHAU Abt. II

[k. 5-6

A

I. 42. 755

1940 D. 7725

CZĘŚĆ TRZECIA.

MARJUSZ.

Z Księgozbioru
Nr 197
A. J. Rosenbeck

KSIĘGA PIERWSZA.

PARYŻ STUDJOWANY W ATOMIE.

Z księgozbioru
№ 197
A. J. Rosenb

Z księg. zbiorów
№ 197.
A. J. Rosenb

I.

Parvulus.

Paryż ma dziecię, a las ma ptaszę; ptaszę nazywa się wróblem, dziecię ulicznikiem. Połączcie te dwie rzeczy, z których jedna zawiera pojęcie płomiennej huty, druga jutrzenki; zetknijcie te dwie iskry, Paryż i dziecięctwo, a powstanie z tego mała istota. Homuncio — powiedziałby Plautus.

Istotka jest wesoła. Nie codziennie jada, lecz codziennie, jeżeli się jej podoba, chodzi do teatru. Nie ma koszuli na grzbiecie, trzewików na nogach, dachu nad głową, zupełnie jak te muszki, które nic nie mają. Ma od siedmiu do trzynastu lat; żyje gromadnie, zbija bruki; mieszka pod gołem niebem; nosi stare spodnie swego ojca, które spadają mu niżej pięt, stary kapelusz jakiegoś innego, który mu opada niżej uszu, jednę szelkę z żółtej krajki, biega, tropi, żebrze, marnuje czas, pyka fajeczki, klnie jak opętany, włóczy się po szynkach; zna się z złodziejami, poufały jest z nierządnicami, mówi złodziejskim językiem, śpiewa piosenki rozpustne, a nic złego nie ma w sercu. Ma w duszy perłę i niewinność, a perły nie rozpuszczają się w błocie. Bóg chce, ażeby człowiek był niewinnym, dopóki jest dzieckiem. Jeżeliby zapytano się olbrzymiego miasta: Co to takiego? — odpowiedziałoby: — To mój mały.

II.

Niektóre szczególne jego cechy.

Ulicznik Paryża, to karzeł olbrzymki.

Nie przesadzajmy jednak. Ten cherubin rynsztoków miewa koszulę, lecz jedną; miewa trzewiki, lecz bez podeszew; ma czasami mieszkanie i lubi je, bo ma tam matkę, lecz woli ulicę, bo znajduje tam swobodę. Ma swoje gry, swoje żarty, których podstawą jest nienawiść do burżuazji, swoje przenośnie: być umarłym, znaczy zjadać dmuchawca od korzonka, swoje zatrudnienia: sprowadzać dorożki, spuszczać stopnie u powozów, pobierać myta przy przejściu przez ulicę podczas wielkich deszczów, co się nazywa u niego budowaniem mostów, wykrzykiwać mowy wypowiedziane przez władzę na korzyść ludu francuskiego, grzebać ziemię między kamykami bruku; ma swoją monetę, która składa się z małych kawałków miedzi jakiegokolwiekbądź kształtu, znajdowanych na ulicy. Ciekawa ta moneta ma stały i bardzo dobrze uregulowany kurs pomiędzy temi małemi włóczęgami.

Wreszcie ma swoją faunę, którą pilnie bada we wszystkich kątach: Bożą krówkę, mszyce, kosarze, czarne żuki, które grożą, wywijając tyłem uzbrojonym w dwa rogi. Ma swego bajecznego potwora, który ma łuszczki pod brzuchem, a nie jest jaszczurką, który ma brodawki na grzbiecie, a nie jest ropuchą, który

mieszka po dziurach starych pieców wapiennych i wyschłych wodościeków, który jest czarny, kosmaty, ślizki, pełzający, to powolny, to prędki, który nie krzyczy, ale patrzy i który jest tak straszny, że nikt go nigdy nie widział. Nazywa tego potwora *le sourd*. Szukanie tych potworów pomiędzy kamieniami stanowi przyjemność strasznego rodzaju. Druga przyjemność: nagle podnosić kamienie bruku i patrzeć na stonogi. Każda część Paryża słynie z ciekawych okazów, które tam wynajdują. Są skoki w składach drzewa na Urszulinkach, stonogi na Panteonie, kijanki w rowach Pola Marsowego.

Co do dowcipów, to dziecię tak jak Talleyrand ma je na zawołanie. Nie mniej jak tamten cyniczny, ale więcej uczciwy. Pełen niespodzianych wybuchów wesołości, szalonym swym śmiechem zdumiewa kramarzy. Skala jego śmiechu śmiało przechodzi od wyższej do gminnej komedji.

Przechodzi orszak pogrzebowy. Pomiędzy odprowadzającemi zmarłego jest także lekarz. — Patrzcie— woła ulicznik — od kiedyż to lekarze odnoszą swoją robotę?

Drugi znajduje się w tłumie. Jakiś jegomość poważny w okularach i z brelokami, zwraca się oburzony ku niemu: — Łotrze! ująłeś kibić mojej żony.— Ja? panie, wziąłem co?! — proszę mię zrewidować.

SB II

III.

Przyjemny jest.

Wieczorem Homuncio idzie do teatru, dzięki kilku sous, które zawsze umie zdobyć dla siebie. Przestępując ten próg magiczny, przeobraża się; był ulicznikiem, staje się łobuzem. Teatry są rodzajem okrętów przewróconych; których spód jest u góry. Do tego to spodu pakuje się łobuz. Łobuz w stosunku do ulicznika jest tem, czem jest ćma w stosunku do poczwarki; ta sama istota latająca i bujająca. Dość, ażeby był tam, promieniejący szczęściem, potężny zapałem i wesołością, klaszczący w ręce jakby skrzydłami, słowem, dość jego obecności, ażeby to miejsce wązkie, śmierdzące, ciemne, ciasne, niezdrowe, szkaradne, wstrętne nazywało się rajem (paradyzem).

Dajcie jakiej istocie to, co niepotrzebne i odbierzecie to, co konieczne, a będziecie mieli ulicznika

Ulicznik ma pewny wrodzony gust do literatury. Gust ten — musimy z pewnym żalem wyznać — nie ciągnie go w stronę klasycyzmu. Z natury swojej jest mało akademiczny. I tak naprzykład, popularność panny Mars wśród tej małej publiczności burzliwych dzieci miała pewny smak ironji. Ulicznik nazywał ją panną *Muche*.

Istota ta krzyczy, żartuje, łaje i bije się; ma galganki jak dzieciak i łachmany jak filozof; zajmuje

się połowem w ścieku, poluje w kloace; wydobywa wesołość ze śmiecia, strzela dowcipem na rynku, kpi i szydzi; gwiżdże i śpiewa po Alleluja — *Matanturlurette*, nuci wszystko, zaczynając od *de Profundis*, a kończąc na piosenkach żartobliwych, znajduje, nie szukając, wie nie znając; jest Spartańczykiem aż do filuterji, głupim aż do mądrości, lirycznym aż do brudu, przycupnąłby na Olimpie, tarza się w gnojowisku i wychodzi z niego obsypany gwiazdami. Ulicznik paryski, to mały Rabelais.

Niezadowolony jest ze swych spodni, jeśli nie ma kieszonki na zegarek.

Mało się dziwi, jeszcze mniej przestraszą, wyśmiewa przesądy, prostuje przesadę, szydzi z tajemnic, pokazuje język strachom, pozbawia szczudła poezji, do epicznych powiększeń wprowadza karykaturę. Nie dla tego, żeby był prozaiczny, wcale nie, lecz po prostu zastępuje pogląd uroczysty fantasmagorją komiczną. Gdyby mu się zjawił Adamastor, ulicznik, powiedziałby: Patrzcie! to strach na dzieci!

IV.

Może być użyteczny.

Paryż zaczyna się od gapia, a kończy się na uliczniku, dwóch istotach, którym podobnych żadne inne miasto nie ma: bierność zadawalniająca się patrzeniem i nieustanna czynność, Prudhomme i Fouillou. Sam tylko Paryż ma coś podobnego w swojej historyi naturalnej. Cała monarchia w gapiu, cała anarchja w uliczniku.

Blade to dziecię przedmieść paryskich żyje i rozwija się, wzrasta i wyrabia się w cierpieniu jako świadek myślący, wobec rzeczywistości społecznych i rzeczy ludzkich. Zdaje mu się, że jest obojętnym, ale tak nie jest. Patrzy, gotów do śmiechu, gotów także do czego innego. Ktokolwiek jesteście, co się nazywacie Przesądem, Nadużyciem, Hańbą, Ciemięztwem, Krzywdą, Despotyzmem, Niesprawiedliwością, Fanatyzmem, Tyranją, strzeżcie się ulicznika z rozdziawioną gębą. Mały ten urośnie.

Z jakiej gliny jest on ulepiony? Z pierwszego lepszego błota. Garstka ziemi, tchnienie, i oto Adam. Dosyć, ażeby Bóg przeszedł, i Bóg zawsze przechodził nad ulicznikiem. Fortuna pracuje dla tej małej istoty. Pod wyrazem Fortuna, rozumiemy potrosze przypadek. Pigmejczyk ten, ulepiony z gru-

bej pospolitej ziemi, ciemny, niepiśmienny, zahukany, gminny, czy będzie Jończykiem, czy synem Beocji? Zaczekajcie, *currit rota*, duch Paryża, ten demon, co rodzi dzieci trafu i ludzi przeznaczenia, wbrew garncarzowi łacińskiemu, robi z dzbana amforę.

V.

Jego granice.

Ulicznik lubi miasto, lubi także samotność, mając w sobie coś z mędrca. *Urbis amator* jak Fuscus, *ruris amator* jak Flaccus.

Wałęsać się, marząc — jest to użycie czasu godne filozofa, zwłaszcza po pewnego rodzaju wiejskiej okolicy, trochę skarłowaciałej, dosyć brzydkiej, lecz dziwacznej i złożonej z dwóch natur, okolicy, która otacza pewne wielkie miasta, szczególnie Paryż. Obserwować okolicę wielkiego miasta, jest to obserwować amfibję. Koniec drzew, początek dachów, koniec trawy, początek bruku, koniec niw, początek sklepików, koniec drogi bitej, początek namiętności, koniec szmeru boskiego, początek hałasu ludzkiego, ztąd niezwykły interes.

Ztąd przechadzki marzyciela, pozornie bezcelowe, w tych miejscach mało ponętnych i przez przechodnia ostrzeżonych na zawsze epitetem: smutnych.

Ten, co pisze te słowa, długo włóczył się dokoła rogatek i te chwile są dla niego źródłem głębokich wspomnień. Ta trawa niska, te ścieżki kamieniste, ta kreda, te iły, te gipsy, ta przykra monotonność ugorów i odłogów, nagle ukazujące się w głębi zielone grzędy ogrodników, ta mięszanina dzikiego i mieszczańskiego, te obszerne i puste place, gdzie dobosze

garnizonowi odbywają z hałasem ćwiczenia i naśladują coś w rodzaju jąkania się bitwy, te puste w dzień, a zbójeckie w nocy miejsca, chwiejący się młyn, którym wiatr obraca, windy w kopalniach, szynki w rogu cmentarzy, tajemniczy krok wielkich murów ponurych, przecinających rozległe próżne przestrzenie, zalane słońcem i pełne motyli; wszystko to pociągało go ku sobie.

Prawie nikt nie zna tych miejsc szczególnych; Glacière, Cunette, szkaradny mur Grenelle upstrzony kulami, Mont-Parnasse, Fosse-aux-Loups, Aubiere nad urwistem wybrzeżem Marny, Mont-Souris, Tombe-Issoire, Pierre-Plate de Châtillon, gdzie znajduje się stara wyczerpana kopalnia, w której rosną tylko grzyby, i która zamyka się drzwiami poziomo położonemi i zbitemi ze zgniłych desek. Pole dokoła Rzymu przedstawia pewną myśl, okolica Paryża przedstawia inną; widzieć na widnokręgu tylko pola, domy, lub drzewa, jest to brać rzeczy powierzchownie; wszystkie kształty rzeczowe przedstawiają myśl Boską. Miejsce, gdzie płaszczyzna łączy się z miastem, zawsze nosi piętno jakiejś głębokiej melancholji. Przyroda i ludzkość jednocześnie tam przemawiają. Właściwości miejscowe przejawiają się tam również.

Ktokolwiek jak ja błądził po tych samotnych miejscach, przyległych do przedmieści, a które możnaby nazwać krawędzią Paryża, ten spostrzegał tu i owdzie, w miejscu najwięcej opuszczonem, w chwili najwięcej niespodzianej, za lichym płotem, lub w rogu ponurego muru, tłum dzieci smrodliwych, zabłoconych, zakurzonych, obdartych, rozczochranych, które w wieńcach z bławatków bawiły się w gry różne. Wszystka ta dziatwa należy do ubogich rodzin. Bulwar zewnętrzny to jedyna atmosfera, w której może oddychać; okolica przedmiejska do niej należy. Tam przepędza codziennie godziny szkolne. Tam naiwnie śpiewa wszystkie sobie znane rozpustne piosenki. Tam żyje— czyli lepiej powiedzieć — istnieje tam, daleko od wszel-

A. J. Rosenberg

kich oczu, w łagodnem świetle majowem, lub czerwcowem, klęcząca dokoła dziury wygrzebanej w ziemi, rzucająca palcami kulki, kłócąca się o lijardy, nie poczuwająca się do żadnej odpowiedzialności, wolna od opieki i nadzoru, szczęśliwa; a skoro spostrzeże przechodnia, przypomina sobie, że ma zawód i że musi zarabiać na życie, więc proponuje mu starą szkarpetkę wełnianą, pełną chrabąszczów, lub bukiet bzu. Dziwne te dzieci stanowią uroczy, a zarazem bolesny wdzięk okolicy Paryża.

Niekiedy w gromadzie chłopców znajdują się małe dziewczątka — czy to ich siostry? — prawie dziewczęta, chude, gorączkowe, z opalonemi rękami, opatrzone piegami, z kłosami zboża i kwiatem maku we włosach, wesołe, dzikie, bosonogie. Są takie, co jedzą wiśnie w zbożu. Wieczorem słychać ich śmiechy. Gromady te, oblane gorącem światłem południa, lub widziane o zmroku, przez długi czas zajmują umysł marzyciela; widzenia te mieszają się z jego marzeniem.

Paryż, to środek, okolica przedmiejska, to obwód; dla tych dzieci to cały świat. Nigdy nie puszczają się dalej. Nie mogą opuścić atmosfery paryskiej, tak jak ryby nie mogą opuścić wody. Dla nich za rogatkami już nic nie ma. Ivry, Gentilly, Arcueil, Belleville, Aubervilliers, Ménilmontant, Choisy-le-Roi, Billancourt, Meudon, Issy, Vanvre, Sèvres, Puteux, Neuilly, Gennevilliers, Colombes, Romainville, Chatou, Asnières, Bougival, Nanterre, Enghien, Noisy-le-Sec, Nogent, Gournay, Drancy, Gonese: tam już kończy się świat.

VI.

Trochę historji.

W epoce, prawie współczesnej wypadkom, które opowiadamy, nie stał — jak dzisiaj — na każdym rogu ulicy policjant (dobrodziejstwo, o którem nie pora dyskutować); wielka więc była liczba dzieci błąkających się po Paryżu. Statystyka podaje, że patrole policyjne zabierały wówczas po placach otwartych, po domach budujących się i pod arkadami mostów corocznie w przecięciu dwieście sześćdziesiąt dzieci niemających schronienia. Jedno z tych gniazd, które wsławiło się, wydało „jaskółki mostu Arkole.“ Jest to zresztą najokropniejszy symptom społeczny. Wszystkie zbrodnie człowieka zaczynają się od włóczęgostwa w wieku dziecinnym.

Wyłączmy wszakże Paryż. Bez względn na wspomnienie, które mamy wskrzesić, wyłącznie to w pewnej mierze jest słuszne. Kiedy w każdem innem wielkiem mieście wałęsające się dziecko jest człowiekiem zgubionym, kiedy prawie wszędzie dziecko, pozostawione samo sobie, jest rzucone niejako w otchłań występków publicznych, gdzie traci uczciwość i sumienic, w Paryżu ulicznik — twierdzimy to stanowczo — lubo bezczelny i rozpustny z pozoru, w rzeczy samej jednak zostaje prawie niezepsuty. Zasługuje to na uwagę i objawia się w słynnej uczciwości naszych lu-

dowych rewolucji. Idea zawarta w atmosferze Paryża, tak jak sól w wodach oceanu, przeszkadza zepsuciu. Oddychanie Paryżem ocala duszę.

To, co mówimy, nie przeszkadza wcale temu, że serce ściska się z boleści za każdym razem, kiedy spotykamy jedno z tych dzieci, do koła którego zdają się unosić porwane nici węzłów rodzinnych. Teraźniejszej cywilizacji, tak niezupełnej jeszcze, widok owych rodzin rozbijających się w ciemności, niewiedzących co się dzieje z ich dziećmi i wyrzucających swe wnętrzności na drogę publiczną, nie należy do zjawisk bardzo anormalnych. Ztąd smutny los tylu istot. Nazywa się to, bo smutna ta rzecz ma swą nazwę, „być wyrzuconym na bruk paryzki.“

Mówiąc mimochodem, stara monarchja nie zniechęcała do zaniedbywania dzieci. Trochę cygańskiego sposobu życia w dolnych warstwach było na rękę wyższym sferom i przynosiło korzyść panującym. Wstręt do nauczania dzieci ludu był dogmatem. Na co się zda „połowiczna wiedza?“ Takie było hasło. Dziecko włóczęga idzie w parze z dzieckiem nieukiem.

Zresztą monarchja niekiedy potrzebowała dzieci i wówczas brała je z ulicy.

Za Ludwika XIV, nie cofając się już dalej, król chciał utworzyć flotę i miał słuszność. Myśl była dobra. Lecz zobaczmy, jakie były środki. Nie ma floty, jeżeli obok statku z żaglami, który jest igraszką wiatru, nie ma drugiego statku, któryby w razie potrzeby mógł ciągnąć ów pierwszy i iść tam, gdzie zechce, czy to za pomocą wioseł, czy to za pomocą pary; galery były wówczas w marynarce tem, czem są dzisiaj parowce. Trzeba więc było galer, lecz galera porusza się przez galerników. Colbert polecił przeto intendentom prowincji i parlamentom skazywać co najwięcej do robót publicznych. Urzędy bardzo chętnie stosowały się do tego. Nie zdjął kto czapki przed procesją, postawa hugonota—posyłano go do galer. Skoro napotkano dziecko na ulicy, a miało ono piętnaście lat

i było bez przytułku, posyłano je na galery. Wielkie panowanie, wielkie stulecie.

Za Ludwika XV dzieci znikały w Paryżu; policja chwytała je nie wiedzieć w jakim tajemniczym celu. Szeptano sobie ze strachem potworne domysły o purpurowych kąpielach króla. Barbier mówi naiwnie o tych rzeczach. Zdarzało się niekiedy, że urzędnicy policyjni, w braku dzieci opuszczonych, brali takie, które miały ojców. Ojcowie zrozpaczeni rzucali się na urzędników policyjnych. W takich wypadkach parlament wdawał się w tę sprawę i kazał wieszać, kogo? Urzędników policyjnych? Nie ojców.

VII.

Ulicznik mógłby mieć miejsce pomiędzy kastami indyjskiemi.

Ulicznicy paryzcy stanowią prawie kastę. Możnaby powiedzieć: nie każdy, co chce, należy do nich. Wyraz: *gamin* (ulicznik) został po raz pierwszy wydrukowany w 1834 r. i wówczas to z języka ludowego przeszedł do języka literackiego. Słowo to pojawiło się w dziełku, noszącem tytuł: *Claude Gueux*. Zgorszenie było wielkie. Wyraz wszedł w użycie.

Rozmaite są okoliczności, wpływające na większą lub mniejszą powagę uliczników wśród towarzyszy. Znaliśmy jednego, który doznawał wielkiego poważania i uwielbiania za to, że widział, jak pewny człowiek spadł z wieży Notre-Dame; drugiego za to, że dostał się na tylny dziedziniec, gdzie były chwilowo złożone posągi z kopuły Inwalidów i ułamał z nich trochę ołowiu; trzeciego za to, że widział jak dyliżans wywrócił się; jeszcze innego za to, że „znał“ żołnierza, który o mało co nie wyłupił oczu pewnemu mieszczaninowi.

To tłumaczy wykrzyknik ulicznika paryzkiego, wzbudzający śmiech w tłumie nie rozumiejącym jego znaczenia: Boże wielki! I powiedzieć, żem tak nieszczęśliwy, że nie widziałem dotąd nikogo, coby spadł z piątego piętra!

Prawdziwie charakterystyczną jest następująca odpowiedź włościanina.—Ojcze, wasza chora żona umarła; dlaczegoście nie wezwali lekarza? — Cóż chcecie, panie, my biedni ludzie umieramy sami. Jeżeli w tem powiedzeniu maluje się cała bierność włościanina, to z pewnością następujące słowa przedstawiają całą anarchję wolnomyślną dzieciaka przedmiejskiego: Skazany na śmierć, jadąc na wozie, słucha swego spowiednika. Dziecko paryskie woła: — Patrzcie, gada ze swoim klechą; ach, hipokryta!

Pewna śmiałość w kwestyach religijnych podnosi ulicznika. Być niedowiarkiem, jest to pozyskać wziętość.

Bywać na egzekucjach uważa się za obowiązek. Chłopcy pokazują sobie gilotynę i śmieją się. Dają jej wszelkiego rodzaju przezwiska: ostatek zupy, zrzęda, matka błękitu (niebios), ostatni kąsek i t. p. Chcąc wszystko dokładnie widzieć, drapią się na mury, spinają się na balkony, wyłażą na drzewa, wieszają się u kraty, czepiają się kominów. Ulicznik rodzi się ze zdolnością łażenia po dachu i po maszcie. Dach nie więcej go straszy niż maszt. Żadna uroczystość nie wyrówna widowisku tracenia. Samson i opat Montes są prawdziwemi ludowemi imionami. Krzyczą na skazanego, aby go ośmielić. Niekiedy go podziwiają. Ulicznik Lacenaire, widząc, jak straszny Danton odważnie umierał, wyrzekł te słowa wielce obiecujące na przyszłość: „Zazdrościłem mu!“ Pomiędzy ulicznikami Voltaire nie jest znany, lecz jest znany Papavoine. Jedna historja obejmuje „politycznych“ i morderców zarazem. Zachowuje się podanie o ostatnim ubiorze wszystkich skazanych. Wiedzą, że Tolleron miał na głowie czapkę palaeza, Avril czapkę z futra wydry, Louvel kapelusz okrągły, że stary Delaporte był łysy i bez kapelusza, że Castuing miał rumieńce i był bardzo ładny, że Bories miał romantyczną bródkę, że Jean Martin zachował swoje szelki, że Lecouffé i jego matka kłócili się z sobą. Nie sprzeczajcie się o kosz!—

krzyknął im ulicznik. Inny znowu, zbyt małego wzrostu, by mógł widzieć w tłumie przejeżdżającego Debackera, uczepił się latarni i właził na nią. Żandarm, spostrzegłszy to, zmarszczył brwi.—Pozwól mi wleźć, panie żandarmie — powiada ulicznik, a chcąc rozczulić przedstawiciela władzy, dodaje — nie upadnę. Mało mnie to obchodzi, czy ty upadniesz — odpowiada żandarm.

Niezwykły wypadek ma wielkie znaczenie pomiędzy ulicznikami. Kto się zrani bardzo głęboko; „aż do kości“, dochodzi do szczytu poważania. Pięść nie jest ladajakim środkiem wzbudzania szacunku. Ulicznik bardzo chętnie wykrzykuje: Jestem silny co się zowie, nie lękaj się! Mańkut wzbudza zazdrość, zez—poważanie.

VIII.

W którym czytelnik dowie się o ładnem słówku ostatniego króla.

Latem ulicznik przeobraża się w żabę. Wieczorem, z nadejściem nocy, przed mostami: Austrelitz i Jena, z tratew z węglem i ze statków, na których piorą praczki, rzuca się z głową na dół do Sekwany, gwałcąc wszelkie możliwe prawa obyczajności i policji. Tymczasem policjanci miejscy czuwają i powstaje wielce dramatyczna sytuacja, która dała powód do bratniego i pamiętnego okrzyku. Słynnym był ten okrzyk około 1830 r. Skanduje się jak wiersz Homera, z rytmem prawie tak nieuchwytnym, jak w śpiewie eluzjackim Panatenei; słychać w nim starożytne Ewohe. Wygłasza się to tak: Oha, łobuzie, oheee! łapacze; zabieraj graty i zmykaj.

Niekiedy ten komar — tak nazywa sam siebie ulicznik—umie czytać, czasami pisać, a zawsze gryzmolić. Nie leni się—za pomocą nie wiedzieć jakiego tajemniczego sposobu wzajemnego nauczania się—nabywać wszelkich talentów, które mogą być użyteczne dla sprawy publicznej: od 1815 do 1830 r. naśladował krzyk indyka, od 1830 do 1848 r. mazał gruszki po ścianach. Pewnego wieczora letniego Ludwik Filip, wracając pieszo, zobaczył zupełnie małego chłopca, który pocił się i wspinał, rysując węglem olbrzymią

gruszkę na jednym ze słupów kraty Neuilly. Król z dobrodusznością, którą odziedziczył po Henryku IV, dopomógł ulicznikowi, dokończył rysunku gruszki i dał luidora dziecku, mówiąc:—I tam także jest gruszka.— Ulicznik lubi harmider. Pewny rodzaj gwałtownych scen podoba mu się. Nie cierpi księży. Pewnego dnia na ulicy uniwersyteckiej jeden z młodych nicponiów wykrzywiał się przed bramą domu pod liczbą 69. Po co to robisz przed tą bramą?—zapytał go jeden z przechodniów.—Dziecko odrzekło:—Tu jest ksiądz.—W samej rzeczy mieszkał tam nuncjusz papieski. Jednakże, kiedy nadarza się ulicznikowi sposobność do służby kościelnej, pomimo swego wolterjanizmu, przyjmuje ją chętnie i służy do mszy przyzwoicie. Dwóch rzeczy pożąda jak Tantal: pragnie zawsze i zawsze nadaremnie—obalenia rządu i załatania swych spodni.

Ulicznik doskonały zna wszystkich policjantów w Paryżu i, spotykając się z nimi wie, jak którego z nich nazwać. Oblicza ich na palcach. Bada ich obyczaje i ma co do każdego osobne spostrzeżenia. Czyta w duszach policyjnych jak w książce. Prędko i bez zająknienia powie: „taki to jest zdrajca, taki to jest bardzo zły; taki to jest wielki; taki to jest śmieszny; (wszystkie te wyrazy: zdrajca, zły, wielki, śmieszny mają szczególne znaczenie w jego ustach); jednemu zdaje się, że most Pont-Neuf należy do niego i nie pozwala publiczności przechadzać się po gzemsie po za parapetem; drugi ma szczególne upodobanie targać osoby za uszy; i t. d.“

IX.

Stara dusza Galii.

Był ulicznik w Poquelinie, dziecku hali; był ulicznik w Beaumarchais. Ulicznictwo jest odcieniem ducha galijskiego. Połączone ze zdrowym rozsądkiem, dodaje mu niekiedy mocy, tak jak alkohol winu. Czasami bywa wadą, Homer klepie stare rzeczy, niech i tak będzie; możnaby powiedzieć, że Wolter ulicznikuje. Kamil Desmoulins był przedmieszczaninem. Championnet, który traktował cuda po grubiańsku, był dzieckiem bruku paryskiego; będąc małym chłopcem, zlewam przysionki św. Jana w Beauvais i św. Stefana w Mont; dosyć spoufalił się z relikwiami św. Genowefy, ażeby miał się wahać wydawać rozkazy flaszce z krwią świętego Januarjusza.

Ulicznik paryzki jest pełen uszanowania, ironiczny i zuchwały. Ma brzydkie zęby, bo jest źle żywiony i ma żołądek popsuty; ma piękne oczy, bo ma inteligencyę. Wobec Jehowy, byłby na jednej nodze skakał po stopniach do raju. Mocny jest w kopaniu nogami. Nic dla niego nie jest nad miarę. Zniża się do bawienia w rynsztoku i podnosi się przez rokosz; jego bezczelność nie cofa się przed kartaczami; był ulicznikiem, jest bohaterem; jak mały Tebańczyk potrząsa skórą lwa; dobosz Barra był ulicznikiem paryskim; krzyczy: Naprzód! jak koń z pisma święte-

go — co powiada: — Vah! i w minutę z dzieciaka staje się olbrzymem.

Dziecko to kałuży staje się dziecięciem ideału. Zmierzcie przestrzeń, która dzieli Moljera od Barra. Uogólniając i streszczając wszystko, — powiemy: ulicznik jest istotą, która bawi się dla tego, że jest nieszczęśliwą.

X.

Szydzić to panować.

Nie ma granicy dla Paryża. Żadne miasto nie miały tej władzy, która szydzi niekiedy z tych, których podbija. Podobać się wam, Ateńczycy! wołał Aleksander. Paryż stanowi więcej aniżeli prawo, bo modę; Paryż stanowi więcej aniżeli modę, bo rutynę. Paryż może być głupi, jeżeli mu tak się podoba; pozwala sobie czasami na ten zbytek, wówczas świat głupieje z nim razem: później Paryż budzi się, przeciera oczy, i woła: Jakżem głupi! i śmieje się w oczy rodzajowi ludzkiemu. Co za cudowne miasto! Rzecz dziwna, jak okazałość i śmieszność godzą się w niem dobrze i jak cała ta parodja nie rozstraja całej tej wspaniałości, i jak te same usta mogą dąć dzisiaj w trąbę sądu ostatecznego, a jutro grać na flecie! Paryż odznacza się krotochwilnością udzielnego władcy. Jego wesołość ma coś piorunowego, a pustota dzierży berło. Wydrzeźnianie się jego sprowadza niekiedy huragan. Jego wybuchy, bitwy, arcydzieła, cuda, epopeje idą aż na koniec świata; idą także i jego koncepty niedorzeczne. Jego śmiech jakby wulkan obryzguje ziemię. Żarty jego to płomyki. Narzuca on ludziom swoje karykatury tak jak swój ideał; największe pomniki cywilizacji ludzkiej znoszą jego ironję i uwieczniają jego błazeństwa. Jest on wspaniały; ma

znakomity dzień 14 lipca, który oswobadza kulę ziemską; zmusza wszystkie narody do złożenia przysięgi w sali gry w piłkę; jego noc 4 sierpnia obala w przeciągu trzech godzin tysiącletni feodalizm; logikę swoją czyni muszkułem jednozgodnej woli: mnoży się pod wszelkiemi formami wzniosłego; napełnia swojem światłem Waszyngtona, Kościuszkę, Boliwara, Botzarysa, Riego, Bema, Manina, Lopeza, Johna Brown, Garibaldiego; jest wszędzie, gdzie zapala się pochodnie przyszłości: w Bostonie w 1779 r., na wyspie Leon w 1820 r., w Peszcie w 1848 r., w Palermo w 1860 r., szepce potężne hasło: „Wolność“ na ucho abolicjonistom amerykańskim, zgromadzonym w zatoce Harpers Ferry i patrjotom ankońskim, którzy zebrali się w nocy w Archi, przed oberżą Gozzi, na brzegu morza; tworzy Kanarisa; tworzy Kwirogę; tworzy Pisacana; rzuca promienie wielkości na ziemię; idąc za jego tchnieniem, Barjon umiera w Missolongach, a Mazet w Barcelonie; jest trybuną pod nogami Mirabeau, a kraterem pod stopami Robespierra; jego książki, teatr, sztuka, nauka, literatura, filozofja, są przewodnikami rodzaju ludzkiego; ma Paskala, Regnióra, Korneilla, Kartezjusza, Jana Jakóba; Woltera na wszystkie chwile, Moljera na wszystkie stulecia; zniewala usta całego świata do mówienia jego językiem, i ten język staje się słowem; buduje we wszystkich umysłach pojęcie postępu, a układane przezeń dogmaty wyzwolenia się, są nieodstępnymi towarzyszami całych pokoleń, z ducha zaś jego myślicieli i poetów powstali od 1789 r. wszyscy bohaterowie wszystkich poetów; to nie przeszkadza mu ulicznikować; olbrzymi ten genjusz, który nazywa się Paryżem, chociaż przeobraża świat swojem światłem, rysuje jednak węglem nos Bouginiera na ścianach świątyni Tezeusza i pisze na piramidach: Crédeville voleur.

Paryż pokazuje zawsze zęby; jeżeli nie sroży się, to się śmieje.

Takim jest ten Paryż. Dymy jego dachów są myślami świata. Kupa błota i kamieni, jeśli chcecie, lecz przedewszystkiem istota moralna. Jest on więcej niż wielki, jest olbrzymi. Dla czego? Dla tego że śmie.

Śmieć: tą ceną okupuje się postęp.

Wszystkie wielkie zwycięztwa są mniej lub więcej zapłatą śmiałości. Ażeby się stała rewolucja, niedość, ażeby Monteskjusz ją przeczuwał, Diderot głosił, Beaumarchais zwiastował, Condorcet obliczał, Arouet przygotowywał, Rousseau obmyśliwał; trzeba, ażeby Danton śmiał ją wykonać.

Okrzyk: Smiało! jest to *Fiat lux*. Ażeby rodzaj ludzki szedł naprzód, trzeba, ażeby miał przed sobą nieustannie na wyżynach harde przykłady męztwa. Zuchwalstwa olśniewają historję i należą do wielkich jasności człowieka. Jutrzenka śmie, kiedy wschodzi. Próbować, wyzywać, nie ustępować, wytrwać, być wiernym samemu sobie, walczyć z losem, zadziwiać katastrofę brakiem strachu, który w nas wzbudza, to stawić mężnie czoło potędze niesprawiedliwej, to znieważać pijane zwycięztwo, trzymać się dobrze, dostać placu; oto przykład, którego narody potrzebują, oto światło, które je elektryzuje. Ta sama straszna błyskawica przechodzi od pochodni Prometeusza do łajki Cambronna.

XI.

Ukryta przyszłość w ludzie.

Co do ludu paryzkiego, to nawet człowiek dorosły jest zawsze ulicznikiem. Malować dziecko, to malować miasto, i dla tego badaliśmy tego orła w tym wolnym wróblu.

Rasa paryska uwydatnia się głównie na przedmieściach — twierdzimy to stanowczo, tam jest krew czysta, tam prawdziwa fizjognomja; tam lud pracuje i cierpi, a cierpienie i praca są to dwa kształty człowieka. Tam są niezgłębione ilości istot nieznanych, pomiędzy któremi roją się najdziwaczniejsze typy, od zdejmującego ciężary z Rapée, do rzeźnika z Montfaucon. *Fex urbis* — woła Cyceron; mob — dodaje oburzony Burke; gawiedź, ciżba, pospólstwo. Łatwo powiedzieć te wyrazy. Lecz niech i tak będzie. Na co się to przyda? Cóż może mię to obchodzić, że chodzą oni boso? Nie umieją czytać. Tem gorzej. Czyż dla tego ich opuścicie? Czyż niedolę ich uczynicie przekleństwem? Czyż światło nie może przeniknąć w te tłumy? Wróćmy do tego okrzyku: Światła! i upierajmy się przy nim: Światła! światła! Któż wie, czy te ciemności nie staną się przezroczystemi? Rewolucja nie jestże przemianą? Idźcie, filozofowie, nauczajcie, oświecajcie, zapalajcie, myślcie głośno, mówcie głośno, biegnijcie wesoło w biały dzień, bratajcie się z ulicą,

zwiastujcie dobre nowiny, rozdawajcie elementarze, ogłaszajcie prawa, śpiewajcie marsyljanki, szerzcie zapał, zrywajcie z dębów zielone gałązki. Zróbcie wir z myśli. Tłum ten można podnieść. Umiejmy korzystać z tej rozległej pożogi zasad i cnót, która się iskrzy, wybucha i drży w pewnych godzinach. Te nogi bose, te ręce gołe, te łachmany, to nieuctwo, to spodlenie, ta ciemnota, mogą być użyte dla zdobycia ideału. Wpatrzcie się w lud, a zobaczycie prawdę. Niech piasek ten nikczemny, który depczecie nogami, wrzucą do pieca, niech stopi się i zawrze, a stanie się świetnym kryształem i przy jego pomocy Galileusz i Newton odkryją nowe gwiazdy.

XII.

Mały Gavroche.

W ośm lub dziewięć lat prawie po tem, cośmy opowiedzieli w drugiej części tej historji, widywano na bulwarze Temple i w okolicach Château-d'Eeu małego chłopca od jedenastu do dwunastu lat, któryby dosyć dokładnie urzeczywistniał skreślony powyżej typ ulicznika, gdyby z uśmiechem właściwym jego wiekowi nie łączyło się serce ponure i zupełnie próżne. Dziecko to ustrojone było w spodnie męzkie, lecz nie pochodziły one od jego ojca, i w kaftan kobiecy, który nie pochodził od jego matki. Jacyś ludzie ubrali je w owe łachmany przez litość. A jednak miało ono ojca i matkę. Lecz ojciec nie myślał o niem, a matka nie kochała go wcale. Było to jedno z tych dzieci, godnych politowania, mających ojca i matkę a będących sierotami.

Dziecko to czuło się dobrze tylko na ulicy. Bruk był mniej twardym dla niego aniżeli serce matki. Rodzice kopnięciem nogi pchnęli je w życie. Po prostu wyleciało z gniazda.

Był to chłopiec hałaśliwy, blady, zwinny, bystry, szyderski, żywy i chorowity. Chodził, biegał,

śpiewał, grał na dudce, grzebał się w rynsztokach, trochę kradł, tak jak koty i wróble, wesoło śmiał się, kiedy nazywano go wisusem, gniewał się, kiedy nazywano go *voyou*.

Nie miał schronienia, ani chleba, ani ognia, ani miłości; był jednak wesoły, ponieważ był wolny. Kiedy podobne małe istoty stają się ludźmi, prawie zawsze koło porządku społecznego napotyka ich i miażdże; lecz dopóki są dziećmi, wymykają się mu ponieważ są mali. Najmniejsza dziura je ocala. Chociaż tak opuszczone było to dziecko, zdarzało się jednak niekiedy, co drugi lub trzeci miesiąc — że powiadało do siebie: — Otóż pójdę zobaczyć mamę! Wówczas porzucało bulwar, cyrk, bramę Saint-Martin, szło na wybrzeża, kierowało się ku przedmieściom, dochodziło do Salpêtrière i przybywało — dokąd? Właśnie do podwójnego numeru 50 — 52, znanego już czytelnikowi, do domostwa Gorbeau.

W tym czasie, rudera 50 — 52, zwykle pusta i wiecznie opatrzona napisem: „Pokoje do wynajęcia“, była — rzecz rzadka — zamieszkana przez kilka osób, które zresztą — jak to bywa zawsze w Paryżu — nie miały z sobą ani żadnej łączności, ani żadnego stosunku. Należały one do tej klasy ubogiej, która rozpoczyna się od drobnego mieszczanina, będącego w ciągłych kłopotach pieniężnych, i ciągnie się z nędzy w nędzę, aż do najniższych warstw społecznych, aż do dwóch istot, na których się kończy cała materjalna strona cywilizacji, do zamiatacza ulic, który zgrzebuje błoto, i do gałganiarza, który zbiera szmaty.

„Główna lokatorka“ z czasów Jana Valjean umarła, i jej miejsce zastąpiła inna, zupełnie do niej podobna. Nie wiem, który filozof powiedział: — „Nigdy nie braknie starych kobiet“. Ta nowa staruszka nazywała się panią Burgon i nie miała nic od-

znaczającego się w swojem życiu, prócz dynastji trzech papug, które panowały kolejno nad jej sercem.

Do najnędzniejszych mieszkańców domostwa należała rodzina, złożona z czterech osób: ojca, matki i dwóch córek, już dorosłych; wszystko czworo mieściło się w jednej ciupie, jednej z owych klatek, o których już mówiliśmy. Rodzina ta na pierwszy rzut oka nie przedstawiała nic bardzo szczególnego, oprócz nadzwyczajnego niedostatku. Ojciec, wynajmując pokój, nazwał siebie Jondrette. Wkrótce po swojem przeniesieniu się, które dziwnie było podobne — jeżeli użyć znakomitego wyrażenia się głównej lokatorki — do wprowadzenia się golizny, Jondrette powiedział do tej kobiety, która tak jak jej poprzedniczka pełniła zarazem obowiązek odźwiernej i zamiatała schody: — „Matko taka a taka, jeżeliby ktokolwiek przypadkiem przyszedł i pytał o Polaka lub Włocha a może o Hiszpana, to ja jestem.“

Rodzina ta była rodziną wesołego bosaka. Przybywał do niej i znajdował nędzę a — co o wiele smutniejsza — nie napotykał żadnego uśmiechu: chłód w mieszkaniu i chłód w sercach. Kiedy wchodził — pytano go: — Zkąd przychodzisz? — Odpowiadał: — Z ulicy. Kiedy szedł — pytano go: — Dokąd idziesz? — Odpowiadał: — Na ulicę. Matka mówiła do niego: Po co tu przychodzisz?

Dziecko to żyło pozbawione zupełnie miłości, jak owe blade trawy, które wschodzą w piwnicy. Nie cierpiał nic na tem i nie żądał nic od nikogo. Nie wiedział właściwie, jakiemi powinni być ojciec i matka. Zresztą matka kochała jego siostry.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że na bulwarze Temple nazywano to dziecko małym Gavroche. Dla czego nazywało się Gavroche? Prawdopodobnie dla tego, że ojciec jego nazywał się Jondrette. Zatracać ślad, zdaje się być instynktem pewnych rodzin pogrążonych w nędzy.

Pokój, w którym mieszkali Jondrettowie w chałupie Gorbeau, był ostatnim na końcu kurytarza. Ciupkę sąsiednią zajmował pewien młody człowiek bardzo ubogi, którego nazywano panem Marjuszem.

Powiedzmy, kto to był ten pan.

KSIĘGA DRUGA.

WIELKI MIESZCZANIN.

I.

Dziewięćdziesiąt lat i trzydzieści dwa zęby.

Ulica Boucherat, ulica Normandie i ulica Saintonge posiadają jeszcze dawnych mieszkańców, którzy zachowali wspomnienie o poczciwcu, zwanym Gillenormand, i mówili o nim chętnie. Poczciwiec ten był starcem, kiedy oni byli młodymi. Sylwetka ta, dla tych, którzy patrzą melancholicznie na to niewyraźne rojenie się cieni, zwane przeszłością, nie zniknęła jeszcze zupełnie z labiryntu ulic, sąsiadujących z Temple, którym za Ludwika XIV ponadawano nazwy wszystkich prowincji Francji, zupełnie tak samo, jak za nowych czasów ulicom nowego cyrkułu Tivoli dano nazwę wszystkich stolic europejskich; mimochodem mówiąc jest to widoczny postęp.

Pan Gillenormand, który w 1831 r. był pełen życia, należał do rzędu tych ludzi, co wzbudzają chęć oglądania ich jedynie dla tego, że długo żyli, i którzy niezwykli są dlatego, że niegdyś podobni do wszystkich, stali się niepodobnymi do nikogo. Był to szczególny starzec i istotny przedstawiciel innego wieku, prawdziwy mieszczanin z ośmnastego stulecia, trochę wyniosły, dumny ze swego starożytnego obywatelstwa, jak markiz ze swego markizowstwa. Skończył on dziewięćdziesiąt lat, chodził prosto, mówił głośno, widział wyraźnie, pił do dna, jadł, spał i chrapał. Miał

wszystkie trzydziesci dwa zęby. Wkładał okulary, tylko wtedy, gdy czytał. Był usposobienia kochliwego — lecz powiadał — że od dziesięciu lat stanowczo i ostatecznie wyrzekł się kobiet. Nie mógł już więcej podobać się — powiadał; — lecz nie dodawał: jestem zanadto stary — lecz: jestem zanadto ubogi. — Mówił: — gdybym nie był zrujnowany... he, he! Istotnie, zostawał mu tylko dochód około piętnastu tysięcy liwrów. Jego marzeniem było otrzymać spadek i mieć sto tysięcy franków renty, ażeby módz utrzymywać kochanki. Nie należał więc — jak widzimy — do rodzaju tych schorowanych ośmdziesięcioletnich starców, którzy, jak Wolter, konają przez całe życie; nie była to długowieczność skrzypiącego koła; starzec ten, chwat, był zawsze zdrów. Był powierzchowny, gwałtowny, łatwo wpadający w gniew. Burzył się z każdego powodu, najczęściej bez żadnej rozumnej przyczyny. Kiedy mu przeczono, podnosił pałkę, bił ludzi jak za dobrych czasów. Miał córkę przeszło pięćdziesięcioletnią, niezamężną, którą bił mocno jak się rozgniewał i którąby chętnie oćwiczył. Zdawało mu się, że miała ośm lat. Energicznie policzkował sługi i mówił: — ach! — jędza! jedną ze zwykłych jego klątw było: trzysta fur beczek! Miewał chwile dziwnego spokoju; kazał codziennie golić siebie balwierzowi, który był warjatem i nienawidził go, mając zazdrość do Gillenormanda z powodu żony swojej, ładnej i zalotnej kobietki. P. Gillenormand zachwycał się własnym rozsądkiem i uważał się za bardzo przenikliwego: oto jego słowa: „Na prawdę, mam trochę przenikliwości, kiedy pchła mię ugryzie — mogę powiedzieć — od jakiej kobiety pochodzi.“ Najczęściej używał wyrazów: człowiek czuły i natura. Temu ostatniemu wyrazowi nie przypisywał tego wielkiego znaczenia, jakie mu nadaje epoka obecna. W małych satyrach, które wypowiadał przy kominku, używał tego po swojemu: Ażeby cywilizacja miała potrosze wszystkiego, przyroda — powiadał — daje jej nawet próbki zabawnego barbarzyń-

stwa. Europa ma małe wzorki tego, co posiadają Azja i Afryka. Kot jest tygrysem salonowym, jaszczurka, krokodylem kieszeniowym. Tancerki z opery są to różowoskóre dzikie. Nie zjadają ludzi, lecz objadają ich. Lub też są to czarodziejki! Zmieniają mężczyzn w ostrygi i połykają ich. Karasibi pozostawiają tylko kości, one zaś pozostawiają tylko skorupę. Takie to są nasze obyczaje. Nie pożeramy, lecz gryziemy, nie niszczymy, lecz drapiemy.

II.

Jaki pan, takie i mieszkanie jego.

Mieszkał na Marais, na ulicy Filles-du-Calvaire, pod numerem 6. Dom był jego własnością. Później ten dom zburzono i przebudowano; liczbę prawdopodobnie także zmieniono w owych rewolucjach numerowania, jakim ulegały ulice Paryża. Gillenormand zajmował stary i obszerny lokal na pierwszem piętrze, pomiędzy ulicą i ogrodami, obity aż do sufitu wielkiemi kobiercami z fabryk Gobelinów i Beauvais, przedstawiającemi sceny pasterskie; rysunki sufitów i ścian powtarzały się w zmniejszeniu na fotelach. Szeroki parawan o dziewięciu skrzydłach z laki koromandelskiej, otaczał jego łóżko, długie i szerokie firanki wisiały u okien i wspaniale układały się w wielkie połamane fałdy. Do ogrodu, znajdującego się tuż pod oknami, prowadziły z rogowego okna schody, od dwunastu do piętnastu stopni mające, po których starowina bardzo żwawo wbiegał i zbiegał. Oprócz bibljoteki, przytykającej do jego pokoju, był jeszcze damski gabinecik, o który mu bardzo chodziło, gabinecik ten, ładnie urządzony, miał wspaniałe obicie z tkanki słomianej w rzuty z lilij i innych kwiatów, zrobionej na galerach Ludwika XIV z rozkazu p. de Vivonne, który przeznaczył ją dla swojej kochanki. P. Gillenormand odziedziczył to po swojej srogiej bab-

ce ze strony matki; babka ta umarła, mając sto lat. Był dwa razy żonaty. Manjery jego przypominały po części dworaka, którym nigdy nie był, i urzędnika sądowego, którym mógłby być. Był wesoły i pieszczotliwy, kiedy chciał. W swojej młodości był jednym z tych ludzi, których zawsze oszukuje żona a nigdy kochanka, ponieważ bywają najnudniejszymi mężami a jednocześnie najmilszymi w świecie kochankami. Był znawcą malowideł. W swoim pokoju miał cudny portret nie wiadomo czyj, malowany przez Jordaensa, wykonany wielkiemi rzutami pędzla i tysiącznemi szczegółami, bezładnie i jakby przypadkowo przeniesionemi na płótno. Ubiór p. Gillenormanda nie był to strój z czasów Ludwika XV ani też z czasów Ludwika XVI; lecz był to strój elegantów z czasów Dyrektorjatu. Do tego czasu uważał się za młodego i trzymał się mody. Ubiór jego był z sukna lekkiego, z szerokiemi klapami, z długiemi połami ostrościętemi i z szerokiemi stalowemi guzikami. Przytem spodnie krótkie i trzewiki ze sprzączkami. Trzymał ręce zawsze w kieszeniach. Mówił z powagą: Rewolucja francuska jest to stek urwisów.

III.

Luc — Esprit.

Mając szesnaście lat, raz wieczorem w operze, dostąpił tego zaszczytu, że lornetowały go naraz dwie piękności, podówczas dojrzałe i słynne i opiewane przez Woltera, mianowicie Camargo i Sallé. Wzięty we dwa ognie, wykonał bohaterski odwrót do młodziutkiej tancerki, zwanej Nahenry, która miała tak samo jak on szesnaście lat, była wcale nieznana, i w której się kochał. Liczne miał wspomnienia. Wykrzykiwał: — Jakaż to była ładna ta Guimard-Guimardini-Guimardinette, ostatnim razem jak ją widziałem w Longchamps, ustrojona w uczucia poważne, ze swojemi turkusowemi ślepiętami, w sukni koloru nowoprzybyłych, z zalotnemi rękawkami! — W młodości nosił kurtkę Nain-Londrin, o której chętnie i wiele mówił. — Byłem ubrany jak Turek ze wschodu wschodniego — powiadał. — Pani de Boufflers, spostrzegłszy go przypadkiem, kiedy miał dwadzieścia lat, nazywała go „miłym szaleńcem.“ Gorszył się ze wszystkich nazwisk, które napotykał w polityce i u władzy, znajdując, że były podłe i mieszczańskie. Czytał dzienniki, nowiny, gazetki — jak mawiał — dusząc się od śmiechu. — Ach — powiadał — cóż to za ludzie! Corbière! Humann! Kazimierz Perier! I to nazywa się minister! Wyobrażam sobie w dzienniku: P. Gillenormand minister! To byłoby wyborne.

Ale tacy z nich głupcy, że i to by uszło! — Nazywał wesoło wszystkie rzeczy po ich imieniu właściwem i nie zważał na obecność kobiet. Mówił grubjaństwa, nieprzyzwoite i sprośne rzeczy z pewnym rodzajem spokoju i naturalności, mającym cechę dobrego tonu. Była to nieceremonialność jego wieku. Trzeba zauważyć, że czasy omówień w wierszach były to czasy nagości w prozie. Jego chrzestny ojciec przepowiedział mu, że będzie genjuszem i dał mu dwuznaczące imiona: Luc-Esprit (Łukasz-Duch).

IV.

Aspirant do stuletności.

P. Gillenormand dostawał w dzieciństwie nagrody, kiedy uczęszczał do kolegjum w Moulins, miejscu swego urodzenia, i był uwieńczony ręką księcia de Nivernais, którego nazwał księciem de Nevers. Ani Konwencya, ani śmierć Ludwika XVI, ani Napoleon, ani powrót Burbonów nie zdołały wymazać z pamięci tego uwieńczenia. Książę de Nevers był dla niego wielką osobistością wieku. Jaki to był miły pan i jak pięknie wyglądał ze swoją błękitną wstęgą! W oczach p. Gillenormand Katarzyna II opłaciła zbrodnię rozbioru Polski, kupując u Bestużewa sekret eliksiru złota. Dotknąwszy tego przedmiotu ożywiał się: — Eliksir złota — wołał — żółta tynktura Bestużewa, krople jenerała Lamottea — były to w ośmnastem stuleciu, znakomite lekarstwa na wszelkie katastrofy miłosne, panaceum przeciwko Wenerze, pół-uncji za luidora. Ludwik XV posłał tego dwieście flakonów papieżowi. Zasmuconoby i zmięszanoby go mocno, gdyby mu powiedziano, że eliksir złota to nic innego jak chlorek żelaza. P. Gillenormand uwielbiał Burbonów i brzydził się rokiem 1789; opowiadał nieustannie w jaki sposób ocalił się był w czasie teroryzmu i ile potrzebował wesołości i dowcipu, ażeby zachować gło-

wę na karku. Kiedy kto z młodzieży odważył się chwalić przed nim rzeczpospolitą, siniał i wpadał w gniew aż do utraty zmysłów. Czasami robił aluzję do swoich dziewięćdziesięciu lat i powiadał: — Spodziewam się, że nie będę widział dwa razy dziewięćdziesiąt trzeciego roku. Innym razem oznajmiał ludziom, że ma zamiar żyć lat sto.

V.

Baskijczyk i Nikoleta.

Miał swoje teorje. Oto jedna z nich: „Kiedy mężczyzna lubi namiętnie kobiety i kiedy ma własną żonę, o którą mało się troszczy, brzydką, cierpką, prawną, pełną praw, opierającą się na kodeksie i zazdrosną w potrzebie, nie ma on innego sposobu odczepić się od niej i mieć spokój, jak oddać jej klucz od kasy. Ustępstwo to uczyni go wolnym. Żona wówczas zaczyna się zajmować, rozmiłowuje się w obracaniu pieniędzmi, wala niemi palce, uczy dzierżawców i tresuje czynszowników, zwołuje adwokatów, prezyduje notarjuszom, rozprawia przed dependentami, odwiedza sądowników, śledzi za procesami, układa umowy dzierżawne, dyktuje kontrakty, czuje się panią, sprzedaje, kupuje, urządza, rozkazuje, przyrzeka i wyrzeka, wiąże i rozwiązuje, ustępuje i odstępuje, zezwala, zaprowadza ład i sprowadza nieład, nastraja i rozstraja, składa pieniądze, rozrzuca je, robi głupstwa, ale z własnem zadowoleniem i to ją pociesza. Kiedy mąż nią pogardza, ona ma tę przyjemność, że go rujnuje. P. Gillenormand zastosował tą teorję do siebie, i stała się ona jego historją. Jego żona, druga, zarządzała jego majątkiem w taki sposób, że kiedy pewnego, pięknego dnia został wdowcem, zostało mu właśnie tyle tylko, co na życie, umieszczając prawie

wszystko na dożywocie, z piętnaście tysięcy franków renty, trzy czwarte których odpadały po jego śmierci. Nie wahał się to zrobić, mało troszcząc się o pozostawienie spadku. Zresztą, widział, że dziedzictwa ulegały przypadkom i stawały się dobrami narodowemi, pamiętał, że wierzytelności skarbowe redukowano do trzeciej części, i mało wierzył w wielką księgę długu państwowego. Ulica Quincampoix i nic więcej! — powiadał. Dom jego na ulicy Filles-du-Calvaire—jak mówiliśmy — należał do niego. Miał dwoje sług: „mężczyznę i kobietę.“ P. Gillenormand, przyjmując sługę, dawał jej nowe imię. Mężczyzn nazywał odpowiednio do ich prowincji: Nimois, Comtois, Poitevin, Picard. Jego ostatni służący gruby, otyły, astmatyczny, mający pięćdziesiąt lat, nie mógł ubiedz dwudziestu kroków, ale że się urodził w Bajonie, więc p. Gillenormand nazwał go Baskijczykiem *). Służące zaś wszystkie (nawet Magnon, o której następnie mówić będziemy) nazywały się u niego: Nikoleta. Pewnego dnia pewna zawołana kucharka, dumna z wysokiej rasy odźwiernych, zgłosiła się do niego.—Ile chcesz na miesiąc? — zapytał ją p. Gillenormand. — Trzydzieści franków. — Jak się nazywasz? — Olimpja. — Dam ci pięćdziesiąt franków i będziesz się nazywała Nikoleta.

*) Courir comme un Basque znaczy: szybko biegać.
Przyp. tłóm.

VI.

Gdzie napotykamy Magnon i jej dwóch małych.

Boleść p. Gillenormand wyrażała się gniewem; był wściekły, kiedy rozpaczał. Miał wszystkie przesądy i dopuszczał się wielkiej rozpusty. Zewnętrzną swoją postawę i wewnętrzne zadowolenie zawsze stosował do tego, zaznaczamy to dobrze, by być prawdziwym kawalerem i uchodzić za takiego. Nazywał to: mieć „królewską sławę“. Królewska ta sława przynosiła mu niekiedy szczególnego rodzaju nabytki. Pewnego dnia przyniesiono mu w koszyku, w prawdziwej koszałce na ostrygi, tłustego, tylko co narodzonego chłopca, ktory krzyczał w niebogłosy i był należycie otulony w pieluszki. Służąca, którą odprawił był przed sześciu miesiącami — mówiła, że był jego ojcem. P. Gillenormand skończył był wówczas ośmdziesiąt cztery lata. Oburzenie i krzyki pomiędzy otaczającymi go.—I w kogo myśli to wmówić ta bezczelna łajdaczka? Co za zuchwalstwo! Co za obrzydliwa potwarz! P. Gillenormand wcale się nie gniewał. Patrzał na pieluszki z miłym uśmiechem poczciwca, któremu pochlebiają oszczerstwem — i mówił głośno: — „No i cóż, cóż takiego, cóż się stało? Dziwicie się mocno, jakbyście nic nie wiedzieli. Książę d'Angoulême, bastard jego królewskiej mości Karola IX, mając ośmdziesiąt pięć lat, ożenił się z jakąś bła-

żnicą piętnastoletnią; pan Virginal, markiz d'Alluye, brat kardynała de Sourdis, arcybiskupa w Bordeaux. w ośmdziesiątym trzecim roku miał z pokojówką pani prezydentowej Jacquin syna, prawdziwego syna miłości, który został później kawalerem maltańskim i radcą stanu; jeden z wielkich mężów tego stulecia, opat Tabarand, urodził się z ośmdziesięcioletniego człowieka. A Biblja? Przytem wszystkiem, oświadczam, że ten młody człowieczek pochodzi nie odemnie. Trzeba nim się zająć. To nie „jego wina". Postępek był dobroduszny. Ta, co się nazywała Magnon, zrobiła mu nowy podarek w rok później. Był to znowu chłopiec. Na ten raz p. Gillenormand kapitulował. Oddał matce obu bębnów, obowiązując się płacić na ich utrzymanie ośmdziesiąt franków miesięcznie, pod warunkiem, że owa matka nie powtórzy tego więcej. Dodał przytem: „Chcę, ażeby matka obchodziła się z nimi dobrze. Będę czasem przychodził, by ich widzieć". I robił to. Miał brata księdza, który był przez trzydzieści trzy lata rektorem akademii w Poitiers i umarł, mając lat siedmdziesiąt dziewięć. Straciłem go młodym — powiadał. Ten brat, o którym zostało mało wspomnień, był to cichy skąpiec, który, będąc księdzem, uważał za swój obowiązek dawać jałmużnę ubogim, których spotykał, lecz zawsze dawał tylko monetę wyszłą z obiegu; znalazł więc sposób, jak zdążać piekła drogą do raju. Co do p. Gillenormand starszego, ten nie kupczył jałmużną i dawał chętnie i szlachetnie. Był uprzejmy, porywczy, miłosierny, i gdyby był bogaty, okazywałby skłonność do wspaniałomyślności. Chciał, ażeby wszystko, co go dotyczyło, dokonywało się wspaniale, nawet oszustwo. Razu pewnego został w sprawie sukcesji pokrzywdzony przez adwokata w sposób gruby i widoczny; wykrzyknął wówczas uroczyście: „Fe! Jakże to niezgrabnie zrobiono! Prawdziwie wstydzę się takiego sposobu obdzierania. Wszystko wyrodziło się w tym wieku, nawet łotry. Do djabła! To nie w ten sposób trzeba

okradać takiego człowieka jak ja. Okradziono mię jakby w lesie, lecz źle okradziono. *Silvae sint consule dignae!*“ Miał — jak mówiliśmy — dwie żony: z pierwszej żony miał córkę, która została do śmierci panną; z drugiej miał drugą córkę, która umarła mając około trzydziestu lat i która wyszła zamąż, z miłości czy też przypadkiem, czy też inaczej, za żołnierza, który służył w wojsku rzeczypospolitej i cesarstwa, pod Austerlitz dostał krzyż, a pod Waterloo został pułkownikiem. To robi wstyd mojej familji — powiadał stary mieszczanin. Zażywał dużo tabaki i ze szczególnym wdziękiem strzepywał ręką swój koronkowy żabot. W Boga wierzył bardzo mało.

VII.

Reguła: przyjmować tylko wieczorem.

Takim był p. Luc-Esprit Gillenormand, który miał wszystkie jeszcze włosy, raczej siwe, niż białe, i był zawsze uczesany podług dawnej mody. W ogóle i przytem wszystkiem, była to osoba godna poszanowania. Miał w sobie coś z ośmnastego wieku: płochego i wielkiego zarazem.

W 1814 r. i w pierwszych latach Restauracji, p. Gillenormand, który był jeszcze młodym — miał tylko siedmdziesiąt cztery lata — mieszkał na przedmieściu Saint-Germain, na ulicy Servandoni, blizko św. Sulpicjusza. Przeniósł się na Marais, dopiero usunąwszy się od świata, kiedy mu już dobrze minęło ośmdziesiąt cztery lata. I usunąwszy się od świata, zamurował się w swoich zwyczajach. Głównym z nich, którego nigdy nie zmieniał, było zamykać zupełnie drzwi przez dzień cały i zawsze przyjmować, dla jakiejkolwiekbądź sprawy, tylko wieczorem. Obiadował o piątej godzinie—później drzwi jego się otwierały. Była to moda jego wieku, i nie chciał od niej odstąpić. Dzień tałatajstwo — powiadał — zasługuje na to tylko, by okiennice zamykano. Porządni ludzie rozniecają swe myśli, dopiero kiedy zenit zapala gwiazdy. I barykadował się dla wszystkich, chociażby to był król. Stara elegancja jego czasów.

VIII.

Dwie nie stanowią pary.

Co do dwóch córek p. Gillenormand, dopierośmy co o nich mówili. Różnica ich wieku była o dziesięć lat. W młodości bardzo były podobne do siebie i tak z charakteru jak z twarzy mało wyglądały na siostry. Młodsza była to miła istota, rwąca się do wszystkiego, co było światłem, zajęta kwiatami, poezją i ulatująca ku niebiosom, entuzjastka, eteryczna, od lat dziecinnych zaręczona z ideałem niewyraźnej jakiejś bohaterskiej postaci. Starsza miała także swoje marzenia, widziała w błękitach jakiegoś dostawcę, jakiegoś grubego i bogatego liweranta, męża dobrze głupiego, miljon w postaci mężczyzny, albo też prefekta, recepcje w prefekturze, woźny w przedpokoju z łańcuchem na szyi. bale urzędowe, przemowy w merostwie, być „panią prefektową“ — wszystko to wirowało w jej wyobraźni. Obie siostry, będąc młodemi dziewczętami, błąkały się w taki sposób, każda w swojem marzeniu. Obie miały skrzydła: jedna anioła, druga gęsi.

Żadna ambicja nie ziszcza się zupełnie, przynajmniej tu na ziemi. Żaden raj nie staje się ziemskim w czasach, w których żyjemy. Młodsza wyszła zamąż za człowieka swych marzeń, lecz umarła. Starsza wcale nie szła zamąż.

W chwili, kiedy wchodzi ona do historji, którą opowiadamy; była to stara cnota, skromność niedobyta,

jeden z najostrzejszych nożów i jeden z najtępszych umysłów, jakie można było napotkać. Szczegół charakterystyczny: poza granicami najbliższej rodziny, nikt nie nazywał jej po imieniu. Mówiono panna Gillenormand starsza. Co do pruderji, panna Gillenormand starsza mogła dorównać każdej miss. Była to wstydliwość posunięta do ostateczności. Miała straszne wspomnienie w swem życiu: raz mężczyzna ujrzał jej podwiązkę. Wiek tylko powiększał tę nielitościwą wstydliwość. Suknia jej nigdy nie była dostatecznie nieprzejrzystą i nigdy nie szła dosyć wysoko pod szyję. Używała mnóstwa haftek i szpilek tam, gdzie nikt nie myślał patrzeć. Jest to właściwością pruderji, że tem więcej mnoży środków obrony, im mniejsze grozi niebezpieczeństwo fortecy.

Jednak, niech kto wytłumaczy te stare tajemnice niewinności, dawała się całować bez przykrości oficerowi od ułanów, który był synem jej siostrzeńca i nazywał się Teodul. Pomimo tego ułana, mającego u niej łaski, napis: Skromnisia, pod którym ją umieściliśmy— odpowiadał jej najzupełniej. Panna Gillenormand była rodzajem duszy mrocznej. Pruderja jest pół-cnotą i półwystępkiem. Z pruderją łączyła bigoterję — była to odpowiednia podszewka. Należała do bractwa Najświętszej Panny, nosiła białą zasłonę w pewne święta, mruczała specjalne modlitwy, czciła „świętą krew“, oddawała cześć „świętemu sercu“, oddawała się całemi godzinami kontemplacji, przed ołtarzem rokoko-jezuickim w kaplicy zamkniętej dla zwykłych wiernych, i ulatywała duszą pomiędzy obłoczki marmurowe, między wielkie promienie z drzewa złoconego.

Miała przyjaciółkę z kaplicy, starą pannę tak jak i ona, która nazywała się panna Vaubois, absolutnie głupią i obok której panna Gillenormand miała przyjemność uchodzić za orła. Oprócz Agnus Dei i Ave Maria, panna Vaubois znała się tylko dobrze na smarzeniu rozmaitego rodzaju konfitur. Panna Vaubois, doskonałość swego rodzaju, była wzorem głupoty bez

żadnej iskry rozumu. Przyznajmy, że panna Gillenormand starzejąc się, więcej zyskała, niż straciła. Zwykle tak się dzieje z naturami biernemi. Nigdy nie była złą, co stanowi względną dobroć; a później lata zgładziły kąty, i czas podziałał łagodząco. Była smutna cichym smutkiem, którego tajemnicy sama nie znała. W całej jej osobie była odrętwiałość życia skończonego, które nie rozpoczęło się nigdy. Zarządzała domem swego ojca. P. Gillenormand miał przy sobie córkę, tak — jak widzieliśmy — wielebny Ludomił miał przy sobie siostrę. Takie gospodarstwa, złożone ze starca i starej panny, nie są rzadkie i zawsze przedstawiają rozczulający widok dwóch słabości, opierających się jedna o drugą. Oprócz tego, w tym domu, pomiędzy tą starą panną i tym starcem, było jeszcze dziecko, chłopczyk, zawsze drżący i niemy w obecności p. Gillenormand. P. Gillenormand nie mówił nigdy inaczej do tego dziecka, jak głosem surowym, a czasami z laską podniesioną: Tu, paniczu! Chodź tu hultaju, uliczniku! Odpowiadaj, nicponiu! Pokaż się, ty, ladaco! i t. p. i t. p. A przepadał za nim.

Był to jego wnuk. Spotkamy się jeszcze z tem dzieckiem.

KSIĘGA TRZECIA.

DZIADEK i WNUK.

I.

Dawny salon.

Kiedy p. Gillenormand mieszkał na ulicy Servandoni, uczęszczał wówczas do kilku salonów bardzo dobrych i bardzo szlacheckich. Przyjmowano tam p. Gillenormanda, chociaż mieszczanina. Ponieważ miał podwójny rozum: ten, który w istocie posiadał, i ten, który mu przypisywano; więc poszukiwano go i fetowano. Bywał tylko tam, gdzie panował. Są ludzie, którzy pragną za jakąkolwiekbądź cenę mieć wpływ i zwracać na siebie uwagę; tam więc, gdzie nie mogą być wyrocznią, stają się szydercami. P. Gillenormand nie był człowiekiem tego rodzaju; jego panowanie w salonach rojalistycznych, do których uczęszczał, nie odbywało się kosztem poszanowania samego siebie. Był wyrocznią wszędzie. Zdarzyło się mu stawić czoło p. de Bonald, a nawet p. Bengy-Puy-Vallée.

Około 1817 roku niezmiennie przepędzał dwa razy na tydzień południe w jednym z domów sąsiednich, na ulicy Férou, u pani baronowej de T., godnej i szanownej osoby, której mąż za Ludwika XVI był ambasadorem Francji w Berlinie. Baron de T., który za życia swego zajmował się ekstazami i wizjami magnetycznemi, umarł na emigracji zrujnowany, pozostawiając za cały majątek dziesięć tomów rękopisu, oprawnych w safian czerwony ze złoconemi brzegami; były

to bardzo ciekawe pamiętniki o Mesmerze i jego cebrzyku. Pani de T. przez uczucie godności nie ogłosiła tych pamiętników i utrzymywała się z małej renty, która nie wiedzieć jak ocalała. Pani de T. żyła z daleka od dworu, świata bardzo pomieszanego — jak powiadała — w odosobnieniu szlachetnem, dumnem i ubogiem. Kilku przyjaciół zbierało się dwa razy na tydzień koło jej wdowiego kominka i w ten sposób tworzył się salon czysto rojalistyczny. Pito tam herbatę, i stosownie do usposobienia elegicznego, lub dytyrambicznego, albo ubolewano, albo oburzano się na wiek, na kartę konstytucyjną, na bounapartystów, na prostytucję orderu św. Ducha rozdawanego mieszczanom, na jakobinizm Ludwika XVIII i mówiono po cichu o nadziejach, które budził Monsieur, następnie Karol X.

Z uniesieniem radości witano tam piosenki gminne, gdzie Napoleona nazywano Nicolas. Księżniczki, najdelikatniejsze i najmilsze kobiety światowe, zachwycały się zwrotkami, skierowanemi „do sfederowanych."

Renfoncez dans vos colutes
Le bont d'chemis' qui vous pend.
Qu'on n'dis' pas qu'les patriotes
Ont arboré l'drapeau blanc! *)

Bawiono się kalamburami, które uważano za straszne, grą słów niewinnych, które wyobrażano sobie, że są jadowite, czterowierszami, a nawet dwuwierszami. I tak z powodu ministerstwa Dessolles, gabinetu umiarkowanego, do którego wchodzili pp. Decazes i Deserre, ułożono:

Pour raffermir le trône ébranlé sur sa base,
Il faut changer de sol, et de serre et de case **).

*) Schowajcie do spodni, koniec koszuli, który wystaje — niech nie mówią, że patrjoci — wywiesili chorągiew białą.

**) Ażeby wzmocnić tron, zachwiany w swej podstawie — trzeba zmienić grunt i cieplarnię i dom. — Gra wyrazów.

Albo też układano listę członków izby panów, „izby obrzydliwie jakobińskiej“, i łączono na tej liście nazwiska tak, aby tworzyły się frazesy podobne jak: Damas, Sabran, Gouvion-Saint-Cyr. Wszystko to robiło się wesoło.

W świecie tym parodjowano rewolucję. Miano jakąś dziwną chętkę pobudzenia tego samago gniewu w odwrotnym kierunku. Śpiewano więc:

Ah! ça ira! ça ira! ça ira!
Les bounapartist' a la lanterne!

Piosenki są tak jak gilotyna; ucinają obojętnie dzisiaj tę, jutro drugą głowę, tylko w odmienny sposób.

W sprawie Fualdesa, która odbywała się w tej epoce, 1816 r., stawano po stronie Bastidea i Jansiona, ponieważ Fualdes był „buonapartysta“. Liberalnych nazywano braćmi i przyjaciółmi, był to ostatni stopień zniewagi.

Jak pewne dzwonice kościelne, tak salon pani baronowej de T. miał dwóch kogutków. Jednym był p. Gillenormand; drugim hrabia de Lamothe-Valois, o którym mówiono na ucho z pewnym rodzajem szacunku: „Wiesz pan? Jest to Lamothe ze sprawy *naszyjnika*... Stronnictwa miewają takie dziwne amnestje“.

Dodajmy przytem: „w burżuazji“ zaszczytne stanowiska tracą na znaczeniu przez stosunki zbyt łatwe; trzeba zwracać na to uwagę, kogo się przyjmuje: tak, jak traci się ciepło w sąsiedztwie tego, co jest zimne, tak zmniejsza się poważanie przez zbliżanie się osób pogardzanych. Dawny świat wielki sądził się być wyższym od tego prawa jak i od wszelkich innych. Marigny, brat Pompadour, bywał u księcia de Soubise. Chociaż nie, ponieważ du Barry, ojciec chrzestny Vauborniera, doznawał bardzo dobrego przyjęcia u marszałka de Richelieu. Świat ten, oto Olimp. Merkury i książę de Gueménée są tu jakby u siebie w domu. Złodzieja, byleby był bogiem, przyjmują tam chętnie.

Hrabia de Lamothe, który w 1815 roku był starcem siedmdziesięcioletnim, odznaczał się tylko postawą milczącą i poważną, twarzą kątowatą i zimną, zachowaniem się bardzo grzecznem, surdutem zapiętym aż po krawatę i długiemi nogami, zawsze skrzyżowanemi, w długich pantalonach luźnych, koloru wypalonej ziemi Sienne. Twarz jego była tegoż koloru co i pantalony.

Tego p. Delamothe „zaliczano“ do tego salonu, z powodu jego „sławy“ i — rzecz dziwna, ale pewna — z powodu nazwiska de Valois.

Co do p. Gillenormand, to znaczenie jego było zupełnie dobrego gatunku. Miał powagę. Pomimo swej lekkości i bez ujmy dla swej wesołości, miał pewny właściwy sobie sposób zachowania się, imponujący, godny, uczciwy, i z mieszczańska dumny, podeszły wiek jego także wiele dodawał. Nie napróżno żyje się cały wiek. Z latami wreszcie włosy wzbudzają poszanowanie.

Oprócz tego, miewał takie słówka, w których błyszczała iskra starego rodu. I tak, kiedy król pruski, przywróciwszy rządy Ludwika XVIII, złożył mu wizytę pod imieniem hrabiego de Ruppin, potomek Ludwika XIV przyjął go potrosze jak margrabiego brandeburskiego, z impertynencją najdelikatniejszą. P. Gillenormand pochwalił to. — „Wszyscy królowie, którzy nie są królem Francji, są królami prowincyonalnymi“ — powiedział. Pewnego dnia rzucono mu takie zapytanie i taką odpowiedź: Na co skazano redaktora *Gońca francuskiego?* — „Na zawieszenie“ (à être suspendu*) — „Sus jest zbyteczne“ — zauważył p. Gillenormand. Słówka tego rodzaju przyczyniają się do wyrobienia stanowiska.

Widząc p. de Talleyranda, idącego na Te Deum rocznicy powrotu Burbonów — powiedział:

---

*) *Suspendu* zawieszony — *pendu* powieszony.

— Oto, jego ekscelencja, Zło!

P. Gillenormand przychodził zwykle w towarzystwie swojej córki, tej długiej panny, która skończyła już wówczas czterdzieści lat a zdawała się mieć ich pięćdziesiąt i w towarzystwie pięknego, małego chłopca siedmiu lat, białego, różowego, swieżego, z oczami pełnemi szczęścia i zaufania, który, ile razy zjawił się w tym salonie, słyszał jak szeptano dokoła niego: Co za piękny chłopiec! Jaka szkoda! Biedne dziecię! Było to dziecko, o którem mówiliśmy przed chwilą. Nazywano je — biednem dziecięciem — ponieważ miał ojca „zbója z nad Loary".

Zbójem tym z nad Loary był zięć p. Gillenormand, o którym już wspominaliśmy i którego p. Gillenormand nazywał wstydem swojej rodziny.

II.

Jedno z widm czerwonych tego czasu.

Ktokolwiek w tej epoce przechodził przez miasteczko Vernon i przez ów piękny pomnikowy most, na miejscu którego stanie wkrótce — jak się spodziewamy—okropny jaki most żelazny, mógłby zauważać, patrząc na dół, człowieka pięćdziesięciu lat, w kaszkiecie skórzanym, w spodniach i kaftanie z grubego sukna szarego; przy kaftanie wisiało coś żółtego, co było niegdyś wstążeczką czerwoną; człowieka w sabotach, opalonego od słońca, z twarzą prawie czarną i z włosami prawie białymi, z szeroką na czole blizną, która ciągnęła się dalej po policzku, pochylonego, zgarbionego, zestarzałego przedwcześnie, przechadzającego się prawie codziennie z rydlem i nożem ogrodniczym, po jednym z tych przedziałów otoczonych murami, które sąsiadowały z mostem i ciągnęły się po lewym brzegu Sekwany łańcuchem tarasów; były to miłe miejsca, pełne kwiatów, i możnaby je nazwać ogrodem, gdyby były znacznie większe, a bukietami, gdyby były trochę mniejsze. Wszystkie te miejsca przytykały jednym końcem do rzeki, a drugim do domu. Człowiek w kaftanie i w sabotach, o którym mówimy, mieszkał około 1817 r. w jednym z mniejszych tych ogródków i w jednym z najskromniejszych tych domków. Mieszkał tam samotny, w ciszy i ubogo,

z kobietą, ani młodą ani starą, ani piękną ani brzydką, ani chłopką ani mieszczanką, która mu usługiwała. Kawał ziemi, który nazywał swoim ogrodem, słynął w mieście z pięknych kwiatów, które tam uprawiano. Kwiaty były jego zajęciem.

Pracą, wytrwałością, pilnością i wiadrami wody przyszedł do tego, że tworzył po Stwórcy i wynalazł pewne tulipany i georginje, o których—zdawało się—że przyroda zapomniała. Był pomysłowy; wyprzedził Seulange Boudina w przygotowywaniu małych kupek ziemi, będącej mieszaniną piasku ze szczątkami roślin, dla uprawy rzadkich i drogich krzewów amerykańskich i chińskich. Od samego świtu latem chodził po alejach, koląc, obcinając, pieląc, podlewając, przechadzając się wśród kwiatów z wyrazem dobroci, smutku i łagodności, niekiedy marząc i stojąc nieruchomo po całych godzinach, słuchając śpiewu ptaka na drzewie, szczebiotania dziecka w domu, lub utkwiwszy oczy w koniec trawki z kroplą rosy, którą słońce zamieniało w drogi kamień. Stół jego był bardzo skromny; pił więcej mleka aniżeli wina. Przed dzieciakiem ustępował, służąca go łajała. Był nieśmiały do takiego stopnia, że wydawał się dzikim; wychodził rzadko i nie widział nikogo prócz ubogich, którzy pukali do jego okna, i swego księdza, opata Mabeufa, dobrego starca. Jeżeli jednak mieszkańcy miasteczka lub cudzoziemcy, pierwsi lepsi, ciekawi widzieć jego tulipany i róże, zadzwonili do jego domku, otwierał drzwi z uśmiechem. Taki to był ów zbój z nad Loary.

Ktokolwiek w tym czasie czytywał pamiętniki wojenne, biografie, *Monitora* i biuletyny wielkiej armji, to uwagę mogło zwrócić nazwisko, które powtarzało się dosyć często, nazwisko Jerzego Pontmercy. Będąc zupełnie młodym chłopcem, Jerzy Pontmercy został żołnierzem w pułku Saintogne. Rewolucja wybuchła. Pułk Saintogne stanowił część armji reńskiej. Albowiem dawne pułki monarchji zachowały swoje nazwy prowincji nawet po upadku monarchji i zostały połączone w brygady dopiero

w 1794 r. Pontmercy bił się pod Spirą, Wormsem, Neustadtem, Turkheimem, Alzey, Moguncją, gdzie należał do tych dwustu, co tworzyli tylną straż Houcharda. W liczbie dwunastu stawił czoło korpusowi księcia Hesskiego, trzymając się za starym wałem Andernach, i cofnął się do armji dopiero wówczas, kiedy działo nieprzyjacielskie zrobiło wyłom od góry przedpiersnia aż do samej podstawy. Pod dowództwem Klebera był pod Marchiennes i w bitwie Mont-Palissel, gdzie kula śmigownicy strzaskała mu ramię. Później poszedł na granicę włoską i był z liczby tych trzydziestu grenadjerów, którzy bronili wąwozu Tende z Jobertem. Joubert został mianowany jenerał-adjutantem a Pontmercy podporucznikiem. Pontmercy był obok Berthiera wśród ognia kartaczowego w ten dzień bitwy pod Lodi, z powodu którego Bonaparte powiedział:—Berthier był kanonierem, kawalerzystą i grenadjerem!—Widział swego dawnego jenerała Jouberta, jak ten padł pod Novi w chwili, kiedy ze szpadą podniesioną wołał: — Naprzód! — Wsadziwszy swoją kompanję, jak tego wymagał plan kampanji, na mały statek, który szedł z Genui do jakiegoś małego portu wybrzeżnego, wpadł pomiędzy siedm lub ośm okrętów angielskich. Komendant genueński chciał rzucić działa do morza, schować żołnierzy pomiędzy dwoma pomostami i przesunąć się ukradkiem, jako statek kupiecki. Pontmercy kazał wywiesić kolory narodowe na maszcie i dumnie przeszedł pod działami fregat brytańskich. Uszedłszy dwadzieścia mil, ze wzrastającem zuchwalstwem zaatakował i wziął do niewoli wielki statek angielski, który przewoził wojska do Sycylji i był po same brzegi naładowany ludźmi i końmi. W 1805 roku należał do tej dywizji Malhera, która odebrała Günzbourg od arcyksięcia Ferdynanda. Pod Weltingen, pod gradem kul, ujął w ramiona pułkownika Maupetit, śmiertelnie ranionego na czele 9-go pułku dragonów. Odznaczył się pod Austerlitz w tym znakomitym marszu eszelonami, który odbywał się przed ogniem nieprzyjacielskim. Kiedy

kawalerja cesarskiej gwardji rossyjskiej zgniotła bataljon 4-go pułku linjowego, Pontmercy był jednym z tych, co oddając wet za wet, rozbili tę gwardję. Cesarz dał mu krzyż. Pontmercy widział, jak po kolei brano do niewoli Wurmsera w Mantui, Melasa w Aleksandrji, Macka w Ulmie. Należał do ósmego korpusu wielkiej armji, którym dowodził Mortier, który zdobył Hamburg. Później przeszedł do 55-go pułku liniowego, który był dawnym pułkiem Flandryjskim. Pod Eylau był na cmentarzu, gdzie bohaterski kapitan Ludwik Hugo, stryj autora tej książki, sam ze swoją kompanią ośmdziesięciu trzech ludzi przez dwie godziny wytrzymywał nacisk armji nieprzyjacielskiej. Pontmercy był jednym z trzech, co pozostali przy życiu na tym cmentarzu. Był pod Friedlandem. Później widział Moskwę, później Berezynę, później Lutzen, Bautzen, Drezno, Wachau, Lipsk i wąwozy Gelenhausena, później Montmirail, Château-Thierry, Craon, brzegi Marny, brzegi Aisny i straszną pozycję Laon. Pod Arnay-le-Duc, będąc kapitanem, zarąbał dziesięciu kozaków i ocalił nie swego jenerała, lecz swego kaprala. W tym wypadku posiekano go i niemniej jak dwadzieścia siedm kawałeczków kości wyjęto mu z lewego ramienia. W ośm dni po kapitulacji Paryża, zamienił miejsce z jednym ze swoich towarzyszów i wszedł do jazdy. Miał, jak to nazywano za dawnych rządów, podwójną rękę, t. j. jednakową zdolność do dowództwa nad szwadronem lub bataljonem, jako oficer. Ta to zdolność, rozwinięta wykształceniem wojskowem, dała początek pewnym specjalnym broniom, naprzykład dragonom, którzy są zarazem jeźdźcami i żołnierzami pieszymi. Towarzyszył Napoleonowi na wyspę Elbę. Pod Waterloo był dowódzcą szwadronu kirysjerów w brygadzie Dubois. On to zdobył sztandar bataljonu Luneburskiego. Rzucił ten sztandar pod nogi cesarzowi. Był zalany krwią. Wyrywając bowiem sztandar, otrzymał cięcie szablą przez twarz. Cesarz zadowolony zawołał do niego: — Jesteś pułkownikiem, jesteś baro-

nem, jesteś oficerem legji honorowej!—Pontmercy odrzekł:—Najjaśniejszy Panie, dziękuję za wdowę. W godzinę później leżał w parowie Ohain... Któż to był więc ten Jerzy Pontmercy? Był to ów zbój z nad Loary.

Wiemy już cokolwiek z jego historji. Po bitwie pod Waterloo, Pontmercy wyciągnięty—jak przypominamy sobie — z drogi wklęsłej Ohain, dostał się do armji i ciągnąc się z ambulansu do ambulansu, przybył do leż wojskowych nad Loarą.

Restauracja wyznaczała mu pół żołdu, a następnie posłała go na pobyt, t. j. pod dozór do miasteczka Vernon. Król Ludwik XVIII, uważając za niebyłe to, co zaszło w Stu-Dniach, nie uznał ani jego godności oficera legji honorowej, ani jego stopnia pułkownika, ani jego tytułu barona. On zaś przy każdej okoliczności podpisywał się: „Pułkownik baron Pontmercy". Miał jeden tylko stary niebieski surdut i zawsze wychodząc przypinał do niego znak oficera legji honorowej. Królewski prokurator kazał go uprzedzić, że prokuratorja wytoczy mu proces za „nielegalne" noszenie tej dekoracji. Kiedy zawiadomiono go o tem w drodze urzędowej, Pontmercy odrzekł z gorzkim uśmiechem: „Nie wiem, czy to ja nie rozumiem po francusku, czy też pan nie mówisz tym językiem; lecz rzecz pewna, że nie rozumiem". Następnie przez dni ośm po kolei wychodził ze znakiem legji. Nie ośmielono się go niepokoić. Dwa lub trzy razy minister i jenerał dowodzący w departamencie pisali do niego, adresując: „Panu komendantowi Pontmercy." Odesłał te listy nierozpieczętowane. W tym samym czasie Napoleon na wyspie Św. Heleny zupełnie w ten sposób postępował z listami sir Hudsona Lowe, adresowanemi do jenerała Bonapartego. Pontmercy skończył na tem, że się tak wyrazimy, iż miał w ustach tę samą ślinę, co i jego cesarz.

Byli też w Rzymie pomiędzy żołnierzami kartagońskimi, wziętymi do niewoli, tacy, co nie chcieli

salutować Flaminjusza i mieli trochę ducha Hannibala.

Pewnego poranku napotkał królewskiego prokuratora w ulicy miasteczka Vernon, podszedł do niego i rzekł:

— Panie prokuratorze królewski, czy wolno mi nosić bliznę moją?

Nic nie miał prócz bardzo lichego półżołdu dowódzcy szwadronu. Wynajął w Vernon najmniejszy domek, jaki mógł znaleźć. Żył tam samotny, widzieliśmy, w jaki sposób. Za cesarstwa, pomiędzy dwiema wojnami znalazł czas do ożenienia się z panną Gillenormand. Stary mieszczanin, oburzony do głębi, zgodził się wzdychając i mówiąc: — Największe rodziny bywają zmuszone do tego.—W 1815 r. pani Pontmercy, kobieta zresztą pod każdym względem zasługująca na uwielbienie, wykształcona i niepospolita i godna swego męża, umarła, pozostawiając dziecię. Dziecko to było radością pułkownika w jego osamotnieniu; lecz dziadek gwałtownie domagał się wnuka, oświadczając, że go wydziedziczy, jeżeli mu go nie oddadzą. Ojciec ustąpił w interesie małego i nie mogąc mieć dziecka, pokochał kwiaty. Zresztą wyrzekł się wszystkiego, ani widząc ani konspirując. Dzielił myśli swoje pomiędzy rzeczy niewinne, które robił i rzeczy wielkie, które zrobił. Przepędzał swój czas, czekając na rozkwit gwoździka lub przypominając Austerlitz.

Pan Gillenormand nie miał żadnych stosunków ze swoim zięciem. Pułkownik był dla niego „bandytą", a on był dla pułkownika „łbem zakutym". Pan Gillenormand nigdy nie mówił o pułkowniku, chyba niekiedy robiąc szydercze aluzje do jego „baronostwa." Umówiono się wyraźnie, że Pontmercy nie będzie się starał widzieć, ani też mówić z synem, pod grozą wypędzenia i wydziedziczenia tego ostatniego. Dla Gillenormandów Pontmercy był zarażony. Chcieli oni wychować dziecko po swojemu. Pułkownik może nie miał słuszności, przyjmując, takie warunki, lecz uległ im,

sądząc, że dobrze robi i że poświęca sam siebie tylko. Spadek po ojcu Gillenormand był niewielką rzeczą, ale spadek po starszej pannie Gillenormand był znaczny. Ciotka ta, która pozostała panną, była bardzo bogata po matce i syn siostry był naturalnym jej spadkobiercą. Dziecko, które nazywało się Marjuszem, wiedziało, że ma ojca, lecz nic więcej. Nikt mu nic nie mówił o nim. Tymczasem w tym świecie, w którym bywał z dziadkiem, szeptania, półsłówka, mrugania oczyma rzuciły pewne światło do jego umysłu i wreszcie zrozumiał coś, a że otaczające go myśli i przekonania, przesączając się i przenikając go zwolna, stały się naturalnie jego atmosferą, przyzwyczaił się powoli myśleć o swoim ojcu ze wstydem i ze ściśniętem sercem.

Kiedy tak podrastał, pułkownik co drugi lub trzeci miesiąc wymykał się, udawał się po kryjomu, jakby wydalający się z pod dozoru policyjnego, do Paryża i szedł do kościoła Św. Sulpicjusza na godzinę, kiedy ciotka Gillenormand przyprowadzała na mszę Marjusza. Tam drżąc, ażeby ciotka nie odwróciła się, ukrywając się za słupem, nieruchomy, lękając się oddychać, patrzał na swoje dziecko. Ten, pokiereszowany, drżał ze strachu przed tą starą panną.

Z tego powodu zawiązał się stosunek pomiędzy nim i księdzem z Vernon, opatem Mabeuf. Zacny ten ksiądz był bratem skarbnika parafji Św. Sulpicjusza, który kilka razy zauważał, jak ten człowiek patrzał na to dziecko, i bliznę, którą miał na twarzy, i wielką łzę, którą miał w oku. Człowiek, co miał taką męzką twarz, a płakał jak kobieta, zastanowił skarbnika. Postać ta pozostała mu w pamięci. Pewnego razu, odwiedzając brata w Vernon, spotkał na moście pułkownika Pontmercy i poznał w nim człowieka od Św. Sulpicjusza. Skarbnik mówił z księdzem o nim, i obaj pod jakimś pozorem zrobili wizytę pułkownikowi. Wizyta pociągnęła za sobą inne. Pułkownik z początku bardzo zamknięty w sobie, wyspowiadał się wreszcie, i ksiądz ze skarbnikiem dowiedzieli się o całej historji

Pontmercy, i jak poświęcił szczęście własne dla przyszłości swego dziecka. Wskutek tego ksiądz powziął dla niego szacunek i czułość, a pułkownik ze swej strony pokochał księdza. Zresztą nic tak nie przenika się i nie łączy, jak stary ksiądz i stary żołnierz, jeżeli przypadkiem obaj są szczerzy i obaj dobrzy. W gruncie jest to ten sam człowiek. Jeden poświęcił się dla ojczyzny ziemskiej, drugi dla ojczyzny niebieskiej; innej nie ma różnicy.

Dwa razy na rok, 1-go stycznia i na Św. Jerzego, Marjusz pisał do swego ojca listy obowiązkowe, które mu ciotka dyktowała, i które były jakby skopjowane z jakiego listownika; p. Gillenormand jedynie to tylko tolerował. Ojciec odpowiadał listami bardzo czułemi, które dziadek chował do kieszeni, nie czytając ich wcale.

III.

Requiescant.

Salon pani de T. było to wszystko, co Marjusz Pontmercy znał ze świata. Był to jedyny otwór, przez który mógł patrzeć na życie. Otwór ten był ciemny i przez to okienko więcej dochodziło chłodu niż ciepła, więcej przeglądała noc niż dzień. Dziecko, które wchodząc do tego dziwnego świata było tylko radością i światłem, stawało się w nim wkrótce smutnem i—co bardziej jeszcze sprzeciwia się temu wiekowi—poważnem. Otoczone przez wszystkie te imponujące i szczególne postacie, patrzało do koła siebie z prawdziwem zdziwieniem. Wszystko składało się na to, by powiększyć tę jego osłupiałość. W salonie pani de T. były stare szlachetne damy bardzo czcigodne, które nazywały się: Mathan, Noe, Lévis wymawiane Lévi, Cambis wymawiane Cambyze. Te starożytne twarze i te biblijne imiona łączyły się w umyśle dziecka ze starym testament-m, którego uczyło się na pamięć, i kiedy zebrały się one tam wszystkie, zasiadłszy dokoła gasnącego ognia, zaledwie oświetlone lampą, którą przyćmiewała zielona zasłona, z surowym profilem, z włosami siwemi lub białemi, z długiemi sukniami z innego wieku o ponurych kolorach, przerywające kiedy niekiedy milczenie wyrazami zarówno majestatycznemi jak dzikiemi, mały Marjusz patrzał na nie

wylęknionemi oczami, sądząc, że widzi nie kobiety, lecz patrjarchów i magów, nie istoty rzeczywiste, lecz widma.

Z temi widmami mieszało się kilku księży, przyzwyczajonych do tego salonu starego i kilku ze szlachty: markiz de Sassenaye, główny sekretarz pani de Berry; wicehrabia de Valory, który ogłaszał pod pseudonimem Karola-Antoniego (Charles-Antoine) ody jednorymowe; książę Beauffremont, który, będąc dość młodym, miał głowę siwiejącą i ładną i dowcipną żonę, której toaleta z aksamitu szkarłatnego z frędzlami złotemi, bardzo wygorsowana, przestraszała owe ciemności; markiz de Coriolis d'Espinouse, obywatel Francji, który znał najlepiej „miarę grzeczności"; hrabia d'Amandre, poczciwiec z podbródkiem, znamionującym uprzejmość; oraz kawaler de Port-de-Guy, podpora bibljoteki Luwru, zwanej gabinetem króla. Pan de Port-de-Guy, łysy i raczej staro wyglądający, niż stary, opowiadał, że w 1793 r., mając lat szesnaście, był posłany na galery jako buntownik i skuty razem z ośmdziesięcioletnim starcem, biskupem de Mirepoix, także buntownikiem, ale ten jako ksiądz, a tamten jako żołnierz. Było to w Tulonie. Przeznaczono ich do tego, ażeby w nocy zbierali na rusztowaniu głowy i ciała, pogilotynowanych w ciągu dnia; nieśli na grzbiecie tułowy krwią spływające, i ich czerwone kaptury galernika miały z tyłu koło szyi skorupę krwi, suchej z rana, mokrej wieczorem. Wiele było takich tragicznych opowiadań w salonie pani de T., i złorzecząc Maratowi, przez to samo przyklaskiwano Trestaillonowi. Kilku deputowanych z rodzaju nie dającego się odszukać *) grało tam w wista: p. Thibord du Chalard, p. Lemarchant de Gomicourt i słynny szyderca prawicy, p. Cornet-Dincourt. Sędzia de Ferrette, w krótkich spodniach i z chudemi nogami, przechodził

*) Izbę deputowanych w 1816 roku przezywano Chambre introuvable. *Przyp. tłóm.*

niekiedy przez ten salon, udając się do p. Talleyranda. Był towarzyszem uciech hrabiego d'Artois i w przeciwieństwie do Arystotelesa, skulonego pod Kampaspą, zmusił Guimard chodzić na czworakach; w ten sposób w oczach świata sędzia pomścił filozofa.

Co do księży, byli tam: opat Halma, ten sam, do którego pan Larose, jego współpracownik w Piorunie —powiadał:—Ba! Któż nie ma pięćdziesięciu lat? Chyba kilku smarkaczy? opat Letourneur, kaznodzieja królewski; opat Fraysinous, który nie był jeszcze ani hrabią, ani biskupem, ani ministrem, ani parem, i który nosił starą sutanę, której brakło guzików; także opat Karavenant, proboszcz Saint-Germain des Prés; dalej nuncjysz papieski, wówczas przewielebny Macchi, arcybiskup Nisibi, późniejszy kardynał, odznaczający się długim zadumanym nosem i inny przewielebny, tytułujący się: abbate Palmieri, prałat domowy, jeden z siedmiu protonotarjuszów kancelarji papieskiej, kanonik znakomity bazyliki liberyjskiej, adwokat świętych, postulatore di santi, co się stosuje do spraw kanonizacji i co znaczy prawie tyle, co referendarz sekcji raju. Nakoniec dwóch kardynałów: pan de la Luzerne i pan de Clermont-Tonnerre. Kardynał de la Luzerne był pisarzem i w kilka lat później miał zaszczyt w Conservateur podpisywać artykuły obok Chateaubrianda; de Clermont-Tonnere był arcybiskupem Tuluzy i często przyjeżdżał na wypoczynek do Paryża, do swego synowca, markiza de Tonnere, który był ministrem marynarki i wojny; kardynał de Clermont-Tonnere był to mały starzec wesoły, pokazujący swoje pończochy czerwone pod zakasaną sutaną; specjalnie nienawidził encyklopedji i grał szalenie w bilard, i ludzie, którzy w tym czasie przechodzili letniemi wieczorami przez ulicę Madame, gdzie znajdował się pałac Clermont-Tonnere, zatrzymywali się i słuchali, jak uderzały bile, i jak ostrym głosem kardynał krzyczał do swego konklawisty, wielebnego Cottret, biskupa in partibus w Caryste: — opacie, zaznacz, robię karambol.

Kardynała de Clermont-Tonnere przyprowadził do pani de T. najbliższy jego przyjaciel, pan de Roquelaure, dawny biskup de Senlis i jeden ze czterdziestu. Pan de Roquelaure odznaczał się wysokim wzrostem i pilnem uczęszczaniem na posiedzenia Akademji; przez drzwi szklanne sali sąsiedniej z bibljoteką, gdzie Akademja francuska odbywała swoje posiedzenia, ciekawi mogli co czwartek oglądać biskupa Senlis, który zwykle stał, upudrowany, w pończochach fioletowych i zwrócony do drzwi widocznie dla tego, by lepiej widziano jego małą pelerynkę. Wszyscy ci duchowni, chociaż po większej części tyleż dworacy, co i kapłani, dodawali powagi salonowi pani de T., a pięciu jego parów Francji: margrabia de Vibraye, margrabia de Talaru, margrabia d'Herbouville, wicehrabia Dambry i książę Valentinois, uwydatniali cechę pańskości. Ten książę de Valentinois, chociaż książę Monaco, t. j. panujący książę cudzoziemski, miał jednak tak wysokie pojęcie o Francji i parostwie, że wszystko widział przez nie. On to powiadał: — Kardynałowie są parami Francji i Rzymu; lordowie są parami Francji i Anglji. Wreszcie, ponieważ w tym wieku rewolucja musiała być wszędzie, w tym więc feodalnym salonie, jak to już mówiliśmy, mieszczanin rej wodził, pan Gillenormand w nim panował.

Była to esencja i kwintesencja paryskiego białego towarzystwa. Trzymano tam w kwarantanie znakomitości nawet rojalistyczne. Zawsze jest trochę anarchji w sławie. Chateaubriand, wchodząc tam, zrobiłby wrażenie takie, jak Père Duchêne. Jednakże niektórzy ze zbliżonych dostawali się przez tolerancję do tego prawowiernego świata. Hrabiego Beugnot'a przyjęto dla poprawy.

Dzisiejsze salony „szlacheckie" nie są już podobne do ówczesnych. Teraźniejsze przedmieście Saint-Germain trąci herezją. Spółcześni rojaliści są demagogowie —powiedzmy na ich pochwałę.

U pani de T. świat był wyższy, smak więc był wykwintny i wyniosły w formach wyszukanej grzeczności. Zwyczaje dopuszczały tam wszelkiego rodzaju subtelności mimowolnych, które były nawet dawną regułą, pogrzebaną, lecz żywą. Niektóre z tych zwyczajów, w mowie zwłaszcza, wydawały się dziwacznemi. Znawcy powierzchowni widzieliby w tem parafiańszczyznę, a była to starość. Kobietę nazywano: pani jenerałowa. Niekiedy używano także: pani pułkownikowa. Śliczna pani de Léon, zapewne przez pamięć o księżniczkach de Longueville i de Chevreuse, wolała tę nazwę, aniżeli swój tytuł księżny. Mieszczanka de Créqui nazywała także siebie panią pułkownikową.

Ten to właśnie mały a wysoki świat wymyślił, aby w Tuilerjach, zwracając się poufale do króla, mówić: „król“ w trzeciej osobie, a nie używać nigdy: „wasza królewska mość“, ponieważ ów tytuł panującego został „skalany przez uzurpatora“.

W salonie tym wydawano wyroki o wypadkach i ludziach. Szydzono z wieku, co zwalniało od zrozumienia go. Dopomagano sobie wzajemnie do wydziwiania się. Dzielono się tą ilością światła, którą posiadano. Matuzalem nauczał Epimenidesa. Głuchy dawał wieści ślepemu. Mówiono, że czas, który upłynął od Koblencji, nie istniał. Tak samo jak Ludwik XVIII, z łaski Boga, był w dwudziestym piątym roku swego panowania; tak samo emigranci, z prawa, byli w dwudziestym piątym roku swej młodości.

Wszystko to było w harmonji; nic nie żyło zanadto; słowo zaledwie było tchnieniem; dziennik, stosownie do salonu, wydawał się papyrusem. Byli ludzie młodzi, lecz trochę martwi. W przedpokoju liberje były podstarzałe. Tym ludziom, należącym zupełnie do przeszłości, usługiwali ludzie takiegoż rodzaju. Zdawało się, że wszystko to żyje oddawna i opiera się pogrzebowi. Zachować, Zachowanie, Za-

chowawca, był to prawie cały słownik; mieć dobrą reputację: *(être en bonne odeur)*, stanowiło kwestję. W samej rzeczy był pewny zapach w przekonaniach tych grup szanownych, czuć było pleśnią ich myśli. Był to świat mumji. Panowie byli zabalsamowani, słudzy wypchani.

Pewna dostojna stara margrabina, emigrantka zrujnowana, chociaż miała jedną służącą, zawsze mówiła: „Moi ludzie".

Co robiono w salonie pani T.? Zachowywano się ultra. Być ultra; ten wyraz, chociaż to, co przedstawia nie zniknęło może, ten wyraz dzisiaj nie ma już znaczenia. Wyjaśnijmy to zaraz. Być ultra, to znaczy przekraczać granicę. To znaczy uderzać na berło w imię tronu i na infułę w imię ołtarza; to znaczy bić leżącego, wierzgać w zaprzęgu, natrząsać się ze stosu, że niedostatecznie piecze heretyków; wyrzucać przedmiotowi bałwochwalstwa, że za mało ma bałwochwalczości; obrażać nadmiarem szacunku, znajdować, że w papieżu jest za mało papizmu, w królu nie dosyć królewskości, w nocy zanadto światła; być niezadowolonym z alabastru, śniegu, łabędzia i lilji w imię białości; być stronnikiem pewnych rzeczy do takiego stopnia, by stać się przeciw. Nastrój ultra szczególnie charakteryzuje pierwszą fazę Restauracji.

Nic nie ma w historji, coby było podobne do tego kwadransu, który rozpoczął się 1814 roku, a skończył się około 1820 roku, z przyjściem do steru pana de Villèle, praktycznego człowieka z prawicy. Sześć tych lat była to chwila nadzwyczajna: — jasna i posępna zarazem, wesoła i ponura, pokryta ciemnościami wielkich katastrof, które napełniały horyzont i zwolna cofały się w przeszłość. W tem świetle i w tym cieniu był cały światek nowy i stary, przecierający sobie oczy; nic tak nie przypomina przebudzenia jak powrót; kupa ludzi, którzy patrzyli na Francję żartobliwie, a na których Francja patrzała

z ironją; poczciwi starzy puhacze, margrabiowie na każdym kroku, widma i upiory „dawniejsi ludzie“, dziwiący się wszystkiemu, dzielni i szlachetni szlachcice, rozpromienieni, że byli we Francji i płaczący także, z zachwytu, że zobaczyli ojczyznę, i z rozpaczy, że nie znaleźli już monarchji; szlachta krzyżowych wojen, plwająca na szlachtę cesarstwa, to jest na szlachtę miecza; plemiona historyczne, które straciły zmysł historyczny; synowie towarzyszów Karola Wielkiego, pogardzający towarzyszami Napoleona. Miecze — jak to już powiedzieliśmy — znieważały siebie wzajemnie; miecz z pod Fontenoy był śmieszny i był tylko zardzewiałem żelaztwem; miecz z pod Marengo był znienawidzony i był tylko pałaszem. Niegdyś nie uznawało Wczoraj. Stracono poczucie tego, co było wielkie, i tego, co było śmieszne. Znalazł się ktoś, co nazwał Bonapartego Scapin'em. Świat ten już nie istnieje. Powtórzmy — nic nie pozostało dzisiaj z tego. Jeżeli przywołamy na pamięć którąkolwiek z tych postaci i w myśli postaramy się ją ożywić wydaje się nam dziwaczną, jakby ze świata przedpotopowego. Istotnie bowiem potop ją pochłonął. Zniknęła pod dwiema rewolucjami. Jakież to fale te ideje! Jak prędko zalewają wszystko, co mają zniszczyć i pogrzebać, i jak szybko otwierają straszne przepaści!

Taka to była fizjonomja salonów z tych czasów odległych naiwnych, w których pan Martainville miał więcej dowcipu, aniżeli Wolter.

Salony te miały własną literaturę i własną politykę. Wierzono tam w Fiévée. Pan Agier był tam prawodawcą. Komentowano pana Colnet publicystę antykwarskiego z wybrzeża Malaquais. Napoleon był tam w zupełności ludożercą z Korsyki. Późniejsze wprowadzenie do historji pana margrabiego Bonapartego, głównego dowódzcy wojsk królewskich, było ustępstwem dla ducha wieku.

Salony te nie długo były czyste. Od 1813 roku zaczęli się tam pojawiać niektórzy doktrynerowie, odcień niepokojący. Zachowywali się w taki sposób, że byli rojalistami i tłómaczyli się z tego. Tam, gdzie ultrasowie byli bardzo dumni, doktrynerzy byli trochę zawstydzeni. Mieli rozum, umieli milczeć; ich dogmat polityczny był odpowiednio nakrochmalony pychą; musieli mieć powodzenie. Nadużywali, zresztą korzystnie, krawatki białej i surduta zapiętego. Była to wina, czy nieszczęście, partji doktrynerskiej, że stworzyła młodzież starą. Pozowała ona na ludzi rozsądnych. Marzyła o zaszczepieniu władzy umiarkowanej na zasadzie absolutnej i nieograniczonej. Przeciwstawiała, i niekiedy z rzadkim sprytem, liberalizmowi, burzącemu liberalizm zachowawczy. Słyszano, jak powiadała: „Łaski dla rojalizmu: niejedną oddał usługę. Przywrócił tradycję, kult, religję, poszanowanie. Jest wierny, mężny, rycerski, kochający, pełen poświęcenia. Miesza, jakkolwiek z żalem, wielkości nowe narodu z wielkościami wiekowemi monarchji. Jest to jego wina, że nie rozumie rewolucji, cesarstwa, sławy, wolności, nowych myśli, młodych pokoleń, bieżącego wieku. Lecz winy tej, którą popełnia względem nas, czyż nie popełniamy — niekiedy także względem niego? Rewolucja, której spadkobiercami jesteśmy, powinna wszystko rozumieć. Uderzać na rojalizm, jest to bezsens liberalizmu. Co za błąd! i jakie zaślepienie! Francja rewolucyjna nie ma szacunku dla Francji historycznej, t. j. dla swojej matki, t. j. dla samej siebie. Po 5-ym września traktują szlachtę monarchji tak, jak po 8-ym lipca traktowano szlachtę cesarstwa. Tamci byli niesprawiedliwi dla orła, my jesteśmy niesprawiedliwi dla kwiatu lilji. Zawsze więc jest chęć prześladowania czegoś! Czyż to jest użyteczna, oddzierać ze złota koronę Ludwika XIV i odrapywać tarczę herbowną Henryka IV? Śmiejemy się z pana de Vaublanc, który zmazywał N z mostu Jena! Cóż on jednak robił? To, co i my

robimy. Bouvines tak samo do nas należy, jak Marengo. Kwiaty lilji są tak samo nasze, jak i N. To nasze dziedzictwo. Poco mamy je zmniejszać? Nie trzeba zapierać się ojczyzny w przeszłości, jak i w teraźniejszości. Dla czego nie chcieć całej historji? Dla czego nie kochać całej Francji?"

W taki sposób doktrynerowie krytykowali i protegowali rojalizm, niezadowolony, że go krytykowano, i wściekły, że go protegowano. Ultrasowie zaznaczyli pierwszą epokę rojalizmu, kongregacja charakteryzowała drugą. Po zapalczywości nastąpiła zręczność. Na tem kończymy ten szkic.

W ciągu tej opowieści autor tej książki napotkał po drodze tę chwilę ciekawą historji spółczesnej, musiał więc mimochodem rzucić na nią pogląd i nakreślić kilka pojedyńczych rysów tego społeczeństwa, dzisiaj nieznanego. Lecz robi to szybko i bez żadnego uczucia goryczy lub szyderstwa. Wspomnienia, serdeczne i pełne uszanowania, ponieważ dotyczą jego matki, przywiązują go do tej przeszłości. Zresztą— wyznajmy to—nawet ten mały światek miał wielkość. Można śmiać się z niego, lecz nie można nim pogardzać, ani go nienawidzieć. Była to dawniejsza Francja.

Marjusz Pontmercy uczył się, jak i wszystkie dzieci. Kiedy wyszedł z rąk ciotki Gillenormand, dziadek powierzył go pewnemu poważnemu profesorowi, najczystszej niewinności klasycznej. Młoda ta, otwierająca się dusza przeszła z rąk skromności do pedanta. Marjusz odbył swoje lata w kolegjum, następnie wszedł do szkoły prawa. Był rojalista, fanatyk, surowy. Dziadka swego, którego wesołość i cynizm raziły go, mało kochał, względem ojca zaś był ponury. Wreszcie był to chłopiec gorący i zimny, szlachetny, wspaniałomyślny, dumny, religijny, egzaltowany; zacny aż do surowości, czysty aż do dzikości.

IV.

Koniec zbója.

Kiedy Marjusz kończył studja klasyczne p. Gillenormand porzucał życie światowe. Starzec pożegnał się z przedmieściem Saint-Germain i z salonami pani de T. i osiadł na Marais we własnym domu przy ulicy Filles-du-Calvaire. Tam miał na służbie oprócz stróża, tę pokojówkę, Nikoletę, która nastąpiła po Magnon, i owego Baskijczyka, zadyszanego i dychawicznego, o których mówiliśmy wyżej.

W 1827 r. Marjusz skończył lat siedmnaście. Kiedy wchodził do domu pewnego dnia wieczorem, ujrzał, że dziadek jego trzymał list w ręku.

— Marjuszu—rzekł pan Gillenormand—jutro pojedziesz do Vernon.

— Poco? — powiedział Marjusz.

— Zobaczyć się z ojcem.

Marjusz zadrżał. Wszystko przypuszczał, z wyjątkiem tego, że mógł kiedyś zobaczyć się z ojcem. Nic nie mogło być dla niego więcej niespodziewanego, więcej zadziwiającego i — powiedzmy — więcej nieprzyjemnego. Nie było to zmartwienie, lecz była to pańszczyzna.

Marjusz, oprócz powodów antypatji politycznej, był przekonany, że ojciec jego, rębacz, jak go nazywał pan Gillenormand w chwilach dobrego usposobienia,

nie kochał go, było to widoczne, ponieważ porzucił go i pozostawił na łasce innych. Nie czując się kochanym, nie kochał także. Nic prostszego! — powiadał sobie. Był tak zdumiony, że nie wypytywał pana Gillenormand. Dziadek ozwał się znowu:

— Zdaje się, że jest chory. Wzywa ciebie. — A po chwili milczenia dodał: — Jedź jutro zrana. Sądzę, że z placu des Fontaines odchodzi powóz o szóstej godzinie, a przybywa na miejsce wieczorem. Powiada — że to rzecz pilna.

Później zgniótł list i włożył go do kieszeni. Marjusz mógłby jeszcze tego samego wieczora pojechać i być na drugi dzień rano u ojca. W tym czasie z ulicy Bouloi dyliżans odbywał drogę do Rouen w nocy i przejeżdżał przez Vernon. Ani pan Gillenormand ani Marjusz nie pomyśleli dowiedzieć się o tem.

Na drugi dzień, o wieczornym zmroku, Marjusz przybył do Vernon. Zaczynano już zapalać świece. Pierwszego co spotkał, zapytał o dom pana Pontmercy. Był bowiem tego samego zdania co Restauracja; i on także nie przyznawał ojcu ani baronowstwa, ani stopnia pułkownika. Wskazano mu mieszkanie. Zadzwonił; kobieta otworzyła drzwi, trzymając lampę w ręku.

— Pan Pontmercy? — powiedział Marjusz. Kobieta się nie poruszyła. — Czy tutaj? — zapytał Marjusz! Kobieta głową potwierdziła. — Mogę z nim mówić? Kobieta dała znak przeczący. — Lecz ja jestem jego synem! — zawołał Marjusz. — On czeka na mnie.

— Już nie czeka — odpowiedziała kobieta.

Wówczas spostrzegł, że płakała. Wskazała palcem na drzwi do nizkiej sali. Wszedł.

W tej, sali oświetlonej świecą łojową, postawioną na kominku, było trzech ludzi: jeden stał, jeden klęczał, a jeden w koszuli wyciągniętej leżał na podłodze. Ten, co leżał na ziemi, był to pułkownik.

Dwaj inni byli to: lekarz i ksiądz, który się modlił.

Pułkownik od trzech dni dostał zapalenia mózgu. W początkach choroby, mając złe przeczucie, napisał do p. Gillenormand, prosząc, by syn jego przyjechał. Choroba się pogorszyła. Tegoż wieczora, kiedy Marjusz przybył do Vernon, pułkownik miał napad szału. Pomimo oporu służącej, wstał z łóżka krzycząc: — „Mój syn nie przybywa! Idę na spotkanie mego syna!“ Później wyszedł ze swego pokoju i w przedpokoju upadł na podłogę. Skonał. Zawołano lekarza i księdza. Lekarz przybył zapóźno, ksiądz przybył zapóźno. Syn przybył także zapóźno.

Przy świetle szarawem świecy, na policzku pułkownika leżącego i bladego widać było wielką łzę, która spływała z martwego oka. Oko zagasło, lecz łza nie wyschła. Łza ta, to było spóźnienie się syna. Marjusz patrzał na tego człowieka, którego widział po raz pierwszy i po raz ostatni, na tę szanowną i męzką twarz, na te oczy otwarte, które nie patrzyły, na te włosy białe, na te członki silne, na których dawały się widzieć tu i owdzie linje, znaki cięć szabli, i rodzaj gwiazd czerwonych, dziury od kul. Patrzał na tę olbrzymią bliznę, która wypiętnowała bohaterstwo na tej twarzy, którą Bóg nacechował dobrocią. Pomyślał, że ten człowiek był jego ojcem i że ten człowiek umarł i pozostał zimny. Smutek, którego doznał, był to smutek, któryby uczuł wobec każdego innego, zmarłego człowieka.

Żal, głęboki żal panował w tym pokoju. Służąca lamentowała w kącie, ksiądz modlił się i — było słychać — jak łkał; lekarz ocierał oczy; sam trup nawet płakał. Ten lekarz, ten ksiądz i ta kobieta patrzyli na Marjusza przez swój smutek, nic nie mówiąc; on tu był obcy. Marjusz bardzo mało wzruszony czuł się zawstydzony i zażenowany własnem swojem zachowaniem. Trzymał kapelusz w ręku, upuścił więc go na ziemię, by pomyślano, że boleść pozbawiła go siły i nie mógł go utrzymać. W tej samej chwili doznał

jakby wyrzutu i z pogardą pomyślał o swoim postępku. Lecz czyż to była jego wina? Nie kochał ojca!

Pułkownik nic nie pozostawił po sobie. Ze sprzedaży ruchomości zaledwie opłacono pogrzeb. Służąca znalazła kawałek papieru, który oddała Marjuszowi. Na nim ręką pułkownika było napisano:

— „Memu synowi. — Cesarz zrobił mię baronem na polu bitwy Waterloo. Ponieważ Restauracja zaprzecza mi tego tytułu, który krwią opłaciłem, syn mój weźmie ten tytuł i będzie go nosił. Ma się rozumieć, że będzie go godnym.“ Z drugiej strony, pułkownik dopisał: „W tej samej bitwie pod Waterloo, pewien sierżant ocalił mi życie. Człowiek ten nazywa się Thenardier. W ostatnich czasach — jak mnie się zdaje — trzymał on małą dzierżawę w jednej z wiosek w okolicach Paryża, w Chelles albo w Montfermeil. Jeżeli mój syn spotka się z Thenardierem, to zrobi dla niego wszystko co będzie mógł“.

Nie przez uczucie religijne dla ojca, lecz wskutek tego nieokreślonego poszanowania, jakie śmierć nakazuje zawsze sercu człowieka, Marjusz wziął ten papier i schował go.

Nic nie pozostało po pułkowniku. Pan Gillenormand kazał sprzedać tandeciarzowi jego szpadę i uniform. Sąsiedzi okradli i zrabowali rzadkie kwiaty. Inne rośliny zdziczały i zginęły.

Marjusz przepędził tylko czterdzieści ośm godzin w Vernon. Po pogrzebie wrócił do Paryża i zajął się swem prawem, nie myśląc więcej o ojcu, jak gdyby ten nigdy nie żył. W dwa dni pułkownika pochowano a w trzy dni zapomniano.

Marjusz miał krepę u kapelusza. Oto wszystko.

V.

Dobrze jest chodzić na mszę, gdy się chce zostać rewolucjonistą.

Marjusz zachował zwyczaje religijne z lat dziecinnych. Pewnej niedzieli poszedł na mszę do kościoła św. Sulpicjusza, do tej samej kaplicy Najświętszej Panny, dokąd ciotka go prowadziła, gdy był małym. Ponieważ dnia tego był roztargniony i marzący więcej aniżeli zwykle, stanął więc za słupem i ukląkł, nie zdając sobie z tego sprawy, na klęczniku pokrytym aksamitem utrechtskim, na grzbiecie którego było napisano: „Pan Mabeuf, skarbnik parafii.“ Zaledwie msza się rozpoczęła, kiedy przed Marjuszem stanął starzec i rzekł:

— Panie, to moje miejsce.

Marjusz usunął się pospiesznie i starzec zajął swój klęcznik. Kiedy msza się skończyła, Marjusz stał o kilka kroków zamyślony; starzec znowu zbliżył się do niego i powiedział.

— Przepraszam pana, że mu przeszkodziłem przed chwilą i znowu przeszkadzam teraz, lecz musiałem wydać się panu przykrym, więc chcę się wytłumaczyć.

— Panie — powiedział Marjusz — jest to rzecz zbyteczna.

— Ależ! — odrzekł starzec — nie chcę, ażebyś pan miał o mnie złe wyobrażenie. Widzisz pan mam szczególne przywiązanie do tego miejsca. Wydaje się mnie, że msza jest lepszą. Dla czego? — opowiem panu. Na tem to miejscu widywałem przez dziesięć lat, regularnie co dwa lub trzy miesiące, pewnego poczciwego ojca, który nie miał innej możności, lub innego sposobu widywania swego dziecka, ponieważ układy familijne stały temu na przeszkodzie. Przychodził on na tę godzinę, kiedy wiedział, że przyprowadzano jego syna na mszę. Małemu ani w głowie było, ażeby ojciec był tam... Może nawet nie wiedział, że miał ojca, niewinny! On zaś, ojciec stawał za słupem, by go nie widziano. Patrzał na swoje dziecko i płakał. Uwielbiał tego małego, ten biedny człowiek! Widziałem to... Miejsce to stało się jakby uświęcone dla mnie, i przyzwyczaiłem się chodzić tam i słuchać mszy. Wolę je aniżeli ławkę urzędników kościelnych, gdzie mam prawo siadać jako skarbnik parafii. Znałem nawet trochę tego nieszczęśliwego pana. Miał teścia, bogatą ciotkę, krewnych, nie wiem jeszcze kogo, którzy grozili, że wydziedziczą dziecko, jeżeli on, ojciec, będzie je widywał. Poświęcił się więc dla tego, by syn jego był kiedyś bogatym i szczęśliwym. Odłączono go od niego dla przekonań politycznych. Zaiste, uznaję opinje polityczne, lecz są ludzie, którzy nie znają granicy. Mój Boże! Dla tego, że człowiek był pod Waterloo, nie jest przecież potworem; za to nie odłączają ojca od dziecka. Był to pułkownik Bonapartego. Zdaje się, że umarł... Mieszkał w Vernon, gdzie miałem brata księdzem, i nazywał się coś w tym rodzaju: Pontmarie czy Montpercy... Dalibóg, że miał piękne cięcie szablą.

— Pontmercy — powiedział Marjusz blednąc.

— Właśnie Pontmercy. Czy pan go znałeś?

— To był mój ojciec, panie! — powiedział Marjusz.

Stary skarbnik złożył ręce i wykrzyknął:

— Ach! To pan jesteś tem dziecięciem. Tak, tak, musi to być już dorosły mężczyzna. A więc, biedne dziecię, możesz powiedzieć: że miałeś ojca, który cię bardzo kochał!

Marjusz podał ramię starcowi i odprowadził go do mieszkania. Na drugi dzień powiedział do Gillenormanda:

— Urządziliśmy polowanie z kilku przyjaciółmi. Pozwolisz mi oddalić się na trzy dni?

— Na cztery! — odrzekł dziadek. — Ruszaj, zabaw się! — I mrugając okiem — powiedział cicho do córki: — Jakaś miłostka!

VI.

Co to jest spotkać się ze skarbnikiem parafii.

Dokąd udał się Marjusz, wkrótce o tem się dowiemy.

Marjusz był trzy dni nieobecny, później wrócił do Paryża. poszedł wprost do bibljoteki prawa i zażądał kompletu *Monitora*.

Czytał *Monitora*, czytał wszystkie historje rzeczypospolitej i cesarstwa, pamiętniki ze św. Heleny; wszystkie pamiętniki, dzienniki, biuletyny, proklamacje, pochłonął wszystko. Pierwszy raz, kiedy napotkał nazwisko swego ojca w biuletynach wielkiej armji, był w gorączce przez cały tydzień. Udawał się do jenerałów, pod któremi służył Jerzy Pontmercy, pomiędzy innemi do hrabiego H. Skarbnik Mabeuf, którego poszedł odwiedzić, opowiadał mu o życiu w Vernon, o ustroniu pułkownika, jego kwiatach, samotności. Marjusz wreszcie poznał dokładnie tego rzadkiego człowieka, wzniosłego i łagodnego, ten rodzaj lwa-jagnięcia, jakim był jego ojciec. Tymczasem, zajęty temi studjami, które pochłaniały wszystkie jego myśli, prawie nie widywał Gillenormandów. Zjawił się, kiedy dawano do stołu; później go szukano, lecz go już nie było. Ciotka mruczała. Ojciec Gillenormand uśmiechał się. — Ba! ba! To pora dziewcząt!

Niekiedy starzec dodawał: — Do djabła! Sądziłem, że to romansik; zdaje się jednak że to miłość.

W samej rzeczy, była to miłość. Marjusz zaczynał uwielbiać swego ojca.

Równocześnie w myślach jego odbywała się nadzwyczajna zmiana. Fazy tej zmiany były liczne i kolejno po sobie następujące. Ponieważ są to dzieje wielu umysłów naszego czasu, uważamy więc za pożyteczne prześledzić te fazy, jedna za drugą, i zaznaczyć je wszystkie. Historja ta, do której zajrzał, wprawiła go w pomięszanie. Pierwszym skutkiem było olśnienie.

Rzeczpospolita, cesarstwo, były to dla niego wyrazy potworne. Rzeczpospolita, to gilotyna w mroku; cesarstwo, to płaszcz w nocy. Zajrzał w nie i tam, gdzie spodziewał się znaleźć tylko chaos ciemności, zobaczyć z pewnym rodzajem niesłychanego zadziwienia, pomięszanego z obawą i radością, iskrzące się gwiazdy, takie jak Mirabeau, Vergniaud, Saint-Just, Robespierre, Kamil Desmoulins, Danton i wschodzące słońce, Napoleona! Powoli, kiedy zdumienie minęło, przyzwyczaił się do tego blasku, patrzał bez zawrotu głowy na czyny, badał bez strachu osoby; rewolucja i cesarstwo stanęły jasno w oddaleniu przed jego źrenicą, duchową, widział, jak obie te grupy wypadków i ludzi streszczały się w dwa olbrzymie fakty: rzeczpospolita w wszechwładztwo prawa cywilnego, przywrócone masom, cesarstwo w wszechwładztwo idei francuskiej, narzucone Europie; widział, jak z rewolucji wystąpiła wielka postać ludu, a z cesarstwa wielka postać Francji. W sumieniu swojem uznał, że to wszystko było dobre.

Nie sądzimy, ażeby trzeba było tu wskazywać, co jego zaślepienie pomijało w tem pierwszem ocenieniu zanadto systematycznem. Przedstawiamy tu stan umysłu, który szedł naprzód. Postęp cały nie odbywa się w jednym etapie. Powiedziawszy to, raz na zawsze tak dla tego, co było poprzednio, jak dla tego,

co nastąpi, idziemy dalej. Spostrzegł się wówczas, że do tej chwili tak samo nie rozumiał swego kraju jak nie rozumiał swego ojca. Nie znał ani jednego ani drugiego i miał pewien rodzaj nocy dobrowolnej na oczach. Teraz przejrzał i z jednej strony uwielbiał a z drugiej ubóstwiał.

Był pełen żalu i wyrzutów sumienia i z rozpaczą myślał o tem, że wszystko, co miał w duszy, mógł teraz powierzyć tylko grobowi. Ach! gdyby był ojciec, gdyby go miał, gdyby Bóg w swojem miłosierdziu i dobroci był pozwolił, ażeby ten ojciec żył jeszcze, jakżeby biegł do niego, jakżeby się rzucił ku niemu, jakżeby wołał do ojca: Ojcze! masz mnie! Oto jestem! Mam to samo serce co ty! Jakżeby obejmował jego białą głowę, oblewał łzami jego włosy, przypatrywał się jego bliznie, ściskał jego ręce, ubóstwiał jego odzież, całował jego stopy! Ach! Dlaczego ojciec umarł tak wcześnie, przed wiekiem, przed sprawiedliwością, przed miłością swego syna! Serce Marjusza łkało ciągle, mówiąc co chwilę: Niestety! Równocześnie coraz poważniej zapatrywał się na wszystko, stawał się coraz prawdziwiej poważnym, pewniejszym swojej wiary i swojej myśli. Co chwilę blaski prawdy uzupełniały jego rozum. Zdawało się, że rósł wewnętrznie. Czuł w sobie pewien rodzaj wewnętrznego wzrostu, który był następstwem dwóch nowych rzeczy dla niego: myśli o ojcu i myśli o ojczyznie.

Tak, jak mając klucz, wszystko można otwierać, tak on tłumaczył to, czego nienawidził, rozumiał to, czego niecierpiał; teraz widział jasno myśl opatrznościową, boską i ludzką, wielkie rzeczy, które nauczono go nienawidzieć, i wielkich ludzi, którym przyzwyczajono go złorzeczyć. Kiedy myślał o poprzednich swoich przekonaniach, które były wczorajszemi, a które wydawały się jednak tak dawnemi, oburzał się i uśmiechał. Rehabilitacja ojca naturalnie poprowadziła do rehabilitacji Napoleona. Jednakże ta ostatnia— wyznajemy — poszła nie bez trudności.

Od dzieciństwa wpajano w niego to, co stronnictwo 1814 r. myślało o Bonapartem. Otóż, wszystkie przesądy Restauracji, wszystkie jej interesy, wszystkie jej instynkty dążyły do poniżenia Napoleona. Nienawidziła go jeszcze więcej niż Robespiera. Dosyć zręcznie wyzyskiwała zmęczenie narodu i nienawiść matek. Bonaparte stał się pewnym rodzajem potwora bajecznego, i żeby odmalować go przed wyobraźnią ludu, która — jak mówiliśmy to przed chwilą — podobną jest do wyobraźni dziecinnej, stronnictwo 1814 r. ukazało go kolejno pod wszelkiemi przerażającemi postaciami, zaczynając od tego, co jest straszne i nie przestaje być wielkiem, a kończąc na tem, co jest straszne i staje się śmiesznem, od Tyberjusza aż do stracha zmyślonego na dzieci. I tak mówiąc o Bonapartem, można było płakać albo wybuchać śmiechem, byle tylko czuć było w tem nienawiść. Marjusz nigdy inaczej nie myślał o tym człowieku — jak go nazywano. Zdanie jego zmięszało się z uporem, który był w jego naturze. Był w nim cały człowiek uparty, który nienawidził Napoleona.

Zasłona, która zakrywała Napoleona przed oczyma Marjusza, rozdzierała się zwolna, kiedy czytał historję, a zwłaszcza badał ją w dokumentach i materjałach. Widział, że jest tam coś wielkiego i podejrzywał, że aż do tej chwili mylił się co do Bonapartego tak samo jak co do wszystkiego innego; codziennie widział lepiej; zwolna, krok za krokiem, z początku prawie z niechęcią, później z upojeniem i jakby pociągany nieprzepartym czarem, zaczął wstępować po stopniach, naprzód ciemnych, później słabo oświetlonych, wreszcie jasnych i opromienionych zapałem.

Pewnej nocy był sam jeden w swoim pokoiku pod dachem. Świeca się paliła. Przy otwartem oknie oparłszy się o stół, czytał. Wszelkiego rodzaju rojenia płynęły z przestworzów i mięszały się z jego myślą. Cóż to za widok ta noc! Słychać głuchy szum, niewiadomo skąd pochodzący, widać, jak się iskrzy niby rozpalony węgiel Jowisz, dwanaście razy wię-

kszy od ziemi; błękit czarny; gwiazdy błyszczą, to straszne!

Czytał biuletyny wielkiej armji, strofy bohaterskiego pisma na polu bitwy; napotykał w nich czasem nazwisko ojca a ciągle imię cesarza; całe wielkie cesarstwo zjawiało się przed nim; czuł, jak przypływ jakiś wzbierał i w nim się podnosił; zdawało mu się chwilami, że ojciec przesuwał się koło niego, jakby powiew jaki i szeptał mu do ucha; zwolna zachodziła w nim dziwna zmiana; zdawało mu się, że słyszy bębny, działa, trąby, krok mierzony bataljonów, głuchy i daleki galop jazdy; niekiedy oczy jego podnosiły się ku niebiosom i patrzyły, jak w głębokościach bezdennych świeciły olbrzymie konstelacje, i znowu zwracały się ku książce i widziały, jak tam niewyraźnie poruszały się inne olbrzymie rzeczy. Miał serce ścieśnione. Był uniesiony, drżący, zadyszany; nagle nie wiedząc sam co się w nim dzieje i co go porusza, wstał wyprostowany, wyciągnął obie ręce za okno, utkwił wzrok w cienie, milczenie, ciemną nieskończoność, wieczną przestrzeń bez granic — i zawołał:

— Niech żyje cesarz!

Od tej chwili wszystko się zmieniło. Ludożerca korsykański — uzurpator — tyran — potwór — który był kochankiem własnych sióstr, komedjant, który brał lekcye u Talmy — truciciel z Jaffy — tygrys — Bonaparte — wszystko to się ulotniło, a na miejscu tego, w jego umyśle powstała jakaś niejasna i błyszcząca promienność, w której z niedostępnej wysokości jaśniało blade, marmurowe widmo Cezara! Cesarz dla jego ojca był tylko ukochanym dowódcą, którego żołnierz uwielbia i za którego się poświęca; dla Marjusza był czemś więcej. Był budowniczym dziejowym rzeszy francuskiej, która po rzeszy rzymskiej obejmowała panowanie nad światem. Był nadzwyczajnym architektą na ruinach, który dalej prowadził dzieło Karola Wielkiego, Ludwika XI, Henryka IV, Richelieugo, Ludwika XIV i komitetu bezpieczeństwa publi-

cznego, bez wątpienia nie wolny od plam, błędów, a nawet zbrodni, to jest będący człowiekiem, lecz wielki w błędach, świetny w planach potężny w zbrodni.

Był człowiekiem przeznaczonym przez dzieje, który zmusił wszystkie narody do powiedzenia: wielki naród. Był jeszcze czemś więcej; był wcieleniem Francji, zdobywając Eeuropę mieczem, który trzymał, i świat jasnością, którą rzucał. Marjusz widział w Bonapartem olśniewające widmo, które zawsze stać będzie na granicy i strzedz będzie przyszłości. Despota, lecz dyktator, despota, będący rezultatem rzeczypospolitej i streszczeniem rewolucji. Napoleon stał się dla niego człowiekiem-ludem jak Jezus był człowiekiem-Bogiem.

Jak widzimy, nowa wiara tak jak wszystkich nowo nawróconych upajała go; szedł za nią ślepo i szedł za daleko. Natura jego była taka; raz stanąwszy na pochyłości, prawie nie mógł się zatrzymać. Fanatyzm dla miecza owładnął nim i połączył się w umyśle jego z zapałem dla idei. Nie spostrzegał, że wraz z genjuszem i łącznie z nim uwielbiał siłę, to jest na dwóch piedestałach swego bałwochwalstwa stawiał z jednej strony to, co było boskiego, a z drugiej to, co było zwierzęcego. W niektórych względach, mylił się inaczej. Przypuszczał wszystko. Jest sposób napotykania błędu, idąc do prawdy. Miał pewnego rodzaju gwałtowną dobrą miarę, która przyjmowała wszystko ogółem. Na nowej drodze, na którą wszedł, nie zwracał uwagi na żadne okoliczności, tak oceniając winy dawnego rządu, jak mierząc sławę Napoleona.

Bądź co bądź, zaszła w nim nadzwyczajna zmiana. Tam, gdzie kiedyś widział upadek monarchji, teraz widział wzniesienie się Francji. Punkt, z którego patrzył, zmienił się. Co było zachodem, stało się wschodem. Odwrócił się...

Wszystkie te rewolucje odbywały się w nim, a rodzina jego nic o tem nie wiedziała. Kiedy w tej

tajemniczej pracy zrzucił zupełnie dawną skórę burbońską i ultrasową, kiedy zdarł z siebie arystokratę, jakobitę i rojalistę, kiedy został zupełnie rewolucjonistą, demokratą i prawie republikaninem. wówczas poszedł do rytownika na ulicy des Orfévres i zamówił sto kartek z napisem: „Baron Marjusz Pontmercy.“

Było to bardzo logicznem następstwem zmiany, która w nim zaszła, zmiany, która cała krążyła około jego ojca. Tylko nie mając żadnych znajomości i nie mając gdzie rozdawać swych kart, schował je do kieszeni.

Drugiem naturalnem tego następswem było to, że się oddalił od dziadka, w miarę jak się zbliżał do ojca, do jego pamięci i do sprawy, za którą pułkownik walczył był przez dwadzieścia pięć lat. Powiedzieliśmy już, że usposobienie p. Gillenormanda oddawna mu się nie podobało. Była dysharmonja pomiędzy poważnym młodzieńcem i starcem płochym. Wesołość Gérontea razi i doprowadza do rozpaczy melancholję Wertera. Dokąd te same przekonania polityczne i te same ideje były im wspólne, dotąd w dziedzinie ich jakby na jakim moście schodził się on z panem Gillenormand. Skoro jednak ten most runął, otwarła się przepaść. A nadto Marjusz doznawał niewysłowionych uczuć rokoszu, gdy pomyślał o tem, że pan Gillenormand dla głupich powodów oderwał go był bez litości od pułkownika, pozbawiając w ten sposób ojca dziecka i dziecię ojca.

Z miłości dla ojca uczuł prawie wstręt do dziadka. Zresztą — jak powiedzieliśmy — niczem nie zdradzało się to na zewnątrz. Marjusz tylko był coraz zimniejszy, lakoniczny za stołem i rzadko bywający w domu. Kiedy ciotka to mu wymawiała, słuchał bardzo łagodnie i tłumaczył się studjami, kursami, egzaminami, konferencjami i t. d. Dziadek zawsze pozostawał przy nieomylnej swej djagnostyce: — Zakochany! znamy się na tem!...

Marjusz czasem robił wycieczki.

— Dokąd on jeździ? — pytała ciotka.

W jednej z tych przejażdżek, trwających bardzo krótko, Marjusz zwiedził Montfermeil, wypełniając rozkaz ojca, i szukał tam byłego sierżanta z pod Waterloo, oberżystę Thenardier'a. Thenardier zbankrutował, oberżę zamknięto, i co się stało z gospodarzem, nie wiedziano. Z powodu tego poszukiwania, Marjusz cztery dni nie był w domu.

— Stanowczo—powiedział dziadek—bałamuci się!..

Zdawało się im, że Marjusz nosił na piersiach i pod koszulą coś takiego, co było przywiązane do szyi czarną wstążką.

VII.

Jakaś spodniczka.

Mówiliśmy już o ułanie.

Był to wnuk pana Gillenormanda ze strony ojcowskiej. Pędził on życie garnizonowe, po za obrębem rodziny i zdala od ognisk domowych. Porucznik Teodul Gillenormand miał wszystkie warunki na tak zwanego ładnego oficera. Miał „kibić panieńską“, zwycięzki sposób włóczenia szpady i wąsiki zakręcone do góry. Bywał rzadko w Paryżu, tak rzadko, że Marjusz wcale go nie widział. Obaj kuzyni znali się tylko z nazwiska. Teodul był faworytem, jak zdaje się mówiliśmy o tem, ciotki Gillenormand, która przekładała go, ponieważ nie widywała. Gdy się nie widzi ludzi, można im przypisywać wszelkie doskonałości.

Pewnego poranku starsza panna Gillenormand weszła do swego pokoju dosyć wzruszona, o ile zwykły jej spokój na to pozwalał. Marjusz właśnie prosił znowu dziadka, by ten pozwolił mu odbyć małą wycieczkę, dodając, że jeszcze tego samego wieczora chce jechać. — Ruszaj! — powiedział pan Gillenormand i podnosząc brwi do góry, rzekł do siebie: — Jeszcze raz nie nocuje w domu. Panna Gillenormand udała się do swego pokoju mocno zaintrygowana, i idąc po schodach, zawołała:—A to dobre!—i dodała:—Ale dokądże on jedzie? Przeczuwała jakąś awanturę serco-

wą, mniej lub więcej zakazaną, jakąś kobietę w półcieniu, schadzkę, tajemnicę i chętnieby zwróciła tam swoje okulary. Smak tajemnicy jest podobny do pierwszej przygody skandalicznej, bogobojne dusze tem nie pogardzają. W tajnikach bigoterji ukrywa się nieco ciekawości skandalu.

Czuła więc nieokreśloną żądzę dowiedzenia się tej historji.

Chcąc zagłuszyć tę ciekawość, która więcej niż zwykle ją poruszała, szukała rozrywki w robocie i zaczęła wyszywać bawełną na kanwie jeden z tych haftów cesarstwa i Restauracji, w którym jest wiele kół kabrioletowych. Robota nudna, robotnica zniecierpliwiona. Od kilku godzin już siedziała nad nią, kiedy drzwi się otworzyły. Panna Gillenormand podniosła nos; porucznik Teodul stał przed nią i salutował ją po wojskowemu. Krzyknęła radośnie. Można być starą, skromnisią, dewotką, ciotką, ale zawsze jest to rzecz przyjemna, kiedy do twego pokoju wchodzi ułan.

— Ty tutaj, Teodulu!—zawołała.

— Przejazdem, moja ciociu.

— Pocałujże mnie.

— I owszem!—powiedział Teodul.

I pocałował ją serdecznie. Ciotka Gillenormand podeszła do biurka, aby je otworzyć.

— Pozostaniesz u nas z tydzień?

— Moja ciociu, jadę dziś wieczór.

— Niepodobna!

— Muszę koniecznie.

— Pozostań, mój Teodulku, proszę cię o to!

— Serce zgadza się, ale rozkaz nie pozwala. Historja prosta. Mamy gdzieindziej stać garnizonem; byliśmy w Melun, posyłają nas do Gaillon. Z dawnego miejsca na nowe droga prowadzi na Paryż. Powiedziałem więc sobie: pójdę zobaczyć się z ciocią.

— Masz oto za fatygę. Włożyła mu do ręki dziesięć luidorów.

— Chcesz powiedzieć, droga ciociu, za przyjemność.

Teodul pocałował ją drugi raz i miała tę przyjemność, że galonem podrapał jej szyję.

— Czy jedziesz konno z pułkiem?—zapytała.

— Nie, moja ciociu. Chodziło mi o to, ażeby ciebie zobaczyć. Otrzymałem więc osobne pozwolenie. Służący odprowadza mego konia, a ja jadę dyliżansem. I z tego powodu muszę ciebie zapytać o jedną rzecz.

— O cóż?

— Mój kuzyn, Marjusz Pontmercy, jedzie także?

— A zkąd to wiesz? — zapytała ciotka z ciekawością, nagle połechtaną do żywego.

— Po przybyciu, poszedłem zamówić miejsce w dyliżansie.

— I cóż?

— Jakiś podróżny zamówił już przedemną miejsce zewnętrzne. Widziałem na liście jego nazwisko.

— Jakież?

— Marjusz Pontmercy.

— Ladaco!—zawołała ciotka.—Ach! Twój kuzyn nie jest taki porządny chłopiec, jak ty. I powiedzieć, że przepędzi noc w dyliżansie.

— Tak samo, jak ja.

— Lecz ty z obowiązku, on zaś z rozpusty.

— Do licha!—zawołał Teodul.

Tu stał się wypadek ze starszą panną Gillenormand: przyszła jej pewna myśl do głowy. Gdyby była mężczyzną, uderzyłaby się w czoło. Zapytała Teodula:

— Czy twój kuzyn zna ciebie?

— Nie. Ja widziałem go; lecz on nigdy nie zwracał na mnie uwagi.

— Nie będziecie razem jechali?

— On na powozie, ja w powozie.

— Dokąd jedzie dyliżans?

— Do Andelys.

— To Marjusz tam jedzie?

— Chyba tak, jak ja, wysiądzie po drodze... Ja wysiadam w Vernon i zbaczam do Gaillon. Dokąd ma jechać Marjusz, nie wiem.

— Marjusz! Co za brzydkie imię! Przyszłoż komu do głowy nazywać go Marjuszem! Ty przynajmniej nazywasz się Teodulem!

— Wolałbym nazywać się Alfredem—powiedział oficer.

— Słuchaj, Teodulu!

— Słucham, moja ciociu.

— Uważaj.

— Uważam.

— Rozumiesz?

— Tak.

— Otóż! Marjusz wydala się z domu.

— Ho! ho!

— Jeździ.

— Ach! ach!

— Nie nocuje w domu.

— Ho! ho!

— Chcielibyśmy wiedzieć, co jest powodem tego.

Teodul odpowiedział ze spokojem człowieka zahartowanego.

— Jakaś spodniczka. I z uśmiechem pewności dodał: —Jakaś dzieweczka.

— Oczywista! — zawołała ciotka, której się wydawało, że pan Gillenormand mówi, i słysząc, jak wnuk wymawiał prawie w ten sam sposób, jak dziadek, wyraz: „dzieweczka“, nabierała w tym względzie niezachwianego przekonania.

— Zrób nam przyjemność. Przypilnuj trochę Marjusza. On ciebie nie zna, więc łatwo ci to przyjdzie. Ponieważ jest w tem dzieweczka, postaraj się więc zobaczyć tę dzieweczkę. Nam opiszesz tę historyjkę. Zabawi to dziadka.

Teodulowi nie bardzo podobało się tego rodzaju podpatrywanie, lecz dziesięć luidorów mocno go wzru-

szyły i wzbudziły nadzieję możliwego nowego datku. Zgodził się więc na polecenie i powiedział: — Dobrze moja ciociu!—A w duchu dodał:—Otóż, zostałem niańką.

Panna Gillenormand ucałowała go gorąco.

— Ty, Teodulu, nie robiłbyś żadnych figlów. Ty pilnujesz dyscypliny, słuchasz ślepo rozkazu, jesteś człowiekiem skrupułów i obowiązku i nie porzuciłbyś rodziny, by gonić za jakąś kreaturą.

Ułan zrobił taką minę, jak Cartouche, któregoby chwalono za uczciwość.

Marjusz wieczorem po tej rozmowie wsiadł do dyliżansu, ani myśląc, że go ktoś pilnuje. Sen był zupełny i sumienny. Argus chrapał całą noc.

Kiedy świtało, konduktor krzyknął:

— Vernon: Stacja Vernon! Kto do Vernon?— Porucznik Teodul się obudził.

— Dobrze! — mruknął na wpół śpiący jeszcze — tu wysiadam.

Później, w miarę, jak pamięć mu wracała, wskutek obudzenia się, pomyślał o ciotce, o dziesięciu luidorach i o sprawozdaniu, które miał napisać o Marjuszu. Roześmiał się serdecznie.

— Być może, że już go nie ma — pomyślał, zapinając kamizelkę. — Mógł zatrzymać się w Poissy; mógł zatrzymać się w Triel, jeżeli nie wysiadł w Meulan, to mógł wysiąść w Mantes, chyba, że wysiadł w Rolleboise lub dojechał do Passy, żeby zboczyć na lewo na Evreux lub na prawo na Laroche-Guyon. Szukaj wiatru w polu, moja ciociu. I cóż do licha napiszę do mojej staruszki?

W tej chwili czarne spodnie, które zstępowały z górnego siedzenia, dały się widzieć przez okno powozu.

— Czyżby to był Marjusz? — powiedział porucznik.

Był to Marjusz. Włościaneczka, około powozu, pomiędzy końmi i pocztyljonami, ofiarowywała kwiaty przejezdnym. „Kupujcie dla swoich pań!“ — wołała.

Marjusz zbliżył się do niej i wybrał z koszyka najpiękniejsze kwiaty.

— To zaczyna mię interesować—powiedział Teodul—wyskakując z powozu. Do djabła, dla kogoż te kwiaty? Dla tak pięknego bukietu trzeba bardzo ładnej kobiety. Idźmy ją zobaczyć.

I teraz, już nie z polecenia, lecz przez osobistą ciekawość, jak te psy, co polują na własny rachunek, poszedł w ślad za Marjuszem.

Marjusz nie zwracał żadnej uwagi na Teodula. Kobiety, elegancko ubrane, wysiadły z dyliżansu; Marjusz nie patrzał na nie. Zdawało się, iż nic nie widział dokoła siebie.

— Czyżby był zakochany!—pomyślał Teodul.

Marjusz skierował się ku kościołowi.

— Doskonale—powiedział Teodul.—Kościół! To rozumiem. Schadzki, połączone z nabożeństwem, są najlepsze. Nic wdzięczniejszego, niż spotykać się oczami ponad krzyżem.

Doszedłszy do kościoła, Marjusz nie wszedł do środka, lecz poszedł po za kościół. Znikł za węgłem muru.

— Schadzka na dworze — powiedział Teodul.— Zobaczmy dzieweczkę!

I zbliżył się na palcach do węgła, po za który poszedł Marjusz. Tam stanął zdumiony. Marjusz z twarzą ukrytą w dłoniach, klęczał na trawie koło mogiły. Obsypał ją kwiatami bukietu. Na końcu mogiły, na wzniesieniu po nad głową, znajdował się krzyż z czarnego drzewa z napisem z białych liter: „Pułkownik Baron Pontmercy“. Słychać było łkanie młodzieńca.

Dzieweczka była mogiłą.

VIII.

Marmur przeciwko granitowi.

Właśnie tu Marjusz był po raz pierwszy, kiedy wydalił się z Paryża. Tu wracał za każdym razem, kiedy pan Gillenormand mówił, że nie nocuje w domu.

Porucznik Teodul zmieszał się zupełnie, ujrzawszy niespodzianie mogiłę; doznał przykrego i dziwnego uczucia, którego nie zdolny był zrozumieć, a w którem poszanowanie grobu łączyło się z uszanowaniem dla pułkownika. Cofnął się, pozostawiając Marjusza samego na cmentarzu, i w tem cofnięciu się widać było karność wojskową. Śmierć okazała się mu z wielkiemi epoletami i prawie salutował ją po wojskowemu. Nie wiedząc, co ma pisać do ciotki, postanowił nic o tem nie pisać. I prawdopodobnie odkrycie Teodula miłostek Marjusza nie miałoby żadnego skutku, gdyby tajemniczem zrządzeniem, który przypadek tak często sprawia, scena w Vernon nie była się powtórzyła w Paryżu.

Marjusz wrócił z Vernon do domu na trzeci dzień bardzo rano. Zmęczony dwiema nocami, przepędzonemi w dyliżansie, czuł się niewyspanym i chciał się odświeżyć godziną pływania; wbiegł więc szybko do swego pokoju, zrzucił tylko surdut podróżny i tasiemkę czarną, którą miał na szyi, i poszedł się kąpać.

Pan Gillenormand, który wstawał rano, jak wszyscy starcy zdrowi, słyszał, że Marjusz wszedł do swego pokoju, i chcąc go uścisnąć i w tym uścisku wybadać potrosze zkąd przybywał, zaczął drapać się na schody pośpiesznie, o ile na to pozwalały mu stare jego nogi. Lecz młodzieniec mniej potrzebował czasu na zejście ze schodów, aniżeli ośmdziesięcioletni starzec na wejście, i kiedy pan Gillenormand dostał się na poddasze, Marjusza już nie było. Łóżko nie było poruszone, a na łóżku leżały: surdut podróżny i tasiemka czarna.

— Wolę to—powiedział pan Gillenormand.

I w chwilę później wszedł do salonu, gdzie panna Gillenormand już siedziała, haftując swoje koła kabrjoletu. Wejście było tryumfalne. Pan Gillenormand trzymał w jednej ręce surdut podróżny, w drugiej wstążkę z szyi i wołał:

— Zwycięztwo! dotrzemy do tajemnicy! Dowiemy się o najważniejszej rzeczy, zobaczymy, co to za miłostki naszego mruka! Mamy w ręku romans! Mam portret!

W samej rzeczy, na tasiemce wisiało pudełeczko, w czarny jaszczur oprawne, dosyć podobne do medaljonu.

Starzec wziął to pudełko i nie otwierając go, patrzał na nie z wyrazem rozkoszy, zachwytu i gniewu biedaka zgłodzonego, który widzi, jak przed nosem jego niosą ku innemu smaczny obiad.

— Rzecz oczywista, że to portret. Znam się na tem. Jacy oni głupcy! Zapewne jakaś małpa, na którą patrzeć nie można! Młodzież ma taki zły gust dzisiaj.

— Zobaczymy ojcze — powiedziała stara panna.

Pudełeczko otworzyło się za naciśnięciem sprężyny. Znaleźli w niem tylko kawałek papieru troskliwie złożonego.

— Od niej do niego — rzekł pan Gillenormand,

wybuchając śmiechem. — Wiem co to znaczy. Bilecik miłosny!

— Ach! przeczytajmy!—powiedziała ciotka.

I włożyła okulary. Rozłożyli papier i przeczytali, co następuje:

— „Memu synowi. — Cesarz zrobił mię baronem na polu bitwy pod Waterloo. Ponieważ Restauracja zaprzecza mi tego tytułu, który krwią opłaciłem, syn mój weźmie ten tytuł i będzie go nosił. Ma się rozumieć, że będzie go godny".

Jakiego uczucia doznali ojciec i córka, nie da się wypowiedzieć. Zimny dreszcz ich przejął, jakby na widok trupiej głowy. Nie powiedzieli ani słowa do siebie. Tylko pan Gillenormand jakby sam do siebie wyszeptał:

— Jest to pismo tego rębacza.

Ciotka przypatrzyła się papierowi, obróciła go na wszystkie strony i włożyła napowrót do pudełeczka. W tej samej chwili z kieszeni surduta wypadł mały czworograniasty pakiecik, zawinięty w papier błękitny. Panna Gillenormand podniosła go i rozwinęła. Były w nim dwie kartki wizytowe Marjusza. Jedną z nich podała panu Gillenormandowi, który przeczytał: „Baron Marjusz Pontmercy". Starzec zadzwonił. Nikoleta przyszła. Pan Gillenormand wziął tasiemkę, pudełeczko i surdut; rzucił to wszystko na posadzkę, na środek salonu i powiedział:

— Odnieś te rupiecie.

Dobra godzina upłynęła w największem milczeniu. Starzec i stara panna siedzieli odwróceni plecami do siebie i myśleli, każdy ze swej strony, prawdopodobnie to samo. W końcu tej godziny ciotka Gillenormand powiedziała:

— Ładnie!

W kilka minut później Marjusz zjawił się. Wchodził. Zanim przestąpił próg salonu spostrzegł, że dziadek trzyma jego kartę wizytową. Ten zaś ujrzawszy

go, z wyrazem wyższości mieszczańskiej i szyderczej zawołał:

— Patrzcie! patrzcie! Jesteś teraz baronem. Winszuję ci. Co to ma znaczyć.

Marjusz poczerwieniał z lekka i odpowiedział:

— To znaczy, że jestem synem mego ojca.

Pan Gillenormand przestał śmiać się i rzekł ostro:

— Twoim ojcem jestem ja!

Mój ojciec — odrzekł Marjusz ze spuszczonemi oczyma i głosem surowym — był to człowiek skromny i bohaterski, który chlubnie służył rzeczypospolitej i Francji, który był wielki w największej historji, na jaką ludzie się zdobyli, który przez ćwierć wieku żył w obozie, w dzień pod gradem kul i kartaczy, w nocy w śniegu, w błocie, pod deszczem, który wziął dwie chorągwie, który otrzymał dwadzieścia ran, który umarł w zapomnieniu i opuszczeniu, i który jedynie tem zawinił, że zanadto kochał dwóch niewdzięczników: kraj i mnie.

Było to więcej, aniżeli pan Gillenormand mógł znieść. Przy słowie, rzeczpospolita, wstał — czyli lepiej powiedzieć—wyprostował się. Każdy wyraz, wypowiedziany przez Marjusza, sprawiał na twarzy starego rojalisty takie wrażenie, jak gdyby dmuchnięcie miecha kowalskiego na głownię rozpaloną. Z ponurej stała się czerwoną, z czerwonej—purpurową, z purpurowej—płomienistą.

— Marjuszu!—zawołał.—Szkaradne dziecko! Nie wiem, kto był twój ojciec! Nie chcę wiedzieć! Nic nie wiem zgoła i nie znam go! Ale wiem to, że pomiędzy temi wszystkiemi ludźmi byli tylko nędznicy! Że to byli wszystko nędzarze, zbóje, czapki czerwone, złodzieje! Powiadam: wszyscy! Powiadam wszyscy! Nie znam nikogo! Powiadam wszyscy! Słyszysz, Marjuszu! Uważasz, ty jesteś takim baronem, jak mój pantofel! Byli to wszystko bandyci, co służyli Robespierrowi! Wszystko rabusie, co służyli B-u-o-naparte-

mu! Wszystko zdrajcy, którzy zdradzili swego prawowitego króla! Wszystko tchórze, co uciekli przed Prusakami i Anglikami pod Waterloo! Oto, co wiem. Czy ojciec pański był pomiędzy nimi, nie wiem, bardzo mi przykro, tem gorzej, sługa pański!

Z kolei Marjusz był teraz głownią, a pan Gillenormand miechem kowalskim. Marjusz drżał cały, nie wiedział, co począć, głowa jego pałała. Był jak ksiądz, któremu wyrzucano wszystkie hostje; jak derwisz, któremu przechodzień plwał na jego bóstwo. Nie mógł dopuścić, ażeby takie rzeczy bezkarnie mówiono w jego obecności. Lecz co począć? Jego ojca podeptano i zelżono w jego obecności—lecz kto to zrobił? Jego dziadek. Jak pomścić jednego i nie obrazić drugiego? Było rzeczą niepodobną, aby obraził swego dziadka i było również rzeczą niepodobną, aby nie pomścił swego ojca. Z jednej strony święty grób, z drugiej białe włosy. Przez kilka chwil był jakby pijany i chwiał się, w głowie jego wszystko wirowało; później podniósł oczy, utkwił je w dziadku i głosem grzmiącym zawołał:

— Precz z Burbonami i z tym grubym wieprzem, Ludwikiem XVIII!

Ludwik XVIII nie żył już od czterech lat, ale to wszystko było jedno.

Starzec, który był przedtem szkarłatny, stał się nagle bielszy od swoich włosów. Zwrócił się do popiersia księcia de Berry, które stało na kominku i ukłonił mu się nizko z pewnym rodzajem szczególnego majestatu. Później przeszedł się dwa razy, powoli i milcząc, od kominka do okna i od okna do kominka, przechodząc przez całą salę, aż trzeszczała posadzka, jakby szła jaka figura kamienna. Za drugim razem nachylił się do swojej córki, która patrzała się na to starcie ze zdumieniem starej owcy i z uśmiechem prawie spokojnym, rzekł do niej:

— Taki baron, jak ten pan i taki mieszczanin, jak ja, nie mogą pozostawać pod jednym dachem.

I nagle, wyprostowawszy się, blady, drżący, straszny, z czołem, na którem srożyła się burza gniewu, wyciągnął ramię do Marjusza i krzyknął do niego:—Precz!

Marjusz opuścił dom.

Na drugi dzień pan Gillenormand powiedział do córki:

— Co sześć miesięcy pani posyłać będziesz sześćset franków temu krwiożercy i nigdy mnie o nim wspominać nie będziesz!

Mając do zużycia ogromną siłę pozostałej wściekłości i nie wiedząc, co z nią robić, więcej niż przez trzy miesiące mówił do córki: „pani".

Marjusz wyszedł także oburzony. Pewna okoliczność, o której trzeba wspomnieć, powiększyła jego rozdrażnienie. Zawsze zbieg małych fatalnych wypadków komplikuje podobne dramaty domowe. Nikoleta, odnosząc prędko, na rozkaz dziadka, „rupiecie" Marjusza do jego pokoju, zgubiła prawdopodobnie na schodach od strychu, które były ciemne, medaljon z jaszczuru czarnego, w którym była kartka, pisana przez pułkownika. Ani tej kartki, ani tego medaljonu nie można było odszukać. Marjusz był przekonany, że „pan Gillenormand"—inaczej nie nazywał go od tego dnia—rzucił do ognia „testament jego ojca". Marjusz umiał na pamięć te kilka wierszy, napisanych przez pułkownika i dla tego żadnej straty przez to nie poniósł. Lecz ten papier, to pismo, ta relikwja święta, wszystko to było jego całą duszą. Co z tem zrobiono?

Marjusz wyszedł, nie mówiąc i nie wiedząc dokąd się udaje, z trzydziestu frankami, z zegarkiem i z małą ilością manatków w worku. Na ulicy wsiadł do dorożki, wziął ją na godzinę i na chybił trafił kazał wieźć się do kwartału łacińskiego.

Co się stanie z Marjuszem?

KSIĘGA CZWARTA.

PRZYJACIELE ABECADŁA.

I.

Grupa, która o mało co nie stała się historyczną.

W tej epoce, indyferentnej pozornie, przebiegał niewyraźnie pewien dreszcz rewolucyjny. W powietrzu czuć było powiewy, które wracały z głębin 1789 i 1792 roku. Młodzież była w porze—że użyjemy wyrazu—lenienia się. Zachodziła zmiana, której prawie nie spostrzegano, wskutek samego biegu czasu. Wskazówka, co się posuwa na tarczy zegarowej, posuwa się także w duszach ludzkich. Każdy robił krok naprzód, jaki miał do zrobienia. Rojaliści stawali się liberałami, liberali stawali się demokratami.

Było to przybieranie morza, skomplikowane tysiącznemi odpływami; odpływy mają tę własność, że przyczyniają się do mieszania, ztąd połączenia najdziwniejszych rozmaitych przekonań: wielbiono równocześnie Napoleona i wolność. Piszemy tu historję. Były to ówczesne miraże. Opinje przechodzą fazy. Rojalizm wolterjański, dziwaczna odmiana, odpowiada również dziwnej odmianie, liberalizmowi bonapartystowskiemu.

Inne grupy umysłów poważniej myślały. Tam gruntowano zasadę, tam przywiązywano się do prawa. Roznamiętniano się do absolutu, przewidywano nieskończony szereg urzeczywistnień; absolut, z powodu samej swej surowości, pcha umysły ku błękitom i daje

im bujać w bezmiarze. Nic tak nie sprzyja powstaniu marzenia jak dogmat. I nic tak nie sprzyja powodzeniu przyszłości jak marzenie. Utopja dzisiaj, ciało i kości jutro.

Opinje postępowe miały podwójne tło. Początek tajemnic groził „porządkowi ustalonemu“, który był podejrzany i skryty. Znamię w najwyższym stopniu rewolucyjne. Ukryta myśl władzy napotyka w podminowaniu ukrytą myśl narodu. Przygotowanie się do powstania służy za odpowiedź na zamierzony zamach stanu. Nie było jeszcze wówczas we Francji takich rozległych organizacyj jak Tugenbund niemiecki i Karbonaryzm włoski; lecz tu i ówdzie skryte krzewiło się podkopywanie. Cougourda powstała w Akwisgranie; w Paryżu, pomiędzy rozgałęzieniami tego rodzaju, było Towarzystwo Przyjaciół Abecadła.

Co to byli za jedni Przyjaciele Abecadła? Było to towarzystwo, mające na celu pozornie wychowanie dzieci, w szczególności zaś naprawę ludzi. Oświadczam się z przyjaźnią dla ABC *). Abaissé, był to lud. Chciano go podnieść. Kalambur, z którego nie należy się śmiać. Kalambury bywają niekiedy ważne w polityce, świadczy o tem Castratus ad castra, które zrobiło Narsesa jenerałem armji; świadczy: Barberi et Barberini; świadczy: Fueros y Fuegos; świadczy: *Tu es Petrus et super hanc Petram.*

Przyjaciele Abecadła byli bardzo nieliczni; stanowili oni stowarzyszenie tajne w stanie zaczątkowym, prawie koterję — powiedzielibyśmy — gdyby koterje wydawały bohaterów. Zgromadzali się w dwóch miejscach: koło targowiska, w szynku zwanym Corinthe, o którym później będzie mowa, i w pobliżu Panteonu, na placu Saint-Michel, w małej kawiarni, Café Musain, dzisiaj zburzonej; pierwsze z tych miejsc zgromadza-

*) Po francusku wymawia się A Be Ce (Abaissé — poniżony).

nia się było bliższe dla robotników, drugie dla studjującej młodzieży. Zwykłe schadzki przyjaciół Abecadła odbywały się w tylnej sali kawiarni Musain. Sala ta, dość oddalona od kawiarni, z którą łączyła się bardzo długim korytarzem, miała dwa okna i wyjście z ukrytemi schodami na uliczkę des Grès. Tam palono, pito, bawiono się, śmiano się. Mówiono bardzo głośno o wszystkiem i z cicha o niektórych rzeczach. Na ścianie była przybita dawna mapa Francji za czasów Rzeczypospolitej, dostateczna oznaka dla obudzenia czujności ajenta policyjnego.

Większa część przyjaciół Abecadła byli to studenci, pozostający w serdecznych stosunkach z niektórymi robotnikami. Oto są nazwiska głównych osób. W pewnej mierze należą już one do historji: Enjolras, Combeferre, Jan Proudaire, Feuilly, Courfeyrac, Bahorel, Les gle czyli Laigle Joly, Grantaire. Młodzi ci ludzie tworzyli pomiędzy sobą pewien rodzaj rodziny, opartej na przyjaźni. Wszyscy, z wyjątkiem Laiglea, pochodzili z południa. Grupa ta godną była uwagi. Zniknęła ona w niewidzialnych głębokościach, które są po za nami. W tym punkcie dramatu, do którego doszliśmy, nie jest rzeczą bezużyteczną rzucić światło na te młode głowy, zanim czytelnik je ujrzy, gdy się zapadały w ciemności tragicznej przygody. Enjolras, którego wymieniliśmy pierwszego—a dla czego, zobaczymy później — był jedynakiem bogatych rodziców. Był to młodzieniec czarujący, mający zostać strasznym. Był anielsko piękny. Był to Antinous dziki. Widząc zadumę w jego wzroku, możnaby powiedzieć, że w jakiemś poprzedniem istnieniu przeszedł apokalipsę rewolucyjną. Miał o niej tradycję, jakby był jej świadkiem. Znał najdrobniejsze szczegóły tej wielkiej sprawy. Natura kapłańska i żołnierska, dziwna w młodzieńcu. Był to kapłan i żołnierz; z punktu widzenia bezpośredniego, żołnierz demokracji; patrząc z góry na ruch spółczesny, kapłan ideału. Miał źrenicę głęboką, powiekę zaczerwienioną, dolną wargę

grubą i łatwo pogardliwą, czoło wysokie. Dużo czoła na twarzy jest jakby dużo nieba na widnokręgu. Tak, jak pewni młodzi ludzie z początku tego stulecia i końca przeszłego, którzy stali się sławnymi wcześnie, miał on zbytek młodości, świeżość dziewczyny, chociaż z chwilami bladości. Już mężczyzna, wydawał się jeszcze dzieckiem. Jego dwadzieścia dwa lata wyglądały na siedmnaście; był poważny; zdawał się nie wiedzieć, że jest na świecie istota, nazywająca się kobietą. Miał jedną namiętność—prawo; jedną myśl—obalenie przeszkody. Na górze Awentyńskiej byłby Grakchiem; w konwencji byłby Saint-Justem. Róż prawie nie widział, nie znał wiosny, nie słyszał śpiewu ptaków; pierś odkryta Ewandy nie poruszyłaby go więcej aniżeli Aristogitona; dla niego, jak dla Harmodjusza, kwiaty były tylko po to, by ukrywały miecz. Był surowy w uciechach. Przed wszystkiem, co nie było Rzeczpospolitą, skromnie spuszczał oczy. Kochał się w marmurze wolności. Słowo jego było cierpko natchnione i miało drżenie hymnu. Niespodziewanie rozpościerał skrzydła. Biada zalotom, które zwracały się ku niemu! Jeżeli która gryzetka z placu Cambrai lub z ulicy Saint-Jean-de-Beauvais, widząc tę postać jakby ucznia, co się wymknął z kolegium, tę minę pazia, długie jasne rzęsy, oczy szafirowe, włosy gęste i rozrzucone, policzki różowe, usta świeże, ładne zęby, byłaby zapragnęła tej całej jutrzenki i starałaby się spróbować wpływu swej piękności na Enjolrasa, zdumiony i straszny wzrok wskazałby jej nagle przepaść i nauczyłby ją nie mieszać strasznego cherubina Ezechjela z zalotnym cherubinem Beaumarchais'go.

Obok Enjolrasa, który przedstawiał logikę rewolucji, Combeferre przedstawiał jej filozofię. Pomiędzy logiką rewolucji i jej filozofią, jest ta różnica, że jej logika może doprowadzić do wojny, kiedy tymczasem jej filozofia może skończyć się tylko pokojem. Combeferre uzupełniał i prostował Enjolrasa. Był mniej wysoki, a więcej szeroki. Chciał, ażeby wpajano w umy-

sły zasady rozległe idei ogólnych;—mówił:—Rewolucja lub cywilizacja, i dokoła góry stromej odsłaniał szeroki widnokrąg błękitu. Ztąd we wszystkich poglądach Combeferrea było coś przystępnego i dającego się wykonać. Łatwiej było oddychać rewolucją z Combeferrem, aniżeli z Enjolrasem. Enjolras wyrażał jej prawo boskie, Combeferre — jej prawo przyrodzone. Pierwszy wiązał się z Robespierrem, drugi zbliżał się do Condorceta. Combeferre żył więcej, aniżeli Enjolras, życiem całego świata. Gdyby dano było tym dwóm młodzieńcom przejść do historji: jeden z nich nazywałby się sprawiedliwym, drugi mądrym. Enjolras był więcej męzki, Combeferre więcej ludzki. Homo i Vir, to była właściwa pomiędzy nimi różnica, Combeferre był łagodny, tak jak Enjolras był surowy przez wrodzoną czystość. Lubił wyraz: obywatel, lecz wolał wyraz człowiek. Chętnieby mówił: Hombre, jak Hiszpanie. Czytał wszystko, chodził do teatrów, uczęszczał na kursa publiczne, uczył się u Arago polaryzacyi światła, namiętnie śledził za wykładami Geoffroy-Saint-Hilairea, kiedy ten objaśnił podwójną funkcję arterji *carotidis externae* i arterji *carotidis internae*, z tych jedna odżywia twarz, druga mózg; śledził za wszystkiem, szedł wraz z postępem nauki, porównywał Saint-Simona z Fourierem, odczytywał hieroglify, rozbijał znajdowane kamyki i rozprawiał o geologji, rysował z pamięci motyle i jedwabnika, wytykał błędy francuskiego języka w Słowniku Akademji, studjował Puységura i Deleuza, nie twierdził nic, nawet istnienia cudów, nie przeczył niczemu, nawet upiorom; przeglądał zbiór *Monitora*, marzył. Twierdził, iż przyszłość jest w ręku nauczyciela szkolnego i zajmował się mocno kwestjami wychowania. Chciał, ażeby społeczeństwo pracowało nieustannie nad podniesieniem poziomu umysłowego i moralnego, nad spopularyzowaniem wiedzy, nad puszczeniem idei w obieg powszechny, nad wzmożeniem ducha w młodzieży, i obawiał się, ażeby ubóstwo obecne metod nauczania, nędza poglądu literackiego,

ograniczonego na dwa lub trzy stulecia, tak zwane klasyczne, dogmatyzm tyrański pedantów urzędowych, przesądy scholastyczne i rutyna nie przetworzyły ostatecznie kolegjów naszych (gimnazjów) na ślimaczarnie sztuczne. Był to uczony, purysta, ścisły politechnik, szperacz, a równocześnie zadumany „aż do chimery“— powiadali jego przyjaciele. Wierzył we wszystkie marzenia: koleje żelazne, usunięcie bólu przy operacjach chirurgicznych, ustalenie obrazu kamery obskury, telegraf elektryczny, kierowanie balonami powietrznemi. Zresztą mało się lękał cytadel, które ze wszystkich stron zabobony, despotyzmy i przesądy pobudowały przeciwko rodzajowi ludzkiemu. Należał do tych, którzy są tego zdania, że nauka wreszcie obejdzie wrogą pozycję. Enjolras był dowódzcą. Combeferre był przewodnikiem. Chciałoby się walczyć z pierwszym, a iść z drugim. Nie znaczyło to, ażeby Combeferre nie był zdolny do walki, ażeby uchylał się od zapasów z przeszkodami, od użycia przeciwko nim ciosu i strzału, ale że czuł więcej upodobania do tego, ażeby przez nauczanie rzeczy pewnych i ogłaszanie praw pozytywnych, godzić rodzaj ludzki z jego losami; wybierając z dwóch jasności, skłaniał się raczej ku oświetleniu, aniżeli zapaleniu. Pożar niewątpliwie może zastąpić brzask, lecz dla czego nie zaczekać na świt? Wulkan oświeca, lecz świt jeszcze lepiej to robi. Combeferre wolałby może białość piękna, aniżeli ognistość wzniosłego. Jasność zaciemniona dymem, postęp, opłacony gwałtem, zadawalniały tylko przez połowę ten czuły i poważny umysł. Szalony pęd ludu do prawdy, jak w roku 1793 przerażał go: zastój jednak był mu wstrętny, czuł tam gnicie i śmierć; wszystko biorąc na uwagę, wolał pianę, aniżeli wyziewy zaraźliwe, przenosił potok nad kloakę, wodospad Niagary nad jezioro Montfaucon. W ogóle, nie chciał ani stania, ani pośpiechu. Kiedy burzliwi jego przyjaciele, po rycersku rozmiłowani w absolucie, uwielbiali przygody rewolucyjne i nazywali je świetnemi, Combeferre skła-

niał się ku temu, by pozwolić postępowi robić swoje, dobremu postępowi; zimnemu być może, lecz czystemu, metodycznemu, lecz nieskazitelnemu; flegmatycznemu, lecz niewzruszonemu. Combeferre ukląkby i złożyłby ręce, błagając, by przyszłość nastąpiła z całą swoją czystością, i ażeby nic nie mąciło wielkiej ewolucji cnotliwej ludów. Trzeba, ażeby dobro było niewinne— powtarzał nieustannie. I w samej rzeczy, jeżeli wielkość rewolucji polega na tem, by utkwić wzrok w olśniewający ideał i lecieć po przez błyskawice z krwią i ogniem w jego objęcia; to piękność postępu zależy na tem, by być bez zmazy. I pomiędzy Waszyngtonem, przedstawicielem drugiego, i Dantonem, wcieleniem pierwszej, zachodzi taka różnica, jaka istnieje pomiędzy aniołem ze skrzydłami łabędzia i aniołem ze skrzydłami orła.

Jan Prouvaire stanowił jeszcze łagodniejszą odmianę, aniżeli Combeferre. Nazywał siebie Jehan wskutek tej chwilowej fantazji, co łączyła się z potężnym i głębokim ruchem, który dał początek tak niezbędnym badaniom nad wiekami średniemi. Jan Prouvaire kochał się, pielęgnował kwiaty, grał na flecie, pisał wiersze, miłował lud, litował się nad kobietą, płakał nad dzieckiem, jednem uczuciem ufności obejmował przyszłość i Boga i potępiał rewolucję za to, że ścięła głowę królewską, głowę Andrzeja Chenier. Miał zwykle głos łagodny, a chwilami tylko męzki. Był uczony aż do erudycji i prawie orjentalista. Nadewszystko był dobry i—rzecz zupełnie prosta dla tych co wiedzą, jak dobroć blizko graniczy z wielkością— w poezji przekładał bezgraniczność. Umiał po włosku, po łacinie, po grecku i po hebrajsku i korzystał z tego tylko dla czytania czterech poetów: Dantego, Juvenala, Eschila i Izajasza. We francuskiej literaturze dawał pierwszeństwo Korneljuszowi nad Rasinem a Agrippie d'Aubigne nad Korneljuszem. Włóczył się chętnie po polach, usianych owieskami i bławatkami, i zajmował się obłokami tyleż co i wypadkami politycznemi.

Umysł jego był dwustronny: z jednej strony zwracał się do człowieka, z drugiej do Boga, badał lub rozmyślał. Przez cały dzień zgłębiał zagadnienia społeczne: płacę zarobkową, kapitał, kredyt, małżeństwo, religję; wolność myśli, swobodną miłość, wychowanie, kary, nędzę, stowarzyszenia, własność, wytwór i podział, zagadki ziemskie, które roztaczają ciemność nad mrowiskiem ludzkiem; wieczorem patrzał na gwiazdy, te olbrzymie istoty. Tak jak Enjolras, był bogatym jedynakiem. Mówił łagodnie, pochylał głowę, spuszczał oczy, uśmiechał się z zakłopotaniem, ubierał się źle, był niezgrabny, czerwieniał o lada co, był bardzo lękliwy. Zresztą—nieustraszony.

Courfeyrac miał ojca, który nazywał się pan de Courfeyrac. Jedną z błędnych myśli, którą miała burżuazja z czasów Restauracji o arystokracji i szlachcie, była ta, że wierzyła w słówko: *de*. Słówko to, jak wiadomo, nie ma żadnego znaczenia. Lecz mieszczanie z czasów Minerwy tak wielce szacowali to biedne *de*, że uważano za obowiązek zrzekania się go. Pan de Chauvelin zaczął nazywać się panem Chauvelin, pan de Caumartin—panem Caumartin, pan de Constant de Rebecque—panem Benjaminem Constant, pan de Lafayette —panem Lafayette. Courfeyrac nie chciał pozostać w tyle i nazywał się po prostu Courfeyrac'em. Co dotyczy Courfeyrac'a, moglibyśmy prawie poprzestać na tem i ograniczyć się co do reszty słowami: Courfeyrac, patrz Tholomyès.

Courfeyrac istotnie miał tę werwę młodości, którąby można nazwać djabelskim dowcipem. Później znika to jak miła figlarność koteczki i cały ten wdzięk kończy się mieszczaninem na dwóch nogach i kotem na czterech łapach. Pokolenia, przechodzące przez szkoły, kolejne zaciągi młodzieży, przekazują sobie ten rodzaj dowcipu i oddają go z ręki do ręki, quasi cursores, prawie zawsze ten sam, do tego stopnia, że ktokolwiekby słyszał Courfeyrac'a w roku 1828, mógłby mniemać, że słyszy Tholomyèsa w roku 1817. Tylko

Courfeyrac był dzielnym chłopcem. Przy pozornem podobieństwie zewnętrznego dowcipu, różnica pomiędzy Tholomyèsem i nim była wielką. Człowiek ukryty, który istniał w nich, był w pierwszym wcale innym, jak w drugim. W Tholomyèsie był prokurator, a w Courfeyrac'u paladyn.

Enjolras był naczelnikiem, Combeferre przewodnikiem, Courfeyrac punktem środkowym. Inni dawali więcej światła, on dawał więcej ciepła; faktem było, że miał wszystkie przymioty środka: okrągłość i promieniowanie.

Bahorel występował w krwawem zbiegowisku, z powodu pogrzebu młodego Lallemanda, w czerwcu roku 1822. Bahorel był istotą dobrego humoru i złego towarzystwa, odważny, wór dziurawy, marnotrawny, czasami aż do wspaniałomyślności, gaduła, czasami aż do wymowy, śmiały, czasami aż do bezczelności; najlepsze w świecie człeczysko; mający krzyczące kamizelki i szkarłatne opinje; hałaburda na wielką skalę, t. j. lubiący kłótnię więcej niż cokolwiekbądź, z wyjątkiem chyba buntu i lubiący bunt więcej niż cokolwiekbądź z wyjątkiem chyba rewolucji; zawsze gotowy wszystko potłuc, później zburzyć bruk, później obalić rząd, a wszystko dlatego, ażeby widzieć, jakie będą tego następstwa. Od lat jedenastu był studentem. Chodził na prawo, lecz nie uczył się go. Wziął za dewizę: nigdy adwokatem, a za herb: stoliczek nocny, na którym niewyraźnie dawała się widzieć czapeczka doktorska. Za każdym razem, kiedy przechodził koło szkoły prawa, co mu się rzadko zdarzało, zapinał swój surdut (paltota jeszcze nie znano) i przedsiębrał ostrożności hygieniczne. O gmachu szkoły powiadał:—co za piękny starzec! O dziekanie, panu Delvincourt, mówił:—co za monument! W wykładach upatrywał przedmiot do piosenek, a w profesorach wzory do karykatur. Nic nie robiąc, przejadał dość wielkie pieniądze, coś około trzech tysięcy franków. Rodzicami jego byli włościanie, w których umiał wmówić szacunek dla sy-

na. Mówił o nich: — to włościanie, a nie mieszczanie, i dla tego mają rozum.

Bahorel, człowiek kaprysu, chodził do rozmaitych kawiarń. Inni mieli pewne przyzwyczajenia, on ich nie miał. Włóczył się. Błądzić, jest to rzecz ludzka. Włóczyć się (flâner), jest to rzecz paryzka. W gruncie rzeczy był to umysł przenikliwy i więcej myślący, aniżeli zdawało się. Był on łącznikiem między Przyjaciółmi Abecadła i innemi jeszcze niezupełnie sformowanemi grupami, które dopiero później zarysowały się.

W tem zgromadzeniu był jeden człowiek łysy. Margrabia d'Avaray, którego Ludwik XVIII zrobił księciem za to, że mu dopomógł wsiąść do kabrjoletu w dzień jego wyjazdu na emigrację. Opowiadał, że w roku 1814, kiedy król, wracając do Francji, wylądował w Calais, pewien człowiek podał mu prośbę.

— O co pan prosisz?—zapytał król.

— Najjaśniejszy panie, o posadę naczelnika poczty.

— Jak się pan nazywasz?

— L'Aigle (orzeł).

Król zmarszczył brwi, spojrzał na podpis na prośbie i zobaczył nazwisko napisane w ten sposób: Lesgle. Ortografia ta, mało bonapartystowska, zajęła króla i zaczął się uśmiechać.

— Najjaśniejszy panie—tłómaczył człowiek podający prośbę—przodkiem moim był pisarz, którego przezwano Lesgueules (paszcze). Przezwisko to stało się mojem nazwiskiem. Nazywam się Lesgueules, przez skrócenie Lesgle, a przez błędne wymawianie L'Aligle.

Król przestał się uśmiechać. Później wszakże dał temu człowiekowi posadę naczelnika poczty w Meaux, umyślnie lub przez nieuwagę.

Łysy człowiek tej przyjacielskiej grupy był synem tego Lesgle'a czyli Légle'a i podpisywał się Légle (z Meaux). Koledzy dla skrócenia nazywali go Bossuet'em. Był on chłopcem wesołym, którego udziałem było nieszczęście. Specjalnością jego było niepowodzenie we wszystkiem. W zamian za to, żartował ze

wszystkiego. Mając dwadzieścia pięć lat, był łysy. Ojciec jego dorobił się wreszcie domu i pola; lecz on, syn, nic nie miał pilniejszego, jak w chybionej spekulacji stracić ten dom i to pole. Wszystko mu nie dopisywało, wszystko go zwodziło; to, co budował, waliło się na niego. Jeżeli łupał drzewo, kaleczył się w palec. Jeżeli miał kochankę, rychło spostrzegł, że miał przyjaciela. Co chwila spotykało go jakieś nieszczęście, ztąd jego wesołość. Mawiał: „Mieszkam pod dachem z dachówek, które spadają". Mało się dziwiąc, ponieważ wszelki przypadek był dla niego rzeczą przewidzianą, spokojnie przyjmował złą przygodę i uśmiechał się na drażnienia losu, jak ten, co rozumie się na żartach. Był ubogi, lecz miał niewyczerpany zasób dobrego humoru. Często dochodził do ostatniego sous, nigdy do ostatniego uśmiechu. Kiedy zły los go spotykał, witał serdecznie tego dawnego znajomego; klepał po brzuchu katastrofy; był poufały z przeznaczeniem do tego stopnia, że nazywał je zdrobniałem imieniem.

Prześladowania losu czyniły go pomysłowym. Miał mnóstwo zawsze sposobów. Bywał bez pieniędzy, lecz znajdował możność, kiedy mu się podobało, robić „wyuzdane wybryki". Pewnej nocy przejadł aż „sto franków" z pewną błaźnicą, co go natchnęła podczas orgji pamiętnemi słowami: „Dziewczyno pięciu-luidorowa, zdejmij mi buty". Bossuet szedł zwolna do zawodu adwokata; uczył się prawa, na sposób Bahorel'a. Bossuet prawie nie miał mieszkania, czasami zupełnie go nie miał. Mieszkał to u jednego, to u drugiego, najczęściej u Joly. Joly studjował medycynę. Był o dwa lata młodszy od Bossueta.

Joly był to młodzieniec chorujący przez imaginację. Z medycyny skorzystał tyle, że został więcej chorym, niż lekarzem. W dwudziestym trzecim roku życia uważał się za schorowanego i przez całe życie patrzał sobie w zwierciadło na język. Utrzymywał, że człowiek namagnesowywa się jak igła, i w swoim

pokoju ustawiał łóżko tak, ażeby głowa znajdowała się na południu, a nogi na północ, a to dla tego, żeby wielki prąd magnetyczny kuli ziemskiej nie przeszkadzał krążeniu krwi. Podczas burzy próbował pulsu. Zresztą, był najweselszy ze wszystkich. Niekonsekwencje te wszystkie, młody manjak, stękający, wesoły, godziły się razem dobrze i tworzyły istotę ekscentryczną i przyjemną, którą koledzy, hojni na spółgłoski płynne, nazywali Jolllly. Możesz ulecieć na czterech L *) — powiadał do niego Jan Prouvaire. Jolly miał przyzwyczajenie końcem laski dotykać swego nosa, co jest oznaką umysłu przenikliwego.

Wszyscy ci młodzi ludzie, tak różni, a o których wogóle wypada mówić tylko poważnie, mieli jedną i tę samą religję: Postęp. Wszyscy byli synami bezpośredniej rewolucji francuskiej. Najlekkomyślniejsi z pomiędzy nich stawali się uroczystymi, gdy wymawiali rok 89. Ojcowie ich, stosownie do temperamentu, byli feuillauci, rojaliści, doktrynerowie; mniejsza o to; mięszanina ta poprzednia mało obchodziła ich młodych; czysta krew zasad płynęła w ich żyłach. Bez odmiany pośredniej, stawali odrazu po stronie prawa nieskazitelnego i obowiązku bezwzględnego.

Przyjęci i wtajemniczeni, zarysowywali w podziemnej pracy ideał.

Pomiędzy wszystkiemi temi gorącemi sercami i wierzącemi umysłami był jeden sceptyk. Jak się tam znalazł? Przez proste dodawanie. Niedowiarek ten nazywał się Grantaire i zwykle podpisywał się w ten sposób rebusowy R **). Grantaire był to człowiek, który bardzo wystrzegał się wierzyć w cokolwiek. Był to wreszcie jeden ze studentów, który podczas swych studjów w Paryżu najwięcej nauczył się: wiedział, że najlepsza kawa w kawiarni Lemblin i najlepszy bilard w kawiarni Voltaire, że można znaleść

*) L — ailes — skrzydła — gra wyrazów.
**) R — grand r (wielkie r).

dobre placuszki i ładne dziewczęta w Ermitage na bulwarze du Maine, kurczęta *à la crapaudine* u matki Saguet, doskonałe matloty przy rogatce de la Cunette i pewne białe winko przy rogatce du Combat. Na wszystko znał dobre miejsca; umiał rozmaite gry, niektóre tańce i był bardzo zręczny w robieniu kijem. W dodatku pił dużo. Był brzydki nad miarę, Najpiękniejsza szewcowa z owych czasów, Irma Boissy, oburzona jego brzydotą, wydała taki wyrok: Grantaire jest niemożebny; lecz zarozumiałość Grantaire'a tem się nie zmięszała. Wpatrywał się czule we wszystkie kobiety, jak gdyby mówił o wszystkich: gdybym tylko chciał! i starał się przekonać swych kolegów, że był ogólnie pożądany.

Wszystkie te wyrazy: prawa ludu, prawa człowieka, umowa społeczna, rewolucja francuska, rzeczpospolita, demokracja, ludzkość, cywilizacja, religja, postęp dla Grantaire'a nie miały prawie żadnego znaczenia. Słysząc je, zawsze się uśmiechał. Niedowiarstwo, ta śniedź umysłowa, nie pozostawiła mu ani jednej myśli nie nadpsutej w głowie. Żył sobie z ironją na ustach. Miał za ulubiony aksiomat: Jedna jest tylko pewność na świecie, to szklanka pełna. Wyszydzał wszelkie poświęcenie w jakiembądź stronnictwie, choćby braterskie lub ojcowskie; choćby poświęcenie starego Loiseroll'a. „Wiele im też przyszło z tego, że umarli", mawiał o nich. Latawiec, gracz, rozpustnik, często pijany, raził nieustannie uszy tych młodych myślicieli wyśpiewując na nutę: „Niech żyje Henryk IV!"

Kocham dziewczęta, lubię dobre wino.

Zresztą sceptyk ten miał także trochę fanatyzmu. Fanatyzmem tym nie była ani idea, ani żaden dogmat, ani sztuka, ani nauka; był to po prostu człowiek, mianowicie Enjolras. Grantaire podziwiał, kochał i ubóstwiał Enjolras'a. Do kogóż się wiązał ów anarchiczny niedowiarek w tym zastępie umysłów absolutnych? Do najabsolutniejszego. Jakim sposobem Enjolras umiał

go ujarzmić? czy swojemi przekonaniami? Nie, swoim charakterem. Jest to zjawisko nieraz zauważane. Niedowiarek, lgnący do wierzącego, jest rzeczą naturalną, jakby według praw, któremi barwy wzajemnie się dopełniają. Pociąga nas zwykle to, czego brak nam samym. Nikt tak nie lubi światłości dziennej, jak ślepy. Karlica będzie przepadała za tamburmażorem. Ropucha ma zawsze wzrok wlepiony w niebo. Dla czego? żeby widzieć latającego ptaka. Grantaire, w którym pełzało zwątpienie, lubił widzieć w Enjolrasie wysoko bujającą wiarę. Potrzebował go. Nie zdając sobie jasno z tego sprawy i nie probując nawet nad tem się zastanawiać, zostawał pod urokiem tej natury czystej, zdrowej, tęgiej, prawej, twardej, niepokalanej. Podziwiał instynktowo swoje przeciwieństwo. Jego pojęcia miałkie, mdłe, rozklekotane, chorobliwe, ułomne, przyczepiały się do Enjolras'a, jakby do kolumny pacierzowej. Jego cherlactwo moralne podpierało się na tej jędrności. Grantaire przy boku Enjolras'a stawał się kimś przecie. Zresztą sam był złożony z dwóch żywiołów na pozór sprzecznych. Był zarazem ironicznym i serdecznym. Obojętność jego miała w sobie coś miłości. Umysł jego obchodził się bez wiary, ale serce nie umiało się obywać bez przyjaźni. Głęboka sprzeczność; gdyż przywiązanie jest koniecznie przekonaniem. Ale już był tak urobionym z natury. Są to ludzie, którzy z urodzenia mają usposobienie być podszewką, odwrotną stronicą, wyłogiem. Takiemi byli: Pollux, Patrokles, Nisus, Eudamidas, Efest'on, Pichmeia. Warunkiem ich życia jest być przyczepionemi do kogoś drugiego. Imię ich jest niejako dalszym ciągiem i nie pisze się inaczej, jak tylko poprzedzone spójnikiem *i*; byt ich nie jest ich własnym, jest tylko drugą stroną przeznaczenia cudzego. Grantaire był jednym z tych ludzi. Był podszewką Enjolras'a.

Możnaby prawie powiedzieć, że powinowactwa duszy związane są zgłoskami abecadła. W porządku

następstwa, *O* i *P* są nierozłącznemi. Możesz sobie, stosownie do wyboru, wymawiać *O* i *P*, albo Orestes i Pilades.

Grantaire, prawdziwy satelita Enjolras'a, nie mógł nie zajmować miejsca w tem kółku młodych ludzi; żył tam; tylko wśród nich było mu dobrze, był im nieodstępny. Jedyną jego radością było oglądać poruszające się ich cienie po nad tumany wyziewów wina. Tolerowano go dla jego dobrego humoru.

Enjolras, wierzący, pogardzał tym niedowiarkiem, wstrzemięźliwy, pogardzał tym pijakiem. Dawał mu z siebie, w sposobie jałmużny, trochę pogardliwej litości. Grantaire był zapoznanym Pyladesem; zawsze odpychany przez Enjolras'a, poszturchiwany niemiłosiernie, odrzucany, a mimo to wracający bez ustanku, mawiał o nim: Co za piękny posąg.

II.

Bossuet jako mówca pogrzebowy.

Jednego po-popołudnia, które jak się okaże poniżej było w pewnym związku z wypadkami już opowiedzianemi, Laigle de Meaux stał sobie rozkosznie rozparty we drzwiach kawiarni Muzain. Wyglądał jak karjatyda próżnująca; dźwigał na sobie tylko własne marzenia. Patrzał w stronę placu świętego Michała. Stać rozpartym jest to poniekąd leżeć stojąc, co dosyć lubią marzyciele. Laigle de Meaux rozpamiętywał, bez przykrego uczucia, małą przygodę, która go właśnie spotkała dnia poprzedniego w szkole prawa, i wpływała nieco na jego osobiste plany co do przyszłości, plany zresztą dość jeszcze niejasne.

Zamyślenie nie przeszkadza dorożce przejeżdżać ulicą, jak również zamyślonemu spostrzedz dorożkę. Laigle de Meaux, którego oczy błąkały się wałęsając tu i owdzie bez celu, spostrzegł przez mgły tego niby jasnowidztwa, pojazd dwukołowy, jadący placem z wolna, i niewiedzący dokąd się uda. Co też miał na myśli ten kabrjolet? dla czego jechał sobie stępo? Laigle mocno się nad tem zastanowił. Przypatrzywszy się baczniej, spostrzegł siedzącego obok woźnicy jakiegoś młodego człowieka, a przed młodym człowiekiem jakiś dość duży tłomoczek, na którym ukazywało się przechodzącym, wypisane wielkiemi czarnemi literami na

przyklejonej białej kartce, nazwisko: Marjusz Pontmercy.

Widok ten ruszył z miejsca patrzącego; postąpił on parę kroków i zawołał, zwracając się do młodego człowieka:

— Panie Pontmercy!

Zaczepiony kabrjolet zatrzymał się.

Młody człowiek, który zdawał się także być głęboko zamyślonym, podniósł oczy.

— Co takiego? — rzekł.

— Wszak pan jesteś Marjusz Pontmercy?

— Tak jest.

— Właśnie szukałem pana — rzekł Laigle de Meaux.

— Jakimże sposobem? — spytał Marjusz, właśnie w tej chwili wyjeżdżający z domu swojego dziadka, zagadnięty niespodzianie przez człowieka, którego widział raz pierwszy w życiu. Nie mam przyjemności znać pana.

— Zupełnie tak samo jak ja — odpowiedział Laigle.

Marjusz zaczął podejrzewać jaki studencki figiel, który się nieraz zdarza spotkać na ulicy. Nie będąc wcale usposobiony po temu w tej chwili, zmarszczył brwi, ale Laigle de Meaux z najzimniejszą krwią mówił dalej:

— Nie było pana onegdaj w szkole?

— Być może.

— Ależ — jestem pewny swego.

— Pan jesteś studentem? — spytał Marjusz.

— Tak jest; jak pan. Onegdaj przypadkiem poszedłem do szkoły. Pan wiesz, czasem to przyjdzie człowiekowi do głowy. Profesor zabierał się właśnie do czytania listy. Jest to rzecz równie pocieszna, jak nieprzyjemna. Za trzecim razem jeżeliś się nie odezwał, wykreślają cię z wpisu. Sześćdziesiąt franków jakbyś w błoto rzucił.

Obudziło to ciekawość Marjusza. Laigle mówił dalej:

— Blondeau czytał listę. Jak to panu wiadomo, ma ten człowiek nos wielce ostry i złośliwy, zdaje się stworzony do przewąchiwania nieobecnych, co robi nawet z wielką rozkoszą. Tym razem podstępnie zaczął od litery P. Słuchałem piąte przez dziesiąte, nie mając nic wspólnego z tą głoską.

Szło jakoś nieźle. Ani jednego wykreślenia — ludzie z całego świata zdawali się być obecnymi. Blondeau pękał ze złości. Mówiłem sobie w duchu: Blondeau, mój przyjacieleczku, nie uda ci się upolować dzisiaj ani jednego. Znagła, słyszę jak czyta nazwisko: Marjusz Pontmercy. Coś nikt nie odpowiada na to wezwanie. Blondeau pełen słodkiej nadziei, woła głośniej jeszcze: Marjusz Pontmercy i łapczywie chwyta za pióro. Już ja mam to do siebie, że jestem czuły. Słysząc to, powiedziałem sobie w duchu: Masz tobie, no i gotowi wykreślić chłopaka. Zastanówmy się tylko chwilkę: ten, którego często brakuje na lekcjach, jest istotnie człowiekiem, posiadającym umiejętność życia; nie jest to bynajmniej tak zwany dobry uczeń; nie jest to bynajmniej jeden z tych, co sobie do utrapienia przysiaduje fałdy; nie jest to uczeń, który się uczy, bakalarczyk napuszony, wielce nauczny, wielce biegły w literaturze, teologji i mądrości; nie żaden to famulus wyprężony aż mu w karku trzaska, niby pauper wypowiadający swoją lekcję. Przeciwnie, to jakiś porządny leniwiec, który się sobie gdzieś wałęsa, używając może przyjemności życia wiejskiego, który uczęszcza do gryzetek, umizga się do ładnych dziewcząt i znajduje się może w tej chwili u własnej mojej kochanki. Nie trzeba żeby taki zginął. Raczej bodaj przepadł Blondeau. Właśnie w tej chwili, Blondeau umaczał w atramencie pióro już zasłużone tylu przekreśleniami, powlókł judaszowskiem spojrzeniem po sali, i potwórzył po raz trzeci: Marjusz Pontmercy.

Odpowiedziałem śmiało: jestem! To zrobiło, żeś pan nie został wykreślony.

— Ależ mój panie — przerwał Marjusz.

— I że ja na twojem miejscu wyleciałem jak z procy — dodał Laigle de Meaux.

— Nie rozumiem nic tego wszystkiego — rzekł Marjusz.

Laigle ciągnął dalej:

— Nic nad to prostszego. Umieściłem się naumyślnie w blizkości katedry, żeby módz odpowiedzieć że jestem, i zarazem w sąsiedztwie drzwi, żeby módz zemknąć potem. Ale profesor wpatrzył się we mnie jakoś zbyt uważnie. Znagła złośliwiec, który widać ma nos djable przebiegły, skacze jak z pieca na łeb do litery L., to coś jakby zmierzał ku mnie. A jestem rodem z Meaux i nazywam się Laigle.

— Laigle de Meaux (orzeł z Meaux) — przerwał Marjusz — cóż za piękne miano!

— Otóż tedy Blondeau, doszedłszy do tego pięknego miana, woła: Laigle! odpowiadam jak i wprzódy: jest! Wtedy spojrzał na mnie z tygrysią słodyczą, uśmiechnął się i rzekł: „Jeżeli pan jesteś Pontmercy, to nie możesz być Laigle (orłem)“. Wyrażenie nieco ubliżające pańskiej osobie, jeszcze mocniej tragicznego znaczenia dla mnie; gdyż zrobiwszy tę dowcipną uwagę, wykreślił mnie niemiłosiernie.

Marjusz wykrzyknął przykro wzruszony:

— Ależ panie prawdziwie mi jest dotkliwem...

Przedewszystkiem, przerwał Laigle, życzę sobie pochować naszego prześladowcę w kilku gładko zaokrąglonych perjodach serdecznej pochwały. Przypuśćmy, że już nie żyje. Prawdę mówiąc, niewiele by już wtedy uległa zmianie jego chudość, bladość, lodowatość, sztywność i to czem on pachnie. Kładę tedy za epitaf: *Erudimi qui judicatis terram.* Dalej zaś: tu leży Blondeau, nos fizyczny i moralny, Naso i Nasica, wół w pługu karności, *bos disciplinae*, kundel uwiązany na łańcuchu służbistości, archanioł ostateczne-

go sądu czytania listy, który był prawym profesorem prawa, regularnym kwadratem z przykremi kantami, akuratny, sztywny, nieposzlakowanie uczciwy i przeto dziwnie szkaradny. Bóg go wykreślił z życia, jak on moje nazwisko z listy.

Marjusz chciał mówić znowu:

— Z prawdziwą przykrością...

— Młodzieńcze — rzekł poważnie Laigle de Meaux—niech ci to posłuży za naukę na przyszłość. Odtąd staraj się być akuratnym.

— W istocie, nie wiem sam jak pana przeprosić.

— Nie wystawiaj się więcej na to, aby z twej przyczyny twój bliźni miał być wykreślonym.

— Doprawdy jestem w rozpaczy...

Laigle, parsknął śmiechem.

— A ja w największem uszczęśliwieniu. Włoska tylko brakowało żebym się nie pośliznął na adwokata. Wykreślenie właśnie ocala mnie od tej smutnej kolei. Wyrzekam się laurów zakratkowych. Nie będę więcej bronił wdowy ani też świetnie nacierał na sieroty. Bywaj zdrowa togo, żegnaj trybunale! Otóż sobie zdobyłem wykreślenie! I to panu je zawdzięczam, panie Pontmercy. Życzę sobie mocno zrobić ci za to uroczyście dziękczynne odwiedziny. Gdzie pan mieszkasz?

— W tym kabrjolecie — rzekł Marjusz.

— To znak zamożności, odparł Laigle z flegmą. Winszuję panu. Jest to mieszkanie na dziewięć tysięcy rocznie.

W tej chwili Courfeyrac wyszedł z kawiarni.

Marjusz uśmiechnął się smutno.

— Mieszkam w tym apartamencie już od dwóch godzin i wzdycham do tego, żeby się z niego wyprowadzić, ale jest rzecz taka, że niewiem dokąd?

— Proszę pana do mnie — rzekł Courfeyrac.

— Powinienbym mieć pierwszeństwo — zrobił uwagę Laigle — ale znowu rzecz jest taka, że ja nigdzie nie mieszkam.

— Daj pokój Bossuet — przerwał Courfeyrac.

— Bossuet?—rzekł Marjusz; — ależ mi się zdaje, żeś się pan nazwał Laigle.

— Z Meaux—odpowiedział Laigle. Przez podstawienie przenośni: Bossuet.

Courfeyrac wsiadł do kabrjoletu.

— Przyjacielu — rzekł do dorożkarza — pojedziesz do hotelu przy bramie św. Jakóba.

Tegoż wieczora, Marjusz roztasował się na dobre w jednym z pokojów wspomnianego hotelu, tuż obok Courfeyrac'a.

III.

Zdziwienia Marjusza.

W dni kilka Marjusz zaprzyjaźnił się z Courfeyrac'em. Młodość jest łatwą do połączeń i szybkich zabliźnień. Marjusz w towarzystwie Courfeyrac'a wolniej jakoś odetchnął; było to dla niego rzeczą dość nową. Courfeyrac nie wypytywał go o nic, nawet nie pomyślał o tem na chwilę. W tym wieku, twarze wypowiadają od razu wszystko. Mowa niepotrzebna. Zdarza się nieraz widzieć młodego człowieka, o którymby można powiedzieć, że jego fizjognomja nic nie utaja; dość jego spojrzenia na zabranie znajomości.

Jednakże, pewnego poranku, Courfeyrac zapytał znagła Marjusza:

— Ale, ale, czy masz jakie wyznanie wiary polityczne?

— Cóż znowu! — rzekł Marjusz prawie obrażony zapytaniem.

— Więc czemże ty jesteś.

— Demokratą-bonapartystą.

— Odcień szaraczkowo-myszaty, barwa myszy bezpiecznej w swojej norze — rzekł Courfeyrac.

Nazajutrz Courfeyrac wprowadził Marjusza do kawiarni Muzain. Potem szepnął mu do ucha z uśmiechem: „Muszę ci urządzić wstęp do abecadła.“ Powiedziawszy to, zaprowadził go do sali przyjaciół abecadła. Tam go przedstawił innym kolegom z tem słowem niezrozumiałem dla Marjusza, które wyrzekł półgłosem: „to uczeń“.

Marjusz znagła wpadł jakby w gniazdo os, zbrojnych w żądła dowcipu. Zresztą, chociaż z pozoru milczący i poważny, nie był pomiędzy niemi ani najmniej skrzydlaty, ani najmniej zbrojny.

Aż dotąd samotny i usposobiony raczej do rozmowy z sobą, tak z przyzwyczajenia jak z zamiłowania, był zrazu odurzony tym rojem młodzieży, brzęczącym zewsząd w koło niego. Sama rozmaitość tych samoistności, pociągała go i niby drażniła zarazem. Gwarne rojenie się wszystkich swobodnych i pracujących umysłów, sprawiało jakby wirujący odmęt w jego myślach. Niekiedy, w swem wzburzeniu odlatywały one tak daleko od niego, że z trudnością udawało mu się połapać je na nowo. Słyszał prawiących o filozofji, literaturze, historji, sztukach, religji, w sposób całkiem mu niespodziany. Spostrzegał dziwne poglądy, a ponieważ nie umiał przedmiotów szykować w perspektywę, myślał nieraz, czy przypadkiem nie widzi chaosu. Porzucając przekonania swojego dziada dla przekonań ojca, sądził, że się na tem zatrzyma; podejrzywał teraz z niepokojem i nie śmiejąc tego samego wyznać przed sobą, że może wypadnie pójść dalej. Kąt, pod którym dotąd spoglądał na wszystko, zaczął znowu zmieniać kierunek. Jakiś rodzaj rozkołysania umysłowego począł wprawiać w drzenie wszystkie jego widnokręgi. Dziwaczny rwetes wewnętrzny. Prawie mu to sprawiało cierpienie.

Rzekłbyś, iż nie było dla tych młodych ludzi „rzeczy uświęconych“. Marjusz słyszał w każdym przedmiocie osobliwsze rozumowania, męczące dla jego umysłu jeszcze trwożliwego.

Przyniesiono naprzykład afisz teatralny, zdobny w klasyczny tytuł tragedji ze starego repertuaru.

— Precz z tragedją, owem bożyszczem mieszczan! wołał Bahorel.

Marjusz słyszał jak Combeferre mu odpowiadał na to:

— Sam nie wiesz, co gadasz, Bahorel'u. Jeżeli mieszczaństwo ceni tragedję, trzeba je na tym punkcie zostawić w spokoju. Tragedja perukowa ma swoje przyczyny istnienia, i nie jestem wcale z rzędu tych, którzy, w imię Eschylesa zaprzeczają jej do tego prawa. Znajdują się nieforemne szkice i w naturze, zdarzają się gotowe parodje i w dziełach Twórcy; dziób, który nie jest wcale dziobem, skrzydła, które nie są skrzydłami, skrzele, które nie są skrzelami, łapy, które nia są łapami, krzyk żałosny, który śmiech obudza — oto masz kaczkę.

A więc tedy, jeśli drób egzystować może obok ptaka, niewiem dla czegoby tragedja klasyczna nie mogła istnieć w obec tragedji starożytnej.

Lub też zdarzało się, że Marjusz przechodził ulicą Jana Jakóba Rousseau w towarzystwie Enjolras'a i Courfeyrac'a.

Courfeyrac brał go wtedy pod rękę:

— Uważasz — mówił. To jest ulica Kopalni Gipsu, przezwana dziś ulicą Jana Jakóba Rousseau, z powodu iż na niej mieszkało osobliwsze jedno małżeństwo, już temu lat z sześćdziesiąt. Byli to Jan Jakób i Teresa. Od czasu do czasu wylęgały się tam drobne istotki. Teresa je wydawała na świat, Jan Jakób oddawał do domu podrzutków.

Tu Enjolras karcił Courfeyrac'a.

— Wara o Janie Jakóbie! podziwiam tego człowieka. Wyparł się własnych dzieci, nie przeczę temu, ale przyjął społeczeństwo za dziecię.

Żaden z tych młodych ludzi nie wymawiał nigdy

słowa: Cesarz. Jeden tylko Jan Prouvaire mówił czasem: Napoleon; wszyscy inni zwali go Bonaparte. Enjolras wymawiał: *Buonaparte.*

Marjusz dziwował się temu wszystkiemu machinalnie. *Initium sapientiae.*

IV.

Tylna sala w kawiarni Muzain.

Pomiędzy rozmowami tej młodzieży, której Marjusz bywał obecnym, a niekiedy i brał w nich udział, zdarzyła się jedna, która sprawiła w jego umyśle prawdziwe wstrząśnienie.

Działo się to w tylnej sali kawiarni Muzain. Wszyscy prawie przyjaciele abecadła byli tam zebrani tego wieczoru. Lampa ścienna została zapaloną do tej uroczystości. Rozmawiano o tem i owem, hałaśliwie, lecz nie namiętnie. Z wyjątkiem Enjolras'a i Marjusza którzy milczeli, każdy tam perorował nieco na chybił trafił; w koleżeńskich pogadankach trafiają się nieraz owe gwary nic nie burzliwe. Była to plątanina i jakaś gra niby raczej, niż rozmowa. Rzucano sobie słowa i łapano je, grając niemi jakby w cztery kąty.

Żadna kobieta nie miewała wstępu do tej tylnej sali, oprócz Ludki, pomywaczki kawiarnianej, która przechodziła niekiedy tamtędy, idąc z bufetu do pokoju, gdzie myła filiżanki.

Grantaire doskonale podochocony, napełniał grzmiącym głosem cały kąt, który sobie był obrał, rozprawiał i bajał wrzeszcząc aż do ochrypnięcia:

— Pić mi się chce djabelnie! Posłuchajcie śmiertelnicy: oto śni mi się, że beczka Hajdelbergska do-

stała napadu apopleksji i że jestem jedną z dwunastu pijawek, które jej postawiono. Chciałbym się napić. Pragnę zapomnieć o życiu. Życie jest to obrzydliwy wynalazek niewiedzieć czyj. To nic nie trwa i nic nie jest warte. Człowiek kark sobie kręci żyjąc. Życie jest to dekoracja, w której nic nie ma prawdziwego. Szczęście jest to stara rama od okna pomalowana tylko z jednej strony. Eklesia też powiada: „Wszystko jest marnością“, myślę właśnie tak samo jak ten poczciwiec, którego może nigdy nie było na świecie. Zero wstydząc się chodzić nagiem, przyoblekło się w próżność. O! próżności, która nadsztukowywasz wszystko wielkiemi słowami! Kuchnia jest według ciebie pracownią, baletnik profesorem, skoczek gimnastykiem, bokser artystą na pięście, aptekarz chemikiem, perukarz adeptem sztuki, bazgracz malarzem, dżokiej sportsmanem, chrabąszcz owadem tęgopokrywym. Próżność ma stronę prawą i odwrotną; strona prawa jest bezrozumna: to murzyn ze swojem upodobaniem do blaszek i jaskrawych barw; strona odwrotna, głupia: to mędrzec ze swemi łachmanami. Płaczę nad jednem, śmieję się z drugiego. To, co nazywają godnościami i honorami, a nawet godnością i honorem, jest w ogóle z fałszywego złota. Królowie robią sobie zabawkę z dumy ludzkiej. Kaliguła zrobił konsulem konia; Karol II mianował kawalerem kawał mięsa. Wybierajże teraz między kawalerem Incitatus a baronetem Roastbeef. Co do wewnętrznej wartości ludzi, i ta nie więcej warta. Posłuchajcie panegiryku sąsiada o sąsiedzie. Białe srogo się obchodzi z białem; gdyby lilja mogła mówić, jakżeby pastwiła się nad gołąbką! Bigotka, która obgaduje dewotkę, zjadliwszą jest od żmii i jaszczurki. Szkoda, że ze mnie nieuk, byłbym wam powiedział dużo rzeczy, ale nie umiem nic. Ale za to zawsze miałem dosyć rozumu. Kiedy byłem uczniem u Grossa, zamiast mazać obrazki, wykradałem jabłka; zły uczeń i zły uczynek. Tyle co do mnie, co do was innych, tyleście warci co ja. Kpię

z waszych doskonałości i przymiotów. Wszelki przymiot przechodzi w wodę; oszczędny graniczy ze skąpym, wspaniałomyślny z marnotrawnym, odważny z junakiem: kto mówi: bardzo pobożny, ten mówi, trochę bigot; jest zgoła tyleż wad w cnocie, co dziur w płaszczu Diogenesa. Kogo uwielbiacie, zabitego czy też zabójcę, Cezara czy Brutusa? Powszechnie są za zabójcą. Niech żyje Brutus! On zabił. To jest właśnie cnotą. Niech będzie cnota, jest to zarazem szaleństwo. Bywają dziwaczne plamy na tych wielkich ludziach. Brutus, który zabił Cezara, był zakochany w posągu małego chłopca. Statua ta była dziełem snycerza greckiego, Strongyliona, który wyrzeźbił także postać amazonki, zwanej Piękną Nogą, Euknemos, którą Neron w swoich podróżach woził z sobą. Ten Strongylion pozostawił tylko dwa posągi, które pogodziły z sobą Brutusa i Nerona; Brutus był zakochany w jednym a Neron w drugim. Cała historja jest tylko długą klepaniną. Jeden wiek jest plagjaterem drugiego. Bitwa pod Marengo kopjuje bitwę pod Pydna; Tolbiac Klodoweusza i Austerlitz Napoleona, są podobne do siebie jak dwie krople krwi. Mało sobie ważą zwycięztwo. Nic nie ma głupszego jak zwyciężać, prawdziwa chwała jest przekonać. Lecz sprobójcie dowieść cokolwiek! Zadawalacie się powodzeniem—co za mierność! — Zwycięztwem — co za nędza! Niestety, próżność i nikczemność wszędzie. Wszystko ulega powodzeniu, nawet gramatyka. Si volet usus—powiada Horacjusz. A zatem pogardzam rodzajem ludzkim. Mamyż przejść od ogółu do szczegółów? Czy chcecie ażebym podziwiał ludy? Jaki lud, jeżeli łaska? Może Grecję? Ateńczycy, ci Paryżanie dawniejsi, zabijali Focjona, jak gdyby Coligniego, a pochlebiali tyranom do takiego stopnia, że Anacephor powiadał o Pizystracie: jego uryna przywabia pszczoły. Najznakomitszym człowiekiem Grecji przez lat pięćdziesiąt był ów gramatyk Phyletas, tak mały i tak wątły, że musiał trzewiki swoje podbijać ołowiem, ażeby go wiatr

nie uniósł. Na wielkim placu Koryntu stał posąg dłuta Silaniona, wniesiony do katalogu przez Plinjusza; statua ta przedstawiała Episthata. Cóż zrobił Episthat? Wynalazł sztukę podstawiania nogi przeciwnikowi. To streszcza Grecję i sławę. Przejdźmy do innych ludów. Mamże podziwiać Anglję? Mamże podziwiać Francję? Francję? Za co? Z powodu Paryża? Powiedziałem wam moje zdanie o Atenach. Anglję? Za co? Z powodu Londynu? Nienawidzę Kartaginy. A przytem Londyn, metropolja zbytku, jest stolicą nędzy. W jednej parafii Charing-Cros umiera około stu ludzi z głodu. Takim jest Albjon. Do tego dodam, że widziałem tańczącą Angielkę w wieńcu z róż i w okularach niebieskich. A więc do licha z Anglją! Jeżeli nie podziwiam John Bulla, może będę podziwiał brata Jonathana? Nie bardzo mi się podoba ten brat od niewolników. Odbierzcie Times is money, cóż się zostanie z Anglii? Odbierzcie Cotton is king, cóż się zostanie z Ameryki? Niemcy, to limfa; Włochy, to żółć. Wszystkie cywilizowane ludy każą podziwiać myślicielowi ten jeden szczegół: wojnę; tymczasem wojna, wojna cywilizowana, wyczerpuje i skupia w sobie wszystkie formy bandytyzmu, począwszy od rozboju w wąwozach góry Jaxa i skończywszy na łupieztwie Indjan z Comanches w Passe-Douteuse. Ba, powiecie mnie, Europa przecież więcej warta od Azji? Przyznaję, że Azja to farsa; ale nie widzę, dla czego macie śmiać się z wielkiego lamy, wy ludy zachodu, którzyście do waszych mód i elegancji przymieszali wszystkie skomplikowane śmiecie majestatu, począwszy od brudnej koszuli królowej Izabelli i skończywszy na dziurawem krześle delfina. Panowie humaniści, macie figę. W Brukselli wypijają najwięcej piwa, w Sztokholmie najwięcej wódki, w Madrycie czekolady, w Amsterdamie jałowcówki, w Londynie wina, w Konstantynopolu kawy, w Paryżu piołunówki; oto i wszystkie wiadomości korzystne. W ogóle Paryż ma przewagę. W Paryżu gałganiarze są nawet sybarytami; Diogene-

sowi wszystko jedno było, czy być gałganiarzem na placu Maubert, czy być filozofem w Pyreum. Wiedzcie jeszcze o tem, że szynki gałganiarzy nazywają się bibines; najsłynniejsze z nich są: La Casserole i L'Abattoir. Oberże, gospody, karczmy, piwiarnie, szynki, restauracje, traktjernie, tawerny, karawanseraje kalifów, bibiny gałganiarzy, świadczę się wami, jestem rozkosznikiem, jadam u Richarda po czterdzieści sous od osoby, potrzebuję kobierców perskich, by tarzać się tam z Kleopatrą nagą! Gdzie Kleopatra? Ach! To ty Ludwisiu! Dzień dobry.

Tak sypał słowami, czepiając się pomywaczki, gdy ta przechodziła, Grantaire, więcej niż pijany, siedząc w swoim kącie tylnej sali Musain.

Bossuet, wyciągając rękę ku niemu, starał się go uciszyć, lecz Grantaire paplał w najlepsze dalej:

— Orle z Meaux, precz z łapami! Twój gest Hipokratesa, odrzucającego kram starzyzny Artakserksesa, nie robi na mnie żadnego wrażenia. Zwalniam cię od tego, byś mię uspokajał. Zresztą, jestem smutny. Cóż chcecie żebym wam powiedział? Człowiek jest zły, człowiek jest szkaradny; motyl udał się, człowiek chybił. Zwierzę to nie udało się Bogu. Tłum jest to wybór brzydoty. Pierwszy lepszy jest nędznikiem. Kobietka rymuje z kokietka. Tak, mam splin, połączony z melancholją, z nostaglją, jeszcze z hipochondrją, i dąsam się, wściekam, poziewam, nudzę się, morduję, ogłupiam się! Do djabła z Bogiem!

— Milczeć, R. wielki! — zawołał Bossuet, który prowadził dyskusję prawną z kimś nieobecnym i który był w samym zapale terminów prawniczych i kończył je jak następuje:

— ...A co do mnie, to chociaż jestem zaledwie prawnikiem, a co najwięcej prokuratorem z amatorstwa, utrzymuję: że w terminie, podług zwyczaju normandzkiego, na św. Michała, co rok, powinna być stała kwota wypłacona dziedzicowi, oprócz innych praw, przez wszystkich i każdego, tak właścicieli jak usu-

niętych z dziedzictwa, i to ze wszystkich dzierżaw emfiteutycznych, czynszów, gruntów alodjalnych, umów dominjalnych, hipotecznych...

— Echa, nimfy płaczliwe — rzucił Grantaire.

Tuż obok Grantaira, na stole, przy którym prawie cisza panowała, arkusz papieru, kałamarz i pióro pomiędzy dwiema szklaneczkami zapowiadały, że szkicował wodewil. Nad tą wielką sprawą naradzano się po cichu, i dwie głowy pracujące prawie dotykały siebie:

— Zacznijmy od wyszukania nazwisk. Kiedy się ma nazwiska, znajduje się przedmiot.

— Słusznie. Dyktuj. Piszę.

— Pan Dorimon!

— Rentjer?

— Zapewne.

— Córka jego, Celestyna.

— yna...t. Dalej?

— Pułkownik Sainval.

— Sainval, to zużyte... Powiedziałbym:—Valsain.

Obok tych aspirantów wodewilistycznych, inna grupa, tak samo jak ja, korzystając z wrzawy, po cichu naradzała się nad pojedynkiem. Stary, trzydziestoletni dawał rady młodemu ośmnastoletniemu, i tłumaczył, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia:

— Do djabła! Miej się na ostrożności. To jest dobra szpada. Gra jego czysta. Uderzenie, żadnego zamierzenia, na chybi trafi, po kostce, żywo, błysk, dobrze się zasłonić, matematycznie odeprzeć i uderzyć! a on jest mańkut.

W przeciwnym kącie od Grantaira, Joly i Bahorel grali w domino i rozmawiali o miłości.

— Ty jesteś szczęśliwy—odpowiedział Joly. Masz kochankę, która się ciągle śmieje.

— Źle robi — odpowiedział Bahorel. Kochanka nie powinna się śmiać. To zachęca do oszukiwania jej. Kiedy jest wesoła, znikają wszelkie wyrzuty, kiedy jest smutna, wówczas odkrywa się w tobie sumienie.

— Niewdzięczny! To tak dobrze mieć kobietę, co się śmieje! I nigdy nie kłóciliście się?

— To jest skutkiem układu, któryśmy zrobili. Zawierając nasze małe święte przymierze, oznaczyliśmy granice, których przekraczać nie powinniśmy nigdy. Co od strony bizy (*bise* wiatr północny), to należy do Vaud, co od strony wiatru, to Gex. Ztąd pokój.

— Pokój, jest to szczęście trawiące.

— A ty, Joly, jak daleko jesteś w poróżnieniu się twoim z panienką... wiesz, co chcę powiedzieć?

— Dąsa się na mnie z okrutną cierpliwością.

— A jednak jesteś kochankiem, który rozczula swoją chudością.

— Niestety!

— Na twojem miejscu, osadziłbym ją na koszu.

— Łatwo powiedzieć.

— I zrobić. Nieprawdaż, że się nazywa Musichetta?

— Tak. Ach! mój biedny Bahorelu, co za pyszna dziewczyna, oczytana, małe nóżki, małe rączki, ubiera się ładnie, biała, tłuściuchna, ma oczy kabalarki. Szaleję za nią.

— Mój kochany, trzeba więc przypodobać się jej, być elegantem i nadskakiwać. Kupże mi dobre spodnie u Stauba. To się przyda.

— Za ile? — zawołał Grantaire.

Trzeci kąt prowadził dyskusję poetyczną. Mytologja pogańska borykała się z mytologją chrześcijańską. Chodziło o Olimp, w którego obronie Jan Prouvaire stawał przed samym romantyzmem. Jan Prouvaire był tylko nieśmiały w chwilach spokoju. Jak tylko został podbudzony, wybuchał; pewien rodzaj wesołości cechował jego zapał, stawał się wówczas wesołym i lirycznym.

— Nie znieważajmy bogów—powiadał. Bogowie może jeszcze istnieją. Jowisz nie robi na mnie wrażenia umarłego. Bogowie są to marzenia, powiadacie. Otóż, nawet w naturze, takiej, jak jest dzisiaj, po

zniknięciu wszystkich tych marzeń, spotykamy wszystkie te wielkie stare myty pogańskie. Góra, mająca profil cytadeli, jak Vignemale naprzykład, jest jeszcze dla mnie czepcem Cybeli; nie mam pewności, że pan nie gwiżdże po nocach w wydrążone pnie wierzb, zatykając kolejno ich dziury palcami swojemi i zawsze myślałem, że Jo ma jakąś łączność z kaskadą Pissevache.

W ostatnim kącie mówiono o polityce. Gromiono nadaną konstytucję. Combeferre słabo jej bronił. Courfeyrac uderzał na nią energicznie. Na stole leżał nieszczęsny egzemplarz słynnej Karty Touquet. Courfeyrac schwyciwszy ją, wstrząsał, mieszając dowody swoje z szelestem tego arkusza papieru.

— Naprzód, nie chcę królów; nie chcę ich, chociażby tylko ze względu ekonomicznego; król jest pasożytem. Nie ma królów bezpłatnych. Słuchajcie, jaką jest drogość królów. Ze śmiercią Franciszka I, dług publiczny we Francji wynosił trzydzieści tysięcy liwrów renty; ze śmiercią Ludwika XIV, dług ten wynosił dwa miljardy sześćset miljonów, po dwadzieścia ośm liwrów na masę, co równało się w 1760 r., podług Desmuretsa, czterem miljardom pięciuset miljonom, a co równałoby się dzisiaj dwunastu miljardom. Powtóre — niech daruje Combeferre — karta oktrojowana jest złym środkiem cywilizacyjnym. Dopomódz rozwojowi, złagodzić przejście, zmniejszyć wstrząśnienie, przeprowadzić nieznacznie naród od monarchji do demokracji przez zastosowanie fikcyj konstytucyjnych, wszystko to są obmierzłe sposoby. Nie! nie! Nie przedstawiajmy ludowi przedmiotów w fałszywem świetle. Zasady więdną i bledną w waszej piwnicy konstytucyjnej. Precz ze zbytkowaniem, spodleniem, precz z kompromisami, przecz z konstytucją oktrojowaną przez króla ludowi. We wszystkich tych oktrojowanych konstytucjach jest artykuł 14. Obok ręki, która daje, są szpony, które wydzierają. Odrzucam zgoła waszą kartę. Karta jestto maska; kłamstwo znajduje

się pod nią. Naród, który przyjmuje kartę, abdykuje. Prawo tylko w całości jest prawem. Nie! Nie trzeba karty.

Było to zimą, na kominku paliły się dwa polana. Pokusa była wielka i Courfeyrac jej się nie oparł. Zgniótł w pięści biedną kartę Touqueta i rzucił ją w ogień. Papier zajął się płomieniem. Combeferre patrzał filozoficznie, jak się paliło arcydzieło Ludwika XVIII, i zadowolił się słowami:

Karta zamieniona w płomień.

Sarkazmy, dowcipy, koncepty, właściwy Fancuzom zapał, właściwy Anglikom humor, dobry i zły smak, dobre i złe dowody, rozmaite błyskotliwe zwroty — wybiegały naraz z wszystkich punktów sali i krzyżowały się z sobą, tworząc ponad głowami pewien rodzaj wesołego, krzyżowego ognia.

V.

Widnokrąg się rozszerza.

Starcie się młodych umysłów tem zadziwia, że nigdy nie można przewidzieć iskry ani odgadnąć błyskawicy. Co nastąpi za chwilę? Niewiadomo! Wybuch śmiechu następuje po rozczuleniu. W chwili żartu pojawia się myśl poważna. Pobudki zależą od pierwszego lepszego słowa. Nastrój każdego jest najwyższy. Dosyć słówka dowcipnego, aby wywołać coś niespodziewanego. To są rozmowy z nagłemi zwrotami, gdzie perspektywa zmienia się odrazu. Przypadek jest maszynistą w tych rozmowach. Myśl poważna, która dziwacznie powstała z trzasku słów rzuconych, przeszyła naraz tę gmatwaninę wyrazów, któremi w nieładzie szermowali Grantaire, Bahorel, Preuvaire, Bossuet, Combeferre i Courfeyrac. W jaki sposób powstaje pewien frazes w rozmowie? Czem się to dzieje, że nagle zwraca on powszechną uwagę na siebie? Jak już powiedzieliśmy, nikt tego nie wie. Wśród wrzawy Bossuet zakończył naraz zwrot swój do Combeferrea następującą datą:

— W czerwcu 1815 r.: Waterloo.

Na ten wyraz: „Waterloo“ — Marjusz, który siedział oparty na łokciu przy szklance wody, stojącej na stole, usunął rękę z pod podbródka i zaczął uważnie wpatrywać się w mówiących.

— *Pardieu!*—Zawołał Courfeyrac—(*Parbleu* w tej epoce wyszło z użycia) cyfra ta 18 jest dziwna i mnie zastanawia. Jest to cyfra fatalna dla Bonapartego. Postawcie przed nią Ludwika a poza nią brumaire, a będziecie mieli cały los tego człowieka, z tą wyraźną szczególnością, że za początkiem tuż idzie koniec.

Enjolras, dotąd milczący, przerwał milczenie i rzekł do Courfeyraca:

— Chcesz powiedzieć: za zbrodnią idzie odpokutowanie.

Wyraz: zbrodnia, dopełnił miary cierpliwości Marjusza, już bardzo wzruszonego nagłem wywołaniem Waterloo. Powstał i poszedł zwolna do mapy Francji, zawieszonej na ścianie; u dołu mapy widać było wyspę w osobnej klatce. Marjusz, postawiwszy palec na tę klatkę — rzekł:

— Korsyka. Mała wyspa, która Francję zrobiła wielką.

Był to niby powiew zimnego powietrza. Wszyscy umilkli. Przeczuwano, że coś ważnego ma nastąpić. Bahorel odcinając się Bossuetowi, już miał przybrać ulubioną postawę posągu. Wyrzekł się tego by słuchać. Enjolras, którego błękitne oko nie zwracało się na nikogo i zdawało się rozglądać w próżni, rzekł, nie patrząc na Marjusza.

— Francja nie potrzebuje żadnej Korsyki, ażeby być wielką! Francja jest wielką dlatego, że jest Francją! *Quia nominor leo.*

Marjusz nie uczuwał ochoty ustępować; zwrócił się do Enjolrasa, i głos jego zabrzmiał tem drzeniem, którego daje wewnętrzne wzruszenie:

— Broń Boże, żebym miał zmniejszać znaczenie Francji! lecz zespalać z Napoleonem, nie znaczy ją zmniejszać. Tak, pomówmy o tem. Jestem pomiędzy wami nowicjuszem, lecz przyznaję się, zadziwiacie mię. Gdzieśmy? Cośmy? Kto jesteście? Kto ja jestem? Porozumiejmy się co do cesarza. Słyszę jak mówicie Buonapart, akcentując jak rojaliści. Uprzedzam, że mój

dziadek jeszcze lepiej robi: on mówi Buonaparte. Co wzbudza wasz zapał, i co z nim robicie? Kogo wielbicie, jeśli nie uwielbiacie cesarza? I kogo wam trzeba jeszcze więcej? Jeżeli nie chcecie tego wielkiego człowieka, to jakichże wielkich ludzi chcecie? On miał wszystko. On był zupełny. W mózgu swoim miał sześcian zdolności ludzkich. Układał kodeksy jak Justynian, dyktował jak Cezar, w rozmowie błyskawicę Paskala łączył z piorunem Tacyta, robił historję i pisał ją, biuletyny jego — to Iljady, kombiwał cyfrę Newtona z metaforą Mahometa, na Wschodzie pozostawił po za sobą słowa wielkie jak piramidy, w Tylży uczył cesarzów majestatu, w Akademji nauk dawał odpowiedź Laplacowi, w radzie państwa stawił czoło Merlinowi, wlewał duszę w geometrję jednych i w matactwo drugich, był legistą z prokuratorami i gwiaździarzem z astronomami; jak Kromwel, który gasił jednę z dwóch świec, chodził on do Temple kupować chwasty do firanek; widział wszystko; znał wszystko; nie przeszkadzało mu to śmiać się śmiechem poczciwca przy kolebce swego małego dziecięcia; i na raz Europa przerażona słyszała, jak armje występowały w pochód, parki artyleryjskie toczyły się, mosty na łyżwach przeciągały się przez rzeki, chmury jazdy galopowały jak huragan, krzyki, trąby, trzęsienie się tronów wszędzie, granice królestw zmieniające się na mapie, słyszano szczęk nadludzkiego miecza, który wydobywał się z pochwy, widziano go, jak wstawał na widnokręgu z płomieniem w ręku i z blaskiem w oczach, rozwijający w piorun dwa swe skrzydła: wielką armję i starą gwardję, był to archanioł wojny!

Wszyscy milczeli; Enjolras spuścił głowę. Milczenie zawsze jest potrosze skutkiem zgodzenia się, lub pewną oznaką przyparcia do muru. Marjusz prawie nie odetchnąwszy, mówił dalej w nadmiarze zapału:

— Bądźmy sprawiedliwi, przyjaciele! Być cesarstwem takiego cesarza, co za świetny los dla narodu,

kiedy tym narodem jest Francja i kiedy swój genjusz dołącza do genjusza tego człowieka! Zjawić się i panować, iść i tryumfować, za etapy swoje mieć wszystkie stolice, z grenadjerów swoich robić króli, dekretować upadek dynastji, zmienić obraz Europy w pochodzie bojowym, ażeby widziano, kiedy ty grozisz, że dotykasz rękojeści miecza Bożego, iść za mężem, który sam jeden przedstawia Hannibala, Cezara i Karola Wielkiego, być narodem człowieka, który o świcie każdego dnia zapowiada świetną wygraną bitwę; budzić się przy odgłosie dział inwalidów, rzucać w przepaście światła cudowne wyrazy, które zawsze lśnić będą: Marengo, Arkole, Austerlitz, Jena, Wagram! rozpalać co chwila na zenicie wieków konstelacje zwycięztw, z cesarstwa francuskiego utworzyć podobiznę cesarstwa rzymskiego, być wielką narodowością i zrodzić wielką armję, puścić w lot po całej ziemi swoje legjony, jak góra posyła na wszystkie strony swoje orły, zwyciężać, władać, druzgotać, być w Europie niejako narodem promieniejącym sławą, brzmieć przez całe dzieje tataniczną muzyką trąb i rogów, zdobywać świat podwójnie: zwycięztwem i olśnieniem, to jest rzecz szczytna, i cóż jest większego?

— Być wolnym! — powiedział Combeferre.

Z kolei Marjusz spuścił głowę; proste to i zimne słowo nagle powstrzymało jego potok epiczny i uczuł, jak zapał jego stygnął. Kiedy podniósł oczy, Combeferrea już nie było. Prawdopodobnie, zadowolony ze swej odpowiedzi na wypowiedzianą apoteozę, wyszedł i wszyscy z wyjątkiem Enjolrasa, poszli za nim. Sala się wypróżniła. Enjolras, pozostawszy sam z Marjuszem, patrzał na niego poważnie. Tymczasem Marjusz, zebrawszy trochę myśli, nie uważał się za pobitego; wrzało w nim jeszcze, co bezwątpienia wylałoby się w sylogizmy, któreby skierował przeciwko Enjolrasowi, kiedy nagle usłyszał, jak ktoś śpiewał schodząc po schodach. Był to Combeferre i oto co śpiewał:

Si César m'avait donné
La gloire et la guerre,
El qu'il me fallut quitter
L'amour de ma mère,
Je dirais au grand César:
Reprends ton sceptre et ton char,
J'aime mieux me mère, ôgue!
J'aime mieux ma mère *).

Czuła, a zarazem dzika nuta, która brzmiała w śpiewie Combeferra nadawała tej zwrotce pewną dziwną wielkość. Marjusz zamyślony i z okiem utkwionem w sufit, powtórzył prawie machinalnie: „Moja matka“..

W tej chwili uczuł na swojem ramieniu rękę Enjolrasa.

— Obywatelu—rzekł Enjolras—moją matką jest rzeczpospolita!

---

*) Gdyby Cezar dawał mnie — Sławę i wojnę — A musiałbym wyrzec się miłości matki mojej — Byłbym powiedział wielkiemu Cezarowi — Zabierz swoje berło i swój wóz tryumfalny — Wolę moją matkę — Wolę moją matkę.

VI.

Res Augusta.

Wieczór ten wstrząsnął silnie Marjuszem, i smutna ciemność zapanowała w jego duszy. Doznał tego, czego doznaje, być może, ziemia w chwili, gdy żelazo otwiera jej łono dla złożenia ziarna zbożowego; czuje tylko ranę; drżenie poczęcia i radość płodu następują później. Marjusz był ponury. Zaledwie wyrobił w sobie wiarę i miałbyż już ją odrzucić? Sam zapewniał siebie że nie. Oświadczał, że nie chce wątpić i zaczął wątpić pomimo woli. Być pomiędzy dwiema religjami— jedną, z której jeszcze się nie wyszło, drugą, do której jeszcze się nie weszło — jest rzeczą nieznośną; zmierzch podoba się tylko duszom-nietoperzom. Marjusz miał źrenicę otwartą i trzeba mu było prawdziwego światła. Mrok wątpliwości sprawiał mu boleść. Jakkolwiek silnem było jego pragnienie pozostać tam, gdzie był, i trzymać się tego co zdobył, wszystko zmuszało go nieprzezwyciężenie iść dalej, posuwać się naprzód, badać myśleć, postępować coraz dalej. Dokąd miało to go zaprowadzić? Lękał się, ażeby zrobiwszy tyle kroków, by zbliżyć się do swego ojca, teraz nie robił kroków, któreby oddalały go od niego. Tłoczą ce się myśli wzmagały jego niemoc. Urwista pochyłość zarysowała się dokoła niego. Nie zgadzał się on ani z dziadkiem ani ze swymi przyjaciółmi; zuchwały

dla pierwszego, zacofany dla drugich, ujrzał się podwójnie osamotnionym, tak wobec starych, jak wobec młodzieży. Przestał uczęszczać do kawiarni Musain.

W tym niepokoju wewnętrznym nie myślał zgoła o pewnych ważnych stronach codziennego istnienia. Rzeczywistość życia nie daje się jednak zapomnieć. Gwałtownie potrąciła go ona. Pewnego poranku gospodarz hotelu wszedł do pokoju Marjusza i rzekł do niego:

— Pan Courfeyrac poręczył za pana.

— Tak.

— Lecz potrzebowałbym pieniędzy.

— Proś pan Courfeyraca, by przyszedł rozmówić się ze mną—powiedział Marjusz.

Kiedy Courfeyrac przyszedł, gospodarz ich zostawił. Marjusz opowiedział wówczas, czego dotąd jeszcze nie zrobił, że jest sam na świecie i że nie ma rodziców.

— Cóż poczniesz — zapytał Courfeyrac.

— Nic nie wiem—odpowiedział Marjusz.

— Cóż będziesz robił?

— Nic nie wiem.

— Masz pieniądze?

— Piętnaście franków.

— Chcesz, ażebym ci pożyczył?

— Za nic.

— Masz odzienie?

— Oto jest.

— Masz jakie klejnoty?

— Zegarek.

— Srebrny?

— Złoty. Oto jest.

— Znam kupca, który kupi surdut od ciebie i pantalony.

— Dobrze.

— Będziesz miał tylko jedne pantalony, kamizelkę, kapelusz i tużurek.

— I buty.

— I cóż znowu! Przecież boso chodzić nie będziesz? Co za bogactwo!

— Wystarczy.

— Znam zegarmistrza, który kupi zegarek.

— Dobrze.

— Nie, nie dobrze. Co robić będziesz później?

— Wszystko co potrzeba będzie. Przynajmniej wszystko co uczciwe.

— Umiesz po angielsku?

— Nie.

— Umiesz po niemiecku?

— Nie.

— Tem gorzej.

— Dla czego?

— Dla tego, że jeden z moich przyjaciół, księgarz, układa coś w rodzaju encyklopedji, do której moglibyście tłómaczyć artykuły niemieckie lub angielskie. Licho to płatne, lecz można żyć.

— Nauczę się po angielsku i po niemiecku.

— A tymczasem?

— A tymczasem jeść będę moje odzienie i mój zegarek.

Przywołano tandeciarza. Kupił odzienie używane za dwadzieścia franków. Poszli do zegarmistrza. Kupił zegarek za czterdzieści pięć franków.

— To nieźle — powiedział Marjusz do Courfeyraca, wchodząc do hotelu — wraz z piętnastu frankami, które miałem, czyni to ośmdziesiąt franków.

— A rachunek hotelowy?—zauważył Courfeyrac.

— Masz tobie, zapomniałem!—powiedział Marjusz.

Gospodarz doręczył rachunek, który należało natychmiast zapłacić. Wynosił siedmdziesiąt franków.

— Pozostaje mi dziesięć franków — powiedział Marjusz.

— Do djabła — wtrącił Courfeyrac — będziesz jadł pięć franków, ucząc się po angielsku, i pięć franków, ucząc się po niemiecku. Trzeba będzie albo bar-

dzo szybko połykać język, albo bardzo powoli stosusową monetę.

Tymczasem ciotka Gillenormand, w gruncie dosyć dobra osoba, w chwilach smutnych odszukała wreszcie mieszkanie Marjusza. Pewnego poranku, kiedy Marjusz wrócił ze szkoły, znalazł u siebie list ciotki i w pudełku zapieczętowane sześćdziesiąt pistolów, t. j. sześćset franków w złocie.

Marjusz odesłał ciotce trzydzieści luidorów wraz z listem pełnym szacunku, w którym oświadczał, że ma środki do życia i że odtąd może zaspokoić wszystkie swoje potrzeby. Miał wówczas jeszcze trzy franki.

Ciotka nie wspominała nic dziadkowi o tej odmowie, bojąc się go rozgniewać do reszty. Zresztą on sam powiedział: Niech mnie nikt nie wspomina o tym krwiożercy.

Marjusz opuścił hotel Porte Saint Jacques nie chcąc się w nim zadłużyć.

KSIĘGA PIĄTA.

DOBRA STRONA NIESZCZĘŚCIA.

I.

Marjusz ubogi.

Życie stało się surowem dla Marjusza. Zjadać odzienie i zegarek, to jeszcze nic. Marjusz zjadał to, co możnaby nazwać niewypowiedzianą nędzą. Okropna ta rzecz, zamyka w sobie dni bez chleba, noce bez snu, wieczory bez światła, ognisko bez nadziei, odzież podartą na łokciach, stary kapelusz, wzbudzający śmiech w młodych dziewczętach, drzwi mieszkania twego, które wieczorem zamykają przed tobą dla tego, że się nie zapłaciło czynszu, zuchwalstwo odźwiernego i właściciela garkuchni, szyderstwo, upokorzenie, godność podeptaną, pracę jakąkolwiek chwytaną, wstręt, gorycz, pognębienie! Marjusz nauczył się, jak to wszystko się zjada, i jak często nie ma nic innego do zjedzenia. W porze życia, kiedy człowiek potrzebuje dumy, ponieważ potrzebuje miłości, czuł, jak naigrawano się z niego, dla tego, że był źle ubrany, jak stawał się pośmiewiskiem, dla tego, że był ubogi. W wieku, kiedy młodość napełnia serce potężną dumą, spuszczał nieraz oczy na swoje dziurawe buty i poznał czem jest niesprawiedliwy wstyd i bolesne zapłonienie nędzy. Zadziwiająca i straszna próba, z której słabi wychodzą bezecni a silni szczytnymi. Ile razy los chce mieć łotra lub półboga, wydaje człowieka na taką próbę. Wielkie czyny są bowiem liczne w ma-

łych walkach. Są częste przykłady upartego i ukrytego przed ludźmi męztwa, które broni się krok za krokiem w cieniu, przeciwko fatalnej sile konieczności i podłości. Szlachetne i tajemnicze tryumfy, których żadne oko nie widzi, żadne słowo nie nagradza, żadne okrzyki nie witają. Życie nieszczęsne, samotność, opuszczenie, ubóstwo — są to pola bitwy, które mają swoich bohaterów. Ci bohaterowie nieznani, są niekiedy bohaterami większymi od słynnych. Tak się tworzą silne i niepospolite charaktery. Nędza, prawie zawsze macocha, niekiedy bywa matką; niedostatek rodzi potęgę duszy i ducha; ubóstwo jest karmicielką duszy, nieszczęście — to dobry pokarm dla wielkodusznych.

Były chwile w życiu Marjusza, kiedy sam zamiatał sień swoją, kiedy kupował za sousa kawałek sera u owczarki, kiedy czekał aż zmierzch zapadnie ażeby przejść do piekarza i kupić chleba, który niósł do stancyjki swojej oglądając się, jakby go ukradł. Czasami widziano, jak młody niezgrabny człowiek, niosący książki pod pachą, z nieśmiałym i gniewnym wyrazem na twarzy, przemykał się pomiędzy żartującemi kucharkami, które go potrącały, do narożnej rzeźni. Wchodząc zdejmował kapelusz z czoła, na którem perliły się krople potu, kłaniał się głęboko rzeźniczce zdziwionej, kłaniał się następnie rzeźnikowi usługującemu, prosił o kotlet barani, płacił za niego sześć lub siedm sous, zawijał go w papier, kładł pomiędzy dwie książki pod pachę i wychodził. Kotletem tym, który sam sobie smarzył, żył przez trzy dni. Pierwszego dnia zjadł mięso, drugiego zjadł tłuszcz, a trzeciego ogryzał kości.

Ciotka Gillenormand próbowała po kilka razy posłać Marjuszowi po kilkadziesiąt pistolów. Zawsze je odsyłał, pisząc, że wcale ich nie potrzebuje. Nosił jeszcze żałobę po ojcu, kiedy w umyśle jego zaszła opowiedziana przez nas rewolucja. Odtąd nie zrzucał czarnego odzienia. Ale odzienie go porzucało. Nad-

szedł dzień, kiedy zabrakło mu surduta. Pantalony uchodziły jeszcze. Co począć? Courfeyrac, któremu wyświadczył jakąś usługę, dał mu stary surdut. Marjusz oddał go pewnemu odźwiernemu do przenicowania za trzydzieści sous i miał surdut nowy. Lecz surdut ten był zielony. Marjusz więc wychodził z domu, kiedy noc zapadała. Robiło to jego surdut czarnym. Chcąc być zawsze w żałobie, okrywał się nocą. Wśród tego wszystkiego, Marjusz został adwokatem. Udawał, że mieszka w pokoju Courfeyrac'a, w pokoju, który wyglądał przyzwoicie, w którym pewna liczba zużytych ksiąg prawniczych, dokompletowana pojedynczemi tomami powieści, przedstawiała bibljotekę, wymaganą przez regulamin. Listy kazał sobie adresować do Courfeyrac'a.

Kiedy Marjusz został adwokatem, zawiadomił o tem swego dziadka w liście zimnym, lecz pełnym uległości i szacunku. P. Gillenormand wziął do ręki list ze drżeniem, przeczytał go i, rozdarłszy na cztery części, rzucił do kosza. We dwa lub trzy dni później, panna Gillenormand słyszała, jak jej ojciec, który był sam w pokoju, mówił głośno. To mu się zdarzało czasami, kiedy był bardzo wzruszony. Nadstawiła ucha, starzec mówił:

— Gdybyś nie był niedołęgą, wiedziałbyś, że nie można być równocześnie baronem i adwokatem.

II.

Marjusz biedny.

Z nędzą jest tak, jak ze wszystkiem. Staje się wreszcie znośną. Przybiera pewien kształt i pewien układ. Człowiek wegetuje to jest istnieje licho, ale żyje. Oto, w jaki sposób ułożyło się życie Marjusza Pontmercy.

Wyszedł już z ciasnoty; widnokrąg trochę rozszerzył się przed nim. Pracowitością, odwagą, wytrwałością i wolą, doszedł do tego, że praca dawała mu około siedmiuset franków. Nauczył się po niemiecku i po angielsku. Dzięki Courfeyrac'owi, który poznajomił go ze swoim przyjacielem księgarzem, Marjusz w literaturze księgarskiej spełniał skromną rolę użyteczności. Układał prospekty, tłumaczył dzienniki, robił notaty do wydawnictw, kompilował biografie i t. d., co przynosiło mu dochodu czystego, tak w dobry jak zły rok, siedmset franków. Z tego żył. Jak? Nieźle. Właśnie mamy o tem mówić.

Marjusz wynajmował za trzydzieści franków rocznie w ruderze Gorbeau ciupkę bez kominka, którą nazywano gabinetem, i w której były tylko najniezbędniejsze meble. Meble należały do niego. Płacił trzy franki miesięcznie starej głównej lokatorce, która zamiatała jego ciupkę i przynosiła mu co rano trochę wody gorącej, świeże jajko i chleba za sous. Chleb

ten i jajko stanowiły jego śniadanie. Kosztowało go ono od dwóch do czterech sous, stosownie do tego, czy jaja były drogie czy tanie. O szóstej godzinie wieczorem szedł na ulicę Saint-Jacques na obiad do Rousseau, naprzeciw Basseta, sprzedającego sztychy na rogu ulicy des Mathurins. Nie jadał zupy. Brał porcję mięsa za sześć sous i deser za trzy sous. Za trzy sous miał chleba do woli. Co do wina, pijał wodę. Płacąc przy kantorku, za którym majestatycznie zasiadała pani Rousseau, wówczas zawsze tłusta i jeszcze świeża, dawał sous chłopcu, a pani Rousseau nagradzała go uśmiechem. Później wychodził. Za szesnaście sous dostawał uśmiech i obiad.

Restauracja ta Rousseau, gdzie wypróżniano mało butelek, a tak wiele karawek, więcej uspakajała, aniżeli restaurowała. Nie istnieje już dzisiaj. Właściciel jej miał piękne przezwisko: nazywano go Rousseau wodnisty.

I tak, śniadanie za cztery sous, obiad za szesnaście sous dziennie, co czyniło trzysta sześćdziesiąt pięć franków rocznie. Dodajmy do tego trzydzieści franków czynszu i trzydzieści sześć franków, które płacił starej, a nadto niektóre drobne wydatki. Za czterysta pięćdziesiąt franków Marjusz miał jedzenie, mieszkanie i usługę. Odzienie kosztowało go sto franków, bielizna pięćdziesiąt franków. Pozostawało mu pięćdziesiąt franków. Był bogaty. W potrzebie pożyczał przyjacielowi dziesięć franków; Courfeyrac mógł raz pożyczyć u niego sześćdziesiąt franków. Co do opału, Marjusz nie mając kominka, „uprościł“ takowy.

Marjusz miał zawsze dwa garnitury zupełne: jeden stary na codzień, drugi nowy na wypadki. Oba były czarne. Miał tylko trzy koszule: jedną na sobie, drugą w komodzie, trzecią u praczki. Odnawiał je, w miarę jak się zużywały. Zwykle były podarte: to go zmuszało zapinać surdut aż pod szyję.

Zanim Marjusz doszedł do tego kwitnącego stanu, trzeba było lat całych; lat ciężkich, trudnych,

z których jedne trzeba było przebyć, drugie przeleźć. Marjusz nie potknął się ani razu. Wszystkiego doświadczył pod względem niedostatku; wszystko robił z wyjątkiem długów. Oddawał sam sobie tę sprawiedliwość, że nigdy nie był winien nic nikomu. Dla niego dług był to początek niewoli. Powiadał sobie nawet, że wierzyciel gorszy jest od pana, ponieważ pan panuje tylko nad twoją osobą, wierzyciel zaś ma w swym ręku twoją godność i może ją policzkować. Wolał nie jeść aniżeli pożyczać. Pościł niemało dni. Czując, że ostateczności stykają się i że gdyby się nie strzedz, upadek fortuny mógłby doprowadzić do podłości, zazdrośnie czuwał nad swoją dumą. Taka formuła lubi taki postępek, które w każdem innem położeniu byłyby uważane przez niego za oznakę uszanowania, wydawały się mu teraz poniżeniem, i prostował się. Nie chcąc się cofać, niczem nie wyrokował. Miał na twarzy pewien rodzaj rumieńca surowego. Był lękliwy aż do szorstkości.

W pewnych trudnościach czuł, jak jakaś tajemnicza w nim siła dodawała mu odwagi, a czasami podnosiła go nawet. Dusza pomaga ciału, a w pewnych chwilach dźwiga je. Jedyny to ptak, co podtrzymuje swoją klatkę. W sercu Marjusza wyryte było obok imienia ojca jeszcze inne imię, imię Thenardiera. Marjusz, z natury entuzjasta i poważny, otoczył pewną aureolą tego człowieka, któremu — jak myślał—winien był życie swego ojca, tego odważnego sierżanta, który wśród kul i kartaczy bitwy Waterloo ocalił swego pułkownika. Wspomnienia o tym człowieku nie odłączał od wspomnienia o ojcu i łączył je w swojej czci. Był to pewien rodzaj kultu o dwóch stopniach: wielki ołtarz dla pułkownika, mały dla Thenardiera. Uczucie jego wdzięczności podwajała wiadomość o nieszczęściu, w jakie miał wpaść Thenardier. Marjusz dowiedział się w Montfermeil o ruinie i bankructwie nieszczęśliwego oberżysty. Odtąd czynił niesłychane usiłowania, ażeby wyszukać jego ślady i do-

trzeć do tej ciemnej przepaści nędzy, w której Thenardier zniknął. Marjusz obiegał cały kraj; był w Chelles, Bondy, Gournay, Nogent, Lagny. Zawzięcie szukał przez trzy lata, wydając na te zwiady te trochę pieniędzy, co oszczędał. Nikt nie mógł mu udzielić żadnej wiadomości o Thenardierze; mniemano, że wydalił się w obce kraje. Wierzyciele jego szukali go także, z mniejszą miłością od Marjusza, ale z takąż samą zawziętością i nie mogli go dosięgnąć. Marjusz obwiniał siebie i miał żal prawie, że nie powiodło mu się w tych poszukiwaniach. Był to jedyny dług, pozostawiony przez pułkownika i Marjusz uważał za obowiązek honoru spłacić takowy. —Jakto — myślał, kiedy mój ojciec leżał umierający na polu bitwy, Thenardier zdołał wśród dymu i kartaczy odszukać go i unieść na własnych ramionach, a tymczasem nic mu nie był winien, ja zaś, który jestem tyle winien Thenardierowi, nie jestem wstanie wyszukać go w tych ciemnicach, w których dogorywa, i z kolei wyrwać go od śmierci i przywrócić życiu! O! ja go wynajdę!—W samej rzeczy, Marjusz dla odszukania Thenardiera oddałby jedno z swych ramion, a dla wydobycia go z nędzy wszystką krew swoją. Zobaczyć Thenardiera, oddać mu jakąkolwiek usługę, powiedzieć mu: — Nie znasz mnie pan, ale ja pana znam! Jestem na usługi pana. Rozporządzaj mną! — było to najsłodsze i najpiękniejsze marzenie Marjusza.

III.

Marjusz wyrasta.

W tej epoce Marjusz miał lat dwadzieścia. Już trzy lata jak porzucił swego dziadka. Pozostawano w tych samych stosunkach, nie probując zbliżyć się i nie starając się zobaczyć. Wreszcie, zobaczyć się— do czego by to posłużyło? Ażeby się zetrzeć? Który z nich miał słuszność względem drugiego? Marjusz był ze spiżu, lecz ojciec Gillenormand był z żelaza.

Powiedzmy, Marjusz mylił się co do serca swego dziadka. Wyobraził był sobie, że p. Gillenormand nigdy go nie kochał, i że ten poczciwina prędki, twardy i śmiejący się, który klął, krzyczał, hałasował i podnosił pałkę, miał dla niego co najwięcej to uczucie lekkie i zarazem surowe, rodziców z komedji. Marjusz się mylił. Bywają ojcowie, którzy nie kochają swych dzieci, ale nie ma dziadka, któryby nie ubóstwiał swego wnuka. W samej rzeczy—jak już powiedzieliśmy—p. Gillenormand przepadał za Marjuszem. Przepadał po swojemu, nie szczędząc łajania a nawet policzków; lecz skoro to dziecko zniknęło, uczuł czarną próżnię w sercu; żądał, ażeby mu o niem więcej nie mówiono, w duchu żałował, że go usłuchano. W pierwszych chwilach spodziewał się, że ten bonapartysta, ten jakobin, ten terorysta, septembrzysta wróci. Lecz tygodnie upłynęły, miesiące upłynęły, lata upłynęły,

i ten krwiożerca nie pojawił się wcale! Nie mogłem wszakże zrobić inaczej, jak tylko wypędzić go — powiadał do siebie dziadek i sam siebie zapytywał: tak! ale stara głowa, którą potrząsał w milczeniu, odpowiadała smutnie: nie! Miał swoje chwile zgnębienia. Brakło mu Marjusza. Starcy potrzebują miłości, jak słońca. Jest to także ciepło. Jakkolwiek miał silny charakter, brak Marjusza coś w nim zmienił. Za nic w świecie nie chciałby się zbliżyć ani jednym krokiem do tego „małego ladaco“, lecz cierpiał. Nigdy nie pytał o niego, ale wciąż myślał. Coraz więcej osamotniony żył w Marais. Był jeszcze, jak dawniej, gwałtowny i wesoły, ale w jego wesołości była konwulsyjna szorstkość, zamykająca w sobie, jak gdyby boleść i gniew, a wybuchy gwałtowności kończyły się zawsze rodzajem przygnębienia łagodnego i ponurego. Mówił czasem: O, gdyby wrócił, jakbym go porządnie wypoliczkował!

Co do ciotki, ta nadto mało myślała, by mogła wiele kochać; Marjusz był już tylko dla niej rodzajem czarnej i niewyraźnej sylwetki; zajmował ją wreszcie daleko mniej, aniżeli kot lub papuga, którą prawdopodobnie posiadała. Tajemną boleść ojca Gillenormand zwiększało to właśnie, że zamykał ją w sobie całą i nie zdradzał ją niczem. Smutek jego podobny był do owych pieców nowo wynalezionych, które spalają własny swój dym. Czasami, jeżeli kto z ciekawie natrętnych mówił mu o Marjuszu i zapytywał: Co się dzieje z pańskim wnukiem? — Starzec odpowiadał wzdychając, jeżeli był nadto smutny, albo też otrzepując rękawek, jeżeli chciał się pokazać wesołym: — Pan baron Pontmercy gdzieś adwokatuje.

Kiedy tak starzec żałował, Marjusz tymczasem czuł się zadowolonym. Jak u wszystkich ludzi dobrego serca, nieszczęście pozbawiło go goryczy. O panu Gillenormand myślał już tylko z łagodnością, ale trwał w postanowieniu nieprzyjmowania nic od człowieka, który był złym dla jego ojca. Była to teraz złago-

dzona forma, w której objawiało się dawniejsze jego oburzenie. Oprócz tego czuł się szczęśliwym, że doznał już cierpienia i że cierpiał jeszcze. Było to dla jego ojca. Ciężkie życie, które prowadził, zadawalniało go i podobało się mu. Mówił sobie z pewnym rodzajem radości: — Niechże choć to przynajmniej będzie — że było to — odpokutowanie za winy; że bez tego — byłby ukarany inaczej i później, za swą bezbożną obojętność dla ojca i to takiego jeszcze ojca;— że niesprawiedliwością byłoby, gdyby jego ojciec cierpiał wszystko, a on nic; czemże wreszcie były jego praca i niedostatek w porównaniu z bohaterskiem życiem pułkownika? — że tym nakoniec jedynym sposobem mógł się zbliżyć do swego ojca i stać się do niego podobnym, mianowicie walcząc mężnie przeciwko ubóstwu, tak jak on walczył przeciwko nieprzyjacielowi; i że to zapewne pułkownik miał na myśli, pisząc: będzie go godnym. Słowa te Marjusz nosił wciąż, nie na piersiach już, gdyż pismo zginęło, ale w sercu.

Wreszcie wówczas, kiedy dziadek go wypędził, był on jeszcze dzieckiem, teraz stał się mężczyzną. Czuł to. Nędza — powtarzamy — była dla niego korzystną. W młodości ubóstwo, które pomyślnie działa, ma to dobrego do siebie, że całą wolę zwraca ku usiłowaniom, a całą duszę ku aspiracji. Ubóstwo odrazu ukazuje życie materjalne w całej jego nagości i czyni je ohydnem; ztąd niewysłowione dążenie ku życiu idealnemu. Młody człowiek bogaty ma tysiące rozrywek wystawnych i zmysłowych: wyścigi końskie, polowanie, psy, tytoń, grę, uczty i t. d. Niskie strony duszy bawią się takim sposobem kosztem stron wysokich i delikatnych. Młody człowiek ubogi z trudem pracuje na chleb; je, poczem zostaje mu już tylko marzenie. Idzie na widowiska, które Bóg daje mu gratis; patrzy na niebo, na przestwory, gwiazdy, kwiaty, dzieci, ludzkość, w której on sam cierpi, świat, w którym sam promienieje. Wpatruje się tak mocno w ludzkość, że widzi duszę; wpatruje się tyle w świat, że

spostrzega Boga. Myśli, czuje się wielkim; myśli jeszcze, czuje się rozrzewnionym. Od egoizmu człowieka, który cierpi, przechodzi do współczucia człowieka, który rozmyśla. Rozwija się w nim szczytne uczucie: zapomnienie o sobie a litość dla wszystkich. Myśląc o niezliczonych przyjemnościach, któremi natura obdarza dusze otwarte, a których odmawia duszom zamkniętym, dochodzi do tego, że lituje się nad miljonerami pieniędzy, on, miljoner inteligencji. Wszelka nienawiść uchodzi z jego serca w miarę, jak światło wchodzi do jego umysłu. Zresztą jestże on nieszczęśliwy? Nie! Nędza młodego człowieka nigdy nie jest nędzą. Pierwszy lepszy młodzieniec, chociażby niewiedzieć jak był ubogi, zdrowiem swojem, siłą, szybkim chodem, błyszczącemi oczami, gorącą krwią, czarnemi włosami, świeżemi policzkami, różowemi ustami, białemi zębami, czystym oddechem zawsze wzbudzać będzie nienawiść w starym cesarzu. A później co rana bierze się do zarobku na chleb i kiedy ręce zdobywają chleb, kolumna pacierzowa zdobywa dumę, mózg zdobywa myśli. Po ukończeniu pracy, wraca do zachwytów niewysłowionych, do kontemplacji, do radości; żyje, mając stopy w strapieniu, w przeszkodach, na bruku, w przeciwnościach, niekiedy w błocie, głowę—w świetle. Jest mocno jasny, łagodny, spokojny, uważny, poważny, zadawalniający się małem, życzliwy i dziękuje Bogu, że ten dał mu dwa skarby, których brakuje wielu bogatym: pracę, która daje wolność, i myśl, która daje godność. Była to właśnie historja Marjusza. Jeżeli prawdę powiedzieć, zanadto nawet pogrążał się w kontemplacji. Od czasu, jak zaczął zarabiać na życie mniej więcej pewne, zatrzymał się na tem, znajdując, że dobrze jest być ubogim i odejmując czas od pracy na korzyść myśli. Znaczy to, że przepędzał niekiedy dnie całe w marzeniu, pogrążony i zatopiony jak ten, co miewa wizje, w nieme rozkosze zachwytu i promieniowania wewnętrznego. Zadanie jego życia tak mu się przedstawiało: pracować, o ile można najmniej fizycznie,

ażeby pracować o ile można najwięcej moralnie; innemi słowy, przeznaczać kilka godzin na życie realne, a resztę rzucać w nieskończoność. Sądząc, że nic mu nie braknie, nie spostrzegł się, że kontemplacja tak zrozumiana staje się wreszcie jedną z form lenistwa, że zaspokoiwszy pierwsze potrzeby życia, za rychło oddaje się wypoczynkowi.

Było rzeczą widoczną, ze taki stan rzeczy mógł być tylko przechodnim dla tego charakteru energicznego i szlachetnego, i że przy pierwszem starciu się z nieuniknionemi komplikacjami losu, Marjusz się przebudzi.

Tymczasem, chociaż był adwokatem — ojciec Gillenormand mógł sobie o tem myśleć co chciał — nie zajmował się obroną, ani nawet procesowaniem. Marzenie odciągnęło go od adwokatury. Chodzić do patronów, biegać do sądu, szukać spraw — to rzecz nudna. Po co? Nie widział żadnego powodu zmieniania sposobu zarobkowania. Owa księgarnia mało znana, dała mu wreszcie pracę pewną, pracę nietrudną, a która—jak to mówiliśmy—wystarczała mu zupełnie.

Jeden z księgarzy, dla których pracował — jak się zdaje, pan Maginel, zaproponował mu, że go weźmie do siebie, da mu mieszkanie, pracę stałą i tysiąc pięćset franków rocznie. Mieć dobre mieszkanie! Tysiąc pięćset franków! Zapewne. Ale wyrzec się wolności! Być najemnikiem! Pewnym rodzajem subjekta literackiego! W myśli Marjusza przyjęcie tego obowiązku polepszało i pogarszało równocześnie jego położenie: zyskiwał dobrobyt a tracił godność; nieszczęście zupełne i piękne zamieniało się w przymus brzydki i śmieszny: coś w rodzaju tego, jakby ślepy stawał się jednookim. Odmówił.

Marjusz żył samotnie. Nie wszedł stanowczo do grupy, której przewodniczył Enjolras; raz dla tego, że lubił być po za obrębem wszystkiego, powtóre dla tego, że był trochę wystraszony. Zachowano nadal dobre przyjacielskie stosunki; w każdej potrzebie gotowi

byli wspierać się wzajemnie wszelkiemi możliwemi sposobami; nic więcej nadto. Marjusz miał dwóch przyjaciół: młodego Courfeyrac'a i starego pana Mabeufa; skłaniał się do starego. Najprzód jemu zawdzięczał rewolucję, która w nim zaszła—jemu też zawdzięczał, że poznał i pokochał swego ojca.—Zdjął mi kataraktę — powiadał.

Rzecz pewna, skarbnik parafii wywarł wpływ stanowczy. P. Mabeuf wszakże w tym wypadku był tylko spokojnym i obojętnym czynnikiem Opatrzności. Przypadkowo i mimowiednie oświecał Marjusza, tak jak świeca, którą przyniósłby ktoś; był on świecą, nie zaś tym ktosiem. Co zaś do wewnętrznej politycznej rewolucji w Marjuszu, to p. Mabeuf zgoła nie był zdolny ani jej zrozumieć, ani chcieć, ani nią pokierować. Ponieważ później spotkamy p. Mabeufa, kilka słów o nim nie będzie bezużytecznych.

IV.

Pan Mabeuf.

Tego dnia, kiedy p. Mabeuf powiedział Marjuszowi: „Zapewne, uznaję opinje polityczne“ — przedstawił mu dokładny plan swego umysłu. Wszystkie opinje polityczne były dla niego obojętne i wszystkie uznawał bez różnicy, byle tylko pozostawiły go w spokojności; robił jak Grecy, którzy nazywali Furje „pięknemi, dobremi, czarującemi“ Eumenidami. P. Mabeuf miał swoją opinję polityczną: kochał namiętnie rośliny a nadewszystko książki. Miał jak i wszyscy swoją końcówkę: ista, bez której w owym czasie nikt nie mógł żyć, ale nie był ani rojalistą, ani bonapartystą, ani konstytucjonalistą, ani orleanistą, ani anarchistą, lecz tylko bukinistą (antykwarjusz). Nie pojmował, jak ludzie mogli zajmować się nienawidzeniem się wzajemnem dla takich głupstw, jak karta konstytucyjna, demokracja, legitymizm, monarchja, rzeczpospolita itd., kiedy mogli na tym świecie przypatrywać się wszelkiego rodzaju mchom, trawom i krzakom i przeglądać stosy ksiąg in folio a nawet in 32. Strzegł się mocno tego, by nie był nieużytecznym; posiadanie książek nie przeszkadzało mu je czytać, zajęcia botanicze nie przeszkadzały mu być ogrodnikiem. Kiedy poznał Pontmercy'ego, pomiędzy pułkownikiem i nim istniała tego rodzaju sympatja, że to, co robił pułkownik dla kwia-

tów, on robił dla owoców. P. Mabeuf doszedł do tego, że przez szczepienie wyhodował gruszki tak smaczne jak gruszki Saint-Germain; skutkiem jednej z tych kombinacyj — jak się zdaje — powstała mirabela październikowa, słynna dzisiaj a niemniej wonna od mirabali letniej. Chodził na mszę, raczej z powodu swego łagodnego usposobienia, aniżeli przez nabożeństwo, i dla tego także, że lubiąc twarze ludzkie a nienawidząc szumu, znajdował w kościele ludzi zgromadzonych i milczących. Czując, że trzeba być czemś w państwie, wybrał obowiązek skarbnika parafii. Wreszcie, nigdy nie udawało mu się pokochać żadnej kobiety tak, jak kochał cebulkę tulipana, ani też pokochać jakiego mężczyznę, tak jak kochał elzewiry. Oddawna już minęło mu sześćdziesiąt lat, kiedy pewnego dnia zapytano go: — Czy pan nigdy nie byłeś żonaty? — Zapomniałem — odpowiedział. Jeżeli zdarzało mu się niekiedy—a komuż to się nie zdarza?—powiedzieć:— Och! gdybym był bogaty! — nie spoglądał wówczas na piękną dzieweczkę jak ojciec Gillenormand, ale patrzał na starą jaką księgę. Żył sam, ze starą służącą. Cierpiał trochę na chiragrę, i kiedy spał, stare jego palce, zesztywniałe od reumatyzmu, kurczyły się między fałdami kołdry. Ułożył i ogłosił drukiem *Florę okolic Cauteretz* z tablicami kolorowanemi, dzieło dosyć poważne, którego tafle miedziorytowe znajdowały się u niego, i które sam sprzedawał. Przychodząc po nie, dzwoniono dwa lub trzy razy na dzień do jego mieszkania na ulicy Mezières. Miał z tego przeszło dwa tysiące franków rocznie; była to prawie cała jego fortuna. Chociaż ubogi, miał ten talent, że przy cierpliwości i oszczędności, zebrał z czasem kosztowny zbiór rzadkich egzemplarzy wszelkiego rodzaju. Wychodził zawsze z książką pod pachą, a wracał często z dwiema. Jedynem upiększeniem jego czterech pokoi parterowych, które wraz z ogródkiem stanowiły jego mieszkanie, były zielniki oprawione w ramy i sztychy starych mistrzów. Widok szpady lub strzelby przej-

mował go zimnym dreszczem. W życiu swojem nigdy nie zbliżał się do działa, nawet u Inwalidów. Miał żołądek znośny, brata księdza, włosy zupełnie białe, brak zębów zarówno w ustach jak w umyśle, drżenie w całem ciele, akcent pikardzki, śmiech dziecięcy, przestrach łatwy i wyraz twarzy starego barana. Z tem wszystkiem, żadnej innej przyjaźni, ani też żadnej innej zażyłości z żywemi osobami, oprócz starego księgarza u bramy Saint-Jacques, nazywającego się Royol. Marzeniem jego było naturalizować indygo we Francji. Służąca jego była także pewną odmianą niewinności. Biedna staruszka była dziewicą. Sułtan jej, maciuś, któryby mógł wymiauczeć miserere Allegri w kaplicy Sykstyńskiej, wypełniał jej serce i wystarczał dla tej ilości uczucia, które posiadała. Żadne z jej marzeń nie posunęło się było do mężczyzny. Nigdy nie sięgnęła dalej nad swego kota. Miała jak i on wąsy. Chlubę jej stanowiły czepce zawsze białe. W niedzielę po nabożeństwie przepędzała czas na rachowaniu swojej bielizny w kuferku i na rozkładaniu na łóżku swoich sukien, w sztukach, które kupowała i nie dawała nigdy do uszycia. Umiała czytać: P. Mabeuf przezwał ją matką Plutarchem.

P. Mabeuf przyjmował Marjusza dobrze, dla tego, że Marjusz będąc młodym i łagodnym, ogrzewał jego starość, nie wystraszając jego nieśmiałości. Młodość połączona z łagodnością wywiera na starców wrażenie słońca bez wiatru. Kiedy Marjusz, nasyciwszy się sławą wojenną, prochem, marszami i kontrmarszami, oraz wszystkiemi temi nadzwyczajnemi bitwami, w których jego ojciec zadawał i otrzymywał takie silne cięcia szpadą, szedł do p. Mabeufa, ten opowiadał mu o bohaterze ze stanowiska kwiatów. Około r. 1830, brat jego ksiądz umarł, i prawie nagle, jakby noc zapadła, cały widnokrąg sposępniał dla p. Mabeufa. Bankructwo notarjusza pozbawiło go sumy dziesięciu tysięcy franków, wszystko co posiadał po ojcu. Rewolucja lipcowa sprowadziła przesilenie w handlu księ-

garskim. W chwilach niedostatku pierwsza rzecz co się nie sprzedaje, to Flora. Sprzedaż Flory okolic Cauteretz wstrzymała się. Upływały tygodnie; a kupujących nie było. Czasami p. Mabeuf wstrząsał się na odgłos dzwonka. — Panie — powiadała mu smutnie matka Plutarch—przyniesiono wodę. Krótko mówiąc, pewnego dnia p. Mabeuf porzucił ulicę Mezières, złożył urząd skarbnika parafii, wyrzekł się św. Sulpicjusza, sprzedał część — nie książek lecz sztychów, które go mniej obchodziły — i zamieszkał w domku na bulwarze Montparnasse, gdzie zresztą pozostał tylko jeden kwartał, a to z dwóch powodów: naprzód parter i ogród kosztowały trzysta franków, a on nie mógł wydawać na czynsz więcej nad dwieście franków; powtóre, będąc w sąsiedztwie Fatou, słyszał strzały pistoletowe— była to rzecz nieznośna dla niego.

Zabrał z sobą Florę, tafle miedziorytowe, zielniki, teki i książki i zamieszkał niedaleko Salpêtière w pewnym rodzaju chałupki w wiosce Austerlitz: tam miał za pięćdziesiąt écus (150 franków) rocznie trzy pokoje i ogród oparkaniony ze studnią. Skorzystał ze zmiany mieszkania i sprzedał prawie wszystkie swoje meble. Tego dnia, kiedy wniósł się do nowego mieszkania, był bardzo wesoły i sam przybijał gwoździe do zawieszenia sztychów i zielników; przez resztę dnia kopał w ogrodzie, a wieczorem, widząc, że matka Plutarch miała minę smutną i była zamyślona, uderzył ją po ramieniu i z uśmiechem powiedział do niej:—Mamy indygo!

W chałupce Austerlitz, hałaśliwa nazwa której— jeśli mamy prawdę powiedzieć — była mu dosyć przykrą, przyjmował tylko dwóch gości, księgarza z pod bramy Saint-Jacques i Marjusza. Zresztą—jak to już zaznaczyliśmy — umysły zatopione w umiejętności albo w szaleństwie, albo też—co często się wydarza—w jednem i w drugiem naraz, są tylko bardzo mało przystępne dla spraw codziennego życia. Własny los jest

dalekim ich myśli. Ze skupienia myśli wynika pewna bierność, która, gdyby była wyrozumowaną, byłaby podobną do filozofii. Człowiek pochyla się, stacza, rujnuje się, upada, nie bardzo się spostrzegając. Wprawdzie kończy się to zawsze przebudzeniem, lecz spóźnionem. Tymczasem wydaje się, jakbyśmy zachowywali się obojętnie w grze, która rozegrywa się pomiędzy naszem szczęściem i nieszczęściem. Jesteśmy stawką i przypatrujemy się partji z obojętnością.

W taki sposób wśród tej ciemności, która robiła się dokoła p. Mabeufa, kiedy wszystkie jego nadzieje znikały jedna po drugiej, pozostał on pogodny, trochę dziecinnie, lecz bardzo głęboko. Nawyknienia jego umysłowe odbywały bieg regularny jak wahadło u zegara. Pobudzone raz przez złudzenie, odbywały bieg bardzo długo, nawet kiedy złudzenie zniknęło. Zegar nie zatrzymuje się w tej chwili właśnie, kiedy zgubiono klucz od niego.

P. Mabeuf miewał przyjemności niewinne. Przyjemności te były niekosztowne i niespodziewane — sprowadzał je najmniejszy przypadek. Pewnego dnia matka Plutarch czytała jakąś powieść, siedząc w rogu pokoju. Czytała głośno, znajdując, że tak lepiej rozumie. Czytać głośno jest to potwierdzać samemu sobie to, co się czyta. Są ludzie, co czytają głośno i tak jak gdyby dawali sobie słowo honoru na to, co czytają. Matka Plutarch czytała właśnie z taką energją powieść, którą trzymała w ręku. P. Mabeuf słyszał, nie słuchając. Czytając, matka Plutarch doszła do słów następujących. Była mowa o oficerze od dragonów i pewnej piękności:

„...*La belle bouda, et le dragon...*“

Tu przerwała czytanie, chcąc wytrzeć okulary.

— Budda i Dragon (smok) — mówił półgłosem p. Mabeuf. Tak, to prawda, był smok, który z głębi swej jaskini wyrzucał z paszczy płomienie i palił niebo. Potwór ten spalił już kilka gwiazd, a miał

oprócz tego pazury tygrysa. Budda poszedł do pieczary i zdołał nawrócić tego smoka. Dobra to książka, którą czytasz, matko Plutarch. Nie ma piękniejszej legendy.

Poczem p. Mabeuf wpadł w przyjemne marzenie.

V.

Ubóstwo dobrym sąsiadem nędzy.

Marjusz lubił tego starca prostego, który widział, jak niedostatek powoli go ogarniał, i który zaczął potrosze dziwić się temu, nie smucąc się jednak jeszcze. Marjusz spotykał Courfeyrac'a, a szukał Mabeufa. Bardzo rzadko jednak, raz lub dwa razy na miesiąc, co najwięcej. Rozrywką Marjusza były długie samotne przechadzki po bulwarach zewnętrznych, lub po polu Marsowem, lub po alejach mało uczęszczanych ogrodu Luksemburskiego. Czasami pół dnia przypatrywał się jakiemu ogrodowi, grządkom sałaty, kurom na śmiecisku i koniowi, obracającemu koło maszyny. Przechodnie patrzyli na niego z zadziwieniem, a niektórym ubranie jego wydawało się podejrzanem — i mina złowrogą. Był to tylko ubogi młodzieniec, zatopiony w marzeniu bezprzedmiotowem.

Właśnie podczas jednej ze swoich przechadzek odkrył ruderę Gorbeau; odludne jej położenie i taniość skusiły go; zamieszkał tam. Znano go tam tylko pod imieniem pana Marjusza. Poznawszy go bliżej, kilku dawnych jenerałów lub towarzyszy jego ojca zapraszało go do siebie. Marjusz nie odmawiał. W ten sposób niekiedy bywał u hrabiego Pajol, u jenerała Bellavesne, u jenerała Fririon, u Inwalidów. Zajmowano się tam muzyką, tańczono. Na te wieczory Marjusz

wkładał swoje nowe odzienie. Lecz na te wieczory i na te bale chodził tylko wówczas, kiedy był mróz trzaskający, ponieważ nie mógł wynajmować powozu, a chciał koniecznie przychodzić tylko w butach błyszczących jak zwierciadło. Mówił czasem, chociaż bez goryczy: — Ludzie są tacy, że w salonie możesz być zabłocony cały, z wyjątkiem obuwia. Chcąc być dobrze przyjmowanym, potrzeba mieć jedną rzecz, którejby nic zarzucić nie można było. Sumienie? Nie—buty.

Wszystkie namiętności, z wyjątkiem sercowych, rozpraszają się w marzeniu. Gorączki polityczne Marjusza ostygły w niem. Rewolucya r. 1830, zadawalając go i uspakajając, dopomogła temu. Pozostał tym samym, z wyjątkiem gniewu. Miał zawsze te same opinje. Tylko złagodniały. Właściwie mówiąc, nie miał opinij, miał tylko sympatje. Do jakiego stronnictwa należał? Do stronnictwa ludzkości. W ludzkości wybierał Francję; w narodzie wybierał lud; w ludzie wybierał kobietę. Ku niej szczególnie skłaniała się jego litość. Dalej przekładał myśl nad czyn, poetę nad bohatera i uwielbiał więcej jeszcze taką książkę jak Joba, aniżeli taki wypadek jak Marengo. I kiedy, po dniu przepędzonym na rozmyślaniu, wracał wieczorem bulwarami i przez gałęzie drzew spostrzegał przestwory bez dna, światła bez nazwy, przepaść, cień, tajemnicę, wszystko, co było ludzkiem, wydawało mu się małem. Zdawało mu się, a być może i w samej rzeczy tak było, że doszedł do prawdy życia i filozofii ludzkiej, i wreszcie na nic więcej nie patrzał niż na niebo, jedyną rzecz, którą prawda może dojrzeć ze swej głębi. To nie przeszkadzało mu tworzyć mnóstwa planów, kombinacyj, rusztowań, projektów przyszłości. Gdyby oko mogło wejrzeć we wnętrze Marjusza w tym stanie marzenia, olśniłoby na widok czystości tej duszy. W samej rzeczy, gdyby nasze oczy cielesne mogły widzieć cudze sumienie, możnaby z większą pewnością ocenić człowieka z tego co marzy, aniżeli z tego co myśli. W myśli jest wola, w marzeniu jej

nie ma. Marzenie, które jest zupełnie mimowolne, przybiera i zachowuje nawet w tem, co jest olbrzymiego i idealnego, kształty naszego umysłu. Nic nie wypływa tak bezpośrednio i tak szczerze z samej głębi naszej duszy, jak nasze nieobmyślane i niezmierzone aspiracje ku blaskom przeznaczenia. W aspiracjach tych łatwiej odnaleźć prawdziwy charakter każdego człowieka, aniżeli w myślach złożonych, wyrozumowanych i uporządkowanych. Nasze urojenia najwięcej są podobne do nas. Każdy marzy o nieznanem i niemożliwem, stosownie do swego charakteru.

Około połowy tego roku 1831, stara kobieta, która usługiwała Marjuszowi, opowiedziała mu, że wyrzucają z mieszkania jego sąsiadów, nędzną rodzinę Jondrettów. Marjusz, który przepędzał całe dni za domem, zaledwie wiedział, że ma sąsiadów.

— Za cóż wymawiają im mieszkanie? — zapytał.

— Za to, że nie płacą czynszu. Winni już są za dwa terminy.

— Ileż winni?

— Dwadzieścia franków — powiedziała stara kobieta.

Marjusz miał trzydzieści franków, schowanych w szufladce.

— Masz!—powiedział do starej —oto dwadzieścia pięć franków. Zapłać za tych biednych ludzi, daj im pięć franków i nie mów, że to ja dałem.

VI.

Zastępca.

Przypadek zrządził, że pułk, w którym Teodul był porucznikiem, przyszedł do Paryża, aby w nim stać garnizonem. Okoliczność ta wywołała drugi pomysł w ciotce Gillenormand. Pierwszy raz, chciała użyć Teodula do nadzoru nad Marjuszem; teraz uknuła spisek, ażeby na miejsce Marjusza wprowadzić Teodula do domu. Na wszelki przypadek i dla zaspokojenia nieokreślonej potrzeby dziadka, widzenia młodej twarzy w domu — promienie te jutrzni są niekiedy przyjemne ruinom — przez ostrożność należałoby wyszukać drugiego Marjusza. Niechże—pomyślała sobie— będzie to zwykłe sprostowanie, które widzę w książkach; zamiast Marjusz czytaj Teodul.

Czy po siostrzenicy, czy po córce, zawsze to wnuk; w braku adwokata bierze się ułana.

Pewnego poranku, kiedy p. Gillenormand zabierał się do czytania czegoś w rodzaju *la Quotidienne*, weszła córka i najłagodniejszym głosem, chodziło bowiem o jej ulubieńca, rzekła:

— Ojcze, Teodul przyjdzie zrana złożyć swoje uszanowanie.

— Kto to, Teodul?

— Twój wnuk.

— Ah! — westchnął dziadek.

Później zaczął czytać nie myśląc wcale o wnuku, który był tylko jakimś Teodulem i wkrótce wpadł w zły humor, co prawie zawsze zdarzało się, kiedy czytał. Dziennik, który trzymał, zresztą rojalistyczny— samo przez się rozumie się — ogłaszał bez wszelkich dodatków, mający nastąpić nazajutrz jeden z tych małych wypadków, które wówczas codziennie zdarzały się w Paryżu, mianowicie, że uczniowie szkoły prawa i medycyny mieli zebrać się w południe na placu Panteonu w celu naradzenia się z sobą. Chodziło o jedną z kwestyj bieżących: o artylerję gwardji narodowej i zajście pomiędzy ministrem wojny i „milicją obywatelską“, z powodu dział, ustawionych na dziedzińcu w Luwrze. Uczniowie mieli „naradzać się“ nad tem. Nie trzeba było więcej, ażeby pan Gillenormand nadął się na to. Pomyślał o Marjuszu, który był uczniem i który prawdopodobnie pójdzie, tak jak inni „naradzać się w południe na placu Panteonu.“

Kiedy rozmyślał o tem z przykrością, wprowadzony skromnie przez pannę Gillenormand, wszedł porucznik Teodul, ubrany po cywilnemu, co było zręcznym z jego strony postępkiem. Ułan tak rozumował:— Stary druid nie umieścił wszystkiego w dożywociu. Opłaci się więc, udawać mieszczucha.

Panna Gillenormand powiedziała głośno do ojca:

— Teodul, twój wnuk!—A cicho do porucznika:— Potwierdzaj wszystko.—Poczem wyszła.

Porucznik, nieprzyzwyczajony do tak poważnego towarzystwa, wyjąkał z pewną lękliwością: — Dobrydzień dziadku!—i oddał ukłon, którego początek mimowolnie i machinalnie był wojskowy, a koniec cywilny.

— A! To ty. Dobrze, siadaj—powiedział dziadek. Rzekłszy to, zupełnie zapomniał o ułanie. Teodul siadł, a p. Gillenormand powstał.

Pan Gillenormand zaczął chodzić wzdłuż i wszerz, włożywszy ręce do kieszeni, mówiąc głośno i staremi swemi palcami gniotąc w rozdraźnieniu oba zegarki, które miał w obu kieszonkach.

— Zgraja smarkaczy! To się zwołuje na plac Panteonu! Do licha! Wczoraj to jeszcze ssało pierś! Mleko jeszcze pod nosem! I to ma naradzać się jutro w południe! Dokąd idziemy? Dokąd idziemy? Jasna rzecz, że zdążamy do przepaści. Oto dokąd doprowadzili nas ci descamisados! Artylerja obywatelska! Gardłować na placu o trzaskawkach gwardji narodowej! I z kim będą rozprawiali? No, patrzcie dokąd prowadzi jakobinizm. Gotów jestem niewiedzieć o co pójść w zakład, że zbiorą się tam same wyrzutki społeczeństwa i galernicy uwolnieni. Republikanie i galernicy, to jakby nos i chustka. Carnot powiadał: — Dokąd chcesz, ażebym szedł, zdrajco? — Fouché odpowiadał:— Dokąd zechcesz, niedołęgo! Oto, czem są republikanie.

— To prawda — powiedział Teodul.

P. Gillenormand odwrócił głowę do połowy, zobaczył Teodula i mówił dalej:

— I pomyśleć, że ten błazen miał zuchwalstwo zostać karbonarjuszem! Pocoś porzucił dom? Ażeby zostać republikaninem. Pssst! Naprzód lud nie chce twojej rzeczypospolitej, nie chce jej, ma rozum, wie dobrze, że miał zawsze królów i zawsze ich mieć będzie, wie dobrze, że lud koniec końców jest tylko ludem, on kpi z twojej rzeczypospolitej. Czy słyszysz, ty głupcze? Czyż nie jest to rzecz okropna taki kaprys? Rozkochać się w Pére Duchesne, uśmiechać się czule do gilotyny, śpiewać romanse i grać na gitarze pod balkonem 1793 roku, plwać na całą tę młodzież, taka to głupia! Wszyscy podobni do siebie, nie ma wyjątku. Dosyć oddychać powietrzem ulicznem, ażeby zostać szaleńcem. Dziewiętnasty wiek jest trucizną! Pierwszy lepszy ulicznik zapuszcza sobie bródkę, uważa się błazen za mądrala i pomiata starymi rodzicami. To po republikańsku, to romantycznie. Co to takiego romantycznie? Z łaski swojej proszę mi powiedzieć: co to takiego? Wszystkie możliwe głupstwa. Rok temu chodzono na Hernaniego. A cóż to jest Hernani? Anty-

tezy! Obrzydliwości, które nie są nawet pisane po francusku! A później działa na dziedzińcu w Luwrze. Takie to są łajdactwa tegoczesne!

— Masz słuszność dziadku! — powiedział Teodul.

P. Gillenormand ciągnął dalej:

— Działa na dziedzińcu Muzeum! Poco? Czego chcecie z temi działami? Chcecie więc skartaczować Apolona Belwederskiego? Co mają wspólnego, kule armatnie z Wenerą Medycejską? Oh! Ta młodzież dzisiejsza, wszystko to urwisze! Jakaż to mierność, ten ich Benjamin Constant! A i ci, co nie są łajdacy, to są mazgaje! Robią wszystko co tylko mogą, ażeby brzydko wyglądać, źle się ubierać, lękają się kobiet, jakby żebrali ich łaski, co wzbudza śmiech w Joaśkach i Kaśkach; słowo honoru, możnaby powiedzieć, że biedacy wstydzą się miłości. Szkaradnie wyglądają, a do tego trzeba dodać głupotę. Powtarzają głupie kalambury, mają surduty jak wory, kazimelki jak u furmanów, koszule z grubego płótna, pantalony z grubego sukna, buty z grubej skóry, ani to z pierza, ani to z mięsa. Ich sposób mówienia tyle był wart, co ich dziurawe obuwie. I cała ta czereda bębnów ma swoje polityczne opinje. Należałoby surowo zabronić opinji politycznych. Fabrykują systematy, przerabiają społeczeństwo, obalają monarchję, niweczą prawa, przewracają wszystko i wszystkich do góry nogami, burzą Europę, przebudowują i są szczęśliwi, jeżeli uda się im popatrzeć ukradkiem na łydki praczek, kiedy te włażą do swoich wózków. Ah, Marjuszu! Ah, łajdaku! Iść gardłować na placu! Dyskutować rozprawiać, przedsiębrać środki! Oni nazywają to środkami, Boże sprawiedliwy! Nieporządek maleje i głupieje. Widziałem chaos, widzę kupę śmieci. Studenci naradzają się nad gwardją narodową: tego nie zobaczysz ani u Ogibewasów, ani u Kadodaszów! Dzicy, chodzący zupełnie nago, wódz ich ustrojony w pióra jak wolant rakiety, z maczugą w łapie, są mniej dzicy niż ci szkolarze!

Figurki czterosusowe! To się porozumiewa i rozkazuje! To rozprawia i postanawia! Koniec świata. Widocznie ta nędzna kula ziemska ma zginąć. Trzeba jeszcze ostatniego wysiłku i Francja pcha ku temu. Rozprawiajcie, błazny! Skończy się na tem, że pójdą czytać dzienniki pod arkadami Odeonu. To kosztuje ich sous, i płacą rozsądkiem, inteligencją, sercem, duszą, rozumem. Wychodzi się z tamtąd i porzuca się rodzinę. Wszystkie dzienniki są zarażone, wszystkie, nawet *Drapeau Blanc!* Martainville był w gruncie jakobin! Ah! sprawiedliwe nieba! Możesz się pochlubić, żeś doprowadził dziadka do rozpaczy!

— Oczywiście! — rzekł Teodul. — I korzystając z tego, że pan Gillenormand zatrzymał się na chwilkę, ułan dodał doktorskim tonem:—Powinienby istnieć tylko jeden dziennik *Monitor* i jedna tylko książka: *Rocznik wojskowy.*

P. Gillenormand prawił dalej:

— To jak ich Sieyès! Królobójca, który skończył na senatorstwie, bo oni zawsze tak kończą. Tykają się obywatelami, ażeby dojść do tego, by im mówiono: panie hrabio. Pan hrabia wielki jak pięść, mordercy wrześniowi. Filozof Sieyès! muszę oddać sobie tę sprawiedliwość, że nigdy nic nie robiłem sobie z filozofii tych wszystkich filozofów, tak samo jak z okularów pajaca w Tivoli! Widziałem, jak pewnego dnia senatorowie szli wybrzeżem Malaquais w płaszczach z aksamitu fioletowego, usianych pszczołami, w kapeluszach à la Henri IV. Byli szkaradni. Możnaby powiedzieć, małpy tygrysiego dworu. Obywatele, powiadam wam, że wasz postęp to głupstwo, wasza ludzkość to marzenie, wasza rewolucja to zbrodnia, wasza rzeczpospolita to potwór, wasza młoda Francja to rozpustnica, i gotów jestem to utrzymywać przed wszystkimi, ktokolwiek jesteście, czy publicyści, czy ekonomiści, czy legiści, chociażbyście się znali więcej na wolności, równości i braterstwie, aniżeli nóż gilotyny! Oświadczam to wam, moi kochani!

— Dalipan! — wykrzyknął porucznik — otóż to istotna prawda.

Pan Gillenormand zatrzymał się wśród gestu, którym miał dopełnić swe słowa, odwrócił się, utkwił oczy w porucznika i rzekł do niego:

— Jesteś bałwan!

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

SB II

TREŚĆ TOMU V.

Część trzecia.

MARJUSZ.

KSIĘGA PIERWSZA.

Paryż studjowany w atomie.

I. Parvulus 9
II. Niektóre szczególne jego cechy 10
III. Przyjemny jest 12
IV. Może być użyteczny 14
V. Jego granice 16
VI. Trochę historji 19
VII. Ulicznik mógłby mieć miejsce pomiędzy kastami indyjskiemi 22
VIII. W którym czytelnik dowie się o ładnem słówku ostatniego króla 25
IX. Stara dusza Galii 27
X. Szydzić to panować. 29
XI. Ukryta przyszłość w ludzie 32
XII. Mały Gavroche 34

KSIĘGA DRUGA.

Wielki mieszczanin.

I. Dziewięćdziesiąt lat i trzydzieści dwa zęby . . 41
II. Jaki pan, takie i mieszkanie jego 44
III. Luc — Esprit 46
IV. Aspirant do stuletności 48
V. Baskijczyk i Nikoleta 50
VI. Gdzie napotykamy Magnon i jej dwóch małych. 52
VII. Reguła: przyjmować tylko wieczorem 55
VIII. Dwie nie stanowią pary 56

KSIĘGA TRZECIA.

Dziadek i wnuk.

I. Dawny salon 61
II. Jedno z widm czerwonych tego czasu 66
III. Requiescant 74
IV. Koniec zbója 83
V. Dobrze jest chodzić na mszę, gdy się chce zostać rewolucjonistą 87
VI. Co to jest spotkać się ze skarbnikiem parafii . 90
VII. Jakaś spódniczka 98
VIII. Marmur przeciwko granitowi. 104

KSIĘGA CZWARTA.

Przyjaciele abecadła.

I. Grupa, która o mało co nie stała się historyczną 113
II. Bossuet jako mówca pogrzebowy 128
III. Zdziwienie Marjusza 134
IV. Tylna sala w kawiarni Muzain 138
V. Widnokrąg się rozszerza 147
VI. Res Augusta. 152

KSIĘGA PIĄTA.

Dobra strona nieszczęścia.

I. Marjusz ubogi 159
II. Marjusz biedny 162
III. Marjusz wyrasta. 166
IV. Pan Mabeuf 172
V. Ubóstwo dobrym sąsiadem nędzy 178
VI. Zastępca 181

SB II

NĘDZNICY.

VI

Druk W. Dunina, Warszawa, Nowy Świat № 35.

Wiktor Hugo.

NĘDZNICY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

MARJUSZ.

VI.

WARSZAWA.
Nakład Księgarni S. Bukowieckiego
Marszałkowska № 100.
1900.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 5 Февраля 1899 года.

I. 43.149

[t.] 6

A

STAATSBIBLIOTHEK Abt. II WARSCHAU

CZĘŚĆ TRZECIA.

MARJUSZ.

I.

Kopalnie i Górnicy.

Każde społeczeńswo ludzkie posiada w swoich głębiach to, co nazywają w teatrach ostatniem piętrem dolnem. Grunt społeczny wszędzie jest podkopany: częścią w sprawie dobrego, częścią w sprawie złego. Te prace górnicze układają się warstwami; znajdziesz tam galerje niższe i wyższe. Znajdują się wyżyny i głębie w tych ciemnych podziemiach, które zwalają się niekiedy pod ciężarem cywilizacji, i które nasza obojętność i niedbałość depcze pod nogami. Encyklopedja w zeszłym wieku była taką kopalnią, prawie stojącą otworem na światło słoneczne. Ciemności, które w labiryntach katakumb wysiadywały pierwotny chrystjanizm, czekały tylko sposobności, ażeby wybuchnąć pod panowaniem Cezarów i zalać światłem ród ludzki. Ponieważ w uświęconych cieniach mieści się wyczekujące światło; wulkany też są pełne cienia gotowego lada chwila błysnąć płomieniem. Każda lawa zaczyna od tego, że jest nocą. Katakumby, w których odprawiano pierwszą mszę, nie były jedynie piwnicą Rzymu, ale były raczej podziemiami świata.

Pod budową społeczną, tym cudem architektonicznym, który jest jednak zarazem ruderą, znajduje się mnóstwo wydrążeń wszelkiego rodzaju. Jest tam i podkop religijny, i filozoficzny, i polityczny i ekonomiczny.

Ten wali oskardem idei, ten liczby, ten gniewu. Nawołują się wzajemnie z jednej katakumby do drugiej. Utopje wędrują pod ziemią kanałami górniczemi. Rozgałęziają się we wszystkich kierunkach. Niekiedy się spotykają i bratają z sobą. Jan Jakób pożycza swego oskarda Diogenesowi, który mu w zamian za to użycza latarki; niekiedy walczą z sobą. Kalwin bierze się za łeb z Socynem. Ale nic nie wstrzymuje, ani nie przerywa dążenia tych wszystkich energji do celu i tej obszernej jednoczasowej działalności, która złącza tu i owdzie, wdziera się, zstępuje, znowu się wspina pośród tych ciemności i która zamienia zwolna części zewnętrzne na wewnętrzne; ogromne rojenie się nigdy niezbadane. Społeczność zaledwie się domyśla tego podkopywania, które w spokoju zostawia powierzchnię a ryje jej wnętrzności. Ile piętr podziemnych, tyle prac różnych, tyle rozmaitych wydobywań. Cóż wychodzi z tych przepaści, z tych poszukiwań? Przyszłość.

Im głębiej się zapuszczać, tem więcej tajemniczych znajdzie się pracowników. Do pewnego stopnia, który mędrzec społeczny umie rozpoznać, praca ma cel dobry. Po za tym stopniem zaczyna być wątpliwą i mieszanej natury; jeszcze niżej, staje się straszną. W pewnej głębokości, pieczary nie są już przystępne duchowi cywilizacji, napotyka się tam już kres, do którego jedynie człowiek oddychać może; kończy się tam wszystko zwyczajne, a początek potworów staje się możebnym.

Dziwną jest drabina, prowadząca ku zejściu; każdy z jej szczebli styka się z odpowiedniem mu piętrem, na którem prawdziwa mądrość może postawić nogę i gdzie się napotyka jednego z tych pracowników niekiedy boskich, czasem potwornych. Po pod Janem Huss znajdziesz Lutra, po pod Lutrem Kartezyusza, po pod Kartezyuszem Woltera, po pod Wolte-Conderceta, po pod Condercetem Robezpierra, po pod Robezpierrem Marata, po pod Maratem Baboeuf'a.

I tak ciągle dalej. Niżej jeszcze, niewyraźnie u granicy, która dzieli rzeczy nierozpoznalne od rzeczy niewidzialnych, spostrzegasz w ciemnościach innych ludzi, którzy może nie istnieją wcale. Wczorajsi z pomiędzy nich są widmami, jutrzejsi larwami. Oko ducha rozróżnia ich dokładnie, praca zarodkowa przyszłości stanowi jedno z widzeń mędrca.

Świat w otchłaniach, w stanie niewykształconego jeszcze płodu, cóż za olbrzymi zarys!

W ubocznych podkopach znajdziesz tam także Saint Simona, Owen'a i Fouryer'a.

Zaprawdę, jakkolwiek łańcuch boży niewidzialny wiąże pomiędzy sobą, pomimo ich wiedzy, wszystkich tych kopaczy podziemnych, którzy prawie zawsze mają się za odosobnionych a nie są niemi, prace ich wielce są rozmaite, i światło jednych staje nieraz w przeciństwie z jaskrawością płomienistą drugich. Jedne z tych prac są treści rajskiej, drugie natury tragicznej. Jednak, jakiebądź jest między niemi przeciwieństwo, wszystkich tych pracowników od najszczytniejszego do najbardziej nocnego, od najmędrszego aż do najszaleńszego, zbliża jedno wspólne podobieństwo, a tem jest bezinteresewność. Zostawiają się na uboczu, omijają siebie, nie myślą bynajmniej o sobie. Widzą przed sobą co innego, jak siebie. Wszyscy oni mają wzrok, a wzrok ten szuka tylko prawdy bezwzględnej.

Źrenica-cień jest znakiem czego innego.

Od niej rozpoczyna się złe. Wobec tego któremu brak spojrzenia, zamyśl się i zadrżyj. Budowa społeczna ma swoich czarnych górników.

Jest kres, u którego zgłębienie staje się pogrzebaniem, i gdzie światło gaśnie.

Po pod wszystkiemi temi podkopami, któreśmy tylko co pooznaczali, po pod temi wszystkiemi galerjami, po pod tym całym niezmiernym systematem żył podziemnych postępu i utopii, nierównie głębiej jeszcze

w ziemi, niżej jeszcze od Marata, niżej od Baboeuf'a, jeszcze niżej, nierównie niżej, daleko niżej i bez związku jakiegokolwiek z piętrami wyższemi, znajduje się podkop ostatni. Miejsce straszliwe. To właśnie miejsce nazywaliśmy *ostatniem dolnem piętrem*. To dół ciemności. To pieczara ślepych. *Inferi*.

Miejsce to bezpośrednio już dotyka otchłani.

II.

Głębia.

Tam wszelka bezinteresowność już przepada. Zwolna wykształca się tam szatan; każdy dla siebie. *Ja*, niemające oczu, wyje, szuka, maca, ryje i źre. Ugolino społeczny znajduje się w tej otchłani.

Dzikie cienie, które się snują po tej czeluści prawie już bydlęta, prawie widma, nie zaprzątają się bynajmniej powszechnym postępem, nie wiedzą nawet co jest idea i słowo, nie dbają o nic jak tylko o nasycenie samolubne. Są one prawie bezwiedne i tkwi w rdzeniu ich istoty jakiś rodzaj straszliwego zatracenia. Mają dwie matki, które są macochami: ciemnotę i nędzę. Jedynym ich przewodnikiem jest potrzeba; a jedyną formą zadowolenia, pragnienie. Są zwierzęco-żarłoczne, to jest okrutne: nie na sposób gnębiciela, ale na sposób tygrysa. Z cierpienia, te straszydła idą w zbrodnię: połączenie nieuchronne, związek szalonego obłędu, loika ciemności. To co się czołga w tych ostatecznych głębiach społecznych, to już nie stłumione wołanie o prawdę bezwzględną, to dopominanie się o swoje prawa materji. Człowiek staje się tam smokiem. Łaknąć, pragnąć, jest tam punktem wyjścia, być szatanem to punkt dosięgnięcia celu. Z tej pieczary, wychodzi Lacenaire.

SB II

Rozpatrywaliśmy niedawno w czwartej księdze, jeden z przedziałów górnej warstwy kopalni, to jest wielki podkop filozoficzny. Tam, jakeśmy to powiedzieli wszystko jest szlachetne, czyste, godne, uczciwe. Tam zapewne także mylić się można, i bywają nieraz pomyłki; ale błąd tam nawet jest godny poszanowania, tyle się w nim mieści bohaterstwa. Całość pracy, która się tam odbywa, ma przecież imię jakieś: postęp.

Przyszła chwila zajrzenia w inne głębie, głębie ohydy.

Będzie zawsze istniała po pod społecznością i to aż po dzień rozproszenia ciemnoty, (kładziemy osobliwszy nacisk na to) ogromna jaskinia złego. Ciemnica ta znajduje się po pod wszystkiemi innemi, i jest nieprzyjaciołką wszystkich. Jest to wyłączna nienawiść. Ciemnica ta nie zna mędrców, sztylet jej nigdy nie zatemperował pióra. Czarność jej nie ma najmniejszego związku ze szczytną czarnością atramentu. Nigdy ta noc, której palce się skurczają pod tem zatęchłem sklepieniem, nie przerzucała kart książki, ani rozkładała dziennika. Baboeuf jest tylko przemysłowcem dla Cartouch'a; dla Schinderhannes'a, Marat jest tylko arystokratą. Ćma, co zaludnia tę pieczarę, uwzięła się podsadzić wszystko.

Nie tylko w swojem potwornem rojeniu się podkopuje porządek społeczny obecny, podkopuje także filozofję, podkopuje naukę, prawo, myśl ludzką, cywilizację, podkopuje postęp. Nazywa się po prostu złodziejstwem, nierządem, morderstwem i rozbojem. Jest ciemnością i żąda zamętu. Sklepienie jej zbudowane jest z ciemnoty.

Wszystkie inne, górniejsze, zakładają sobie jeden cel tylko, znieść ją. Ku temu to dążą, z pomocą wszystkich swoich sposobów naraz, przez ulepszenie bytu rzeczywistego, równie jak i przez poszukiwanie prawdy bezwzględneji filozofia i postęp. Zniszcie ciemnicę — ciemnotę, a pozbędziecie się zarazem kreta zbrodni.

Streśćmy w kilku słowach część tego, cośmy tylko co wypowiedzieli. Jedynem niebezpieczeństwem społecznem jest — cień.

Ludzkość jest to jodnelitość. Wszyscy ludzie są utworem z jednej gliny: tenże sam nieujęty cień przed przyjściem na świat, toż samo ciało przez ciąg życia, tenże sam popiół po jego skończeniu. Ale ciemnota dorzucona do gliny ludzkiej, poczernia ją. Ta nieuleczona czarność przenika do głębi człowieka i staje się tam złem.

KSIĘGA SZÓSTA.

Zejście się dwóch dróg gwiazd.

I.

Przezwisko: sposób tworzenia nazwiska.

W owej epoce Marjusz był pięknym młodzieńcem średniego wzrostu; miał bujne, bardzo czarne włosy, czoło wysokie i rozumne, nozdrza rozdęte i namiętne, powierzchowność szczerą i spokojną, i w całej swej postawie coś niedającego się wypowiedzieć, co było zarazem dumą, zamyśleniem i niewinnością. Profil jego, którego linje były zaokrąglone, a niemniej jednak męzkie, był nacechowany tą słodyczą typu germańskiego, który się wmieszał w krew francuzką od strony Alzacji i Lotaryngji, i tym najzupełniejszym brakiem ostrości rysów, który tak wybitnie odznaczał Likambrów pośród Rzymian; i który odróżni ród lwi od rodu orlego. Znajdował się właśnie w tej porze życia, kiedy to umysł człowieka myślącego składa się prawie w równej części z głębokości i z prostoty. W razie nadejścia stanowczej jakiejś chwili, miał wszystko co potrzeba, żeby się pokazać do niczego; nieco silniejsze pociśnięcie sprężyny, a mógł się stać szczytnym. Jego obejście było ostrożne, chłodne, grzeczne, mało wylane. Ponieważ miał usta prześliczne, wargi jak może być najświeższe, i zęby najbielsze w świecie, uśmiech jego wynagradzał to, co było nazbyt surowego w reszcie twarzy. W pewnych chwi-

lach, osobliwszem było przeciwieństwem to czoło czyste i ten uśmiech pełen rozkoszy. Wielkiem też było spojrzenie jego niewielkiego oka.

W czasach największej jego biedy, uważał nieraz, że dziewczęta oglądały się za nim, kiedy przechodził. Wtedy uciekał albo się ukrywał ze śmiertelną trwogą w duszy. Sądził, że mu się przyglądały dla jego nędznej odzieży, żeby się z niego śmiać później: w istocie zaś przyglądały się jego pięknej powierzchowności, żeby o niej marzyć potem.

To nieme nieporozumienie pomiędzy nim i ładnemi dziewczętami napotykanemi po drodze, zrobiło go dzikim. Nie wybrał żadnej, dla tej jednej przyczyny, że uciekał przed wszystkiemi. I tak żył w sposób *niedokonany*, w sposób *głupi*, jak znajdował Courfeyrac.

Courfeyrac mówił mu także:

— Nie staraj się o to, aby być koniecznie wielce szanownym. Oto ci dam jedną radę. Nie tyle szperaj w książkach, a więcej się rozglądaj po Kasiach i Marysiach. Te nic dobrego mają w sobie jednak niejedną rzecz dobrą, o wielki Marjuszu! Wiecznie tylko uciekając i rumieniąc się, zrobisz się bydlęciem.

Innemi razy, Courfeyrac, spotkawszy go, mówił mu: — Jak się masz, mości książę?

Po każdym podobnym koncepcie Courfeyrac'a, Marjusz przez jaki tydzień przynajmniej więcej jeszcze niż kiedy unikał kobiet, i to równie młodych jak starych, a w dodatku jeszcze i Courfeyrac'a.

Znajdowały się jednak w całym ogromie stworzenia dwie kobiety, których Marjusz nie unikał, i na które wcale nawet nie zwracał uwagi. Prawdę mówiąc, byłby go nawet wielce zdziwił, ktoby mu powiedział, że to są kobiety. Jedną z nich była brodata baba, która zamiatała jego izdebkę, i z powodu której mawiał Courfeyrac: „Marjusz nie potrzebuje nosić swojej brody, bo go w tem wyręcza służąca“.

Drugą była jakaś mała dziewczynka, którą widywał bardzo często, nigdy na nią nie patrząc.

Więcej już jak od roku Marjusz zauważył w jednej z odosobnionych alei ogrodu Luksemburskiego, która tworzy przedłużenie tarasu szkółki, jakiegoś mężczyznę z bardzo młodą dziewczynką, prawie zawsze siadających obok siebie na jednej ławce, w stronie najbardziej odludnej, od ulicy Zachodniej. Za każdym razem, kiedy traf, lubiący wiązać się do przechadzek ludzi, których wzrok zwrócony jest w siebie, sprowadzał Marjusza do tej alei, a zdarzało się to prawie codzień, młodzieniec zawsze tam znajdował tych dwoje ludzi. Mężczyzna mógł mieć lat sześćdziesiąt, zdawał się być smutnym i poważnym; cała jego powierzchowność nosiła tę cechę siły i zmęczenia zarazem, która odznacza dawnych wojskowych. Gdyby był nosił jaką wstążeczkę, Marjusz mógł by sobie powiedzieć: To jakiś dymisjonowany oficer. Wyglądał na człowieka dobrego ale nieprzystępnego, i nigdy nie zatrzymywał swojego wzroku na wzroku niczyim. Nosił granatowe spodnie, takiż surdut i kapelusz z szerokiemi skrzydłami, co wszystko wyglądało zawsze bardzo świeżo; czarną chustkę na szyi i kwakrowską koszulę, to jest śnieżnej białości, ale z jak najgrubszego płótna. Jakaś gryzetka, przechodząc raz koło niego, rzekła: „To jakiś wdowiec wcale porządny". Miał włosy bardzo białe".

Kiedy dziewczynka, towarzysząca mu, po raz pierwszy przyszła usiąść z nim na tej ławce, którą odtąd przybrali sobie jakby za własność, miała powierzchowność podlotka od lat trzynastu do piętnastu, była chuda tak dalece, że ją to aż oszpecało, niezgrabna, niepokaźna i obiecywała zaledwie mieć kiedyś dość ładne oczy. Tylko, że te oczy patrzyły zawsze śmiało jakoś, z pewnym rodzajem nieprzyjemnego zuchwalstwa. Ubrana była w sposób pół stary, pół dziecinny, który odznacza zwykle pensjonarki wychowywane po klasztorach. Miała na sobie sukienkę z grubego

czarnego merynosu, niezgrabnie skrojoną. Oboje wyglądali wtedy na ojca i córkę.

Marjusz przypatrywał się przez parę dni temu staremu mężczyźnie, który nie był jeszcze starcem, i tej dziewczynie, która nie była jeszcze młodą, potem przestał na nich uważać. Oni też ze swej strony nie zdawali się go widzieć nawet. Rozmawiali z sobą spokojnie i obojętnie. Dziewczyna szczebiotała nieustannie bardzo wesoło, stary człowiek zaś mało się odzywał, i czasami tylko wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym niewysłowionego przywiązania.

Marjusz nabrał machinalnego nawyknienia do przechadzania się po tej alei. Zawsze ich tam znajdował nieodmiennie.

Oto jakim sposobem rzecz stę działa:

Marjusz najzwyklej przychodził od końca alei przeciwnego ławce, na której siadali. Przebywał całą jej długość, mijał ich, potem wracał aż do miejsca przez które był przyszedł, i zaczynał na nowo. Przechadzał się w ten sposób tam i napowrót kilka razy, przechadzkę tę zaś powtarzał kilka razy na tydzień, a nie przyszło nigdy do tego, żeby się sobie choć ukłonili nawzajem. Jegomość ten i ta dziewczyna, jakkolwiek zdawali się unikać wszelkich spojrzeń, właśnie może dlatego, że ich unikali, obudzili nieco uwagę kilku studentów, używających niekiedy przechadzki wzdłuż alei Szkółki. Zdarzało się to pracowitym po wysłuchaniu lekcji, drugim zaś po ukończeniu kilku partji bilardu. Courfeyrac, który się liczył do ostatnich, przyglądał im się czas jakiś, ale znalazłszy, że dziewczę było brzydkie, szybko i starannie usunął się na bok. Ale uciekł na sposób Partha, rzucając im po za siebie przezwisko. Uderzony głównie barwą sukienki dziewczyny i włosów starego, nazwał pierwszą: panna *Czarna*, a drugiego: pan *Biały*, co się tak przyjęło, że w braku wiadomości co do prawdziwego ich miana, przezwisko uszło za nazwisko. Studenci mówili: Ach! otóż pan Biały na swojej ławce.

I Marjusz, idąc za drugiemi, znalazł rzeczą wcale właściwą nazywać tego nieznanego jegomości — Białym.

I my pójdziemy w ślad za niemi; będziemy także nazywać nieznajomego panem Białym, dla ułatwienia opowiadania.

W ten sposób widywał ich Marjusz codzień o jednej godzinie, przez cały ciąg pierwszego roku. Jegomość dość mu się podobał, ale dziewczyna wydawała mu się wcale niemiłą.

II.

Lux facta est.

Następnego roku, właśnie w chwili tego opowiadania, do której czytelnik doszedł, przerwało się było nawyknienie Marjusza do przechadzek po ogrodzie Luksemburskim. Marjusz sam, nie wiedząc czemu przez całe pół roku ani postał nogą w swojej alei. Nareszcie wrócił tam dnia pewnego. Było to w jasny poranek letni; Marjusz czuł się wesołym i lekkim, jak to się bywa w czas pogodny. Zdawało mu się, że miał w sercu wszystkie śpiewy ptaków, które go dolatywały i wszystkie płatki błękitnego nieba, które widział po przez liście drzew.

Poszedł prosto do *swojej* alei i kiedy stanął u jej końca, spostrzegł, zawsze na tej samej ławce, tę parę zdawna sobie znaną. Tylko, że kiedy się zbliżył, ujrzał tego samego starego mężczyznę, ale zdawało mu się, że to już nie była ta sama dziewczyna, Młoda osoba, którą w tej chwili miał przed oczami, była to dorosła i piękna istota, mająca wszystkie kształty najbardziej urocze kobiety, znajdującej się właśnie w owej chwili życia, kiedy się one splatają jeszcze ze wszystkiemi najniewinniejszemi wdziękami dzieciństwa; chwila to przelotna i nieujęta, którą mogą oddać te dwa wyrazy tytko: lat piętnaście. Były to

prześliczne ciemne włosy, cieniowane w odbłyski złotawe, czoło, które się zdawało wykutem z marmuru, lica niby z różanego liścia, rumieniec bladawy, bladość ożywiona, usta wdzięczne, które rozjaśniał uśmiech na podobieństwo łagodnej światłości, z których wychodzące słowa zdawały się być muzyką; głowa, którąby był Rafael dał Madonnie, spoczywająca na szyi, którą by Jan Goujon dał Wenerze. I jakby dla uzupełnienia szczególnego wdzięku tej ślicznej twarzy, nos nie był właściwie pięknym; był raczej ładnym: ani prosty, ani zgięty, ani włoski, ani grecki; był to nosek paryzki, to jest: coś dowcipnego, figlarnego, nieregularnych a jednak czystych zarysów, które wprawiają w kłopot malarzy, a zachwycają poetów.

Przechodząc koło niej, Marjusz nie mógł widzieć jej oczów, które miała ciągle spuszczone; ujrzał tylko długie ich ciemne i cieniste rzęsy, rzucające na resztę twarzy jakiś urok wstydliwości.

Nie przeszkadzało to pięknemu dziewczęciu uśmiechać się, słuchając co mówił do niej człowiek z białemi włosami; i nie było nic rozkoszniejszego jak ten świeży uśmiech przy spuszczonych oczach.

W pierwszej chwili myślał Marjusz, że to była inna córka tego samego człowieka; zapewne siostra tej dawnej. Ale skoro bezwiedne nawyknienie przechadzki przyprowadziło go powtórnie przed ich ławkę, i kiedy się przyjrzał uważniej, poznał, że to była ta sama. W przeciągu sześciu miesięcy, z dziewczynki zrobiła się panna, oto cała tajemnica. Nic zwyczajniejszego nad to zjawisko. Przychodzi chwila, w której dziewczęta rozwijają się w okamgnieniu, i jednym razem stają się skończonemi różami. Wczorej zostawiłeś je dziećmi, dziś czujesz, że cię mogą nabawić kłopotu.

Co do tej, nie tyle ona wyrosła, ile jakoś wyidealniała. Podobnie jak w kwietniu, dość kilka dni niektórym drzewom do okrycia się kwiatami, jej dość

było pół roku do okrycia się pięknością. Poprostu nadszedł był jej kwiecień.

Spotyka się nieraz ludzi, którzy dotąd ubodzy i oględni, znagła, jakby się rozbudzili dopiero, przeskakują z oszczędności do zbytku, pozwalają sobie na wszelkiego rodzaju wydatki, i stają się jednym razem świetnemi, rozrzutnemi i wspaniałemi. Przyczyną tego bywa jakaś odebrana wypłata; właśnie wczoraj nadpłynęły im pieniądze; dziewczyna także doczekała się niby swojego terminu.

I potem, nie była to już więcej pensjonarka z czerwonemi rękami, w śmiesznym swoim kapelusiku pluszowym, w pociesznej sukience merynosowej, w trzewikach trącących szkołą; nabrała jakoś smaku razem z pięknością; była to już osoba ładnie ubrana, z pewnym rodzajem elegancji skromnej i bogatej zarazem, chociaż bez przesady. Miała na sobie suknię z czarnego adamaszku, podobneż okrycie i biały krepowy kapelusz. Białe jej rękawiczki uwydatniały całą delikatność jej ręki, ilekroć się bawiła rączką ze słoniowej kości swojego parasolika, a jedwabne buciki odznaczały małość i zgrabne kształty jej nogi. Przechodząc koło niej, czułeś młodą i przenikającą woń, którą tchnęła cała ta postać.

Co do jej towarzysza, pozostał zawsze tym samym.

Kiedy Marjusz przechodził po raz drugi koło młodej dziewczyny, podniosła powieki. Wtedy ukazały się jej oczy, ciemnawego błękitu, ale w tym zamglonym lazurze nie było jeszcze innego spojrzenia, jak dziecięce. Spojrzała na Marjusza z obojętnością, jakby popatrzała na dzieciaka, biegającego pod kasztanami, albo na marmurowe naczynie, którego cień padał na ławkę; Marjusz też ze swej strony ciągnął dalej swą przechadzkę, myśląc o czem innem.

Przeszedł się jeszcze kilka razy obok ławki, na

której siedziała dziewczyna, ale nie zwróciwszy nawet ku niej oczu.

Dni następnych przyszedł, jak zawsze do ogrodu Luksemburskiego, jak zawsze znalazł tam *ojca* i *córkę*, ale już nie zwracał więcej na nich uwagi. Nie więcej myślał o tej dziewczynie teraz, kiedy się stała piękną, jak wtedy kiedy jeszcze była brzydka. Przechodził jednak zawsze bardzo blisko, ławki na której siedziała, bo mu to było weszło w zwyczaj.

III.

Wrażenie wiosny.

Pewnego dnia powietrze było ciepłe, ogród Luksemburski zdawał się kąpać w promieniach słońca poprzerywanych miejscami cienistą zielonością, niebo było tak czyste jakby je aniołowie spłukali w rosie poranku, wróble świergotały wesoło w gęstwinie kasztanów. Marjusz zdawał się oddychać całą duszą tym świeżym powiewem natury; nie myślał o niczem, żył i czuł, że żyje; w chwili kiedy przechodził koło znanej sobie ławki, dziewczyna podniosła na niego oczy, wzrok ich obojga spotkał się.

Cóż było takiego tym razem we wzroku młodej dziewczyny? Marjusz nigdy nie był w stanie tego powiedzieć. Nie było nic, i było wszystko. Była to osobliwsza błyskawica.

Ona spuściła oczy, a on poszedł w swoją drogę.

To, co był tam ujrzał, nie było wcale spojrzeniem niewinnem i prostaczem dziecka, była to otchłań tajemnicza, która się na chwilę przetwarła, a potem nagle zatrzasnęła napowrót.

Nastaje dzień podobnego spojrzenia dla każdej dziewczyny. Biada temu kto się znajdzie wtedy na drodze jego promienia!

To pierwsze spojrzenie duszy, która się jeszcze sama nie zna na sobie, jest tem dla człowieka, czem

świt na niebie. Jest to złudzenie czegoś promienistego i nieznanego. Nic nie zdoła oddać niebezpiecznego wdzięku tego nieoczekiwanego błysku, który znagła, niewyraźnie rozjaśnia urocze ciemności i na który składa się cała niewinność chwili obecnej i cała namiętność przyszłości. Jest to jakiś rodzaj nieokreślonej czułości, która się zdradza na wszelki wypadek, a potem czeka. Jest to zasadzka, którą niewinność zastawia bezmyślnie i w którą chwyta serca mimo swej woli, nawet mimo wiedzy. To poprostu tylko dziewica, która raz spojrzała wzrokiem kobiety.

Rzadko się zdarza, żeby się nie urodziło z tego wzroku głębokie marzenie tam, gdzie on padnie. Wszystkie czystości i wszystkie niepokalane białości zbiegają się w tym promieniu zarazem niebieskim i wyrocznym, który daleko pewniej od najbardziej opracowanych spojrzeń zalotnic, znajduje czarodziejską władzę znagła wywołać w głębi duszy ten kwiat ciemny, pełen woni i trucizny, który nazywają miłością.

Wieczorem, wróciwszy do swej mizernej izdebki, Marjusz przypadkiem rzucił oczy na swoje ubranie, i po raz pierwszy spostrzegł się, „że jak ostatni jaki brudas i głupiec bez wychowania, pozwalał sobie przechadzać się po ogrodzie Luksemburskim w swoich sukniach *codziennych;* to jest w kapeluszu zgniecionym przy samej taśmie, w grubych buciskach furmańskich, w czarnych spodniach, które już były pobielały na kolanach, i w tużurku czarnym, pobladłym na łokciach!“

IV.

Początki ciężkiej choroby.

Nazajutrz o zwykłej godzinie, Marjusz wyjął z szafki nowy tużurek, spodnie nowe, kapelusz nowy i buty nowe; ubrał się w ten cały nowy komplet, włożył także rękawiczki, co było wyuzdanym zbytkiem, i poszedł do ogrodu Luksemburskiego.

W drodze spotkał Courfeyrac'a i udał, że go nie widzi. Courfeyrac, wróciwszy do siebie, rzekł do swoich przyjaciół:

— Tylko co miałem zaszczyt spotkać na mieście nowy kapelusz i nowy tużurek Marjusza, i Marjusza w tem wszystkiem. Niezawodnie poszedł zdawać egzamin, bo miał minę zupełnie głupią.

Przybywszy do ogrodu, Marjusz obszedł naokoło sadzawkę, i rozważał sobie łabędzie. Potem pozostał jakiś czas w rozpamiętywaniu przed jakimś posągiem, który miał głowę całkiem poczerniałą od pleśni, i któremu brakowało biodra. Stał nad sadzawką jakiś jegomość kilkodziesięcioletni i brzuchaty, który, trzymając za rękę małego chłopca kilkoletniego, mówił do niego bardzo poważnie: „Unikaj zawsze ostateczności. Pamiętaj, synu, żebyś się zawsze trzymał w równej odległości od absolutyzmu, jak od anarchji". Marjusz wysłuchał tej przemowy, potem jeszcze raz obszedł sadzawkę na około. Nareszcie skierował się ku *swojej*

alei, powolnie i jakby wbrew swojej woli; było mu, jakby go coś popychało i odciągało zarazem. Nie zdawał sobie z tego wcale sprawy, i przywidziało mu się, że to było jak codzień.

Wchodząc w aleję, spostrzegł w drugim jej końcu siedzących jak zwykle na swej ławce, pana Białego i jego córkę. Zapiął się aż pod szyję, obciągnął na sobie tużurek, żeby się nigdzie nie marszczył, spojrzał sobie z pewnem zadowoleniem na spodnie i buty, i począł iść ku ławce. Było nieco ataku w tym pochodzie, i niewątpliwie nawet jakieś zachcenie podboju. Dlatego też w takiem znaczeniu mówię, że szedł ku ławce, jakby powiedział: Hannibal szedł na Rzym.

Zresztą, wszystko w tych jego poruszeniach było tylko machinalne, i nie przerwały one ani na jotę zwykłych zajęć i prac jego umysłu. Przemyśliwał w tej chwili nad tem: że *podręcznik bakalaureatu* jest to książka rzadkiej głupoty, i że musiała zostać napisaną przez najszczerszych niedołęgów, skoro tam rozbierają, jakby arcydzieła rozumu ludzkiego, aż trzy tragedje Rasyna, a jedną tylko komedję Moliera. Doświadczył jakby przeraźliwego świstu w uchu. Zbliżając się do ławki, jeszcze sobie wygładzał fałdy tużurka, a oczy jego wlepiały się w dziewczynę. Zdawało mu się, że zapełniała cały koniec alei jakąś nieokreśloną jasnością błękitnawą.

Im się bardziej zbliżał, tem coraz więcej zwalniał kroku. Przybywszy do pewnej odległości od ławki, ale jeszcze nie doszedłszy do końca alei, zatrzymał się, i sam nie wiedząc jak się to stało, zawrócił się nazad. Bo nawet nie powiedział sobie w duszy: że nie potrafi dojść do końca. W ten sposób, zaledwie go dziewczyna mogła spostrzedz zdaleka, i widzieć jak pięknie wyglądał w nowem swojem ubraniu. Jednak trzymał się bardzo prosto, żeby się dobrze mógł wydawać na przypadek, gdyby mu się ktoś, będący za nim, przypatrywał.

Doszedł do przeciwnego końca alei, poczem wrócił znowu, i tym razem przybliżył się już nieco więcej do ławki. Doszedł nawet tak blizko, że był już tylko o trzy drzewa od ławki. Ale tam uczuł znagła jakby jakieś niepodobieństwo postąpienia dalej, i zawahał się. Zdawało mu się, że twarz dziewczyny pochyliła się ku niemu. Jednakże zdobył się na gwałtowne i męzkie wysilenie, poskromił wahanie, i zmusił się iść naprzód. W kilka chwil potem przechodził przed ławką, prosto i odważnie, zaczerwieniony aż po uszy, nie śmiejąc spojrzeć ani na tę, ani na tę stronę, trzymając rękę w zanadrzu, jak człowiek stanu. W chwili kiedy przechodził pod ogniem baterji, doznał przeraźliwego bicia serca. Nieznajoma ubrana była jak i dnia poprzedniego w adamaszkową suknię i krepowy kapelusz.

Usłyszał głos niewypowiedzianego wdzięku, który nie mógł być jak jej głosem. Rozmawiała spokojnie. Była dziwnie ładna. Czuł to, jakkolwiek nie probował spojrzeć na nią. „Spodziewam się jednak— myślał sobie—że nie odmówiłaby mi szacunku i poważania, gdyby wiedziała, że to ja jestem prawdziwym autorem rozprawy o dziełach Marcos'a Obregon de la Ronda, którą pan Franciszek de Neufchâteau umieścił za swoją na czele swojego wydania Gil Blas'a!"

Minął ławkę, doszedł aż do bliskiego już końca alei, potem wrócił i znowu przeszedł przed ławką pięknej dziewczyny. Tym razem był bardzo blady. Zresztą uczucie, jakiego doświadczał, nie było wcale przyjemnem. Oddalił się od ławki i od dziewczyny, i jeszcze będąc od niej odwróconym, wyobrażał sobie, że na niego patrzała, i jakoś mu się od tego nogi plątały.

Nie probował więcej zbliżyć się do ławki, zatrzymał się w połowie alei, i tam, co mu się nigdy przedtem nie zdarzało, usiadł, spoglądając z ukosa, a w głębiach najmniej widnych jego umysłu, poczęło świtać przypuszczenie, że jednak niepodobna ażeby

osoba, której on podziwiał kapelusz biały i czarną suknię, miała być w zupełności obojętną dla jego błyszczących butów i nowego ubrania.

Po pewnym czasie wstał, jakby miał znowu rozpocząć pochód ku swej ławce, którą opromieniała aureola. Jednak pozostał na miejscu i nieruchomy. Po raz pierwszy od piętnastu miesięcy pomyślał sobie, że ten jegomość, który tam codzień siadał ze swoją córką, zapewne go zauważył ze swej strony, i znajdował może dziwnem jego tak uparte do tej alei uczęszczanie.

Po raz pierwszy także uczuł jakieś nieuszanowanie, w nadawaniu temu nieznajomemu, nawet w skrytości swojej myśli przezwiska pana Białego.

Pozostał w ten sposób chwil kilka z głową spuszczoną i rysując po piasku laseczką, którą trzymał w ręku.

Potem zwrócił się nagle w stronę zupełnie przeciwną ławce, a tem samem panu Białemu i jego córce, i odszedł do domu.

Dnia tego zapomniał pójść na obiad. Spostrzegł to zaledwie o ósmej godzinie wieczorem i ponieważ już było zapóźno iść na ulicę Świętego Jakóba, zjadł kawałek suchego chleba, który popił wodą.

Zanim się położył, wyczyścił szczotką swoje ubranie i złożył je wielce starannie.

V.

Rozmaite gromy spadają na panią Bougon.

Nazajutrz pani Bougon, (tak bowiem mianowana była przez Bourfeyrac'a stara odźwierna, najcelniejsza lokatorka — gospodyni rudery Gorbeau; nazywała się zaś rzeczywiście pani Burgon, aleśmy już wykazali powyżej, że ten wartogłów Courfeyrac nie szanował nic na świecie). Imć pani Bougon osłupiała, postrzegłszy, że pan Marjusz wychodził znowu w nowem ubraniu.

Poszedł znowu do ogrodu Luksemburskiego, ale nie zdołał dojść bliżej ławki, jak do połowy alei. Usiadł zdaleka jak dnia poprzedniego, nie mogąc się napatrzeć białemu kapeluszowi, czerwonej sukni, a nadewszystko błękitnej światłości. Dlatego nie ruszył się ztamtąd przez dzień cały, i nie prędzej odszedł do siebie, aż gdy zamykał bramy ogrodu. Nie zdołał dopatrzeć wyjścia pana Białego i jego córki. Wniósł ztąd, że musieli odejść bramą od ulicy Zachodniej. Później, w kilka tygodni potem, kiedy się nad tem zastanawiał, nie mógł nigdy sobie przypomnieć gdzie jadł obiad owego wieczora.

Nazajutrz, a był to już trzeci dzień z rzędu, Imć pani Bougon czuła się jakby rażoną piorunem. Marjusz znów wyszedł w swojem nowem ubraniu. „Trzy dni z rzędu!“ — wołała, załamując ręce.

Próbowała śledzić go, idąc za nim, ale Marjusz stąpał lekko i ogromnemi krokami, jakby był hipopotamem, wybierającym się na ściganie dzikiej kozy. W parę minut straciła go z oczu, i zmuszona była wrócić zadyszana, na pół dusząca się od swojej astmy, zła jak pies.

— Czy też to jest sens—mruczała — ubierać się w świąteczne suknie na codzień, i zmuszać tylko ludzi do latania za sobą!

Marjusz udał się jak zwykle do ogrodu Luksemburskiego.

Młoda dziewczyna już się tam znajdowała z panem Białym. Marjusz, udając, że czyta w książce, przybliżył się do nich jak mógł najbardziej, ale i to jeszcze było dość daleko, następnie zawrócił się, by usiąść na tem samem miejscu, gdzie strawił całe cztery godziny na przypatrywaniu się skaczącym w alei wróblom, które nie przestawały świergotać.

Upłynęło od tego czasu parę tygodni. Marjusz poszedł do ogrodu Luksemburskiego, nie już w celu przechadzki, lecz by zasiąść znowu na tem samem miejscu, sam nie wiedząc dlaczego. Raz je zająwszy, już się z niego więcej nie ruszał. Co rano ubierał się w nowe suknie na to, żeby się wcale nie pokazać, i nazajutrz rozpoczynał to samo.

Była ona istotnie cudownej piękności. Jeżeli w czemkolwiek można jej było zrobić zarzut, zakrawający na krytykę, to chyba, że sprzeczność między jej wzrokiem, który był smutny, i uśmiechem pełnym wesela, nadawała twarzy pewien wyraz, jakby nieco obłąkany; co sprawiało, że w pewnych chwilach, ta słodka twarzyczka stawała się dziwną, nie przestając być zachwycającą.

VI.

Wzięty w niewolę.

Ku końcowi może drugiego tygodnia, Marjusz jak zwykle siedział na swojej ławce, trzymając w ręku otwartą książkę, w której od dwóch już godzin nie przewrócił ani kartki. Z nagła zadrżał; zaszedł wypadek niesłychany na końcu alei. Pan Biały i jego córka wstali ze swej ławki, wzięli się pod ręce, i oboje wyraźnie postępować zaczęli ku środkowi alei, gdzie właśnie siedział Marjusz. Marjusz zamknął książkę, potem ją znowu otworzył, potem zaczął się zmuszać do czytania. Drżał cały. Światłość szła prosto ku niemu. „Ach mój Boże, myślał sobie, nie będę miał nawet czasu przybrać stosownej postawy“. Tymczasem człowiek siwy i młoda dziewczyna zbliżali się coraz bardziej. Zdawało mu się, że to trwało wiek cały, i zarazem, że to nie trwało, jak mgnienie oka. „Po co też oni idą w tą stronę? pytał sam siebie. Jak to? to ona ma przejść tędy. Jej to stopy będą stąpały po tym piasku? w tej alei, o dwa kroki odemnie?“ Odchodził od siebie. Chciałby być bardzo pięknym, chciałby mieć wstążeczkę legii. Słyszał jak się zbliżał cichy i miarowy odgłos ich kroków. Wyobrażał sobie że, pan Biały rzuca na niego gniewne spojrzenia. „Czy ten pan chce pomówić ze mną? myślał sobie?“ Spuścił głowę gdy ją podniósł, tamci byli już tuż przy nim. Młoda

dziewczyna przechodząc, spojrzała na niego. Spojrzała mu prosto w oczy, z jakiemś łagodnem zamyśleniem, co przejęło Marjusza dreszczem od stóp do głowy. Zdawało mu się, że mu wyrzucała, iż tak długo nie przyszedł do niej, i że mu mówiła: „A więc ja przychodzę“. Marjusz uczuł się olśnionym w obec tych źrenic pełnych promieni i głębi. Było mu jakby miał węgle rozżarzone w mózgu. Ona sama podeszła ku niemu; co za radość! A potem, w jakiż bo sposób na niego spojrzała! Wydała mu się piękniejszą niż ją widział kiedykolwiek. Była piękna tą razą pięknością zarazem kobiecą i anielską, pięknością zupełną, którąby wywołała pieśń z piersi Petrarka i rzuciła na kolana Dant'a. Zdawało mu się, że się nurzał w topielach błękitu. Jednocześnie był niesłychanie strapiony, ponieważ spostrzegł, że miał buty zakurzone.

Zdawało mu się rzeczą najpewniejszą w świecie, że ona spojrzała także na jego buty.

Ścigał ją oczami dopóki nie znikła. Potem począł latać po ogrodzie jak opętany.

Godzi się nawet przypuścić, że chwilami śmiał się sam do siebie, i rozprawiał głośno. Bywał też tak zamyślony, przechodząc czasem około nianiek z dziećmi, że każda mogła być pewną, że się w niej kochał.

Wreszcie wyszedł z ogrodu w nadziei spotkania jeszcze swojej nieznajomej na ulicy.

Potknął się o Courfeyrac'a pod arkadami Odeonu, i rzekł mu: „Chodź na obiad ze mną“. Poszli tedy do garkuchni Rousseau, gdzie wyekspensowali aż sześć franków. Marjusz jadł jak wilkołak. Dał sześć soldów garsonowi. Przy końcu obiadu rzekł do Courfeyrac'a: „Czy czytałeś dzisiejszy dziennik? co za pyszną mowę miał Odry de Puyraveau!“

Był już na śmierć zakochany.

Po obiedzie rzekł do Courfeyrac'a: „Pójdziemy także razem do teatru“. Poszli tedy do teatru przy bramie Św. Marcina, zobaczyć Fryderyka w sztuce: *Gospoda w Adrets*. Marjusz ubawił się niesłychanie.

Jednocześnie wpadł w recydywę dzikości. Wychodząc z teatru, nie chciał w żaden sposób spojrzeć na podwiązkę jakiejś magazynierki przeskakującej przez rynsztok, i kiedy Courfeyrac mu powiedział: „Chętnie umieściłbym tę dziewczynę w mojej kolekcji“, prawie go to przejęło zgrozą.

Nazajutrz Courfeyrac zaprosił go na śniadanie do kawiarni Woltera. Marjusz jadł tam więcej jeszcze niż dnia poprzedniego. Był bardzo zamyślony i wielce wesoły. Powiedziałbyś, że się czepiał lada sposobności żeby pękać od śmiechu. Uściskał serdecznie jakiegoś jegomości z prowincyi, którego mu przedstawiono. Utworzyło się kółko ze studentów około któregoś z bocznych stołów, i rozprawiano o bzdurstwach, z któremi występują z katedry profesorowie w Sorbonie. Następnie rozmowa zeszła na usterki i braki słowników i przepisów iloczasu Quicherat'a. Marjusz przerwał rozprawę wyrwawszy się ni ztąd, ni z owąd: Musi to być jednak rzecz przyjemna mieć krzyż legji!

— A to dopiero rzecz śmieszna!—rzekł Courfeyrac z cicha do Prouvair'a.

— Nie — odpowiedział Jan Prouvaire, to rzecz poważna.

W istocie było to całkiem poważne. Marjusz znajdował się w tej pierwszej, gwałtownej i uroczej chwili, którą się rozpoczynają wielkie namiętności.

Jedno spojrzenie sprawiło to wszystko.

Jedno spojrzenie bywa wtedy iskrą.

Już się więc stało. Marjusz pokochał. Przeznaczenie jego wkraczało w kraj nieznany.

Spojrzenie kobiety podobne jest do niektórych kółek maszynowych, spokojnych z pozoru, a jednak straszliwych. Przechodzisz koło nich codziennie najbezpieczniej, i najbezkarniej, ani się dorozumiewając niczego. Przychodzi chwila, że nawet zapominasz, że tam jest cośkolwiek. Idziesz, przechadzasz się koło tego, zamyślasz się, rozmawiasz, śmiejesz się. Znagła czujesz się schwyconym — już po wszystkiem. Kółka

cię trzymają, wzrok cię zahaczył. Zahaczył cię, mniejsza o to jak i kiedy, za jakąś pierwszą lepszą cząstką twojej myśli, którą zaniedbałeś trzymać przy sobie, za lada roztargnienie, które miałeś przypadkiem. Bądź co bądź, zginąłeś. Koło pociągnie ciebie całego. Jakiś łańcuch sił tajemniczych okręca cię ze wszystkich stron. Napróżno się mocujesz całą siłą. Żadna pomoc ludzka cię nie zbawi. Schwycony przez tryby, przerzucany będziesz nieustannie od jednego koła do drugiego, z jednego udręczenia w drugie, z męczarni w męczarnię; ty, twój umysł, twoje mienie, twoja przyszłość, twoja dusza; i skutkiem tego czy będziesz w mocy istoty przewrotnej albo szlachetnego serca, nie wyjdziesz inaczej ze szpon tej straszliwej machiny, jak oszpecony hańbą, albo przeobrażony namiętnością.

VII.

Przygody głoski U, wystawionej na domysły.

Osamotnienie, odosobnienie od wszystkiego, duma, niezawisłość, zamiłowanie przyrody, brak zajęcia codziennego i materjalnego, życie wewnętrzne, tajemne walki wstydliwości, jakiś rodzaj życzliwego zachwytu w obec całego stworzenia: wszystko to razem przygotowało Marjusza do tego opętania, które zowią namiętnością. Cześć jego dla ojca stała mu się była zwolna religją, i równie jak każda religja, cofnęła się w głąb duszy. Potrzeba było czegoś na pierwszym planie. Nadeszła miłość.

Upłynął cały długi miesiąc, w przeciągu którego Marjusz chodził codzień do ogrodu Luksemburskiego. Za nadejściem godziny, nic nie było w stanie go zatrzymać. — „Jest na służbie“ — powiadał Courfeyrac. Marjusz żył w samych zachwyceniach. Jest rzeczą niezawodną, że młoda dziewczyna spoglądała na niego.

Ośmielił się nareszcie, i począł się nawet zbliżać do ławki. Jednakże nie przychodził już więcej przed nią, słuchając zarazem instynktu nieśmiałości i ostrożności, które są właściwe zakochanym. Uważał za korzystne nie zwracać ile możności uwagi ojca. Układał swoje obroty po za drzewami i podstawami posągow z głębokim machiawelizmem, w ten sposób żeby mógł być ile możności najwięcej widzianym od dzie-

wczyny, a jak najmniej od starego jegomości. Niekiedy godzinami całemi stał nieruchomy w cieniu jakiego Leonidas'a albo Spartakus'a, trzymając w ręku książkę, po nad którą oczy jego wzniesione nieznacznie biegły szukać pięknej dziewczyny; a ona ze swej strony, zwracała z niedojrzanym uśmiechem swój uroczy profil ku niemu. Niby najnaturalniej i najspokojniej w świecie rozmawiając z białowłosym jegomością, przesyłała Marjuszowi wszystkie marzenia dziewiczego, a zarazem namiętnego spojrzenia. Niedosięgły pamięcią i stary jak świat wybieg, którego świadomość posiadała Ewa w pierwszym dniu stworzenia, i który każda kobieta posiada od najpierwszego dnia życia! Usta jej dawały pytanie jednemu, a spojrzenie posyłało drugiemu odpowiedź.

Możnaby jednak sądzić, że pan Biały począł się wreszcie dorozumiewać czegoś; gdyż często widząc Marjusza wchodzącego, wstawał i zaczynał się przechadzać. Wkrótce także porzucił zwykłe dotąd miejsce, przenosząc się na inne, znajdujące się na przeciwnym końcu alei, w sąsiedztwie posągu Gladiatora, jakby dla wyprobowania: czy Marjusz i tam pójdzie za niemi? Marjusz wcale się na tem nie poznał, i dał się złapać w ten sposób. W czas jakiś, ojciec zaczął przychodzić do ogrodu mniej akuratnie, bywały nawet dnie, w których nie przyprowadzał z sobą córki. Ilekroć Marjusz widział go bez niej, natychmiast odchodził do domu.

Było to drugie wpadnięcie w pułapkę.

Co do Marjusza, ten wcale się już nie poznawał na tych podstępach. Ze stanu trwożliwości przeszedł był już postępem naturalnym i nieuniknionym do zaślepienia. Miłość jego wzrastała. Już mu nie dawała sypiać po nocach całych. A potem, przybyło mu jeszcze do tego szczęście niespodziewane, które się stało niby oliwą na ogień rzuconą, niby spotęgowaniem bielma na oczach. Pewnego wieczora, o zmroku, znalazł na ławce, którą pan Biały i jego córka tylko co

opuścili, chustkę wcale zwyczajną i bez haftów, ale białą, cienką i która mu się zdawała wyziewać niewysłowione wonie. Rzucił się na nią z uniesieniem. Chustka ta była naznaczona głoskami U. F. Marjusz nie wiedział żadnych bliższych szczegółów, tyczących się młodej dziewczyny, nie znał ani jej rodziny, ani nazwiska, ani zamieszkania; dwie te głoski były najpierwszą rzeczą pochodzącą od niej, która mu się dostała w ręce — ukochane głoski, na których począł natychmiast budować gmach domysłu. *U* było oczywiście początkową głoską imienia. „Urszula," pomyślał sobie. Co za rozkoszne imię. Ucałował chustkę, oddychał jej wonią, umieścił ją na sercu, na nagiej piersi, przez ciąg dnia, a nocą przy ustach żeby się nią ukołysać.

— Czuję tam całą jej duszę, mówił sobie.

Tymczasem chustka należała poprostu do starego jegomości, który ją przypadkiem upuścił z kieszeni.

W ciągu dni następnych, chodząc po ogrodzie, Marjusz całował tylko bez ustanku chustkę, i przyciskał ją do serca. Piękna dziewczyna nie rozumiała tego wszystkiego, i starała się pokazać mu to zaledwie dostrzeżonemi znakami.

— O! wdzięczna niewinności! mówił Marjusz.

VIII.

Nawet inwalidzi mogą być szczęśliwi.

Tylko co wymówiliśmy wyraz niewinność; niechcąc nic ukrywać, uważamy sobie za obowiązek dodać, że jednak, razu pewnego, wśród zachwytu i uniesień Marjusza, jego *Urszula* wyrządziła mu krzywdę bardzo wielką.

Było to jednego z tych dni, kiedy namówiła pana Białego do wstania z ławki, i przejścia się nieco po alei. Wiał wtedy żywy wietrzyk wiosenny, poruszający szczyty jaworów. Ojciec i córka, trzymając się pod ręce, tylko co przeszli przed ławką Marjusza. Ten wstał i ścigał ich wzrokiem, jak przystało stanowi duszy rozszalałej. Znagła, powiew wiatru bardziej rozigrany od innych, i prawdopodobnie mający posłannictwo spraw miłosnych, zerwał się z gęstwiny, wypadł w ulicę, owinął dziewczynę rozkosznym wirem, godnym nimf Wirgiliusza i faunów Teokryta i uniósł jej sukienkę, tę sukienkę nierównie świętszą od zasłony Izydy, prawie do wysokości podwiązki. Ukazała się nóżka wytwornych kształtów. Marjusz zobaczył ją. To go przyprowadziło do rozpaczy i szaleństwa.

Młoda dziewczyna co tchu zapuściła sukienkę ruchem obrażonej bogini. Nie przeto jednak zmniejszyło się oburzenie Marjusza. Wprawdzie sam jeden znajdował się wtedy w alei, ale mógł tam być łatwo i kto

drugi. A gdyby też istotnie był kto drugi? Czy to rzecz do pojęcia? To co ona zrobiła było okropnością! Niestety, biedna dziewczyna nie zrobiła nic złego; jeden tam tylko był winowajca prawdziwy — wiatr; ale Marjusz, w którym burzył się niewyraźnie Bartholo, znajdujący się nawet potrosze w Cherubinie, powziął koniecznie postanowienie mieć o to do niej urazę, gdyż stał się już zazdrosnym własnego cienia. W taki to sposób w istocie rozbudza się w sercu ludzkiem i narzuca się, choćby nawet bezprawnie, ostra i śmieszna zazdrość cielesna. Zresztą, po za obrębem nawet zazdrości, widok tej uroczej nóżki nie miał dla niego nic przyjemnego; biała pończocha pierwszej lepszej kobiety, byłaby mu zrobiła więcej przyjemności.

Kiedy jego Urszula, doszedłszy do końca alei, wracała znowu ze swoim towarzyszem i przechodziła koło ławki, na której siedział Marjusz, rzucił jej spojrzenie ponure i dzikie. Wtedy dziewczyna nieznacznie cofnęła nieco w tył głowę, z lekkiem wzniesieniem powiek, które zdawało się mówić: No, i cóż mu się stało?

Była to „pierwsza ich kłótnia.“

Marjusz tylko co jej zrobił tę scenę oczami, kiedy znagła ktoś drugi przeszedł przez aleję. Był to jakiś weteran skurczony, pomarszczony, siwy jak gołąb, ubrany w mundur z czasów Ludwika XV, mający na piersi mały kawałek czerwonego sukna, na którem skrzyżowane szpady oznaczały krzyż żołnierski S. Ludwika. Staruszek ten nie miał jednej ręki, ale za to wprawioną srebrną brodę i drewnianą nogę. Przywidziało się Marjuszowi, że ten nowy przybysz miał minę niesłychanie rozradowaną. Zdało mu się nawet, że stary cynik, sztykulając obok niego, przesłał mu przymrużenie oka wielce poufałe i nieco zbyt wesołe, jakby jakiś wypadek zrządził pomiędzy niemi porozumienie, i jakby się im było udało spożyć wspólnie smaczny jakiś kąsek. Czegóż się on tak rozradował, ten niedobitek Marsa? cóż się tam takiego stało pomiędzy

tą nogą drewnianą, a tamtą? Marjusz doszedł do szczytu zazdrości. „On może był tu wtedy, mówił sobie, on może widział.“ I miał ochotę zmiażdżyć weterana.

Z pomocą czasu, każde ostrze się przyciera. Ten gniew Marjusza przeciw *Urszuli*, jakkolwiek mógł być sprawiedliwy i uprawniony, przeminął także. W końcu przebaczył, ale nie bez wielkiej pracy nad sobą; dąsał się na nią całe trzy dni.

Jednakże, mimo tego wszystkiego, czy też właśnie z przyczyny tego wszystkiego, namiętność wzrastała tak, że zaczynała stawać się szaloną.

IX.

Zaćmienie.

Widzieliśmy poprzednio w jaki sposób Marjusz odkrył, czyli raczej zdawało mu się że odkrył, iż ona nazywała Urszulą. Miłość jest to głód, podsycający się samym sobą. Dowiedzieć się, że jej na imię było Urszula, było już niemało; ale pokazało się wkrótce mało jeszcze. W przeciągu kilku tygodni Marjusz całkowicie spożył to szczęście. Zachciało mu się drugiego. Uwziął się na odkrycie jej mieszkania.

Raz już popełnił był błąd niemały, że się dał wciągnąć w zasadzkę ławki Gladiatora. Wkrótce potem popełnił drugi, że nie chciał siedzieć w ogrodzie, ile razy pan Biały przyszedł bez córki. Teraz przedsięwziął popełnić trzeci. Błąd niezmierny. Uwziął się śledzić *Urszulę*.

Pokazało się, że mieszkała przy ulicy Zachodniej, w miejscu najmniej uczęszczanem, w trzypiętrowym nowym domu, skromnej powierzchowności.

Od chwili tej, do szczęścia widywania ją w ogrodzie, dołączył Marjusz drugie szczęście: iść za nią aż do jej mieszkania.

Głód jego zwiększał się jednak. Wiedział już jak się nazywała, wiedział przynajmniej jej imię, prześliczne imię, prawdziwie imię kobiece; wiedział już gdzie mieszkała, zapragnął dowiedzieć się kto ona była?

Pewnego wieczora, poszedłszy za nimi aż do ich domu i zobaczywszy ich znikających w bramie, wemknął się ich śladem, i rzekł walecznie do odźwiernego:

— Czy ten pan, co tu wszedł mieszka na pierwszem piętrze?

— Nie — odpowiedział odźwierny—na trzeciem.

Było to znowu krok naprzód. Powodzenie to ośmieliło Marjusza.

— Od ulicy — spytał?

— Ależ mój panie — rzekł odźwierny — widzisz przecie, że dom ma tylko mieszkania od ulicy!

— A czem się trudni ten pan? — rzekł znowu Marjusz.

— Kapitalista. Człowiek bardzo poczciwy, który świadczy wiele biednym, choć sam nie jest bogaty.

— Jak się nazywa? — zapytał Marjusz.

Odźwierny spojrzał mu w oczy i rzekł:

— A panu co do tego?

Marjusz odszedł dość zawstydzony, ale zarazem wielce rozradowany. Posuwał się coraz bardziej naprzód.

— Dobre i to — myślał sobie. Wiem, że jej na imię Urszula, że jest córką kapitalisty i że mieszka tam na trzeciem piętrze przy ulicy Zachodniej.

Nazajutrz pan Biały i jego córka, zjawili się w ogrodzie na bardzo krótko; wyszli ztamtąd jeszcze za dnia. Marjusz poszedł za niemi na ulicę Zachodnią, jak to mu już weszło było w zwyczaj. Przybywszy do bramy pan Biały puścił córkę naprzód, a sam, zatrzymawszy się, zanim próg przestąpił, odwrócił się, i bystro spojrzał w oczy Marjuszowi.

Dnia następnego, wcale nie przyszli do ogrodu. Marjusz napróżno ich czekał dzień cały.

Z nadejściem nocy, poszedł na ulicę Zachodnią i zobaczył światła w oknach trzeciego piętra. Przechadzał się pod temi oknami, aż póki światła w nich nie pogasły.

Nazajutrz, znowu nikogo w ogrodzie. Marjusz czekał dzień cały, potem poszedł odbywać swoją wartę nocną pod oknami. Tak mu schodziło aż do dziesiątej wieczór. Z obiadem jego działo się co mogło. Gorączka żywi chorego, miłość zakochanego.

W ten sposób zeszło dni ośm. Pan Biały i jego córka nie pokazywali się już w ogrodzie. Marjusz robił smutne przypuszczenia; nie śmiał szpiegować bardzo wśród dnia białego, poprzestawał więc tylko na przychodzeniu wieczorem dla przyglądania się czerwonawej światłości w oknach. Chwilami widywał w nich przesuwające się cienie, i wtedy serce uderzało mu silniej.

Ósmego dnia, kiedy przyszedł pod okna, nie było w nich jeszcze światła. „A! rzekł sobie, nie zapalono jeszcze lampy. Jednak już noc zupełna. Czyby przypadkiem gdzie wyszli?“ Czekał aż do godziny dziesiątej. Czekał aż do północy. Aż do pierwszej zrana. Ani świateł nie zapalono w oknach trzeciego piętra, ani nikt nie wrócił do domu. Odszedł, bardzo zachmurzony.

Nazajutrz, (gdyż od pewnego czasu żył tylko jutrem, i można powiedzieć nie było już dla niego dnia dzisiejszego) nazajutrz tedy, znowu nie zastał nikogo w ogrodzie; przewidywał to. O zmroku poszedł znowu do domu przy ulicy Zachodniej. Znowu żadnego światła w oknach; zaluzje nawet były pozapuszczane; całe trzecie piętro było ciemne.

Marjusz zadzwonił do bramy, wszedł i rzekł do odźwiernego:

— Czy jest u siebie ten pan co mieszka na trzeciem piętrze?

— Już się wyprowadził—odpowiedział odźwierny.

Marjusz zachwiał się na nogach i spytał słabym głosem:

— Kiedyż się wyprowadził?

— Wczoraj.

— A gdzie teraz mieszka?

— Nie wiem.

— Więc nie zostawił swego nowego adresu?

— Nie.

Powiedziawszy to odźwierny wpatrzył się w Marjusza i poznał go.

— A! to pan znowu — rzekł. Więc pan istotnie chcesz tu coś przewąchać?

KSIĘGA SIÓDMA.

SZARY MATUS.

I.

Babet, Gumlemer, Claquezous i Parnas.

Kwartet złożony ze złoczyńców Claquezous, Gumlemer, Babet i Panas, znajdował się w Paryżu między rokiem 1830 i 1835.

Gumlemer był to Herkules chybiony. Miał za jaskinię kanał Arkady Mariom. Miał sześć stóp wysokości, piersi kamienne, muskuły spiżowe, oddech miecha kowalskiego, kadłub olbrzyma, czaszkę ciasną jak u ptaka. Rzekłbyś, Herkules Farnezyjski ubrany w spodnie płócienkowe i w kurtę manszestrową. Gumlemer zbudowany w sposób podobnie posągowy, byłby mógł zwalczać potwory; znalazł wygodniejszem stać się sam potworem. Czoło nizkie, skronie szerokie i na nich zmarszczki choć nie miał jeszcze lat czterdziestu; włosy szorstkie i krótkie, twarz i broda zawsze zarosłe jakby szczeciną — oto dokładny obraz człowieka. Muskuły jego domagały się pracy; jego bydlęctwo ją odpychało. Była to istotnie siła zwierzęca rozleniwiała; był rozbójnikiem z niedbalstwa.

Uchodził za kreola. Zdaje się, że musiał nieco umoczyć ręce w sprawie marszałka Brune, gdyż był tragarzem w Avinionie w roku 1815. Po tej pierwszej praktyce zdecydował się zostać bandytą.

Przezroczystość Babeta stanowiła najzupełniejsze sprzeciwieństwo z mięsistością Gumlemer'a. Babet był chudy i uczony, był przezroczysty, ale nie przejrzysty. Mógł dzień przeświecać po przez jego kości, ale nic nie przeglądało po przez źrenicę. Wyznawał się być chemikiem. Był skoczkiem w teatrzyku Bobéch'a i pajacem w budzie Bobin'a. Występował nawet w wodewilu w salce Saint-Michel. Był to człowiek z wyrachowaniem, wielki rozprawiacz, który podkreślał swoje uśmiechy i obmyśliwał zawczasu swoje ruchy. Przemysł jego zależał na sprzedawaniu po ulicach gipsowych popiersi. W dodatku, wyrywał także zęby. Pokazywał także w życiu swojem fenomenalne stworzenia po jarmarkach i posiadał nawet budę ku temu, trąbkę i następujący afisz: Babet, artysta-dentysta, członek wielu akademji, robi fizyczne doświadczenia na metalach i metaloidach, *wykorzenia* zęby, podejmuje się nawet wydostawać pieńki, którym nie dali rady jego koledzy. Cena jest następująca: Od jednego zęba, półtora franka; od dwóch, dwa franki; od trzech, półtrzecia franka. Korzystajcie ze sposobności!!! (słowa te: „korzystajcie ze sposobności" znaczyły: dajcie ich sobie wyrywać co najwięcej). Był kiedyś żonatym i miał nawet dzieci, ale nic nie wiedział co się stało z jego żoną i dziećmi. Zgubił je gdzieś tak, jak się gubi chustkę do nosa. Rzadkim wyjątkiem w świecie ciemności do którego należał, Babet czytywał dzienniki. Pewnego dnia, za czasów kiedy się jeszcze wodził z całą rodziną w koczującej budzie, wyczytał w *Gońcu*, że kobieta jakaś powiła dziecko dosyć nawet zdrowe, pomimo że miało pysk cielęcy; i zawołał: „Oto mi szczęście! nie mojaby to żona zdobyła się na ten rozum, żeby mi urodzić podobne dziecko!" W późniejszym czasie porzucił wszystko, żeby się „zabrać około Paryża" — jak się wyrażał.

A teraz, co to był za jeden, Claquezous? Była to noc. Ażeby się pokazać, czekał, aż się niebo po-

maże na czarno. Wieczorem dopiero wyłaził z dziury, w którą znów właził przededniem. Gdzie była ta dziura? Nikt tego nie wiedział. W najzupełniejszej ciemności, i choćby do własnych wspólników, nie mówił inaczej jak odwróciwszy się. Czy się on rzeczywiście nazywał Claquezous? Nie. Sam mawiał zwykle o sobie: Nazywam się: Nic a nic! Jeżeli wniesiono świecę, wkładał na twarz maskę. Był brzuchomówcą. Babet mawiał o nim: „Claquezous jest to nokturn na dwa głosy.“ Claquezous był ciemny, błędny, straszliwy. Nie było pewności czy miał jakie nazwisko, ponieważ Claquezous było tylko przezwaniem: nie było też rzeczą dowiedzioną, czy posiadał jaki głos, ponieważ brzuch jego częściej gadał od gęby; nie można też było zaręczyć czy miał jaką twarz, ponieważ nikt nigdy nie wiedział jak tylko jego maskę. Znikał jak gdyby się rozwiał; zjawienia się jego bywały wyjściem z pod ziemi.

Grobowa to znowu była istota, ten tak zwany Parnas. Było to dziecko; mniej jak lat dwadzieścia, ładna twarz, usta podobne do wiśni, prześliczne wąsy czarne, jasność wiosny w oczach, posiadał wszystkie przywary i miał popęd do wszystkich zbrodni. Trawienie złego, budziło w nim głód gorszego. Był to łobuz wyszły na urwisa i urwis, który wyszedł na wisielca. Był milutki, zniewieściały, zręczny, silny, miękki, okrutny. Zwykle podnosił sobie brzeg kapelusza od lewej strony, dla pomieszczenia w tem miejscu pukla włosów według mody z roku 1829. Żył z gwałtownej kradzieży. Tużurek jego bywał najświeższego kroju, ale wytarty. Parnas był to żurnal mód popadły w nędzę, i radzący sobie mordestwami. Powodem tych wszystkich zbrodni młodzieńca była żądza ubierania się wytwornie. Pierwsza gryzetka, która mu powiedziała: Jesteś piękny — od razu rzuciła mu plamę ciemności w serce i zrobiła Kaina z tego Abla. Znajdując się pięknym, zapragnął być wytwornym; otóż najpierwszą wytwor-

nością jest bezczynność. Bezczynność biednego, to zbrodnia. Mało włóczęgów wzbudzało tyle postrachu co Parnas. Utrefiony, wypomadowany, ściśnięty w pasie, z biodrami kobiety, obwiewany sznurem podziwienia dziewcząt z bulwaru, w krawacie misternie zawiązanym, z podręczną maczugą w kieszeni, z kwiatkiem w dziurce od guzika, — takim był ten wykwintniś cmentarzowy.

II.

Skład zgrai.

We czterech ci bandyci składali razem jakby rodzaj Proteusza, przesuwającego się po przez policję, i usiłującego nieustannie wymykać się niedyskretnym spojrzeniom Vidocq'a, pod rozmaitemi postaciami drzewa, płomyka, źródła, pożyczając sobie nawzajem swoich imion i swoich sztuczek; ukrywając się we własnych swoich cieniach, stanowiąc kryjówki i schronienia jedni drugim, zwlekając z siebie swoje osobistości tak jak się odejmuje fałszywy nos na maskaradzie; niekiedy uproszczając się aż do wspólnego mianownika, niekiedy znowu pomnażając się do tego stopnia, że najwprawniejsze oko policyjne mogło ich wziąść za gromadę.

Ci czterej ludzie nie byli bynajmniej czterema ludźmi; był to raczej rodzaj tajemniczego złodzieja o czterech głowach, pracującego na wielką skalę po szerokim Paryżu; był to potworny polip złego, zamieszkujący krypty społeczne.

Dzięki ich rozgałęzieniu i podziemnej sieci ich stosunków, Babet, Gumlemer, Claquezous, Parnas, mieli w ręku ogólne przedsiębierstwo samołówek w całym departamencie Sekwany. Wynalazcy pomysłów w tym rodzaju, ludzie wyobraźni nocnej udawali się do nich w przedmiocie ostatecznego wykonania. Dostarczano

czterem łotrom kanwę, na której oni podejmowali się haftu; pracowali na podany temat. Byli zawsze w możności dostarczenia pomocy osobistej, stosownej i przyzwoitej, do wszystkich zamachów potrzebujących pałki, a dostatecznie zyskownych. Skoro zbrodnia jaka poszukiwała pomocy pięści, podnajmowali jej wspólników. Mieli zawsze towarzystwa aktorów ciemności, na potrzeby wszystkich tragedij jaskiniowych.

Zbierali się zwykle o zmroku, który bywał godziną ich przebudzenia, w pustych obszarach przytykających do dzielnicy Salpetrière. Tam się naradzali. Mając dwanaście czarnych godzin przed sobą, urządzali ich użycie.

Szary Matus, takie było nazwisko, jakie dawano w podziemnym obiegu, temu stowarzyszeniu złożonemu ze czterech ludzi. W starym i dziwacznym języku ludowym paryzkim, który się już zaciera z dniem każdym, *Szary Matus* oznacza poranek, podobnie jak *pół psa, pół wilka* znaczy wieczór. Nazwa ta, Szary Matus pochodziła zapewne od godziny, o której się kończyły ich roboty; gdyż brzask jest równie chwilą pierzchania widziadeł, jak i rozchodzenia się zbójców. Czterej ci ludzie znani byli pod rubryką tej nazwy. Prezes sądu przysięgłych, wszedłszy do więzienia Lacenair'a, zadawał mu pytania tyczące się zbrodni, której Lacenaire się wypierał, „któryż z was popełnił tę zbrodnię?“ pytał urzędnik. Lacenaire dał mu na to odpowiedź, zagadkową dla prezesa, ale wielce jasną dla policji: „To zapewne Szary Matus.“

Można czasem odgadnąć sztukę z samegu spisu osób w niej występujących, podobnież można prawie ocenić charakter bandy z samej już listy jej członków. Oto jakiemi przezwiskami wabili się pomiędzy sobą celniejsi towarzysze Starego Matusa; szczegóły te przechowuje do dziś dnia niejedna pamięć urzędowa:

Panchaud zwany także wiosennym i także urwipołciem.

Brujon.

Boulatruelle, dozorca drogowy już raz wspomniany.
Finistére.
Homire-Hogu, murzyn.
Wtorek.
Wdowa.
Spieszny.
Faunt-le Roy, zwany kwiaciarką.
Chlubny, uwolniony galernik.
Zawaliwóz, zwany także panem Dupont.
Taras południowy.
Kwiczoł.
Karmaniolet.
Kruideniers, zwany Bizarro.
Koronkojad.
W górę nogi.
Złamany szeląg.
I t. d. i t. d.

Pomijamy jeszcze wielu innych i to nie gorszych. Nazwiska te są, jak widzimy, przenośne, nie tylko bowiem oznaczają istoty, ale i rodzaje; każde z tych przezwisk odpowiada jednej z odmian tych potwornych grzybów, rosnących na samym spodzie cywilizacji.

Istoty te, mało udzielające widoku swoich twarzy, nie liczyły się wcale do tych, których się spotyka na ulicy. Przez dzień cały, strudzeni okropnościami swoich nocy, odsypiali się, bądź to w piecach od wapna, bądź w zarzuconych już łomach Montmartre albo Montrouge, niekiedy w kanałach ściekowych zagrzebywali się w ziemię.

Cóż się stało z temi ludźmi? Istnieją zawsze. Istnieli także zawsze. Horacjusz wspomina o takich, mówiąc: *Ambuboiarum collegia, pharmacopolae; mondici, mimae.* Pod ciemnem sklepieniem swoich pieczar, odradzają się nieustannie z przenikającej przez nie wilgoci grzęzów społecznych.

Wracają oni jakby widziadłami zawsze jednostajnemi; tylko że nie zawsze noszą te same imiona i nie zawsze mieszkają w jednej skórze.

Choćby powykorzeniać indywidua, to jeszcze pozostanie plemię.

Mają zawsze te same zdolności. Od żebraka średniowiecznego do dzisiejszego włóczęgi utrzymuje się ród nieskalany. Odgadują oni sakiewki w kieszeniach, przewąchują zegarki w kamizelkach. Złoto i srebro mają dla nich zapach. Zdarzają się ludzie prostoduszni, o którychby można powiedzieć, że są stworzeni na to, żeby byli okradani; złodzieje najcierpliwiej chodzą za takiemi. Na widok jakiegoś przybyłego ze wsi albo cudzoziemca, napada ich dreszcz, jak pająka, kiedy mu co w sieć wpada.

Ludzie ci, jeśli zdarzy się ich spotkać, albo dostrzedz, około północy, na którym z opustoszałych bulwarów, są przerażające. Nie zdają się być ludźmi, tylko kształtami wykrojonemi z mgły żyjącej; możnaby powiedzieć, że zwyczajnie zrośnięci są z ciemnościami, że się zupełnie z nich nie wyróżniają, że nie mają innej duszy jak cień, i że tylko chwilowo oderwali się od łona nocy na to, aby żyć przez czas niedługi życiem potwornem.

Czegóż tedy potrzeba, aby się rozwiały te straszydła? Swiatła tylko, światła strumieniami. Niema nietoperza, któryby się ostał w obec świtu. Oświecajcie społeczeństwo od spodu.

KSIĘGA ÓSMA.

NIEGODZIWY BIEDAK.

I.

Szukając dziewczyny w kapeluszu, Marjusz napotyka człowieka w czapce.

Przeszło lato, potem jesień, wreszcie nadeszła zima. Przez cały ten czas ani pan Biały, ani młoda dziewczyna nie postali nogą w ogrodzie Luksemburgskim. Marjusz żył tylko jedną myślą: żeby widzieć znowu tę twarz słodką i uroczą. Szukał w każdej chwili, szukał wszędzie; nie znajdował nic. Nie był to już więcej Marjusz marzyciel pełen zapału, człowiek zdeterminowany, ognisty i wytrwały, śmiały wyzywca przeznaczenia. Wyobraźnia, która piętrzyła gmachy przyszłości jeden na drugim, młody umysł pełen planów, zamiarów, różnego rodzaju dumy, pomysłów i woli; był to już tylko pies zabłąkany. Popadł w czarny smutek, już było po nim. Praca mu wstręt sprawiała, przechadzka go trudziła, samotność nudziła. Szeroka przyroda, tak dla niego niegdyś pełna kształtów, światłości, głosu, rad, oddali, widnokręgów, nauk, roztaczała się dziś przed nim jakby wielka pustka. Zdawało mu się, że wszystko gdzieś się rozwiało.

Myślał zawsze, gdyż nie mógł nic myśleć; ale już nie podobał sobie więcej w swoich myślach. Na wszystko, cokolwiek mu one podawały zcicha i bez ustanku, odpowiadał ze swojego mroku: „I na cóż się zdało to wszystko?“

Robił sobie tysiące wymówek. „Po co ja też chodziłem za nią? Byłem tak szczęśliwy, widując ją tylko! Spoglądała na mnie. Czyż to nie było ogromnie wiele?

Zdawała się mnie kochać; czyż to nie było wszystko? Pragnąłem, czegóż jeszcze? Niema już po za tem nic więcej. Popełniłem niedorzeczność. Własna w tem moja wina, i t. p.“ Courfeyrac, któremu się nie zwierzał z niczego, jak to było w jego naturze, ale który potrosze odgadywał wszystko, jak to znowu było w naturze tego ostatniego, zaczął od winszowania mu że się zakochał, wydziwiając się jednak temu niesłychanie; następnie, widząc Marjusza zapadłego w tę jego melancholję, rzekł mu wreszcie: Widzę teraz, że byłeś poprostu bydlęciem. Wiesz co, chodźmy oto do *chałupki!*“

Razu jednego, zawierzając jakoś pięknemu słońcu wrześniowemu, Marjusz dał się Courfeyracowi zaprowadzić na doroczny bal do Sceauxs, spodziewając się, co za urojenie! że ją tam może odnajdzie. Był tam także Bossuet i Grantaire. Jak to pojąć łatwo, Marjusz nie znalazł tam tej, której szukał. „A jednak to tutaj znaleźć można wszystkie kobiety *zgubione*“, mruczał Grantaire na stronie. Marjusz porzucił swoich przyjaciół na balu i wrócił z niego piechotą, sam jeden, zmęczony, rozgorączkowany, ze wzrokiem mętnym i smutnym pośród ciemności, odurzony turkotem i kurzawą porozbawianych omnibusów, poprzepełnianych śpiewającemi wesoło, które, wracając z zabawy nieustannie przejeżdżały koło niego; zniechęcony, oddychając, dla ochłodzenia sobie pałającej głowy, ostrym zapachem drzew orzechowych po drodze.

Począł znowu żyć jak wprzódy, coraz więcej obłędny, przygnębiony, cały oddany swemu wewnętrznemu cierpieniu, szamocąc się tu i owdzie w swojej boleści na podobieństwo wilka w samołówce, wypatrując wszędzie nieobecnej, ogłupiały od miłości.

Innym razem trafiło mu się spotkanie, które sprawiło na nim wrażenie osobliwsze. Ujrzał był na je-

dnej z ciasnych uliczek, przytykających do bulwaru Inwalidów jakiegoś człowieka, ubranego jak rzemieślnik i mającego na głowie czapkę z dużym daszkiem, z pod której wypływały kosmyki włosów bardzo białych. Uderzony został pięknością tych włosów tak białych, i wpatrywał się w tego człowieka, idącego wolnym krokiem i jakby pogrążonego w bolesnem zamyśleniu. Rzecz dziwna, zdawało mu się rozpoznawać w tym nieznajomym pana Białego. Były to te same włosy, tenże sam profil, o ile widzieć dozwalała czapka, ta sama postawa, tylko bardziej posmutniała. Ale dla czegóż to odzienie rzemieślnika? co to miało znaczyć? czemu przypisać to przebranie? Marjusz był mocno zdziwiony. Kiedy przyszedł do siebie, pierwszym jego popędem było udać się w ślad za tym człowiekiem: czy nie natrafił przypadkiem na trop, którego szukał od tak dawna napróżno? W każdym razie, wypadało przypatrzeć się nieznajomemu zbliska, dla wyjaśnienia zagadki. Ale wpadł na ten pomysł nieco zapóźno, człowiek był już Bóg wie jak daleko. Wszedł w którąś z bocznych uliczek i Marjusz żadnym sposobem nie mógł go znaleźć. Spotkanie to dręczyło go przez dni kilka, w końcu wrażenie jego zatarło się. Zresztą, powiedział sobie, zdaje się że to było tylko podobieństwo".

II.

Zguba znaleziona.

Marjusz mieszkał ciągle w ruderze Gorbeau. Nie zwracał tam uwagi na nikogo.

Wprawdzie w owej epoce nie było w tej lichocie innych mieszkańców jak on i owi Jondrettowie, za których raz był zapłacił komorne, nigdy zresztą nie zamieniwszy słowa ani z ojcem, ani z matką, ani z córkami. Inni lokatorowie albo się byli wyprowadzili, albo poumierali, albo zostali powypędzani z powodu zalegania w opłacie komornego.

Pewnego dnia owej zimy, pokazało się było niesłońce po południu, ale było to drugiego lutego, w ten stary dzień Gromniczny, którego zdradzieckie słońce, zapowiadające sześć tygodni zimna, natchnęło Mateuszowi Lacnsberg te dwa wiersze słusznie uznane za klassyczne:

> Czy to świeci, czy połyska,
> Niedźwiedź śpi wśród legowiska.

Marjusz tylko co był wyszedł ze swojej siedziby. Noc zapadała. Była to godzina pójścia na obiad, gdyż wypadło wreszcie wrócić po dawnemu do obiadów. Niestety! taka to ułomność namiętności idealnych.

Przestępując próg swoich drzwi, z których właśnie pani Bougon wymiatała śmieci na schody, usły-

szał jak prowadziła z sobą przy tej robocie ten pamiętny monolog: „Cóż jest teraz taniego na świecie? wszystko podrożało. Jedna tylko praca ludzka tania; praca ludzka liczy się dziś za nic, za nic zupełnie!“

Marjusz szedł zwolna bulwarem ku rogatce, kierując się ku ulicy Świętego Jakóba. Szedł zamyślony, ze zwieszoną głową.

Znagła uczuł się potrąconym w zmroku; odwróciwszy się, ujrzał dwie dziewczyny w łachmanach: jednę wysoką i szczupłą, drugą nieco niższą, które szły szybko, zadyszane, wystraszone i jakby uciekające; szły ku niemu, nie spostrzegł go i potrąciły mijając. Marjusz mógł rozróżnić w ciemności ich wybladłe twarze, ich głowy roztargane, włosy w nieładzie, brudne ich czepki, spódnice w strzępach i bose nogi. Biegnąc, rozmawiały z sobą. Wyższa mówiła głosem bardzo cichym:

— Djabli nadali tych ichmościów: tylko co mnie nie zawlekli do ciupy:

Druga odpowiadała:

— Ja ich zaraz zwąchałam, zmiatałamże dopiero, zmiatałam, zmiatałam!

Marjusz domyślił się po przez ciemnotę tego złowrogiego szwargotu, że zapewne żandarmi albo policja miejska polowali na te dwie dziewczyny, i że się im one wymknęły.

Uszedłszy nieco, wpadły pomiędzy drzewa bulwaru po za nim będące i tam migotały czas jakiś w ciemności, jakby coś niewyraźnie białego, co wkrótce znikło.

Marjusz zatrzymał się w miejscu przez chwilę. Już się zabierał znowu iść w dalszą drogę, kiedy spostrzegł na ziemi u nóg swoich małą paczkę szarawą. Schylił się i podniósł ją. Była to jakby koperta, która zdawała się zawierać w sobie papiery.

— A! to zapewne te obdarte dziewczęta upuściły paczkę — rzekł do siebie.

Wrócił się nazad, wołał, ale już ich nie było; po-

myślał sobie, że odeszły już daleko, schował paczkę dó kieszeni i poszedł na obiad.

Po drodze ujrzał w jakiejś sieni przy ulicy Mouffetard, trumnę dziecięcia, narzuconą czarnym całunem, która stała na trzech stołkach, a przy niej paliła się świeca. Przyszły mu na myśl dwie dziewczyny, które mu się zjawiły w cieniach zmroku.

— Biedneż wy jesteście, wy matki — pomyślał.— Jest rzecz nierównie smutniejsza od widoku śmierci swoich dzieci, jest to widok ich złego życia.

Następnie cienie te, urozmaicające jego smutek, wyszły mu z myśli, i wpadł znowu w swoje zwykłe zaprzątnienia. Począł znowu rozmyślać o tem półroczu miłości i szczęścia, pod gołem niebem, wobec światła słonecznego i zieloności drzew ogrodu.

— Jakże mi dziwnie pociemniało życie, mówił sobie.— Dziewczęta ukazują mi się w marzeniach moich jak i wprzódy. Tylko że wprzódy były aniołami, teraz są to tylko upiory.

III.

Człowiek o czterech czołach z miedzi.

Wieczorem, rozbierając się do łóżka, namacał Marjusz ręką w kieszeni swego surduta paczkę, którą był znalazł na bulwarach. Zupełnie był o niej zapomniał. Pomyślał że może nie od rzeczy będzie ją otworzyć, gdyż zawierała może adres mieszkania dziewcząt, jeżeli tylko istotnie do niej należała, a w każdym razie, jakieśkolwiek objaśnienia, tyczące się osoby, która ją zgubiła.

Rozwinął kopertę.

Nie była wcale zapieczętowana, i zawierała cztery listy, również niezapieczętowane.

Znajdowały się na nich adresy.

Wszystkie cztery fatalnie śmierdziały jakimś podłym tytuniem.

Pierwszy list miał adres następujący: *Do Jaśnie Wielmożnej margrabiny de Grucheray, na placu wprost izby deputowanych...*

Marjusz pomyślał sobie: że zapewne tam znajdzie wskazówki, których szukał, i że zresztą, ponieważ list nie był zamknięty, mógł być przeto przeczytanym bez niedelikatności.

List ten był następującej treści:

„Jaśnie wielmożna pani margrabino!

„Cnota łaskawości i nabożności jest ta, która wiąże ciaśniej towarzystwo. Porusz pani swoje uczucie chrześcijańskie i zrób rzut oka pełen litości na mnie, nieszczęśliwego Hiszpana, ofiarę prawości i przywiązania do świętej sprawy prawdziwego króla, które zapłacił swoją krwią; poświęcił całą fortunę, wszystko, żeby bronić tej sprawy, a dziś ja się znajduję w największej nędzy. Nie wątpię, że jaśnie wielmożna pani, szlachetna osoba, udzieli tę pomoc, dla zachowania życia niezmiernie trudnego dla wojskowego z wielką edukacją, i z honorem pełnym ran, dlatego, że odrazu udałem się do ludzkości jaśnie wielmożnej margrabiny, jako też współczucie, które ją ożywia, zawdzięcza naród tak dalece nieszczęśliwy. Ich prośba nie będzie nadaremną, i ich wdzięczność zachowa swoje urocze wspomnienie.

„O moich uczuciach pełnych uszanowania, z któremi mam chonor być

„Jaśnie wielmożnej margrabiny
Don Alvarem, kapitanem hiszpańskim, rojalistą uciekłszym do Francji, znajduje się w podróży do swojej ojczyzny, brakuje mi pieniędzy na powrócenie nazad.“

Przy podpisie nie było dołączonego żadnego adresu. Marjusz spodziewał się go znaleźć w drugim liście, który miał na kopercie następujące słowa: *Do Jaśnie Wielmożnej Pani Hrabini de Montvernet, przy ulicy Casette Nr. 9.* W liście tym było co następuje:

„Jaśnie Wielmożna Pani Hrabini!

„Nieszczęśliwa matka, mająca sześć dzieci, z których ostatni ma ośm miesięcy. Ja jestem chora, po ostatnim połogu, opuszczona, niemająca żadnego funduszu na świecie w najokropniejszej nędzy.

„W nadziei Jaśnie Wielmożnej Hrabiny ma zaszczyt Jaśnie Wielmożna Pani, z najgłębszym zaszczytem,

Z męża, Balizard.“

Marjusz przeszedł do trzeciego listu, który był prośbą tak jak i poprzednie. Brzmiał on w następucy sposób:

„Do Wielmożnego pana Pabourgeot, wyborcy, utrzymującego hurtowny skład czapek, przy rogu ulicy Św. Dyonizjusza i Żelaznej.

„Pozwalam sobie przesłać Wielmożnemu panu ten list, z prośbą o udzielenie mi szacownej łaski swoich sympatij, i zainteresowanie się skromnym literatem, który tylko co zdołał umieścić swój dramat w teatrze francuzkim. Przedmiot jego jest historyczny, i akcja odbywa się w Owernie, za czasów Cesarstwa. Styl jego, zdaje mi się jest naturalny, lakoniczny i może mieć niejakie zalety. Umieściłem strofy do śpiewu w czterech miejscach. Konieczność, powaga, niespodzianki, mieszają się tam z urozmaiceniem charakterów i powiewem romantyzmu, rozproszonego leciuchno po całej intrydze, która ma pochód tajemniczy, i przechodzi szeregiem uderzających katastrof, aby się znagła rozwiązać pośród kilku świetnych effektów scenicznych.

Głównym moim celem jest zadowolnić żądzę ożywiającą postępowo każdego człowieka naszego wieku, to jest modę, tę kapryśną i dziwaczną chorągiewkę, która zmieni kierunek prawie za każdym wiatru powiewem...

„Pomimo tych wszystkich przymiotów, obawiam się przypuścić, że zazdrość, będąca egoizmem uprzywilejowanych autorów, żeby nie otrzymała odrzucenia mojej sztuki w teatrze, gdyż nie tajne mi są gorycze, któremi napawają świeżo przybyłych.

„Wielmożny panie Pabourgeot, zasłużona pańska reputacja oświeconego protektora literatury, ośmiela mnie przysłać do pana moją córkę, która panu wyłuszczy nasze położenie niedostateczne, któremu braknie chleba i ognia w tej srogiej porze zimowej. Jeżeli powiem, że proszę wielmożnego pana ażebyś raczył przyjąć hołd, który pałam żądzą złożyć mu w moim

dramacie i we wszystkich, które skomponuję na przyszłość, jest to tylko dowód, jak dalece pragnę zaszczytu schronienia się pod pański puklerz i przyozdobienia moich pism pańskiem nazwiskiem. Jeżeli raczysz pan zaszczycić mnie, choćby najskromniejszą ofiarą, natychmiast zajmę się napisaniem obszernego poematu, ażeby spłacić Wielmożnemu panu mój haracz wdzięczności. Poemat ten, który starać się będę poprawić jak tylko być może najbardziej, zostanie wam przesłanym przed wydrukowaniem na czele dramatu, i wydeklamowaniem go na scenie.

„Wielmożnemu Panu
i pani Pabourgeot,
moje chołdy najuniżeńsze,
Genflot literat.

„(postscriptum) niechby choć dwa franki.

„Proszę mi przebaczyć, że posyłam moją córkę, i że się nie przedstawiam sam w swojej osobie, ale smutne przyczyny, będące w związku z garderobą, nie pozwalają mi niestety wychodzić z domu.“

Marjusz otworzył wreszcie czwarty list. Był na nim następujący adres: *Wielmożnemu dobroczynnemu panu z kościoła Św. Jakóba.* Zawierał w sobie te kilka wierszy:

„Dobroczynny mężu.

„Jeżeli raczysz przyjść w towarzystwie mojej córki, będziesz świadkiem nędznej klęski, w obec której pokażę ci moje świadectwa.

„Na widok tych pism, twoja dusza szlachetna przenikniona zostanie uczuciem tkliwego współczucia, gdyż prawdziwi filozofowie doświadczają zawsze żywych wrażeń.

Przyznaj czuły mężu, że potrzeba doświadczać najokrutniejszej potrzeby, i że jest wielce bolesną rzeczą, dla otrzymania jakiejkolwiek ulgi, poświadczać ją przez władzę, jakby to nie wolno było człowiekowi cierpieć w skrytości i konać z głodu, zanim kto wspomoże naszą nędzę. Przeznaczenia są dziwnie srogie

dla niektórych, a zanadto rozrzutne i nadto opiekuńcze dla innych.

„Oczekuję pańskiej przytomności albo pańskiej ofiary, jeżeli raczysz ją uronić, i proszę, chciej pan przyjąć pełne uszanowania uczucia, z któremi szczycę się być,

Mężu prawdziwie wspaniałomyślny
Twoim bardzo pokornym i wielce
Posłusznym sługą,
P. Fabantou, artysta dramatyczny."

Po przeczytaniu tych czterech listów, Marjusz nie wiele więcej się z nich dowiedział jak wiedział przed tem. Najprzód, żaden z piszących list nie dawał swego adresu.

Powtore, listy zdawały się pochodzić od czterech rozmaitych indywiduów: don Alwareza, zamężnej Balizard, poety Genflot i artysty dramatycznego Fabantou, ale miały to osobliwego, że były wszystkie pisane jednem pismen.

Cóżby za inny ztąd wniosek jeśli nie ten, że pochodziły od jednej i tejże samej osoby?

W dodatku, i to jeszcze usprawiedliwiało to przypuszczenie, że wszystkie cztery listy były pisane na jednakowym papierze, ordynaryjnym i pożółkłym wszystkie zarówno czuć było tytuniem, i jakkolwiek usiłowano o ile możności styl urozmaicić, też same błędy ortograficzne wszędzie się w nich powtarzały ze spokojną swobodą, dowodzącą najwyraźniej, że literat Genflot zarówno im podlegał jak i kapitan hiszpański.

Wysilać się na odgadywanie tej lichej tajemnicy nie zdawało się rzeczą pożyteczną. Gdyby to nie było przypadkiem znalezione, mogłoby wcale ujść za mistyfikacją. Marjusz zanadto był smutny aby dobrze przyjąć żart jakikolwiek choćby od trafu, i ażeby się dać wciągnąć do figla, do którego zdawał się go wyzywać bruk uliczny. Zdawało mu się: jakby grał w ślepą babkę z jakiemiś czterema listami, które się z niego wyśmiewały.

Nic też zresztą nie wskazywało, żeby te listy mogły należeć do dziewcząt, które Marjusz spotkał na bulwarze. Koniec końcem, zdawały się to być szpargały bez żadnej wartości.

Marjusz złożył to wszystko nazad do koperty, rzucił w kąt i położył się spać.

Około siódmej zrana, tylko co był wstał i zjadł śniadanie i zabierał się właśnie zasiąść do roboty, kiedy lekko zapukano do drzwi.

Ponieważ mało co miał, nie miał zwyczaju wyjmować klucza z zamka, wyjąwszy chyba, co się zdarzało dość rzadko, jeżeli miał jaką pilną robotę. Zresztą, nawet wychodząc na miasto, zostawiał nieraz klucz w zamku. „Okradną pana kiedy,“ mawiała Imć pani Bougon. „Cóż mi ukraść mogą? odpowiadał Marjusz. Zdarzyło się jednak, że dnia pewnego, sprzątnięto mu parę starych butów ku wielkiemu tryumfowi „najcelniejszej lokatorki.“

Zapukano po raz powtórny, równie z cicha jak za pierwszą razą.

— Proszę wejść — rzekł Marjusz.

Drzwi się otworzyły.

— Czego pani sobie życzy, pani Bougon? — odezwał się Marjusz, nie odwracając oczu od książek i rękopisów, nad któremi właśnie pracował.

Jakiś głos nie będący bynajmniej głosem pani Bougon odpowiedział:

— Przepraszam pana...

Był to głos głuchy, zużyty, przytłumiony, gardłowy, głos jakby starego pijaka ochrzypły od gorzałki i araku.

Marjusz odwrócił się zdziwiony, i ujrzał przed sobą młodą dziewczynę.

IV.

Kwiat w nędzy.

We drzwiach na pół uchylonych, stała dziewczyna bardzo jeszcze młoda. Okienko izdebki, którędy dzień wpadał, znajdowało się właśnie wprost drzwi, i rzucało na tę postać bladawe światło. Była to istota chuda, wątła, koścista; koszula tylko i spódnica osłaniała nieco jej nagość, drżącą i zlodowaciałą. Zamiast pasa kawałek sznurka, włosy także podwiązane sznurkiem, kończate ramiona sterczące z pod koszuli, cera płowa i lymfatyczna, obojczyki pozapadane, czerwone ręce, usta przetwarte i spodlone, zęby przerzedzone, oko przygasłe, zuchwałe i znikczemniałe, kształty przedwcześnie zgrzybiałej dziewczyny, spojrzenie starej rozpustnicy, niby pięćdziesiąt lat i niby piętnaście; jednem słowem jedna z tych istot, które są jednocześnie wątłe i straszliwe, i które przeszywają dreszczem tego, ktoby na ich widok nie zapłakał.

Marjusz wstał z siedzenia i przypatrywał się z pewnym rodzajem osłupienia temu stworzeniu, prawie podobnemu kształtom cieni, które się przesuwają w snach przykrych.

Ale co osobliwie było rozdzierającem, to to, że ta dziewczyna nie zdawała się być stworzoną na to, żeby być brzydką. W dzieciństwie swojem musiała być nawet ładną. Wdzięk jej wieku wyraźnie walczył

w niej jeszcze przeciwko ohydzie przedwczesnego zestarzenia w rozpuście i nędzy.

Widać było zamierające resztki piękności na tej twarzy szesnastoletniej, jak owo blade słońce, które gaśnie po za sinemi obłokami o świcie dnia zimowego.

Twarz ta nie zupełnie była obcą Marjuszowi. Zdawało mu się, że ją sobie zkądśćiś przypomina.

— Czego sobie panna życzy — zapytał.

Młoda dziewczyna odpowiedziała swoim głosem pijanego galernika:

— Mam tu list do pana, panie Marjuszu.

Nazywała Marjusza po imieniu, nie było więc wątpliwości, że to do niego miała interes. Ale cóż to była za dziewczyna? zkądże wiedzieć mogła jego imię?

Nie czekając pozwolenia, weszła, śmiało, rozglądając się z pewnym rodzajem bezczelności, która ściskała za serce, po całej izbie i nieposłanem jeszcze łóżku. Miała nogi bose. Szerokie dziury w jej spódniczce dozwalały widzieć długie jej nogi i chude kolana. Szczękała zębami.

Istotnie trzymała w ręku list jakiś, który też zaraz oddała Marjuszowi.

Marjusz, otwierając ten list, zauważył, że potężny opłatek, którym go zapieczętowano, był jeszcze całkiem wilgotny. Pismo tedy nie musiało pochodzić z bardzo daleka. Wyczytał w niem co następuje:

„Miły młodzieńcze i sąsiedzie,

„Dowiedziałem się o pańskiej uprzejmości, żeś pan zapłacił za mnie komorne pół roku temu. Bóg ci za to zapłać młodzieńcze. Moja starsza córka opowie panu, że jesteśmy bez kawałka chleba już od dwóch dni we czworo, i jeszcze moja żona chora. Jeżeli nie mam zawodu w mojej myśli, zdaje mi się, że powinienbym mieć nadzieję, że pańskie szlachetne serce zmiękczy się temi powodami, i zdobędzie u pana żądzę stania mi się Opatrznością, racząc mi udzielić choćby lekkie dobrodziejstwo.

Pozostaje ze znakomitem poważaniem, które się słusznie należy dobroczyńcom ludzkości.

Jondrette.

„P. S. moja córka zaczeka na pańskie rozkazy, kochany panie Marjuszu.“

List ten, rzucony pośród tej ciemnej przygody, która Marjusza zajmowała już od wczoraj wieczór, był mu jakby świecą wniesioną do piwnicy. Wszystko się na raz rozjaśniło.

Pochodził on widocznie ztąd, zkąd i tamte cztery inne. Było to to samo pismo, ten sam styl, ta sama ortografja, ten sam papier, ten sam zapach tytuniu. Było pięć listów, pięć wymyślonych historji, pięć adresów, ale jeden tylko podpisujący. Hiszpański kapitan don Alvarez, nieszczęśliwa matka Balizard, poeta dramatyczny Genflot, stary aktor Fabantou, nazywali się wszyscy czterej Jondrette, jeżeli tylko Jondrette sam nazywał się tem nazwiskiem.

Od czasu jak się był Marjusz sprowadził do rudery Gorbeau, nie miał prawie sposobności, jakeśmy to już powiedzieli, nietylko widywać ale nawet spotykać tych swoich najbliższych sąsiadów. Umysł jego, jak wiemy, był daleko od domu; a gdzie bieży umysł, tam i spojrzenie. Zapewne nieraz spotykał się z członkami rodziny Jondrotte, bądź to w kurytarzu, bądź na schodach; ale to były dla niego tylko jakby cienie; za dowód jak mało na nich zważał, może posłużyć to, że poprzedniego wieczora potrącił na bulwarze, nie poznawszy ich, córki Jondrett'a, gdyż widocznie były to one; widok zaś tej co była weszła do jego pokoju, zaledwie z ciężkością zdołał obudzić w nim po przez wstręt i litość niewyraźne przypomnienie, że ją już widział gdzieśkolwiek.

Teraz wszystko mu się wyjaśniać zaczynało. Począł przenikać, że sąsiad Jondrette miał widać za przemysł w swojej niedoli, wyzyskiwać litość osób dobroczynnych; że sobie wyszukiwał adresów i że pisywał, pod zmyślonemi nazwiskami, do ludzi o których

sądził, że są bogaci i miłosierni, listy, które zanosiły jego córki na swoje własne ryzyko. Gdyż przykładny ten ojciec doszedł był już do tego, że ryzykował własne córki. Wyzywał niby do gry przeznaczenie, i stawiał dzieci swoje na kartę. Domyślał się też Marjusz, wnosząc z ich śpiesznego biegu dnia poprzedniego, z ich zadyszania, z ich strachu, i z tych kilku słów szwargotu złodziejskiego, które był zasłyszał, że bez wątpienia te nieszczęśliwe dziewczęta praktykowały jeszcze niewiedzieć jakie ciemne rzemiosła, i że z tego wszystkiego wynikło w łonie społeczeństwa ludzkiego, takiego jakiem ono jest dzisiaj, dwoje upadłych istot, które nie były ani dziećmi, ani dziewczętami, ani kobietami, ale jakimś rodzajem potworów nieczystych i niewinnych zarazem, będących płodem nędzy.

Opłakane to stworzenia, bez nazwy, bez wieku, bez płci, którym nie jest już więcej możebnem ani dobre, ani złe, i które wychodząc z dzieciństwa nie mają już nic do posiadania; ani wolności, ani cnoty, ani odpowiedzialności. Dusze wykwitłe wczoraj zaledwie a już zwiędłe dnia dzisiejszego, podobne do tych kwiatów, porzuconych pośród ulicy, które każde błoto uplugawia, zanim je jakie koło zdruzgocze.

Jednakże, podczas kiedy Marjusz wpatrywał się w nią wzrokiem zdziwionym i bolesnym, dziewczyna ze swej na wszystkie strony, nic sobie nie robiąc kręciła się tu i owdzie po izbie z zuchwalstwem widma. Szastała się nagości; chwilami koszula jej rozmamana i podarta opadała jej prawie do pasa. Przesuwała krzesła, poruszała tualetowe drobiazgi, leżące na komodzie, brała w ręce suknie Marjusza, plądrowała po wszystkich kątach.

— A! jak bozię kocham — mówiła — to pan ma tu lusterko!

I nuciła sobie, jakby była samą, urywki z wodewilów, wesołe zwrotki, którym jej głos gardłowy i ochrypły nadawał wyraz grobowy. Z pod tej pozornej bezczelności przebijało coś jakby wymuszonego,

niespokojnego i upokorzonego. Bezczelność bywa wstydem.

Nic nie było posępniejszego jak widzieć ją trzepoczącą się, i możnaby powiedzieć polatującą pośród izby z ruchami niby ptaka, które światło dzienne płoszy, albo któryby miał skrzydło złamane. Coś powiadało, że przy innych warunkach wychowania i przeznaczenia to obecne, zbyt wesołe i nazbyt wolne wzięcie się dziewczyny, mogło być czemś słodkiem i uroczem. Nigdy wśród zwierząt, istota stworzona być gołębiem, nie zmienia się w krogulca. Zdarza się to tylko pomiędzy ludźmi.

Marjusz rozmyślał, i pozwalał jej robić co się podobało.

Przybliżyła się do stołu.

— Aha! — rzekła — książki!

Jakieś światło mignęło w jej szklistem oku. Ciągnęła dalej, (a wyraz jej głosu zdawał się wypowiadać, że była szczęśliwą, mogąc się pochwalić z czemśkolwiek, uczucie na które nie jest obojętnem żadne stworzenie ludzkie):

— Ja także umiem czytać!

Porwała szybko książkę otwartą na stole, i czytała dość płynnie:

„...Jenerał Bauduin otrzymał rozkaz zdobycia, z pomocą pięciu bataljonów swojej brygady, zamku Hougomont, który się znajduje na środku płaszczyzny Waterloo..."

Przerwała sobie:

— A! Waterloo! wiem, wiem. To była bitwa kiedyś. Mój ojciec tam był. Mój ojciec służył wojskowo. A jacyśmy Bonapartyści, ho! ho! To z Anglikami się bili, w tem Waterloo.

Położyła książkę, wzięła pióro i zawołała:

— Ja umiem także i pisać!

Umoczyła pióro w atramencie i zwracając się ku Marjuszowi:

— Chce pan zobaczyć? — rzekła. Patrz pan. Napiszę panu coś.

I zanim miał czas odpowiedzieć, napisała na arkuszu czystego papieru, który leżał na stole: *Salcesony idą.*

Potem rzucając pióro:

— Nie ma błędów ortograficznych, może pan zobaczyć. Myśmy odebrały wychowanie, obie z siostrą. Nie zawsześmy były tak, jak dzisiaj. Nie byłyśmy stworzone na to, żeby...

W tem miejscu przerwała sobie, wlepiła w Marjusza zagasłą źrenicę, i parsknęła śmiechem, mówiąc z wyrazem głosu, który zawierał w sobie wszystkie cierpienia duszy, zdławione tłumem wszystkich cynizmów:

— At!

I poczęła nucić następującą zwrotkę na wesołą nutę:

Jeść! jeść! tatulu!
Chleba ni kęs!
Zimno matulu
Gołybo grzbiet
Szczękaj zębami
Karusiu!
Pij łzy, jedz łkanie,
Kubusiu!

Zaledwie skończywszy ową śpiewkę rzekła znowu:

— Czy pan chodzi kiedy do teatru, panie Marjuszu? Ja bywam w teatrze. Mam brata, który się przyjaźni z aktorami i który od nich dostaje czasem bilety. Na ten przykład niecierpię paradyzu. Ani gdzie siedzieć wygodnie, ani co. Często się tyle ludzi nawali, czasem także okropnie śmierdzi.

Potem nagle wpatrzyła się w Marjusza, twarz jej przybrała dziwny wyraz, i rzekła:

— Czy pan wie, że pan bardzo ładny chłopiec?

Jednocześnie przyszła im obojgu jedna i ta sama myśl, która wywołała uśmiech na usta dziewczyny, a rumieniec na twarz Marjusza.

Przybliżyła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

— Pan nigdy nie uważa na mnie, ale ja pana znam, panie Marjuszu. Spotykam pana nieraz na schodach, i jeszcze widzę nieraz jak pan wchodzi do jednego co się nazywa Mabeuf, który mieszka od strony mostu Austerlitz. Tak, tak, widzę pana zawsze, ile razy spaceruję tamtędy. Bardzo panu do twarzy, oto wie pan, z temi włosami nastroszonemi.

Starała się głos swój zrobić słodkim, a nie umiała jak tylko mówić coraz ciszej. Część słów przepadała gdzieś w drodze od gardła ku ustom, jakby na klawiaturze, gdzie nie wszystkie tony odpowiadają.

Marjusz cofnął się był nieznacznie.

— Mam tu — rzekł ze zwykłą sobie zimną powagą — mam tu jakąś paczkę, która zdaje mi się należy do panny. Proszę sobie ją zabrać napowrót.

I oddał jej kopertę, zawierającą cztery listy. Klasnęła w ręce i zawołała:

— Ah! cośmy się też naszukały!

Potem chwyciła za paczkę, rozdarła kopertę i mówiła:

— A! jak bozię kocham, cośmy się też naszukały z siostrą! A to pan to znalazł! na bulwarze nieprawda? to musiało leżeć na bulwarze? Patrzcieno! to musiało upaść wtedy kiedyśmy biegły. To ta smarkata widać upuściła. Jakeśmy przyszły do domu, rozstąp się ziemio! nie ma nigdzie. A żeśmy nie chciały żeby nas wytłukli, bo się bez tego jak najbardziej obejdzie, zmyśliłyśmy, żeśmy poodnosiły listy i że nam wszędzie pokazali figę. A tu raptem, masz, te biedne listy. Ale z czego pan poznał, że one do mnie należą? A! prawda, po piśmie. To to my się o pana szturchnęły wczoraj przechodząc wieczorem? Już było tak ciemno, ja powiadam do siostry: czy to jakiś pan? ona powiada: tak, to pan jakiś.

Mówiąc to rozwinęła prośbę adresowaną do dobroczynnego jegomości z kościoła Św. Jakóba.

— A! — rzekła — to prośba do tego starego, co to chodzi na mszę. Nawet właśnie oto sama pora iść teraz do niego. Trzeba będzie wziąść nogi za pas. Da nam może za co kupić śniadanie.

Potem zaczęła się śmiać i dodała:

— Wie pan, coby to było żebyśmy dziś jedli śniadanie? Tobyśmy oto mieli razem śniadanie onegdajsze, obiad onegdajszy, śniadanie wczorajsze i obiad wczorajszy, wszystko razem w kupie, dziś rano. Ot tak! to wam dopiero bal kundle! a kiedy wam mało, to sobie zdychajcie, do djabla!

Słowa te przypomniały znagła Marjuszowi, po co ta nieszczęśliwa przyszła do niego.

Sięgnął do kieszeni od kamizelki, ale nic tam nie znalazł.

Dziewczyna mówiła dalej, zdając się już nie wiedzieć o obecności Marjusza:

— Czasem wychodzę w wieczór. Czasem nie wracam do domu na noc. Zanimeśmy się tu sprowadzili, przeszłej zimy, mieszkaliśmy pod arkadami mostów. Zbijaliśmy się w kupę, żeby nie zmarznąć. Moja młodsza siostra beczała. Woda, to strasznie smutne. Kiedym nieraz pomyślała czyby się nie lepiej utopić, powiadałam sobie: Brr! tam zimno okrutnie. Chodzę sobie sama gdzie mi się zechce, sypiam czasem po rowach. Wie pan, w nocy, jak ja chodzę po bulwarze, to drzewa wyraźnie sterczą jakby widły, a domy to takie czarne, grube, zupełnie jakby wieże Panny Marji, ale co białe między niemi, to sobie wystawiam jakby to była rzeka, i mówię: To tu niby woda a tam brzegi. A gwiazdy to wyglądają jakby lampy od illuminacji, wyraźnie jakby kopciły i jakby je potem wiatr gasił. Czasem to mi tak szumi w głowie, jakby mi konie sapały w ucho, i chociaż to noc, to słyszę je-

dnak katarynkę i jak kiedy to skrzypi w warsztatach gdzie bawełnę przędą. Zresztą, albo ja tam wiem? tak coś oto. Potem przywidzi mi się, jakby rzucali na mnie kamieniami, i uciekam co tchu, a wszystko wykręca się, wykręca. Jak człowiek nie jadł cały dzień, to taki dziwny.

I spojrzała na Marjusza z wyrazem obłąkania.

Przetrząsłszy i przeszukawszy wszystkie kieszenie, Marjusz zdołał nareszcie zebrać pięć franków i szesnaście soldów. W tej chwili, był to cały jego majątek.

— Zawsze mam przynajmniej na dzisiejszy obiad, pomyślał sobie, o jutrze pomyślimy jutro.

Odłożył dla siebie szesnaście soldów, a pięć franków oddał dziewczynie.

Porwała pieniądz drapieżnie.

— A! jak Bozię kocham — zawołała — a toż się to świeci dopiero!

I jakby blask ten posiadał własność roztopienia znagła w jej mózgu całej lawiny ulicznego szwargotu, wołała dalej:

— Pięć franków! królu złocisty! to mi rzecz! a to panie raj! dam ci za to co sam zechcesz! Brzęk! jak bozię kocham, będzie za co zbytkować; człowiek się obetka i nachleje, że aż mu będzie uszami wyłaziło. Dopieroż się to naćpa chabaniny, naprzepłukuje gardła wińskiem! Co? może sobie żałować? Wystarczy przynajmniej na dwa dni tej rozkoszy! Hej no! do palarusza! raz! dwa! trzy! to i dobrze!

Naciągnęła sobie koszulę na ramiona, nisko się skłoniła Marjuszowi, potem przesłała mu pocałunek od ręki i zwróciła się ku drzwiom mówiąc:

— Do zobaczenia, łaskawy panie. Ale to nic nie przeszkadza. Ja i tak pójdę jeszcze do starego z listem. Od przybytku głowa nie boli.

Przechodząc koło komody, spostrzegła na niej zeschłą kromkę chleba pleśniejącą w kurzu. Rzuciła się na nią łapczywie, i zaczęła gryść mrucząc do siebie:

— To smaczna rzecz, ale djable twarda! aż zęby skrzypią.

Poczem wybiegła.

V.

Okienko Opatrzności.

Pięć lat już przeżył Marjusz w biedzie, w niedostatku, w niedoli nawet, ale się dopiero teraz spostrzegł, że nie zaznał jeszcze prawdziwej nędzy.

Prawdziwą nędzą było dopiero to, co widział przed chwilą, prawdziwą nędzą dopiero było to widmo, co mu się tylko co przesunęło przed oczami. Gdyż w istocie, kto nie widział jak tylko nędzę kobiety, nic jeszcze nie widział, trzeba dopiero zobaczyć nędzę dziecka.

Kiedy człowiek doszedł już do ostatnich ostateczności, czepia się zarazem ostatnich środków. Biada istotom bezbronnym, które ma pod ręką! Praca, zarobek, chleb, ogień, odwaga, dobra wola, wszystko mu się wymyka od razu. Światło dnia zdaje się gasnąć mu na zewnątrz, światło ducha przygasać w jego głębiach; w ciemnościach tych, napotyka słabość kobiety i dziecka, i przygina je gwałtownie ku hańbie.

Wtedy wszystkie okropności stają się możebnemi. Rozpacz otoczona jest zewsząd kruchemi ścianami, z których każda ma tuż za sobą występek albo zbrodnię. Zdrowie, młodość, cześć, święte i płochliwe wstręty ciała tak jeszcze nowego, serce, dziewiczość, wstyd, ta powłoka duszy, są złowrogo drażnione tem macaniem szukającem zasobów, a które znajduje pod

ręką hańbę i z nią się godzi. Ojcowie, matki, dzieci, bracia, siostry, mężczyzni, kobiety dziewczęta, kojarzą się i powinowacą sposobem formacji kruszcowej w tej mglistej mięszaninie płci, związków krwi, wieków, spodleń, niewinności. Przykurczają się, pozlepiani jedni z drugiemi, zwaleni na kupę w swojem przeznaczeniu, dusząc się jakby w ciasnej ciupie. Spoglądają na siebie rozpaczliwie. O! nieszczęśliwi! jakże są bledzi! jakże im zimno! Zdaje się jakby się znajdowali na jakiejś planecie nierównie więcej oddalonej od słońca jak nasza.

Ta młoda dziewczyna była dla Marjusza jakby wysłańcem z ciemności.

Odkryła mu naraz całą ohydną stronę nocy.

Marjusz prawie sobie wyrzucać począł swoje zaprzątnienia marzycielskie i miłosne, które mu aż dotąd przeszkadzały rzucić niekiedy okiem na swoich sąsiadów. Zapłacić za nich komorne, był to tylko popęd mechaniczny; każdy na jego miejscu byłby uczuł ten sam popęd; ale on powinien był zrobić coś więcej. Jakto? ściana tylko przedzielała go od tych istot opuszczonych, które plątały się omackiem po nocy, po za obrębem reszty żyjących; potrącał się o nich, był w pewnym względzie jakby ostatniem ogniwem rodu ludzkiego, którego oni dotykali, słyszał ich oddychających, czyli raczej rzężących tuż obok siebie; i nie zwracał na nich uwagi! Co dnia każdego, w chwili każdej, po przez ścianę, słyszał ich ruszających się, chodzących, mówiących i nie przykładał do tego słuchu! A w słowach ich bywały jęki, którym on nie podawał ucha! Myśl jego wiązała się gdzieś indziej, do marzeń, do promienistości niemożebnych, do nieujętych miłości, do szaleństw; podczas kiedy stworzenia ludzkie, jego bracia w Chrystusie, jego bracia w ludu, konali tuż obok niego, konali bezpożytecznie; on stanowił jakby cząstkę ich niedoli i jeszcze ją zwiększał. Albowiem gdyby mieli innego sąsiada, sąsiada mniej

rozmarzonego a bardziej uważnego, człowieka prostego a litościwego, prawdopodobnie ich niedostatek byłby spostrzeżonym, ich wołania o ratunek byłyby zasłyszane i może oddawna już, zostaliby przygarnięci i ocaleni. Bezwątpienia, zdawali się oni być bardzo zepsutemi, bardzo spodlonemi, bardzo nawet ohydnemi, ale jakże rzadko takich, którzyby upadli a nie znikczemnieli; zresztą jest kres, u którego nieszczęśliwi i niegodziwi spływają się i zlewają w jedno słowo nieuchronne zgubne: nędzarze—nędznicy; i czy ich w tem wina? A potem, czyż miłosierdzie nie powinnoby się spotężniać według miary głębokości upadku?

Podczas kiedy sobie czynił te wymówki (gdyż zdarzało mu się, jak w ogóle wszystkim sercom prawdziwie zacnym, bywać swoim własnym nauczycielem, i łajać się, niekiedy więcej nawet niż na to zasłużył), wpatrywał się w ścianę, która go przedzielała od Jondrett'ów, jakby mógł przesłać po przez tę zaporę swój wzrok pełen współczucia, i ogrzać nim tych nieszczęśliwych. Ścianę stanowiła cienka warstwa tynku, podtrzymywanego przez łaty i listwy, co, jakeśmy to już powiedzieli, dozwalało dokładnie rozróżniać głosy, a nawet i wyrazy. Potrzeba było być marzycielem takim jak Marjusz, żeby aż dotąd na to nie zwrócić uwagi. Ponieważ ściana ani z drugiej strony nie była wyklejoną papierem, można było najdokładniej przepatrywać jej budowę. Prawie sam o tem nie wiedząc, Marjusz bacznie przypatrywał się tej ścianie; niekiedy zdarza się i zadumaniu, że roztrząsa, rozważa i bada, tak jakby myśl sama. Nagle podniósł się, spostrzegłszy u góry, prawie tuż pod sufitem, trójgraniastą dziurę, pochodzącą z przerwy pomiędzy trzema łatami. Wypadło było wapno, które miało zatykać tę próżnią, i wspiąwszy się na komodę, można było przez ten otwór zajrzeć do izby Jondrett'ów. Współczucie posiada, i nawet powinno posiadać, swoją ciekawość. Dziura ta stanowiła jakby rodzaj okienka. Wolno jest

podpatrywać nieszczęście po zdradziecku, jeśli mu się ma przyjść w pomoc.

— Przypatrzmy się też, co to są za ludzie?—pomyślał Marjusz — i co się tam z niemi dzieje?

Wdrapał się na komodę, przyłożył oko do szpary, i spojrzał.

VI.

Dziki w swojem legowisku.

Miasta na podobieństwo lasów, posiadają swoje ostepy, w których się kryje wszystko, co mają najzłośliwszego i najstraszniejszego. Tylko, że po miastach, to, co się ukrywa w ten sposób, jest okrutne, plugawe i małe; jednem słowem: szpetne; to zaś, co się ukrywa w lasach, jest okrutne, dzikie i wielkie; jednem słowem: piękne. Wybierając pomiędzy legowiskami, więcej są warte gniazda zwierząt od gniazd ludzkich. Lepsze jeszcze jaskinie od dziur podejrzanych.

To, co Marjusz widział przez okienko, była to dziura podła.

Marjusz był biedny i izdebka, w której mieszkał, była także uboga; ale tak jak jego ubóstwo było szlachetnem, tak i jego ciupka była schludna. Izba, w którą się wzrok jego zagrążył, w tej chwili była obrzydliwa, brudna, smrodliwa, duszna, ciemna, plugawa. Za jedyne meble: krzesło wypchane słomą, stół kulawy, kilka starych czerepów, i w dwóch kątach, dwie kupy barłogu, służące za łóżka; za całą światłość, okno w dymniku o czterech szybach, zasnute pajęczynami. Wpadało przez ten otwór tylko tyle dnia, ile było potrzeba, ażeby z twarzy ludzkiej zrobić twarz widziadła. Ściany miały pozór trędowaty, i były po-

kryte szramami i ranami, jakby twarz skancerowana jakąś straszliwą chorobą. Opływała je ropowata wilgoć. Odznaczały się na nich miejscami bezwstydne rysunki, niezgrabnie kreślone węglem.

Izba, którą Marjusz zajmował, miała przynajmniej posadzkę z cegieł powyszczerbianych; ta zaś nie miała nawet cienia podłogi; chodziło się tam poprostu po opadanem wapnie i gruzach poczerniałych od naniesionego błota. Na tym nierównym pokładzie, gdzie śmieci zdawały się być powdeptywane i jakby powrastałe, i którego nie tknęła nigdy jedna tylko rzecz: szczotka do zamiatania, leżały kupami tu i owdzie: to stare chodaki, to dziurawe pończochy i najobrzydliwsze szmaty. Zresztą izba ta miała komin, za co też kazano sobie z niej płacić komornego czterdzieści franków rocznie. W kominie tym było także wszystkiego potrosze: fajerka, garnek, połamane deski, łachmany pozawieszane na gwoździach, klatka od ptaka, kupa popiołu, i na nim nawet trochę ognia. Dwa polana kopciły tam posępnie.

Ale co jeszcze przykrzejszy nadawało pozór tej izbie, to to, że była duża i nieregularnych kształtów. Mnóstwo tam było wypukłości, kątów, czarnych zaklęsłości, łataniny u sufitu, zatok i przylądków. Ztąd mnóstwo niezgłębionych kryjówek, w których wyobraźnia mogła przewidywać schronienia pająków wielkich jak pięść, stonogów szerokości stopy, i może nawet nie wiedzieć jakich istot ludzkich najpotworniejszych.

Jedno z legowisk znajdowało się blisko drzwi, drugie przy oknie. Obadwa jednym końcem dotykały komina i znajdowały się wprost Marjusza. W jednym z kątów, najbliżej przytykającym do otworu, przez który Marjusz zaglądał, była zawieszona na ścianie, w ramach z czarnego drzewa, rycina kolorowana, pod spodem której napisano było wielkiemi literami: *SEN*. Przedstawiało to śpiącą kobietę i śpiące dziecko na kolanach kobiety, i orła wśród obłoków, z koroną w dziobie. Kobieta odsuwała koronę z ponad głowy

dziecka, nie przebudzając się jednak wcale; w głębi widać było pośród promieni Napoleona, wspartego na kolumnie ciemno niebieskiej z żółtym kapitelem, na którym widać było napis:

Maringo.
Austerlits.
Jena.
Wagramme.
Elot (zamiast Eylau).

Pod tym obrazem stał oparty o ścianę z ukosa jakiś kwadrat zbity z desek, raczej długi jak szeroki. Wyglądało to na jakiś niby obraz odwrócony tyłem, czy też na coś oprawionego w ramy, zapewne pobazgranego po drugiej stronie; albo może zwierciadło wyłamane kiedyś z muru, i zapomniane tam, zanimby je wmurowano napowrót.

Przed stołem, na którym znajdowało się pióro, kałamarz i papier, siedział człowiek około lat sześćdziesięciu, mały, chudy, wyżółkły, dzikiego wejrzenia, wyrazu twarzy przebiegłego, okrutnego i niespokojnego. Wyraźnie gałgan wierutny.

Gdyby był Lawater mógł widzieć twarz tę, znalazłby w niej mięszaninę sępa i prokuratora; tak dalece drapieżny ptak i pieniacz oszpecały się tam i dopełniały wzajemnie; i pieniacz robił ptaka drapieżnego plugawym, drapieżny ptak czynił pieniacza straszliwym.

Człowiek ten miał długą brodę szpakowatą. Na sobie zaś koszulę kobiecą, której krój dozwalał widzieć jego piersi kosmate i nagie ramiona, najeżone siwawym włosem. Poniżej tej koszuli, ubrany był w zaszargane spodnie, i buty, z których wyłaziły palce.

Miał fajkę w gębie, i kopcił niemiłosiernie. Nie było już chleba w tej nędznej ciupie, ale nie brakło jeszcze tytuniu.

Pisał coś; prawdopodobnie jeden z tych listów, które Marjusz czytał niedawno.

Na jednym końcu stołu leżał stary jakiś łom oderwany, poczerwieniały i obszarpany. Format je-

go, będący dawnem duodecimo podręcznych wydań, zdradzał jakiś romans. Na okładce widać było następujący tytuł, drukowany grubemi głoskami: BÓG, KRÓL, CZEŚĆ I DAMY, przez Ducray-Dumesnil 1814.

Nie przerywając sobie pisania, człowiek ten mówił głośno, tak, że Marjusz mógł dokładnie słyszeć jego słowa:

— Że też to nie ma równości nawet po śmierci. Patrzcie-no naprzykład na cmentarzu Pére Lachaise. Magnaci, ci co mają pieniądze, leżą sobie na górze w akacjowej alei, która jest brukowana, mogą jeszcze i tam zajechać powozzami; ale ubogich, chudych pachołków nieszczęśliwych, oj! takich to rzucają na dół, w dziury wilgotne, gdzie jest błota po kolana. Pakują ich tam dlatego, żeby prędzej zgnili; nie można nawet pójść ich odwiedzić, bo się tam grzęźnie po pas w ziemi.

Tu się zatrzymał, uderzył pięścią w stół, i dodał zgrzytając zębami:

— O, jabym was tu wszystkich nauczył rozumu!

Gruba kobieta, mogąca mieć zarówno lat czterdzieści, jak i sto, siedziała w kucki tuż przy kominie na gołych piętach.

I ta także wcale nie wspanialej była ubrana, bo miała tylko koszulę na sobie i spódnicę trykotową, połataną staremi szmatami sukna. Fartuch z grubego płótna okrywał jej spódnicę do połowy. Jakkolwiek ta kobieta siedziała zgięta i skurczona, to przecież widać było, że musiała być bardzo wysokiego wzrostu.

Wyglądała na olbrzyma przy swoim mężu. Miała okropne włosy jasno-rudawe, poczynające już siwieć, które czochrała sobie od czasu do czasu ogrownemi swemi rękoma zatłuszczonemi o płaskich paznogciach.

Obok niej leżał na ziemi rozłożony tom tegoż samego formatu, co leżący na stole. Należał zapewne do tego samego romansu.

Na jednym z tapczanów Marjusz ujrzał jakąś małą dziewczynę, długą, wybladłą, prawie nagą, siedzącą

z zwieszonemi nogami; nie wyglądała ona ani na słuchającą czegokolwiek, ani na patrzącą, ani nawet na żyjącą.

Była to zapewne młodsza siostra tej, która niedawno odwiedziła Marjusza.

Zdawała się mieć lat jedenaście lub dwanaście. Przypatrzywszy się jej baczniej, można było poznać, że już miała dobrze lat czternaście. Była to ta sama, co poprzedniego wieczora mówiła na bulwarze. *Zmiatałamże dopiero, zmiatałam, zmiatałam.*

Była ona w rodzaju tych chuderlawych istot, które długo trzymają się przy ziemi, potem wyrastają szybko i znagła. Nędza to pędzi te smutne rośliny ludzkie. Stworzenia te nie mają ani dzieciństwa, ani młodości. Mając lat piętnaście, zdają się nie mieć więcej dwunastu; w szesnastym roku wyglądają na dwadzieścia. Dziś dziewczynka, jutro kobieta. Możnaby powiedzieć, że przeskakują życie, żeby prędzej z niem skończyć.

W tej chwili istota ta miała postać dziecka.

Zresztą nic w tem mieszkaniu nie zapowiadało obecności jakiejkolwiek pracy, nie było tam ani krosien, ani kołowrotka, ani żadnego narzędzia. Tylko w jednym kącie—jakieś żelaztwa podejrzanego użytku. Było to odrętwiałe lenistwo, które idzie w ślad za rozpaczą, a poprzedza konanie.

Marjusz rozpatrywał czas jakiś wnętrze tej siedziby grobowej, straszliwszej od wnętrza grobu, bo czuć tam jeszcze było szamotanie się ludzkiej duszy i drganie życia.

Poddasze, piwnica, podziemia, wśród którego pełzają niektórzy nędzarze u podnóża budowy społecznej, nie jest jeszcze zupełnym grobem, tylko raczej dopiero jego przedpokojem; ale rzekłbyś, że śmierć, która jest tuż obok, składa swoje najdotkliwsze nędze w tym przedsionku, na podobieństwo owych bogaczy, którzy rozkładają najświetniejsze swoje skarby u wejścia swych pałaców.

Człowiek umilkł, kobieta nie odzywała się, dziew-

czyna zdawała się nawet nie oddychać. Słychać było skrzyp pióra po papierze.

Człowiek mruczał, nie przestając pisać.

— Łajdactwo! łajdactwo! wszystko jest łajdactwo!

Ten warjant do epiphonemu Salomona wyrwał westchnienie kobiecie.

— Mój robaczku, uspokój się—mówiła. Bo sobie jeszcze zaszkodzisz, kochanie. Za wiele i tak twojej łaski, że piszesz do tych gałganów, moje serce.

W nędzy ciała tulą się jedne do drugich, jak wśród zimna, ale za to serca się oddalają. Według wszelkiego podobieństwa, kobieta ta musiała kochać kiedyś tego człowieka całą siłą przywiązania, na jakie ją stać było. Ale prawdopodobnie zgasło to uczucie w codziennych i zobopólnych wyrzutach, wywoływanych przez dotkliwy niedostatek, ciążący na całej rodzinie. Nie miała już w sercu dla męża jak tylko popioły przywiązania. Przecież przezwiska pieszczotliwe, jak to często bywa, przeżyły resztę. Mówiła mu zawsze, jak dawniej: kochanku, serce, mężulku, i t. p. ale ustami tylko, bo serce milczało.

Człowiek znów się zabrał do pisania.

VII.

Strategja i taktyka.

Marjusz ze ściśniętem sercem już się zabierał zejść z owego obserwatorjum, które sobie był urządził, kiedy znagła zwrócił jego uwagę jakiś nowy hałas. Pozostał jeszcze na miejscu.

Drzwi izby otworzyły się znagła. Ukazała się w progu starsza córka. Miała na nogach grube chodaki męzkie, powalane błotem, które poobryzgiwało było nawet jej czerwone nogi aż do kostek, i była ubrana w jakieś stare okrycie obszarpane, którego na niej Marjusz nie widział poprzednio, gdyż jej zapewne rzuciła, idąc do niego, aby wzbudzić swoją nagością więcej litości, i narzuciła znowu na siebie, wychodząc na miasto. Wszedłszy, pociągnęła drzwi za sobą, zatrzymała się przez chwilę dla nabrania tchu, gdyż zdawało się, że biegła szybko, a potem zawołała z wyrazem tryumfu i radości:

— Idzie!

Ojciec zwrócił się ku niej, kobieta także obróciła ku niej głowę, tylko mała dziewczyna ani się ruszyła.

— Kto taki? — zapytał ojciec.

— A, ten tam.

— Co? filantrop?

— Tak.

— Ten z kościoła Świętego Jakóba?
— A juści.
— Ten stary?
— Tak, ten stary.
— I przyjedzie?
— Idzie tuż za mną.
— Czy tylko pewno?
— Ale ma się rozumieć.
— Doprawdy, no proszę, i idzie?
— Jedzie dorożką.
— Dorożką! to jakiś Rotschild.
Mówiąc to, ojciec wstał.
— Jakże ty możesz wiedzieć, że on tu jedzie? Jeżeli jedzie dorożką, to znowu jakim sposobem mogłaś przyjść pierwej od niego? Czyś mu przynajmniej dała adres jak się należy? Czyś mu powiedziała, że to ostatnie drzwi w głębi kurytarza, na prawo? Byle się tylko nie omylił. Więc go znalazłaś w kościele? cóż? czytał mój list? cóż ci powiedział?
— He! he! he!—rzekła dziewczyna, jak to tobie spieszno, mój jegomościuniu. Otóż tak było. Weszłam do kościoła, on siedział na tem miejscu gdzie i zwykle. Ukłoniłam się i oddałam mu list. Przeczytał go i spytał mnie: Gdzież to mieszkacie, moje dziecko? Ja powiadam: zaprowadzę pana. Tak on mnie na to: Nie, lepiej zostaw mi wasz adres; moja córka ma sprawunki do zrobienia, więc ja wezmę dorożkę i przyjadę do was natychmiast. Więc mu zostawiłam adres. Kiedy się dowiedział w jakim to domu, zdziwił się jakoś i zamyślił się trochę, a potem powiedział: To nic, przyjadę do was. Po skończonej mszy, widziałam jak wychodził z kościoła ze swoją córką i jak wsiadał do dorożki. I powiedziałam mu wyraźnie: ostatnie drzwi w głębi kurytarza na prawo.
— A zkądże ty wiesz, że on przyjdzie?
— Bo widziałam dorożkę jak wjeżdżała na ulicę Małego Bankiera. I dlatego pobiegłam co tchu naprzód.

— A zkądże ty wiesz, że to ta sama dorożka?
— No, przecież uważałam na numer.
— Jakiż to ten numer?
— 440.
— No, to dobrze, masz rozum, widzę.

Dziewczyna zuchwale spojrzała ojcu w oczy, i pokazując chodaki, które miała na nogach:

— Mam rozum?—rzekła — zapewne, że mam rozum; ale zapowiadam, że nie będę już nosić więcej tych trzewików, i że już ich nie chcę wcale najprzód dla zdrowia, a potem dla czystości. Nic mnie bardziej nie złości jak te podeszwy sapiące, i które co stąpisz to się rozdziawiają jak żabie gęby. Wolę chodzić boso.

— Masz słuszność—odpowiedział ojciec łagodnym głosem, który stanowił przeciwieństwo z kwaśnym tonem dziewczyny. Ale inaczej nie wpuściliby cię do kościoła, bo nawet biedni muszą tam mieć trzewiki na nogach. Niewolno jest chodzić boso do Pana Boga— dodał z goryczą.

Potem, wracając do przedmiotu, który go zaprzątał:

— I ty jesteś pewna, że on tu przyjdzie?

— Ale no, kiedy powiadam, że mi prawie następuje na pięty — rzekła.

Człowiek wstał z siedzenia. Był jakiś rodzaj rozjaśnienia na jego twarzy.

— Moja żono—zawołał—słyszysz? nasz filantrop tu przyjdzie. Żywo, zagaś ogień.

Kobieta osłupiała. Nie ruszała się z miejsca. Mąż ze sprężystością kuglarza, porwał wyszczerbiony garnek, który stał na kominie, i wylał wody na głownie.

Potem, zwracając się do starszej córki:

— A ty prędko zrób dziurę w krześle.

Córka nie zrozumiała.

Porwał krzesło i jednem uderzeniem pięty przobił słomiane wysłanie.

Noga jego przeszła nawylot.

Wyciągając ją z dziury spytał córki:

— Czy zimno tam na dworze?

— Bardzo zimno; śnieg pada.

Ojciec zwrócił się ku młodszej córce, która siedziała na tapczanie tuż przy oknie i krzyknął grzmiącym głosem:

— Żywo, precz z łóżka, wałkoniu! czyż z ciebie nigdy nic nie będzie? Stłucz mi tam zaraz szybę.

Dziewczyna zeskoczyła z barłogu, szczękając zębami.

— Stłucz szybę — powtórzył.

Dziewczyna stała jak zdrętwiała.

— Czy słyszysz? — powtórzył ojciec. — Powiadam ci, żebyś stłukła szybę.

Dziewczyna z pewnym rodzajem osłupiałego posłuszeństwa, wspięła się na palcach i uderzyła pięścią w szybę. Szkło prysło i rozpadło się z brzękiem.

— Dobrze — rzekł ojciec.

Wydawał rozkazy tonem poważnym, ale żywym. Wzrok jego przebiegał szybko wszystkie zakąty izby.

Wyglądał jak wóz, robiący ostatnie przygotowanie w chwili kiedy bitwa ma się rozpocząć.

Kobieta, która aż dotąd nie była wymówiła ani jednego słowa, podniosła się i spytała głosem dowolnym, głuchym, którego dźwięki zdawały się jakby ścięte mrozem:

— Co to takiego ty zamyślasz, kochanie?

— Kładź się do łóżka — odpowiedział człowiek.

Ton, z jakim to wyrzekł, nie dopuszczał wahania. Kobieta usłuchała i rzuciła się ciężko na jedno z łóżek.

Tymczasem w jednym z kątów słychać było łkanie.

— Co to tam takiego? — zawołał ojciec.

Młodsza córka, nie wychodząc z ciemnego zakąta, w który się była wcisnęła, pokazała pięść zakrwawioną. Wybijając szybę, skaleczyła się. Poszła tedy usiąść przy posłaniu matki i tam płakała w cichości.

Z kolei matka zerwała się i poczęła wołać:

— Widzisz ty, te przeklęte głupstwa twoje! wybijając ci szybę, przecięła sobie rękę.

— Tem lepiej — rzekł człowiek. — To było przewidziane.

— Jakto? tem lepiej?

— Milczeć—odparł ojciec;—znoszę wolność prasy.

Następnie, rozdarłszy koszulę kobiecą, którą miał na sobie, wyrwał z niej szmat płótna i obwinął nim co żywo zakrwawioną pięść dziewczyny.

Zrobiwszy to, powiódł wzrokiem po rozdartej koszuli z wielkiem zadowoleniem:

— Albo i ta koszula także—wyrzekł—wszystko to bardzo dobrze wygląda.

Mroźny wiatr świstał po przez stłuczoną szybę, wchodząc swobodnie do izby. Przenikała też tam i mgła z zewnątrz i rozpływała się niby lekkie kłęby waty, rozskubywana niewidzialnemi palcami. Po przez wytłuczoną szybę widać było śnieg padający. Zimno, zwiastowane dnia poprzedniego przez słońce gromniczne, w istocie wróciło znowu.

Ojciec powiódł wzrokium w około siebie, jakby dla przekonania się czy przypadkiem czego nie zapomniał. Wziął z kąta starą łopatkę i narzucił popiołu na zmoczone głownie w taki sposób, aby ich widać nie było.

Potem, oparłszy się o komin:

— Teraz—rzekł—będziemy mogli godnie przyjąć filantropa.

VIII.

Promień w podłej dziurze.

Starsza córka zbliżyła się do ojca i położyła mu rękę na jego ręce:

— Pomacajno, jak mi zimno — rzekła.

— Ba!—odpowiedział ojciec—mnie trochę zimniej jeszcze.

Kobieta zawołała gwałtownie:

— Ty zawsze masz wszystko lepsze od drugich, nawet i co złego.

— Idź do djabła — rzekł człowiek.

Mówiąc to, spojrzał na nią w pewien sposób, co jej od razu zamknęło język w gębie.

Nastąpiła chwila milczenia w izbie. Starsza córka niedbale wykruszała z błota brzegi swego okrycia, młodsza zaś nie przestawała szlochać. Matka pociągnęła ją do siebie, i poczęła całować, mówiąc do niej z cicha:

— Moja duszeczko, to nic, to się zgoi; tylko nie płacz, bo się ojciec będzie gniewał.

— Ale gdzież tam—zawołał ojciec—przeciwnie, płacz, szlochaj, właśnie tak potrzeba.

Potem zwracając się ku starszej:

— Ale cóż u djabła, że on nie przychodzi dotąd? może nie przyjdzie wcale. To jabym napróżno zagasił mój ogień, zrobił dziurę w krześle, podarł koszulę i wytłukł szybę?

— I jeszcze skaleczył dziewczynę — mruknęła matka.

— Wiecie co — ciągnął dalej ojciec — że tu zimno jak w psiarni w tej czartowskiej dziurze. Jeszcze jeżeli ten człowiek nie przyjdzie! A! otóż to tak! każe na siebie czekać; powiada sobie: „No to i cóż, niech tam sobie czekają, toż oni od tego“. O jakże ich nienawidzę, i jakżebym ich zdusił z roskoszą, z radością, z zapałem i upodobaniem, tych bogaczów, wszystkich tych bogaczów, tych niby to ludzi litościwych, co to składają rączki nakrzyż, co to chodzą na mszę, przesiadują po zakrystjach, czatują pod furtami klasztorów, krzywią się, stękają, mają się za coś lepszego od nas, przychodzą nas upokarzać i przynosić nam jak oni nazywają: odzienie, a co jest tylko łachmanami nie wartemi i trzech groszy. I chleba! Nie tego ja chcę wcale, łajdaki! mnie potrzeba pieniędzy! Co? pieniędzy? O! tego to nigdy, bo powiadają żebyśmy je przepili, bośmy tylko wszyscy opoje i wałkonie. A oni? cóż takiego oni są? no proszę! Ale cóż on tam tak siedzi, ten twój bałwan dobroczynny? Czy on już przyjść nie myśli? Zapomiał może cymbał adresu. Założę się że ten stary dureń...

W tej chwili zapukano zlekka do drzwi. Człowiek rzucił się do nich co prędzej, wykrzykując z głębokiemi ukłonami i uśmiechami pełnemi błogości:

— Racz pan wejść, łaskawy panie, czcigodny nasz dobroczyńco, równie jak i zacna i czarująca damo.

Jakiś człowiek w dojrzałym już wieku i jakaś młoda osoba ukazali się na progu izby.

Marjusz ciągle znajdował się na swojem stanowisku. To czego doświadczył w tej chwili, nie da się wypowiedzieć żadnym językiem na świecie.

Ktokolwiek kochał, zna wszystkie znaczenia promieniste, które zawierają w sobie te trzy głoski wyrazu: Ona.

Była to istotnie ona. Zaledwie ją Marjusz dostrzegał po przez obłok mgły świetlnej, która się zna-

gła roztoczyła przed jego oczami. Była to ta sama wdzięczna istota tak długo nieobecna, ta sama gwiazda, która mu świeciła przez krótkie półrocze, to samo spojrzenie, to samo czoło, też usta, ta sama twarz znikła tak nagle, która tak grubą ciemność zostawiła po za sobą odchodząc. Widzenie się było zaćmiło, i oto wschodziło znowu.

Istotnie zdawała się ona jakby wschodzić, w tych cieniach, w tej izbie nędznej, w tej dziurze potwornej, w tych okropnościach.

Marjusz drżał cały, prawie odchodząc od siebie. „Co? to jest doprawdy ona?“ Uderzenia jego serca zamącały mu wzrok. Czuł, że się może w głos rozpłakać. Co? więc ją tedy widział znowu, naszukawszy się jej napróżno przez czas tak długi? Zdawało mu się, jakby był zgubił własną duszę i jakby ją odnajdował w tej chwili.

Nie zmieniła się ona nic od owego czasu, była tylko nieco blada; delikatną jej twarzyczkę okrążał kapelusz z fijołkowego aksamitu; kształty jej kibici ukrywały się pod czarnym atłasowym płaszczykiem. Widać było z pod jej długiej sukni, małą jej nóżkę ujętą w zgrabny bucik jedwabny.

Była jak i wprzódy w towarzystwie pana Białego.

Wszedłszy do izby, postąpiła kilka kroków, i złożyła na stole jakieś dosyć grube zawiniątko.

Starsza Jondreta ukryła się po za drzwiami, i przyglądała się ztamtąd ponuro aksamitnemu kapeluszowi, płaszczykowi z jedwabiu i tej pięknej, szczęśliwej twarzyczce.

IX.

Jondrette prawie płacze.

Izba była tak dalece ciemną, że ktokolwiek do niej wszedł ze dwora, doznawał koniecznie takiego wrażenia, jakby wchodził do piwnicy. Dwie tedy osoby nowo przybyłe postąpiły naprzód z pewnem wahaniem, zaledwie rozróżniając w około siebie przedmioty; same zaś były najdokładniej widziane i rozpatrywane szczegółowo oczami wszystkich mieszkańców izby, przyzwyczajonych do tego nieustającego zmroku.

Pan Biały zbliżył się ze swojem dobrem i smutnem spojrzeniem, i rzekł do Jondretta:

— Znajdziesz pan w tem zawiniątku całkiem nowe odzienie, ciepłe pończochy i kołdry wełniane.

— Nasz anielski dobroczyńca prawdziwie nas obarcza swemi darami — rzekł Jondrette kłaniając się aż do ziemi.

Następnie, pochylając się do ucha starszej córki, podczas kiedy nowo przybyli rozpatrywali tę opłakaną siedzibę, dodał z cicha i szybko:

— A co? nie mówiłem? łachmany; a pieniędzy ani grosza. Wszyscy oni tacy. Ale, ale, jakto był podpisany list do tego starego cymbała?

— Fabantou — odpowiedziała córka.

— A tak, artysta dramatyczny, już wiem.

Właśnie w czas to wypadło Jondrettowi, gdyż w tejże samej chwili stary pan obrócił się ku niemu, i odezwał się z miną człowieka, który chciałby sobie przypomnieć nazwisko:

— Widzę, że się znajdujesz w bardzo przykrem położeniu, panie...

— Fabantou — odpowiedział żywo Jondrette.

— Panie Fabantou, tak, tak, przypominam sobie.

— Tak łaskawy panie, artysta dramatyczny, i to z niemałem powodzeniem niegdyś.

W tem miejscu Jondrette uważał widać za stosowne zabrać się do opętania filantropa; zawołał tedy głosem zapożyczonym w połowie od trjumfalnych przechwałek jarmarkowego kuglarza, w połowie od pokory żebraka, siedzącego przy gościńcu:

— Uczeń Talmy, łaskawy panie, tak tak. Takim jakim mnie pan widzisz, jestem jednak uczeń Talmy. Szczęście uśmiechało się do mnie kiedyś. Niestety teraz znowu kolej niedoli. Patrz! szlachetny dobroczyńco, ani chleba, ani ognia. Moje biedne dzieciska nie mają się nawet przy czem ogrzać, jedyne moje krzesło, dziurawe. Wybita szyba, w taką przykrą porę; moja małżonka w łóżku, chora!

— Biedna kobieta! — rzekł pan Biały.

— Moje dziecię skaleczone — dodał Jondrette.

Dziewczyna zajęta przybyciem obcych, wlepiła oczy „w piękną pannę“ i przestała była szlochać.

— Płaczże! beczże!—szepnął jej Jondrette.

Jednocześnie uszczypnął ją w zranioną rękę. Wszystko to istną wprawą kuglarza.

Dziewczę poczęło jęczeć w sposób rozdzierający.

Urocza dziewczyna, którą Marjusz w sercu swojem nazywał *Urszulą*, przybliżyła się spiesznie:

— Biedaczka! — rzekła.

— Patrz pani, moja anielska panienko!—ciągnął dalej Jondrette — ma całą rękę skrwawioną. Miała ten smutny wypadek, pracując przy kole w fabryce,

dla zarobienia nędznych sześciu soldów dziennie. Może przyjdzie do tego, że wypadnie jej uciąć rękę.

— Czyż być może?—rzekł stary jegomość mocno zatrwożony.

Dziewczyna, biorąc słowa ojca za istotną prawdę, rozszlochała się jeszcze lepiej.

— Niestety! wszystko być może, wspaniały nasz dobroczyńco — rzekł ojciec.

Od niejakiego czasu, Jondrette przypatrywał się filantropowi w sposób jakiś osobliwszy. Mówiąc do niego zdawał się rozglądać w nim wielce uważnie, jakby usiłował pozbierać rozpierzchłe jakieś wspomnienia. Znagła, korzystając z chwili kiedy nowo przybyli rozpytywali się ze współczuciem o skaleczeną rękę dziewczyny, przemknął się koło swojej żony, która leżała na łóżku z miną przygnębioną i ogłupiałą, i szepnął jej szybko:

— Przypatrzno się uważnie temu człowiekowi.

Poczem, zwracając się znowu ku staremu jegomości, rozwodził dalej swoje ubolewania:

— Patrz pan, za całe ubranie, mam tylko na sobie koszulę mojej żony, i to całkiem podartą, i to wśród zimy! Nie mogę się na krok ruszyć z domu, bo nie mam czem okryć grzbietu. Gdybym miał choć jakie takie ubranie, poszedłbym do panny Mars, która mnie zna i bardzo mnie nawet lubi. Wszak zawsze mieszka jeszcze przy ulicy Tour des Dames? Czy pan uwierzy? grywaliśmy razem, na scenach prowincjonalnych! Podzielałem jej wawrzyny. Celimena z rozkoszą przyszłaby mi w pomoc, jestem pewny. Elmira z całego serca dałaby jałmużnę Belizarjuszowi! Ale tymczasem, nic! i ani grosza w domu! Żona mi oto chora, a tu ani grosza w domu! Żona moja cierpi duszności; wiek, łaskawy panie. A potem i usposobienie nerwowe do tego się przyłącza. Potrzebaby jej koniecznie ratunku, równie jak i córce. Ale doktór! ale apteka! czem tu płacić, kiedy niema ani złamanego grosza w domu? Padłbym na kolana choćby przed sze-

lągiem, łaskawy panie! Otóż na co to teraz zeszły sztuki! I cóż państwo powiecie na to, ty zachwycająca pani, i ty sztachetny nasz opiekunie, cóż powiecie na to wy, którzy oddychacie tylko cnotą i miłosierdziem, i którzy napełniacie wonią swoją tę świątynię, gdzie moja nieszczęśliwa córka przychodząc się modlić, spotyka was codziennie! Gdyż ja wychowuję moje córki w zasadach religijnych, szanowny panie! Nie chciałem w żaden sposób żeby weszły do teatru. O! hultajki, niechby mi się tylko która z nich potknęła! U mnie nie ma żartów. Palę ja im tu perory w przedmiocie dobrej sławy, moralności, cnoty. Niechno powiedzą! Wszystko mi musi iść jak się należy. Od tego mają ojca! To nie są wcale nędznice z rzędu tych, co to zaczynają od tego, że nie mają rodziny, a kończą na tem, że poślubiają publiczność. Taka, to ci się nazywa najprzód *panna Nikt, pani Omnibus*. Krocset djabłów! nie będzie tego w rodzinie Fabantou. Ja myślę dać im edukację cnotliwą, i żeby mi to było uczciwe, i żeby mi to było układne, i żeby mi to wierzyło w Boga, do wszystkich djabłów! Tymczasem łaskawy panie, szanowny panie, czy wie pan co nas czeka jutro? Jutro, to 4 lutego, dzień fatalny, ostateczny termin, który mi zapowiedział gospodarz domu; jeżeli mu tego wieczora nie zapłacę komornego, jutro moja starsza córka, ja, moja małżonka ze swoją gorączką, moje dziecko ze swoją raną, wszyscy czworo zostaniemy ztąd wypędzeni i wyrzuceni precz na ulicę, na bulwar, bez schronienia, na deszcz, na zimno, na śnieg. Taka to jest rzecz, zacny panie. Jestem dłużny za cztery kwartały; za cały rok, to jest razem sześćdziesiąt franków.

Jondrette kłamał bezczelnie. Nawet cztery raty nie byłyby wyniosły jak czterdzieści franków, a nie mógł być dłużnym za rok cały, skoro zaledwie sześć miesięcy temu Marjusz zapłacił był za półrocze.

Pan Biały dobył z kieszeni pięć franków i rzucił je na stół.

Jondrette miał czas mruknąć na ucho starszej córce:

— Patrzno, oto mi bestja przemądry! Właśnie ja tam sobie wiele robię z jego pięciu franków. To mi nie opłaca nawet krzesła ani szyby: róbże tu wydatki z takiemi gałganami.

Tymczasem pan Biały zdjął z siebie duży surdut ciemny, który nosił na swoim granatowym tużurku, i położył go na poręczy od krzesła.

— Panie Fabantou — rzekł — nie mam więcej przy sobie jak tylko te pięć franków, ale muszę pójść odprowadzić moją córkę do domu; więc powrócę tu wieczorem. Wszak to dzisiejszego wieczora wypada panu termin zapłaty?

Dziwny wyraz rozjaśnił twarz Jondretta. Odpowiedział co żywo:

— Tak, tak, przezacny panie. Punkt o ósmej powinienem się już znajdować u mojego gospodarza.

— Więc tu przyjdę o szóstej, i przyniosę panu sześćdziesiąt franków.

— O! czcigodny dobroczyńco — zawołał Jondrette, nieposiadając się z radości.

I dodał pocichu do żony:

— Przypatrz mu się dobrze.

Pan Biały wziął znowu pod rękę piękną dziewczynę, i zwrócił się ku drzwiom:

— Zatem do widzenia, dziś wieczór dobrzy ludzie — rzekł.

— O szóstej — rzekł Jondrette.

— Tak, o samej szóstej.

W tej chwili surdut porzucony na krześle zwrócił uwagę starszej Jondretty.

— Panie—rzekła—pan zapomniał swego surduta.

Jondrette cisnął na swoją córkę piorunujące spojrzenie, w połączeniu z groźnym ruchem ramion.

Pan Biały odwrócił się i odpowiedział z uśmiechem:

— Nie zapomniałem go, tylko go zostawiam.

— O! szlachetny opiekunie — rzekł Jondrette — o wspaniały dobroczyńco! prawdziwie łzy mi się rzucają do oczów. Chciej mi pan pozwolić, żebym go odprowadził aż do dorożki.

— Jeśli pan chcesz tego koniecznie—odparł pan Biały — to przynajmniej weź na siebie ten surdut. Jest istotnie bardzo zimno.

Jondrette nie dał sobie tego powtórzyć dwa razy. Żywo nadział na siebie ciemny surdut.

I wyszli wszystko troje, Jondrette przodem.

X.

Taksa dorożek: dwa franki na godzinę.

Marjusz nic nie stracił z całej tej sceny, a jednak istotnie nie widział nic prawie. Oczy jego pozostały wrytemi w młodą dziewczynę, serce jego pochwyciło ją, że tak powiem i objęło całą, zaraz od jej ukazania się na progu izby. Przez cały czas jej tam bytności, żył owem życiem zachwytu, które trzyma w zawieszeniu wszystkie poczucia zmysłów, i przebija całą duszę do jednego tylko przedmiotu. Wpatrywał się on, nie już w dziewczynę, ale w tę osobliwszą światłość, która miała na sobie płaszczyk jedwabny i aksamitny kapelusz. Gdyby była w tej chwili weszła do izby gwiazda Syrjusza, nie zostałby ani na jotę więcej olśniony.

Podczas kiedy dziewczyna rozwiązywała zawiniątko, rozkładała odzienie i kołdry, wypytywała się z dobrocią chorej matki i litowała się nad skaleczoną, śledził wszystkie jej ruchy, starał się usłyszeć każde jej słowo. Znał już jej oczy, czoło, piękność, kibić, postawę. Zdawało mu się, że kiedyś w ogrodzie zasłyszał był kilka słów jej mowy, ale nie był tego całkiem pewny. Byłby oddał dziesięć lat swojego życia, aby ją usłyszeć, aby módz unieść w duszy choć cząstkę tej muzyki. Ale wszystko się gubiło w opłakanej wystawie deklamacyjnej i grzmiących wybuchach Jon-

dretta. To domięszywało niemało gniewu do zachwycenia Marjusza. Pożerał ją oczami. Niepodobna mu było pogodzić się z myślą, że istotnie miał przed wzrokiem tę boską istotę, pośród tych wszystkich plugawych stworzeń, w tem potwornem legowisku. Zdawało mu się widzieć kolibra pomiędzy ropuchami.

Kiedy wyszła miał tylko jedną myśl, to jest pobiedz za nią, uczepić się jej śladów i nie opuścić jej, aż póki się nie dowie: gdzie mieszka? żeby już jej przynajmniej nie stracić, kiedy raz mu się udało tak cudownie ją odzyskać. Zeskoczył z komody i wziął kapelusz. Kiedy już kładł rękę na klamce i zabierał się do wyjścia, znagła zatrzymała go jedna uwaga. Korytarz był długi, schody strome, Jondrette gaduła, pan Biały jeszcze zapewne nie był wsiadł do dorożki, i gdyby odwróciwszy się nagle, bądź w korytarzu, bądź na schodach, bądź przy wyjściu, spostrzegł przypadkiem Marjusza w tym domu, niezawodnie byłby się tem zaniepokoił, i szukał środków wymknięcia mu się znowu; i wszystko przepadłoby znowu po raz drugi. Cóż tedy robić? czy się zatrzymać chwilę? ale znowu, podczas tego czekania, mogli odjechać. Dręczony był niepewnością. Wreszcie zdobył się na odwagę, i wyszedł z izby.

Nie zastał już nikogo w korytarzu. Pobiegł ku schodom. Nie było już nikogo na schodach. Zbiegł co tchu, i dostawszy się do bulwaru, spostrzegł właśnie, jak dorożka mijała róg ulicy Małego Bankiera, i wjeżdżała do miasta.

Marjusz puścił się biegiem w tym kierunku. Dotarłszy rogu bulwaru, znowu zobaczył dorożkę wjeżdżającą szybko w ulicę Mouffetard; była już bardzo daleko, ani sposobu ją dopędzić. Cóż? biedz tak ciągle, niepodobna; zresztą, z powozu łatwo było zapewne spostrzedz człowieka biegnącego co mu tchu starczyło w ślad za nim, i pan Biały mógł go poznać. W tej chwili, wypadkiem niesłychanym i cudownym, Marjusz ujrzał kabrjolet do najęcia, przejeżdżający

próżno bulwarem. Nie było nic innego do zrobienia, jak tylko wsiąść do tego kabrjoletu, i kazać jechać za dorożką. Był to sposób pewny, skuteczny i nie przedstawiający żadnego niebezpieczeństwa.

Marjusz skinął na woźnicę żeby stanął, i krzyknął mu:

— Biorę cię na godzinę.

Z pośpiechu zapomniał sobie zawiązać chustkę na szyi, miał też na sobie stary swój surdut od pracy, u którego brakowało guzików. Również i koszula jego była mocno poprzecierana na zakładkach gorsu.

Woźnica zatrzymał się, przymrużył oko, i wyciągnął ku Marjuszowi lewą rękę, naśladując prawą ruch palców człowieka, który liczy pieniądze.

— Co to znaczy? — rzekł Marjusz.

— To znaczy, że trzeba zapłacić z góry—rzekł woźnica.

Marjusz przypomniał sobie znagła, że nie miał wszystkiego jak szesnaście soldów.

— Ileż się będzie należało? — zapytał.

— Dwa franki.

— Zapłacę z powrotem do domu.

Woźnica za całą odpowiedź zaświstał sobie arję z Córki Regimentu, i zaciął konia.

Marjusz spojrzał za oddalającym się kabrjoletem wzrokiem obłąkanym. Dla dwudziestu czterech soldów, których mu nie dostawało, tracił swoją uciechę, swoje szczęście, swoją miłość. Zapadał znowu w ciemności; był już przejrzał i oto znowu stawał się niewidomym. Pomyślał z goryczą, i nawet, bo trzeba wyznać wszystko, z głębokim żalem, o pięciu frankach, które był dał przed kilku godzinami tej dziewczynie. Gdyby miał w tej chwili te pięć franków, byłby ocalony, mógłby wrócić do życia, mógłby raz wydobyć się z otchłani i ciemności, daleko pozostawiając za sobą opuszczenie, tęsknotę, osamotnienie; a tak nawiązywał znowu czarną nić swego przeznaczenia do tej pięknej złotej osnowy, która tylko co

mignęła mu przed oczyma, zrywając się raz jeszcze. Wrócił do rudery pogrążony w rozpaczy.

Mógł był się pocieszyć tem, że pan Biały obiecał wrócić wieczorem, i że nie pozostawało jak tylko lepiej się wziąść do rzeczy tym razem, ażeby go znów nie stracić z oczu: ale w swojem zachwyceniu, zaledwie słyszał że o tem była mowa.

W chwili kiedy wstępował na schody, spostrzegł po drugiej stronie bulwaru, tuż przy opustoszałych murach, ciągnących się wzdłuż ulicy Rogatki Gobelinów, Jondretta przyodzianego w surdut filantropa, jak rozmawiał z jednym z tych ludzi podejrzanego pozoru, dla których przyjęto nazwę *włóczęgów podrogatkowych*, ludzi zagadkowego oblicza, niepokojącej powierzchowności, którzy wyglądają jakby zawsze obmyślali coś złego; i którzy dość zwykle sypiają przez dzień cały, co pozwala wnosić, że muszą pracować nocami.

Dwaj ci ludzie, rozmawiający najobojętniej pomimo padającego śniegu, który wiatr miotał kłębami, mogli byli bezwątpienia zwrócić uwagę każdego ajenta policyjnego. Ale Marjusz zaledwie ich zauważał.

Jednakże, jakbądź silnem było jego zmartwienie, nie mógł jednak nie pomyśleć, że ten włóczęga podrogatkowy, z którym Jondrette rozmawiał, osobliwszym sposobem był podobny do niejakiego Panchaud, zwanego wiosennym i także Urwipołciem, którego mu był kiedyś pokazał Courfeyrac, jako uchodzącego w tej części miasta za nocnego przemysłowca dosyć niebezpiecznego. Widzieliśmy już w poprzedniej księdze nazwisko tego człowieka. Ten Panchaud, zwany wiosennym i zwany Urwipołciem występował później w kilku sprawach kryminalnych, i stał się od owego czasu *sławnym* łotrem. Wtedy był dopiero łotrem *zawołanym*. Dziś stał się już postacią tradycyjną pomiędzy zbójcami ulicznemi i rzezimieszkami. Był już mistrzem skończonym ku końcowi ostatniego panowania. Wieczorem, o zmroku, w porze, w której tworzą się gromadki szepczące między sobą zcicha, roz-

mawiano o nim w więzieniu la Force, w Lwim dole. Można było nawet w temże więzieniu, właśnie w miejscu gdzie się znajdował tuż pod przechodem patrolów ów kanał kloakowy, który posłużył do niesłychanej, wśród białego dnia, ucieczki trzydziestu więźniów, w roku 1843; można tedy było, na jednej z tafli kamiennych tej kloaki, wyczytać jego nazwisko: Panchaud, zuchwale wyryte jego własną ręką, podczas którejś z jego ucieczek. Policja miała go już na oku w r. 1832, ale w owym czasie jeszcze był jawnie nie wystąpił.

XI.

Nędza ofiaruje swą pomoc boleści.

Marjusz wstępował powoli po schodach rudery. W chwili kiedy miał wejść do swojej izdebki, spostrzegł po za sobą w korytarzu, że szła za nim starsza Jondretta. Widok tej dziewczyny wstręt w nim sprawiał. Jej to dał był owe nieszczęśliwe pięć franków; było już zapóźno odebrać je nazad; zresztą i kabrjolet już był odjechał, i dorożka była już daleko. A potem, onaby mu była i tak nie oddała pieniędzy. Co zaś do możności dowiedzenia się od niej czegokolwiek o zamieszkaniu nieznajomych, i myśleć o tem było daremnem. Widocznie i ona niewiele wiedziała w tym względzie, ponieważ list podpisany: Fabantou był zaadresowany: Do wielmożnego pana z kościoła Świętego Jakóba.

Marjusz wszedł do swego pokoju i chciał zamknąć drzwi za sobą.

Drzwi opierały się jego parciu; odwróciwszy się spostrzegł rękę, która nie dawała się drzwiom zamknąć.

— Co tam takiego znowu?—spytał.—Kto tam jest?

Była to starsza Jondretta.

— A! to ty, moja panno, — rzekł młody człowiek prawie ostro.—Znowu ty; czegóż chcesz znowu?

Zdawała się zamyśloną i nie patrzała mu w oczy. Nie miała już tyle śmiałości co zrana. Nie weszła do pokoju, tylko się zatrzymała w cieniu na korytarzu, gdzie ją widzieć można było przez drzwi uchylone.

— No cóż? proszęż mi odpowiedzieć — rzekł Marjusz: — Czegóż panna chcesz jeszcze odemnie?

Podniosła ku niemu swój wzrok przygasły, gdzie zdawał się rozniecać jakiś blask niewyraźny, i rzekła:

— Panie Marjusz, wyglądasz pan smutny. Co panu takiego?

— Mnie? — rzekł Marjusz.

— Tak, panu.

— Mnie nic.

— Ale nie, coś panu jest.

— Powiadam, że nic.

— A ja powiadam, że coś.

— W każdym razie proszę mi dać pokój i zostawić mnie samego.

Marjusz probował znowu drzwi zamknąć, ale ona je przytrzymywała.

— Przepraszam pana — rzekła—niech się pan nie gniewa.—Wiem, że pan nie bogaty, a jednak dobry bardzo. Bądź pan dobrym i teraz. Dziś rano z łaski pana miałam co zjeść, powiedz mi pan teraz: co to panu takiego? Pan ma jakieś zmartwienie, to przecie widać. Ja nie chcę, żebyś pan miewał zmartwienia. Ale co tu radzić na to?

Jeżelibym się panu na co przydać mogła, to mnie proszę używać. Nie chcę wiedzieć pana sekretów, nie potrzebuje mi się pan z niczem zwierzać. Ale przecież i ja się mogę przydać na co. Mogę i panu dopomódz, kiedy mogę dopomagać mojemu ojcu. Kiedy potrzeba zanieść gdzie list, iść do jakiego domu, rozpytywać się od drzwi do drzwi, znaleźć jaki adres, chodzić za kim, to już ja jestem od tego. To też może mi pan otwarcie powiedzieć: co panu jest? a ja pójdę pogadać z kim potrzeba; czasem jak się pogada i to i owo, to się zaraz i rzecz ułoży, i wszystko się załatwi. Niechże pan się namyśli czybym ja się panu na co nie przydała.

Słowa jej istotnie nastręczyły pomysł Marjuszowi. Tonący chwyta się choćby i brzytwy.

Zbliżył się do dziewczyny.

— Słuchajno — rzekł jej.

Przerwała mu z błyskiem radości w oczach:

— Dobrze, dobrze, mów mi pan: ty—to tak i lepiej zaraz.

— Niech i tak będzie — rzekł młody człowiek. Wszak to ty, zdaje mi się, przyprowadziłaś tu tego starego pana i jego córkę?

— Ja.

— A adres ich czy wiesz?

— Nie, nie wiem.

— To musisz mi go znaleźć.

Oko dziewczyny z przygasłego stało się było rozradowanem, ale w tej chwili z rozradowanego stało się znowu ponurem.

— A! to tego panu potrzeba?—spytała.

— Tak.

— Czy pan ich zna?

— Nie.

— To znaczy —rzekła dziewczyna z żywością, że pan jej nie zna, ale chce ją pan poznać.

To *ich* zamienione *ją* miało w sobie coś znaczącego gorzkiego.

— No cóż? czy możesz mi to zrobić? — spytał Marjusz.

— Będzie miał pan adres pięknej panny.

W dźwięku tego wyrażenia: *pięknej panny*, znajdował się jak i wprzódy odcień, który się wydał niemiłym Marjuszowi. Ciągnął dalej:

— Zresztą, niech sobie będzie co chce, bylebym miał adres ojca i córki. Ich adres, czy rozumiesz?

Dziewczyna spojrzała mu bystro w oczy.

— A co dostanę za to?

— Co tylko zechcesz.

— Co tylko zechcę?

— Tak.

— Będzie pan miał adres?

Pochyliła głowę, a potem szybkiem poruszeniem

popchnęła drzwi, które się też wkrótce za nią zamknęły.

Marjusz znalazł się znowu sam.

Osunął się na kresło, głową i łokciami wsparłszy o łóżko, przepadając w myślach, które napróżno usiłował pozgromadzać, i jakby stając się pastwą zamętu. Wszystko co się było przesunęło przed nim od rana: zjawienie się anioła, jego zniknięcie, rozmowa jego przed chwilą z tą nędzną istotą, słaby błysk nadziei, migocący pośród ogromnej rozpaczy; wszystko to bezładnie wypełniało jego umysł.

Znagła został gwałtownie oderwany od swoich myśli.

Usłyszał donośny i ostry głos Jondretta, wymawiający te słowa, które go w dziwny sposób uderzyły:

— Ale ja ci powiadam, że tak, i że go poznałem.

O kimże tak gadał Jondrette? kogóż to poznał? Czy pana Białego, ojca jego Urszuli? co znowu! czyżby go Jondrette mógł znać!? Miałże Marjusz otrzymać w ten sposób nagły i nieprzewidziany, wszystkie objaśnienia, bez których jego życie było ciemnem dla niego samego? miałże się dowiedzieć nareszcie kogo kochał? Kto była ta młoda dziewczyna? Kto był jej ojciec? Ta gruba zasłona, która ich okrywała aż dotąd, miałaż się w tej chwili uchylić? Ciemności miałyż się rozjaśnić? Boże wielki!

Myśląc to, raczej wskoczył niż się wdrapał na komodę, i znowu zajął miejsce przy małej szczelinie w ścianie.

Zapuścił znowu wzrok w ciemności izby Jondrettów.

XII.

Użycie pięciofrankówki pana Białego.

Wszystko tam znalazł jak wprzódy, wyjąwszy tylko, że matka i córki już się były zapomogły z zawiniątka, i miały na sobie pończochy i kaftaniki wełniane. Dwie nowe kołdry porzucone były na dwóch tapczanach.

Jondrette, zdaje się, tylko co był wrócił z miasta; był bowiem jeszcze zadyszany. Córki jego siedziały na ziemi obok komina, a starsza opatrywała rękę młodszej. Stara siedziała przykurczona na tapczanie przytykającym do komina, z wyrazem zdziwienia na twarzy. Jondrette przechadzał się po izbie tam i nazad ogromnemi krokami. W oczach miał coś dziwnego.

Kobieta, która zdawała się trwożliwą i jakby rażoną osłupieniem w obec swego męża, odważyła się przemówić do niego:

— Ale czy tylko naprawdę? czy to tylko pewno?

— Czy pewno? cóż to tak długiego ośm lat, żebym go nie miał poznać. O! to on, nie ma co gadać. Poznałem go z pierwszego rzutu oka. Jakto? toś ty tego nie dopatrzyła.

— Nie.

— A nie mówiłem ci: „uważaj!“ Ależ to przecież zupełnie ten sam wzrost, ten sam głos, ta sama twarz,

mało co nawet podstarzała; bo są ludzie co się nie starzeją nigdy, djabli ich wiedzą, jakto oni sobie tam radzą! Tylko lepiej ubrany, oto cała rzecz. Ah! ty stary gałganie, coś mi się tak sztucznie z rąk wymykał, złapałem cię nareszcie, poczekaj!

Zatrzymał się i rzekł do córek:

— Idźcie sobie gdzie się wam podoba.—Ale też to dopiero, żebyś też ty tego nie uważała?

Dziewczęta wstały żeby się oddalić.

Matka wyszeptała:

— Ależ ją ręka boli.

— To nic, świeże powietrze jej posłuży — odpowiedział Jondrette. Idźcie sobie.

Widoczną było rzeczą, że to był człowiek z rzędu tych, z któremi nie ma się co wdawać w rozprawy. Dziewczęta się zabrały i wyszły.

W chwili kiedy już miały próg przestępować, ojciec zatrzymał za ramię starszą z nich, i rzekł jej z pewnym szczególnym naciskiem:

— Wrócicie tu punkt na godzinę piątą. Obie. Będziecie mi potrzebne.

Marjusz natężył uwagę.

Zostawszy sam z żoną, Jondrette począł znów chodzić po izbie, i przeszedł się dwa czy trzy razy w milczeniu. Następnie, przez kilka minut wpychał sobie i obciągał po za pasem swoich spodni koszulę kobiecą, którą miał na sobie.

Nagle, obrócił się ku swojej żonie, złożył ręce na krzyż i zawołał:

— A wiesz ty, co ja ci jeszcze powiem? ta panna...

— No i cóż ta panna?—podchwyciła kobieta.

Nie było już wątpliwości, o *niej* to mówiono. Marjusz wsłuchiwał się ze straszliwym niepokojem. Całe jego życie zbiegło mu się do uszu.

Tymczasem Jondrette pochylił się był do swojej żony, i czas jakiś szeptał jej coś zcicha do ucha. Potem się wyprostował i zakończył głośno:

— Powiadam ci, że to ona.

To? ona!—zawołała kobieta.

— Tak, tak — odpowiedział mąż.

Żadne na świecie wyrażenie nie było w stanie oddać wszystkiego co się mieściło w tem zapytaniu: *To?* i w tym wykrzykniku: *Ona!* kobiety. Było to zdziwienie, wściekłość, nienawiść, złość, zmieszane i skojarzone razem w jednę potworną intonację. Widocznie, dosyć było słów kilku, jakiegoś imienia zapewne, które jej mąż szepnął w ucho, aby ta ogromna, zaspana kobieta obudziła się tak nagle, i z odrażającej stała się straszliwą.

— To niepodobieństwo!—wykrzyknęła. Kiedy ja sobie pomyślę, że moje córki chodzą boso i nie mają sukni na grzbiecie, a ta w futrze pokrytem atłasem, w aksamitnym kapeluszu, w bucikach; wszystko jak się należy. Toż to tam najmniej z jakie dwieście franków ona ma na sobie! Że możnaby myśleć, że to jaka wielka dama! Chyba się tobie przywidziało. Ale potem, tamta była szkaradna, a ta tu wcale nie brzydka; doprawdy wcale niczego. To ani podobieństwo, żeby to była ona.

— No, ja ci powiadam że to ona, przekonasz się.

Na to twierdzenie tak stanowcze, baba podniosła swoją szeroką twarz czerwoną i rudawą, i spojrzała w sufit z jakimś potwornym wyrazem. W chwili tej wydała się Marjuszowi straszliwszą jeszcze od męża. Była to maciora, ze spojrzeniem tygrysicy.

— Co u djabla!—zawołała;—ta przeklęta śliczna panna, co to spoglądała na moje córki z taką litującą się miną, miałaby być tą łajdaczką? O jabym jej flaki z brzucha wypruła obcasem od chodaka!

Zeskoczyła z łóżka, i postała chwilę z rozczochranemi włosami, z rozdętemi nozdrzami, z roztwartą gębą, z pieściami zaciśnionemi i przygotowanemi do zamachu. Potem z nagła padła znowu na swój barłóg. Człowiek tymczasem chodził tam i owdzie, nie zwracając banajmniej uwagi na swoją samicę.

Po kilku chwilach milczenia, przybliżył się do żony, stanął przed nią ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, tak samo jak pierwej nieco, i rzekł:

— A wiesz ty co ja ci jeszcze powiem?

— No cóż takiego? — spytała.

Odpowiedział jej krótko i z cicha:

— To, że będzie z tego nie mało pieniędzy.

Kobieta przypatrywała mu się czas jakiś wzrokiem, który zdawał się mówić: Czy się jemu klepki pomięszały we łbie?

— Ten zaś mówił dalej:

— Krocset piorunów; już też trochę za długo należę do bractwa Zdychaj-z głodu-jak-masz-ogień, Zdychaj z chłodu-jak-masz-chleb; już mi się nareszcie i przejadło biedy; dźwigałem-ci ja i za siebie i za drugich. Już mi się i odechciało żartów, już mi się to przestało wydawać pociesznem. Do psa z facecjami! Miły Boże! toż i ja radbym jeść ile mi się żąda, i pić wedle gardła, zrzeć, spać, leżeć do góry brzuchem. Teraz na mnie kolej. Ja także, zanim mnie djabli porwą, chciałbym być miljonowym panem.

Przeszedł się znowu po izbie i dodał:

— Tak jak drudzy.

— Co się tam tobie roi po głowie? — rzekła kobieta.

Wstrząsnął głową, przymrużył oko, i natężył głos, jak kuglarz jarmarkowy, który się zabiera do pompatycznej przemowy:

— Co mi się roi? no, to ja ci powiem.

— Cicho mruknęła baba, tylko nie tak głośno, bo to są może interesa, które nie każdy powinien słyszeć.

— He, i kogóż ty się boisz? może sąsiada? Widziałem tylko co, jak sobie wyszedł na miasto. Zresztą, czy to on co słyszy, ten drągal? a potem powiadam ci, że widziałem jak wychodził.

Jednak, na wszelki wypadek, zniżył nieco głos, nie tyle jednak, żeby jego słowa mogły ujść Marju-

szowi. Była jeszcze druga sprzyjająca okoliczność, która dozwoliła Marjuszowi słyszeć wszystkie szczegóły rozmowy, to jest, że śnieg obficie upadły przygłuszał turkot powozów na bulwarze.

Oto co Marjusz usłyszał następnie:

— Widzisz już go mamy, tego Krezusa; już jakbyśmy go trzymali w rękach. To tak; to już ułożone. Gadałem z ludźmi. Ma tu przyjść o szóstej wieczór, ze swoimi sześćdziesięcioma frankami, łajdaczysko! Widziałaś jakem ja mu to wyrecytował to wszystko; i te sześćdziesiąt franków, i tego tam gospodarza, i termin niby, jakby to tam był jaki termin dla mnie; prawda, że to było wcale nie głupio? Przyjdzie tedy o szóstej, o tym czasie nasz sąsiad idzie jeść, a stara Burgon pomywa naczynia w mieście. Nie będzie tedy żywego ducha prócz nas w domu. Sąsiad nie wraca nigdy przed jedenastą. Zresztą dziewczęta będą pilnowały. A ty nam pomożesz. Zobaczysz jak mu ślicznie wyprzątniemy kieszenie.

— A jak sobie nie da wyprzątnąć spytała kobieta.

Jondrette machnął ręką w sposób złowrogi i rzekł:

— To go sami sprzątniemy.

I zaczął się śmiać.

Po raz to pierwszy, Marjusz widział go śmiejącego się. Śmiech jego był zimny i cichy, i mimowolnie przeszywał dreszczem.

Jondrette otworzył szafę ukrytą w ścianie tuż przy kominie, i wyciągnął z niej starą czapkę, którą sobie włożył na głowę, wyczyściwszy ją wprzódy od niechcenia rękawem.

— A teraz—rzekł—wychodzę. Mam jeszcze do pogadania i z tym i z owym. Trzeba rzecz zrobić jak się należy. Zobaczysz jak to pójdzie wybornie. Zabawię na mieście jak może być najkrócej, to pyszna gratka; a ty zostań w domu.

I powpychawszy obie pięście w kieszenie od spodni, jakiś czas stał zamyślony, potem zawołał:

— Wiesz ty, że to jest ogromne szczęście, że on mnie nie poznał. Gdyby mnie był poznał, z pewnością nie byłby przyszedł drugi raz i byłby się nam wymknął; ale to moja broda mnie uratowała, moja bródka romantyczna, moja piękna bródka romantyczna.

I począł się śmiać znowu.

Poszedł ku oknu. Śnieg padał ciągle, centkując szarą barwę nieba.

— Co za psi czas — rzekł. Potem zapinając na sobie surdut:

— Futerał nieco za przestronny. Ale to nic, dodał, zawsze djable dobrze zrobił że mi go zostawił, stary cymbał. Inaczej, aniby myśleć wyjść na miasto, i wszystko byłoby w łeb wzięło. Jakto jednak czasem rzeczy wiszą na włosku jednym.

I nacisnąwszy sobie czapkę na oczy, wyszedł.

Zaledwie miał czas zrobić kilka kroków za progiem, kiedy drzwi znów się otworzyły i ukazał się w nich raz jeszcze jego profil dziki i przebiegły.

— Ach! zapomniałem — rzekł — trzeba będzie dostać zkąd fajerki.

Mówiąc to, rzucił w fartuch swojej żonie tę samą pięciofrankówkę, którą mu był zostawił filantrop.

— Fajerkę? — zapytała kobieta.

— Tak.

— A ileż trzeba będzie węgli?

— Ze dwie miary.

— To wyniesie półtora franka, za resztę trzeba będzie kupić co na obiad.

— Nie można.

— Dlaczego?

— Ani się waż wydawać wszystkich pieniędzy.

— Dlaczego?

— Bo ja także będę potrzebował coś kupić.

— Cóż takiego?

— Coś.

— A ileż ci na to będzie potrzeba?

— Jest tu gdzie blisko sklep żelazny?

— Jest na ulicy Mouffetard.

— A! prawda, na rogu; widać go ztąd.

— Ale powiedzże mi, ile ci będzie potrzeba na to co masz kupić!

— Od półtrzecia do trzech franków.

— Nie zostanie tedy ani grosza na obiad.

— Dziś nie ma co myśleć o jedzeniu. Jest co lepszego do zrobienia.

— Jak sobie chcesz, kochanie.

Na to słowo żony, Jondrette przymknął drzwi, i tą razą Marjusz słyszał już najwyraźniej jak się oddalał w korytarzu rudery, a potem szybko zstępował ze schodów.

W tej chwili, biła pierwsza godzina na wieży u Św. Medarda.

XIII.

Solus cum solo, in loco remoto, non cogitabuntur orare pater noster.

Marjusz jakkolwiek był marzycielem, był jednak, jakeśmy to już powiedzieli, charakteru tęgiego i energicznego. Nawyknienia do życia wewnętrznego w osamotnieniu, rozwijając w nim współczucie i litość, złagodziły zapewne usposobienie do gniewu, ale zostawiły nietkniętym popęd do oburzenia się; posiadał pobłażliwość bramina i surowość sędziego; umiał litować się nad ropuchą, ale zadeptywał żmije. Otóż było to gniazdo żmij, legowisko poczwar, to miejsce w które przed chwilą wzrok swój zapuszczał.

— Potrzeba koniecznie postawić nogę na tych nędznikach — rzekł.

Dotąd nie wyjaśniła mu się była żadna z zagadek, których rozwiązania pragnął tak gorąco; przeciwnie, wszystko zdawało się jeszcze mocniej zaciemniać. Nie dowiedział się ani na jotę więcej z tego co się tyczyło pięknej dziewczyny z ogrodu Luksemburgskiego i człowieka, którego sobie nazywał panem Białym, jak tylko to chyba, że Jondrette znał ich oboje. Po przez nawał rozmaitych słów ciemnych, które mu się były obiły o uszy, jasno przeglądał tylko rzecz jedną, to jest, że przygotowywano jakąś zasadzkę, samołów-

kę ciemną ale straszliwą; że nad obojgiem wisiało wielkie niebezpieczeństwo, nad nią *może*, nad jej ojcem *niezawodnie*; że należało wszelkiemi sposobami ich ocalić; że należało zniweczyć nikczemne zamachy Jondrettów, i pozrywać sieci tych pająków.

Czas jakiś przyglądał się pozostałej w izbie kobiecie. Wyciągnęła ona była z jakiegoś kąta stary piecyk blaszany i szperała coś pomiędzy żelaztwem.

Zszedł z komody jak tylko mógł najostrożniej i strzegąc się zrobić jakikolwiek szelest.

Pośród obawy tego wszystkiego, co się tam przygotowywało, oraz wstrętu jaki w nim budzili jego sąsiedzi, czuł pewien rodzaj radości na myśl, że może mu było przeznaczone oddać przysługę tej, którą kochał.

Ale jak tu sobie poradzić? Czy ostrzedz osoby zagrożone? to znowu gdzie ich szukać? nie wiedział ich adresu. Przez chwilę ukazały się jego oczom i potem znów utonęły w niezmiernych głębiach Paryża. Możeby czekać na pana Białego u drzwi wieczorem o godzinie szóstej, w chwili kiedy przybędzie, i ostrzedz go o zasadzce? Ale znowu Jondrette i jego wspólnicy mogą go postrzedz czatującego, miejsce jest odludne, będą silniejsi od niego, znajdą łatwo sposób schwytać go albo oddalić, a w takim razie ten, którego Marjusz radby ocalić, będzie jeszcze pewniej zgubiony. Było tylko co po pierwszej, zasadzka naznaczona była na godzinę szóstą. Marjusz tedy miał jeszcze pięć godzin przed sobą.

Jedno tylko pozostawało do zrobienia.

Wziął na siebie ubranie jakie takie, zawiązał sobie szalik na szyi, wziął kapelusz i wyszedł, nie więcej robiąc hałasu, jak gdyby stąpał po mchu bosemi nogami.

Zresztą, baba sama robiła nieco hałasu, przebierając w żelaztwach.

Wyszedłszy szczęśliwie z domu, udał się wprost na ulicę Małego Bankiera.

Znajdował się już na połowie tej ulicy, w bliskości muru bardzo niskiego, któryby można przeskoczyć nawet w pewnych miejscach, i który otacza jakiś plac pusty. Szedł powoli, zatopiony sam w sobie, a śnieg zagłuszał odgłos jego kroków; z nagła usłyszał jakby rozmawiających tuż obok siebie. Obejrzał się, ulica była pusta, nie było nigdzie widać nikogo, choć to było w dzień biały, a jednak najdokładniej słyszał jakieś głosy.

Przyszło mu na myśl spojrzeć po przez mur, obok którego właśnie przechodził.

Znajdowało się tam istotnie dwóch jakichś ludzi, siedzących na śniegu, opartych o mur, i rozmawiających z sobą z cicha.

Dwaj ci ludzie byli mu całkiem nieznani; jeden z nich brodaty, miał na sobie bluzę, a drugi, z długiemi włosami był w łachmanach.

Brodaty miał na głowie czapeczkę grecką, drugi był z gołą głową, i miał śnieg we włosach.

Wyciągnąwszy nieco głowę po nad niemi, Marjusz mógł ich słyszeć.

Długowłosy trącał drugiego łokciem i mówił:

— Z pomocą szarego Matusa, to niechybi.

— Tak ci się widzi?—rzekł brodaty, A tamten odpowiedział:

— To wyniesie na każdego po saku z pięciuset okrąglaków. O jakby na ten oto przypadek, to już pięć lat, sześć, dziesięć lat najwięcej.

— Drugi odpowiedział mu z pewnem wahaniem i szczękając zębami z pod czapki greckiej:

— Ba i prawda! co ma wisić to nie utonie.

— Powiadam ci że interes pójdzie — mówił znowu długowłosy; dryndulka dziadka *Ktosia* będzie w pogotowiu.

Potem zaczęli rozmawiać o jakiejś melodramie, którą widzieli dnia poprzedniego w teatrze Wesołości.

Marjusz udał się w dalszą drogę.

Zdawało mu się, że ciemna rozmowa tych ludzi, w tak dziwny sposób ukrytych po za tym murem i przykucniętych w śniegu, nie była może bez pewnego związku ze straszliwemi zamiarami Jondretta. O tym to interesie musiała być mowa.

Zwrócił się ku przedmieściu świętego Marcela, i zapytał się w pierwszym lepszym sklepie na drodze o zamieszkaniu komisarza policji.

Wskazano mu numer 14-ty przy ulicy Pontoise. Tam się udał.

Przechodząc koło sklepu piekarza, wszedł i kupił sobie bułkę za dwa soldy, którą też zaraz jeść począł, przewidując że nie będzie miał możności zjeść obiadu.

Przez drogę, uznał przemądre zrządzenie opatrzności. Pomyślał, że gdyby nie był dał z rana tych pięciu franków córce Jondretta, byłby mógł puścić się w pogoń za dorożką pana Białego, i tym sposobem niczego się nie dowiedzieć; że wtedy niby już nie było w stanie przeszkodzić zasadzce Jondretta, skutkiem czego pan Biały byłby zgubiony, i bez wątpienia wraz z nim, jego córka.

XIV.

W którym urzędnik policyjny przyjmuje adwokata.

Przybywszy pod numer 14-ty przy ulicy Pontoise, Marjusz wszedł na pierwsze piętro i zapytał się o komisarza policji.

— Pana komisarza nie ma w domu — powiedział mu jakiś posługacz biurowy — ale jest tu Inspektor, który go zastępuje. Czy chce się pan z nim widzieć? czy to co pilnego.

— Tak jest — rzekł Marjusz.

Posługacz wprowadził go do gabinetu komisarza. Stał tam po za kratą, oparty o piecyk żelazny i unosząc dwoma rękami poły obszernego surduta o trzech pelerynkach, człowiek jakiś wysokiego wzrostu. Miał twarz prawie kwadratową, usta wązkie i zaciśnięte, bujne faworyty szpakowate bardzo dzikiego pozoru, i wzrok świdrujący aż do rdzenia duszy. Można było powiedzieć o tym wzroku: że nie tyle przeszywał, co raczej przeplądrowywał.

Nie wyglądał ten człowiek ani na jotę mniej srogim ani mniej straszliwym od Jondretta. Niekiedy równie bywa zatrważającem spotkać psa łańcuchowego, jak wilka.

— Cóż to za interes? — rzekł do Marjusza, nie mówiąc mu wcale: — panie.

— Czy Sam pan komisarz?

— Niema go w domu. Ja go zastępuję.

— Idzie tu o rzecz bardzo tajemną.

— Więc proszę mówić.

— I bardzo pilną.

— Więc proszę prędko.

Obejście zarazem spokojne i porywcze tego człowieka miało w sobie coś zatrważającego, lecz także i uspakajającego. Obudzał on obawę, ale i zaufanie. Marjusz opowiedział mu całe zdarzenie. Mianowicie: że osoba pewna, którą znał tylko z widzenia, miała być wciągnięta tego samego wieczora w zasadzkę; że on Marjusz Pontmercy, adwokat, z mieszkania swego, które sąsiaduje z gniazdem łotrów, na własne uszy wysłuchał ich zmowy przez ścianę; że zbrodniarz, który obmyślił zasadzkę, był to niejaki Jondrette; że będzie miał wspólników, prawdopodobnie włóczęgów podrogatkowych, pomiędzy innemi niejakiego Panchaud, zwanego Wiosennym i także Urwipołciem; że córki Jondretta mają stać na czatach; że niema najmniejszego sposobu uprzedzić człowieka zagrożonego, zważywszy, że się nie wie nawet jego nazwiska, i wreszcie, że wszystko to, ma się spełnić o godzinie szóstej wieczorem, w miejscu najpodlejszem bulwaru Szpitalnego, w domu pod Nr. 50 — 52.

Usłyszawszy ten numer, inspektor podniósł głowę i rzekł zimno:

— Więc to ma się stać w izbie, znajdującej się w głębi korytarza?

— Właśnie tak—odpowiedział Marjusz. I dodał:

— Czy pan zna ten dom?

Inspektor pozostał przez chwilę milczący, potem rzekł od niechcenia, grzejąc sobie piętę u drzwiczek piecyka:

— Być może.

I ciągnął dalej przez zęby, raczej mówiąc do siebie jak do Marjusza:

— Może tam być nieco Szarego-Matusa w tem wszystkiem.

Słowo to uderzyło Marjusza.

— Szary-Matus?—rzekł. Istotnie, słyszałem także i to słowo.

Tu opowiedział inspektorowi zasłyszaną przez siebie rozmowę człowieka długo-włosego z brodatym, siedzącym w śniegu, po za murem uliczki Małego Bankiera.

Inspektor mruknął do siebie:

— A! długowłosy to jest pewnie *Brujon*, a brodaty musi być *Złamany Szeląg*.

Powiedziawszy to, znowu spuścił w dół oczy, i rozmyślał przez chwilę.

— Co do *Dziadka Ktosia*, zaczynam go się domyślać. Masz tobie, otóż i spaliłem sobie surdut. Zawsze te cymbały przepalić muszą te przeklęte piece. Numer 50—52, dawna posiadłość Gorbeau.

Następnie spojrzał na Marjusza.

— Proszę mi powiedzieć, więc się widziało tylko tego z długiemi włosami i brodatego?

— Widziałem także Panchaud'a, jak to już powiedziałem.

— A czy nie uwijał się tam jaki djabli elegancik pomiędzy niemi?

— Nie.

— Ani jaki ogromny tęgi drab, podobny do słonia z ogrodu Botanicznego?

— Nie.

— Ani stary lis, który wygląda trochę na kuglarza?

— Nie.

— Co do czwartego, tego nikt nigdy nie ogląda, nawet jego przyboczni, podręczni spełniacze rozkazów. Wcalebym się nie dziwił, gdyby go i znać nie było w całej tej sprawce.

— Cóż to za jedni ci wszyscy jegomoście?—spytał Marjusz.

Inspektor odpowiedział, ale raczej jakby sobie samemu tylko:

— Zresztą, to nie jest ich godzina.

Wpadł znowu w zamyślenie, a potem mówił dalej:

— 50—52, znam ja tę chałupę. Ani sposobu schować się wewnątrz, bo się gracze spostrzegą, a w takim razie mogliby odłożyć komedję na kiedy indziej.

Oni są tacy skromni, obawiają się wszelkiej publiczności. Nie, to trzeba będzie zrobić zupełnie inaczej. Muszę tych ptaszków najprzód usłyszeć śpiewających, a potem ich puścić w taniec.

Skończywszy ten monolog, zwrócił się ku Marjuszowi i spytał go, wpatrując mu się bystro w oczy:

— A co? czy strach może?

— Czego? — spytał Marjusz?

— Tych ludzi.

— Nie więcej jak kogobądź na świecie — odpowiedział sucho Marjusz, spostrzegając się nareszcie, że go nie nazwał ani razu panem.

Inspektor wpatrzył się w Marjusza baczniej jeszcze niż wprzódy, i rzekł z pewnym rodzajem uroczystej powagi:

— Mówisz pan jak człowiek odważny i jak człowiek uczciwy. Odwaga nie obawia się występku, tak jak uczciwość nie lęka się władzy.

Marjusz przerwał mu.

— Wszystko to jest dobrze, ale co pan zamyślasz zrobić w tym razie?

Inspektor poprzestał tylko na odpowiedzeniu mu:

— Wiem, że każdy z mieszkańców tego domu ma klucz od głównego wejścia, żeby módz bez przeszkody wracać do siebie w nocy. Musisz i pan mieć taki klucz?

— Mam — rzekł Marjusz.

— Czy ma go pan przy sobie?

— Mam.

— Proszę mi go dać — rzekł inspektor.

Marjusz wyjął swój klucz z kieszeni, dodał:

— Zdaje mi się, że nieźle pan zrobisz, jeżeli przyjdziesz w dobrej assystencji.

Inspektor rzucił Marjuszowi spojrzenie, jakiemby Wolter obdarzył studenta z prowincji, któryby mu się chciał przysłużyć rymem; jednem poruszeniem zagrążył obie swoje ogromne ręce w dwie niezmierne kieszenie swojego surduta, i wyciągnął z nich dwie małe krucice stalowe z rodzaju pistoletów zwanych *pięściami*. Podał je Marjuszowi, mówiąc mu krótko i węzłowało:

— Weź pan to. Wróć do siebie. Ukryj się w twoim pokoju, żeby myślano, żeś wyszedł. Krucice są nabite. Każda dwiema kulami. Trzeba na wszystko mieć baczność. Od tego jest dziura w murze, jakeś mi to pan powiedział. Oni się zejdą. Trzeba im trochę popuścić. Kiedy pan osądzisz, że już dosyć, i że będzie pora potemu; wypalisz z krucicy. Byle nie zawcześnie. Resztę proszę już mnie zostawić. Strzał w powietrze, w sufit, gdzie bądź. Nadewszystko, nie zawcześnie. Doczekasz pan początku wykonania czynu. Jesteś adwokatem, to musisz wiedzieć co to jest.

Marjusz wziął krucice i włożył je w boczne kieszenie swojego surduta.

— Tak nie można, to nadto sterczy, to będzie widać. Włóż je pan lepiej w kieszenie od spodni.

Marjusz zrobił jak mu zalecono.

— A teraz — mówił dalej inspektor — niema ani chwili do stracenia dla nikogo. Która godzina? Pół do trzeciej. Wszak to naznaczono na godzinę siódmą?

— Na szóstą — rzekł Marjusz.

— To jeszcze mam czas przed sobą — rzekł inspektor, ale ani na jotę więcej, jak to, co potrzeba. Nie zapomnij pan ani słowa z tego com ci powiedział. Paf! Ma być jeden strzał z krucicy.

— Bądź pan spokojnym — odpowiedział Marjusz.

I kiedy Marjusz trzymał już rękę na klamce od drzwi, zabierających się do wyjścia, inspektor rzekł mu:

— Ale! ale! gdybyś mnie pan przypadkiem potrzebował do tego czasu, to przyjdź tu sam, albo przyślij kogo pewnego. Każesz się zapytać o inspektora Javert.

XV.

Jondrette załatwia swój sprawunek.

W kilka chwil potem, około godziny trzeciej, Courfeyrac przechodził przypadkiem przez ulicę Mouffetard, w towarzystwie Bossuet'a. Śnieg się wzmagał i zasypywał powietrze. Bossuet właśnie mówił do Courfeyrac'a:

— Widząc polatujące te płatki śniegu, powiedziałbyś, że w niebie zawzięło się morowe powietrze na białe motyle.

Znagła Bossuet spostrzegł Marjusza, idącego ulicą ku rogatce z osobliwszym jakimś wyrazem twarzy.

— Patrzaj—rzekł Bossuet—to Marjusz.

— Widzę go. Ale nie trzeba go zaczepiać.

— Dlaczego?

— Przecież widzisz że jest zajęty.

— Zajęty? czem?

— Czyż nie widzisz jak on wygląda?

— No jakże.

— Wygląda widocznie na kogoś, co za kimś idzie.

— A! prawda — rzekł Bossuet.

— Uważaj tylko jak patrzy—rzekł znowu Courfeyrac.

— Ale za kimże u djabła tak pędzi?

— Zwyczajnie jakaś spódniczka w kapelusiku z kwiatami. Widocznie zakochany.

— Ależ — zrobił uwagę Bossuet — nie widzi ani spódniczki, ani kapelusika, ani kwiatów w ulicy. Nigdzie ani jednej kobiety.

Courfeyrac przypatrzył się bacznie i zawołał:

— Ależ bo on pędzi za mężczyzną.

W istocie, człowiek jakiś w czapce na głowie, i któremu widać tylko było brodę siwawą z całej twarzy, szedł na jakie dwadzieścia kroków przed Marjuszem.

Człowiek ten ubrany był w nowiuteńki surdut, za duży na niego, i w obrzydliwe spodnie w strzępach całkiem poczerniałe od błota.

Bossuet o mało nie pękł od śmiechu.

— Cóż to znów za figura?

— To—odpowiedział Courfeyrac—to poeta. Poeci noszą dość chętnie spodnie oberwańców z Zarwańskiej ulicy, a surduty parów Francji.

— Ale zobaczmy przecie dokąd to Marjusz tak spieszy? — rzekł Bossuet — i także dokąd idzie ten człowiek? może chodźmy za niemi, co?

— Bossuecie—zawołał Courfeyrac, orle z Meaux, jesteś przeraźliwem bydlęciem. Któż znowu chodzi za człowiekiem, który goni mężczyznę?

Mówiąc to, wrócili się.

Marjusz w istocie spostrzegł był Jondretta w ulicy Mouffetard, i począł go śledzić.

Jondrette szedł przed nim, ani się domyślając, że był już wzrok, który go miał w swojej mocy.

Po chwili zszedł z ulicy Mouffetard, i Marjusz ujrzał go wchodzącego do jednej z najbliższych bud przy ulicy Wdzięcznej. Zatrzymał się tam z pół godziny, a potem wrócił znowu na ulicę Mouffetard. Zaszedł do sklepu żelaznego, który się znajdował w owym czasie na rogu ulicy Piotra Lombard, i w kilka minut potem wyszedł ze sklepu, trzymając w ręku duże dłuto z rękojeścią z białego drzewa, które zaraz schował pod surdut.

Doszedłszy do ulicy Małego-Gentilly, zwrócił się na lewo i wszedł szybko na ulicę Małego Bankiera. Zmrok zapadał, śnieg, który był ustał na chwilę, znowu zaczynał padać. Marjusz zaczaił się jeszcze za węgłem na rogu ulicy Małego Bankiera, która była pusta jak zwykle, i nie poszedł dalej za Jondrette'm. Na dobre mu to wyszło, gdyż doszedłszy do nizkiego muru, po za którym Marjusz słyszał rozmawiających dwóch ludzi, Jondrette obrócił się, i upewniwszy się, że nikt za nim nie idzie i nikt go nie widzi, przeskoczył mur i zniknął.

Pusta przestrzeń, którą ten mur otaczał, przytykała do tylnego podwórka pewnego niegdyś właściciela powozów do najęcia, człowieka podejrzanego, który był zbankrutował, i który posiadał jeszcze kilka starych pojazdów pod szopami.

Marjusz pomyślał sobie, że nie będzie od rzeczy, korzystając z nieobecności Jondrett'a, wrócić do domu; zresztą, robiło się już późno. Co wieczór, Imćpani Burgon, wychodząc na miasto dla pomywania naczyń po domach, miała zwyczaj zamykać drzwi od ulicy, które tym sposobem bywały zamknięte zaraz od zmroku. Ponieważ Marjusz dał był swój klucz inspektorowi, wiele mu zależało na tem, żeby się pośpieszyć.

Wieczór już nadszedł, noc nawet prawie była zapadła, i na widnokręgu w przestrzeniach nieskończoności znajdował się tylko jedyny punkt oświecony jeszcze przez słońce, był to księżyc.

Podnosił się on czerwony, z po za płaskiej kopuły gmachu Salpêtrière.

Marjusz doszedł spiesznemi krokami do Numeru 50 — 52. Drzwi wchodowe zastał jeszcze otwarte. Wszedł po schodach na palcach, i prześliznął się cichaczem wzdłuż muru korytarza aż do swego pokoju. Korytarz ten, jak to sobie łatwo przypomnimy, po obu swoich stronach miał szeregi izdebek, które w tej chwili wszystkie były próżne i do najęcia. Zwykle pani Burgon zostawiała drzwi od nich pootwierane. Prze-

chodząc przed jednemi z nich, Marjusz dostrzegł wyraźnie w niezamieszkałej izdebce, cztery głowy ludzi jakichś stojących nieruchomo, które oświecały nieco resztki dnia, wkradające się przez okienko.

Marjusz nie starał się tam bardzo rozpatrywać, nie chcąc być sam widzianym, i udało mu się nareszcie dostać do swego pokoju, niepostrzeżenie i bez hałasu. Stało się to w sam czas; bo w chwilę potem usłyszał, jak pani Burgon wychodziła właśnie na miasto, zamykając za sobą na klucz drzwi od domu.

XVI.

Przygotowanie do roboty.

Marjusz usiadł na łóżku. Mogło być pół do szóstej, nie pozostawało już jak pół godziny do tego, co się stać miało. Słyszał bicie krwi w swoich żyłach, tak jak się słyszy chód zegarka wśród nocy. Myślał o tym podwójnym pochodzie, który się w tej chwili odbywał w ciemnościach; widział zbrodnię postępującą z jednej strony, sprawiedliwość nadchodzącą z drugiej. Nie czuł bojaźni; ale nie mógł myśleć bez pewnego drżenia o tem, co się niebawem stać miało. Podobnie jak się zdarza każdemu, na którego spada znagła jakieś niespodziewane wydarzenie, dzień ten cały sprawiał mu wrażenie snu przykrego; i gdyby nie to, że czuł dotykalnie w kieszeniach swoich chłód dwóch krucic stalowych, mógł był mniemać, że jest pastwą sennego udręczenia.

Śnieg już był ustał. Księżyc jaśniejszy co chwila, wywijał się z poza mglistych obłoków, i światło jego zmięszane z białym odblaskiem upadłego śniegu, nadawało ścianom jego izdebki pozory zmierzchu.

Świeciło się w izbie Jondrettów; dziura w ścianie jaśniała światłością czerwoną, która się Marjuszowi wydała krwawą.

W samej rzeczy światłość ta nie mogła pochodzić od świecy. Zresztą cisza zupełna w izbie, nikt

się tam ani ruszał, nikt się ani odzywał, ani znaku życia. Panowało tam milczenie lodowate i głębokie, i gdyby nie to światło, możnaby myśleć, że się jest w sąsiedztwie grobu.

Marjusz ostrożnie zdjął buty i postawił je pod łóżkiem.

Tak upłynęło kilka minut. Znagła usłyszał Marjusz skrzypnięcie drzwi wchodowych, poczem ktoś krokiem ciężkim i szybkim wszedł na schody, przebiegł korytarz, i wreszcie klamka drzwi izby podniosła się z hałasem; Jondrette ukazał się na progu.

Natychmiast dało się słyszeć kilka głosów. Rzeczywiście cała rodzina zebraną była w izbie; tylko że wszystko siedziało cicho w nieobecności pana, tak jak wilczęta nie dają znaku życia pod nieobecność wilczycy.

— Jestem — rzekł.

— Dobry wieczór, ojczulku, — zawyły córki.

— No i cóż? — rzekła matka.

— Wszystko idzie jak po mydle — odpowiedział Jondrette; tylko mi djablo zimno w nogi. A! to dobrze, widzę, żeś się ubrała. Trzeba, żebyś mogła obudzać zaufanie.

— Jestem gotowa do wyjścia.

— Ale nie zapomnisz nic z tego com ci mówił? zrobisz wszystko jak się należy?

— Bądź spokojny.

— Bo to... — rzekł Jondrette. I nie dokończył swoich słów.

W tej chwili Marjusz usłyszał, jak Jondrette kładł coś ciężkiego na stole; prawdopodobnie dłuto, które był kupił.

— No, a teraz—mówił dalej Jondrette — czyście tu co jedli?

— Ma się rozumieć —rzekła stara.—Miałam trzy spore kartofle i soli do tego. Skorzystałam z ognia, żeby je upiec.

— No, to i dobrze — odparł Jondrette; jutro poczęstuję was trochę lepszym obiadem. Będzie kaczka

i rozmaite dodatki; będziemy jedli jak królowie. Wszystko idzie jak z płatka.

Potem dodał, zniżając głos:

— Pułapka już otwarta. A i koty także już na czatach.

Jeszcze zniżył głos i rzekł:

— Włóż to w ogień.

W tej chwili Marjusz usłyszał przerzucanie węgli poruszanych obcęgami, czy też jakiemś innem narzędziem, i Jondrette mówił dalej:

— Czy nasmarowałaś łojem zawiasy od drzwi, żeby nie skrzypiały?

— Nasmarowałam — odpowiedziała kobieta.

— Która godzina?

— Niedługo będzie szósta. Tylko co biło pół u Świętego Medarda.

— Ach! do djabła—rzekł Jondrette — trzeba będzie zaraz wyprawić dziewczęta na czaty. Chodźcieno tu—dodał, zwracając się do córek.

Przez chwilę coś szeptano.

Jondrette znowu odezwał się głośno:

— Stara Burgon czy jest na mieście?

— Na mieście — odpowiedziano.

— Czy pewno niema sąsiada w domu?

— Nie było go przez cały dzień, a wiesz dobrze, że to teraz godzina jego obiadu.

— Czy tylko pewno go niema?

— Jak najpewniej.

— Jednak nic nie będzie szkodziło —mówił Jondrette — pójść sprawdzić tę rzecz w jego mieszkaniu. Dziewczyno, weźno świecę i pójdź tam.

Marjusz szybko się zsunął z komody i na czworakach, cichutko, popełzał pod łżko.

Tylko co się tam był umieścił, spostrzegł światło po przez szpary swoich drzwi:

— Tatulu — zawołał głos— niema go, wyszedł.

Poznał głos starszej córki.

— Czyś tam weszła? — spytał ojciec.

— Nie — odpowiedziała córka; ale że klucz tkwi w zamku, widać że wyszedł.

Ojciec zawołał znowu:

— Ale jednak wejdź zobaczyć.

Drzwi się otworzyły i Marjusz ujrzał na progu starszą Jondrettę ze świecą w ręku.

Była zupełnie taka sama jak zrana, tylko, że jeszcze więcej przestraszająca przy tej światłości.

Szła prosto do łóżka; Marjusz miał chwilę niewysłowionej obawy, ale przy łóżku znajdowało się zwierciadło wbite w ścianę, i tam to jedynie kierowały się jej kroki.

Wspięła się na palcach i zaczęła się w niem przeglądać! Jednocześnie słychać było brzęk żelaztwa, poruszanego w izbie sąsiedniej.

Poczęła sobie gładzić włosy dłonią i uśmiechać się do zwierciadła, śpiewając przytem tym swoim złamanym i grobowym głosem:

Miłostki nasze trwały tydzień cały,
Lecz szczęścia chwile jakże lecą szybko!
I wartoż było kochać się tak krótko?
Miłość by wiecznie trwać powinna,
Wiecznie i wiecznie!

Marjusz drżał cały. Zdawało mu się rzeczą niepodobną, żeby dziewczyna nie dosłyszała jego oddechu.

Poszła ku oknu i spoglądała przez szybę, mówiąc głośno, w ten sposób na pół obłąkany, który jej był właściwy:

— Jaki też to Paryż brzydki, kiedy włożył na siebie koszulę! — rzekła.

Wróciła znowu do zwierciadła, i tam przeglądała się i mizdrzyła, przypatrując się sobie w rozmaitych postawach, to wprost, to z boku, to różnie.

— No, cóż ty tam robisz tak długo? — zawołał ojciec.

— Szukam pod łóżkiem i pod meblami — odpowiedziała, muskając sobie ciągle włosy. Niema nikogo.

— Małpa jakaś! — zawołał ojciec.— Zaraz mi tutaj, bo czas ucieka.

— Już idę, już idę — mówiła dziewczyna.—Człowiek na nic nie ma czasu w tej przeklętej dziurze.

I nuciła znowu przez zęby:

Rzucasz mię, idąc na wojnę,
Smutek mój ścigać cię będzie...

Raz jeszcze rzuciła okiem w zwierciadło i wyszła, zamykając drzwi za sobą.

W chwilę potem Marjusz usłyszał w korytarzu, jak obie dziewczęta przesuwały się boso, i głos Jondretta, który mówił:

— Uważać mi tam wszystko bacznie. Jedna stanie od strony rogatki, druga na rogu ulicy Małego Bankiera. Żeby mi nie stracić z oka ani na chwilę drzwi domu; i jakby się tylko pokazało cokolwiek, natychmiast przychodzić tutaj. A zwijać mi się co tchu. Macie klucz do wejścia.

Starsza mruknęła:

— Stać jak pies bosemi nogami w śniegu!

— Jutro będziesz miała buciki koloru bronzowego — rzekł ojciec.

Zeszły ze schodów, i w kilka chwil potem, trzaśnięcie drzwiami wchodowemi przy zamykaniu, oznajmiło, że już były wyszły na ulicę.

W całym więc domu pozostali już tylko Jondrettowie i Marjusz, i zapewne także te istoty tajemnicze, zauważone przez Marjusza w zmroku po za drzwiami niezamieszkałej izdebki.

XVII.

Użycie pięciofrankówki Marjusza.

Marjusz uznał za stosowne zająć znowu swoje stanowisko obserwacyjne. W mgnieniu oka, ze zręcznością sobie właściwą, znajdował się już przy otworze w ścianie.

Zajrzał tamtędy.

Wnętrze izby Jondrettów przedstawiało osobliwszy widok; i Marjusz teraz dopiero mógł sobie wytłómaczyć osobliwszą jasność, którą tam był zauważył. W istocie paliła się tam świeca w mosiężnym lichtarzu mocno zaśniedziałym, ale właściwie nie jej to światło oświecało w ten sposób izbę. Była ona cała jakby wypełniona czerwonawym odblaskiem, pochodzącym z dość dużej fajerki z blachy żelaznej postawionej w kominie, i pełnej żarzącego się węgla. Była to ta sama fajerka, którą baba przyrządzała już od rana. Węgiel był rozgorzały i fajerka cała rozpalona do czerwoności. Migały z niej płomyki błękitne, dając wyraźnie rozróżnić pośród siebie kształt dłuta, kupionego przez Jondretta na ulicy Piotra Lombard. Dłuto to także czerwieniało zwolna, zagrążone w rozżarzonych węglach. Widać też było w jednym kącie przy drzwiach, przygotowane jakby na użytek jakiś przewidziany naprzód, dwie kupy, z których jedna zdawała się być stosem żelaztwa, druga rozmaitego rodzaju postron-

ków. Wszystko to, oczom kogoś, któryby nie wiedział co to się tam takiego przygotowywało, mogło się zarówno zdawać rzeczą złowrogą, jak i bardzo zwyczajną. Izba oświetlona w ten sposób, wyglądała raczej na kuźnią, jak na czeluście piekielne; ale Jondrette znowu przy blaskach tych podobny był raczej do szatana, jak do kowala.

Gorąco żaru było tak silne, że świeca stojąca na stole topniała od strony fajerki, i knot był prawie obnażony. Stara ślepa latarka mosiężna, godna Diogenesa, któryby się stał Cartouch'em, stała na murku komina.

Ponieważ fajerka ustawiona była w samem ognisku, obok głowni prawie już zgaszonych, wszystkie jej zatem wyziewy ulatywały przez rurę od komina, w skutek czego nie wydawała najmniejszego zapachu.

Księżyc, wpadający po przez cztery szyby okna, rzucił białawe światło w izbę poczerwieniałą i rozgorzałą; i dla poetycznego umysłu Marjusza, który umiał marzyć nawet w chwilach czynu, wydawało się to jakby myślą niebieską, wplatającą się w udręczające sny ziemskie.

Powiew wiatru, wpadający przez stłuczoną szybę, przykładał się do rozpraszania zapachu węgla; co służyło do zatajenia obecności fajerki.

Jaskinia Jondrettów, jeżeli sobie przypomniemy poprzedni opis rudery Gorbeau, doskonale przypadała na miejsce spełnienia czynu gwałtownego i tajemniczego, i na schronienie dla zbrodni. Była to najbardziej odosobniona izba, najbardziej odosobnionego domu, na najodludniejszym bulwarze z całego Paryża. Gdyby zasadzka nie istniała już na świecie, tamby ją pewnie wynaleziono.

Cała szerokość domu, i pełno niezamieszkałych, pustych izdebek, oddzielało tę dziurę od bulwaru, a jedyne okno, które miała, wychodziło na puste place, otoczone murami i parkanami.

Jondrette zapalił sobie fajkę, usiadł na przedziurawionem krześle, i zaczął kopcić. Żona szeptała mu coś ciągle do ucha.

Gdyby Marjusz był Courferyac'em, to jest jednym z tych ludzi, co radzi, śmieją się we wszystkich wypadkach życia, byłby się w głos roześmiał, spojrzawszy na żonę Jondretta. Miała na głowie kapelusz czarny z piórami, który dość dokładnie przypominał kapelusze heroldów z koronacyi Karola X-go; ogromny szal tartanowy, zarzucony na trykotową spódnicę, i chodaki męzkie, któremi jej córka pogardziła rano. To właśnie ubranie wywołało wykrzyknik Jondretta:

— „A! to dobrze, widzę żeś się ubrała. Trzeba żebyś mogła obudzać zaufanie.“

Co do Jondretta, ten wcale nie porzucił był nowego surduta, zbyt na niego przestronnego, który mu był dał pan Biały; i ubiór jego, jak i wprzódy, przedstawiał rażącą dysharmonię surduta ze spodniami, która, jak sobie przypominamy, stanowiła w oczach Courfeyrac'a ideał poety.

Znagła Jondrette odezwał się głośno:

— Ale, ale, dobrze że o tem pomyślałem: na taką porę przyjedzie pewnie dorożką.

Więc zapal latarnię, weź ją i zejdź. Postoisz za drzwiami od ulicy, i jak tylko usłyszysz, że dorożka zajechała, zaraz otworzysz drzwi, on wysiądzie, poświecisz mu na schodach i na korytarzu, i podczas kiedy tu wejdzie, zbiegniesz prędko, zapłacisz dorożkarza, i odprawisz go do djabła.

— A zkąd pieniądze?—spytała baba.

Jondrette sięgnął do kieszeni i dał jej pięciofrankówkę.

— A ty zkąd to masz?—zawołała.

Jondrette odpowiedział z godnością:

— To ten sam okrąglaczek, który szanowny sąsiad zaofiarował dzisiejszego rana.

I dodał:

— Ale wiesz co, trzebaby tu dwóch krzeseł.

— A to na co?

— Żeby było na czem siedzieć.

Marjusz uczuł dreszcz po wszystkich członkach, słysząc, jak Jondretta odpowiedziała na to w sposób najspokojniejszy:

— A! to pójdę po prostu pożyczyć od sąsiada.

I szybkim zwrotem rzuciła się ku drzwiom, i wyszła na korytarz.

Stało się to tak prędko, że Marjusz ani mógł zdążyć zejść z komody i wsunąć się pod łóżko.

— Ale weź z sobą świecę—zawołał Jondrette.

— Nie trzeba—rzekła—toby mi tylko zawadzało. Mam i tak dwa krzesła do zabrania. Zresztą, księżyc świeci.

Marjusz usłyszał, jak ciężka ręka baby szukała omackiem klucza w jego zamku. Wreszcie drzwi się otworzyły. Pozostał nieruchomy, jakby przybity do miejsca i zdrętwiały od przerażenia.

Stara weszła.

Okienko w dymniku przepuszczało słaby promień księżyca pomiędzy dwiema grubemi smugami cienia. Jedna z tych smug zasłaniała najzupełniej ścianę do której się przycisnął Marjusz, i to w taki sposób, że zupełnie w niej znikał.

Stara obejrzała się w około, nie spostrzegła Marjusza, wzięła dwa krzesła, jedyne jakie były w pokoju i odeszła, hałaśliwie trzaskając drzwiami za sobą.

Wkrótce była znów z powrotem w swojej izbie.

— Ot masz dwa krzesła.

— A tu znów jest latarnia — rzekł mąż. Schodź żywo.

Odeszła natychmiast, a Jondrette został sam.

Ustawił dwa krzesła po dwóch stronach stołu, poruszył dłuto wśród węgli, postawił przed kominem kawałek starego parawanu, ażeby zasłaniał fajerkę; potem udał się do kąta, w którym leżała kupa postronków, i schylił się, coś pomiędzy niemi rozpatrując. Marjusz poznał wtedy, że to, co brał był dotąd za

jakąś zbieraninę bezładną, było drabiną sznurową bardzo dobrze zrobioną, z drewnianemi szczeblami i z dwoma hakami do zaczepiania.

Ta drabina, oraz kilka grubych narzędzi, wyglądających na prawdziwe maczugi z żelaza, które przeglądały z pośród kupy żelaztwa, nagromadzonej po za drzwiami, nie znajdowały się jeszcze z rana w izbie Jondrettów, i widocznie zostały dopiero przyniesione po południu, podczas nieobecności Marjusza.

— To widocznie narzędzia kowalskie, pomyślał Marjusz.

Gdyby był więcej nieco świadomy rzeczy w tym względzie, byłby rozpoznał w tem, co mniej słusznie brał za przybory kowalskie, niektóre narzędzia do wyłamywania zamków i otwierania drzwi, i inne do piłowania i przecinania; słowem dwie rodziny złowrogich narzędzi, które złodzieje nazywają: *młódki* i *kosarze*.

Komin i stół z dwoma krzesłami znajdowały się właśnie naprost Marjusza. Po zakryciu fajerki, izba była już tylko oświetlona przez świecę; najmniejsza skorupa na stole albo na kominie, rzucała cień duży. Dzban bez ucha zamraczał tym sposobem połowę ściany. W izbie tej osiadł jakiś spokój ohydny i groźny. W powietrzu już zdawało się unosić oczekiwanie czegoś przerażającego.

Jondrette usiadł znowu na swojem miejscu i był tak mocno zajęty myślami, że nawet nie uważał jak mu fajka zgasła. Światło świecy uwydatniało dzikie i przebiegłe rysy jego twarzy. Niekiedy marszczył brwi i zdawał się coś rozprawiać prawą ręką, jakby odpowiadał na uwagi jakiegoś zawiłego wewnętrznego monologu. W jednej z tych ciemnych odpowiedzi, które robił sam sobie, wyciągnął nagle szufladę od stołu, wyjął z niej długi nóż kuchenny i spróbował jego ostrza na paznogciu: Zrobiwszy to, włożył go nazad w szufladę i zasunął.

Marjusz ze swej strony wyjął krucicę z prawej kieszeni i odwiódł kurek.

Sprawiło to lekkie zgrzytnięcie ostre i dosć wyraźne.

Jondrette zadrżał i podniósł się do połowy na swojem krześle.

— Kto tam?—zawołał.

Marjusz wstrzymał oddech. Jondrette słuchał czas jakiś, potem uśmiechnął się mówiąc:

— Także osioł ze mnie! toż to szyba stłuczona tak trzeszczy.

Marjusz zostawił krucicę w ręku.

XVIII.

Dwa krzesła Marjusza stają naprzeciw siebie.

Znagła, daleki i smutny dźwięk dzwonu zatrząsł szybami. Wybiła szósta na wieży u świętego Medarda.

Jondrette potakiwał skinieniem głowy każdemu uderzeniu. Po wybiciu szóstego objaśnił świecę palcami.

Potem zaczął chodzić po izbie, nasłuchiwał w korytarzu, chodził i nasłuchiwał znowu.

— Byle tylko przyszedł, mruczał pod nosem.

Potem wrócił znowu do krzesła.

Tylko co był usiadł kiedy się drzwi otworzyły.

Otworzyła je stara Jondretta, a potem cofnęła się na korytarz, wykrzywiając się niby w sposób wielce grzeczny, co się znagła widzieć dało przy świetle latarki padającem od dołu.

— Proszę, proszę — rzekła.

— A! proszę szlachetny dobroczyńco—powtórzył Jondrette, zrywając się co tchu z siedzenia.

Ukazał się we drzwiach pan Biały.

Miał w twarzy wyraz pogody, który go czynił dziwnie poważnym.

Położył na stole cztery luidory.

— Panie Fabantou—rzekł—oto na twoje komorne, oraz na piewsze wasze potrzeby. Przyjmijcie choć to tymczasem.

— O! niech ci Bóg zapłaci, wspaniały nasz dobroczyńco — rzekł Jondrette.

I zbliżając się szybko do żony:

— Odpraw dorożkę — dodał.

Baba wymknęła się za drzwi, podczas kiedy jej mąż bez końca się kłaniał i ofiarowywał krzesło panu Białemu. W chwilę potem wróciła i szepnęła mu do ucha:

— Już.

Śnieg, który padał przez dzień cały od samego rana, leżał tak grubo na ulicy, że, podobnie jak nie słychać było turkotu przyjeżdżającej dorożki, tak i nie słychać było kiedy odjechała.

Tymczasem pan Biały usiadł.

Jondrette zajął drugie krzesło, naprzeciw pana Białego.

Teraz, dla wyrobienia sobie dokładnego pojęcia o scenie, która ma nastąpić, niech sobie wyobrazi czytelnik: mroźną noc, samotne Salpêtrièry pooblekane śniegiem, i bielejące przy świetle księżyca jakby ogromne całuny; przyćmioną jasność latarni ulicznych, zaczerwieniających gdzie niegdzie te ponure bulwary, i te długie szeregi czarnych wiązów; ani jednego przechodnia na jakie ćwierć mili na około; ruderę Gorbeau pogrążoną w najwyższej potędze milczenia, okropności nocy, a w tej ruderze, pośród tych samotni, pośród tego cienia, obszerną izbę Jondrett'a, oświeconą jedną tylko świecą, i w tem legowisku dwóch ludzi, siedzących przy stole: pana Białego, ze spokojem na czole, Jondrett'a uśmiechającego się i straszliwego; jego żonę, maciorę-wilczycę w jednym kącie, i po za ścianą Marjusza niewidzialnego w pogotowiu, nie tracącego ani jednego słowa, ani jednego poruszenia, z uchem na czatach, z krucicą w pięści.

Marjusz zresztą doświadczał tylko wzruszenia zgrozy, ale żadnej bojaźni. Zaciskał rękę, w której trzymał krucicę, i czuł się uspokojonym.

— Powstrzymam tego nędznika, kiedy mi się spodoba — myślał sobie.

Czuł, że policja znajduje się gdzieś tuż na czatach, czekając na znak umówiony, i gotowa sięgnąć swą ręką po zbrodniarzy.

Spodziewał się zresztą, że z tego gwałtownego spotkania Jondrett'a z panem Białym, wykrzesze się jaka iskra, rzucająca światło na to wszystko o czem tak mocno pragnął się dowiedzieć.

XIX.

Że należy mieć baczność na ciemne głębie.

Siadłszy na krześle, pan Biały skierował wzrok ku tapczanom, które były próżne.

— Jakże się ma nasza skaleczona? — zapytał.

— Źle — odpowiedział Jondrette, z uśmiechem czułym i przepełnionym wdzięcznością. Bardzo źle, przezacny panie. Starsza jej siostra zaprowadziła ją do szpitala na Błocie, żeby ją tam opatrzono. Zobaczy je pan obie, bo zaraz wrócą.

— Ale pani Fabantou zdaje mi się zdrowsza trochę? — rzekł pan Biały, rzucając wzrokiem na pocieszne przystrojenie Jondretty, która stojąc pomiędzy nim i drzwiami, jakby już zawczasu strzegła wyjścia, przyglądała mu się w postawie pełnej groźby i prawie się nastawiając do walki.

— Gdzie tam! umierająca! — rzekł Jondrette. Ale co pan chce; ona ma tyle męztwa, tyle władzy nad sobą! To nie kobieta, to raczej wół.

Baba wzruszona pochwałą, zawołała z mizdrzeniem się udobruchanej poczwary:

— Zawsześ taki dobry dla mnie, mości Jondrette.

— Jondrette? — rzekł pan Biały — zdawało mi się, że się pan nazywa Fabantou?

Fabantou zwany także Jondrette — podchwycił żywo mąż. Przezwisko sceniczne.

I zmarszczywszy się na żonę, czego pan Biały nie widział bynajmniej, mówił dalej z natężeniem głosu przesadnem i pieszczotliwem:

— A! my bo byliśmy zawsze prawdziwym wzorem małżonków, ta biedna kotka i ja! Cóżby nam zostało, gdybyśmy nie mieli choć tego! Jesteśmy tak nieszczęśliwi, czcigodny panie! Cóż z tego, że się ma ręce do pracy, kiedy nie ma pracy dla rąk! ma człowiek serce w piersi, ale nie ma roboty! Nie wiem prawdziwie jak to tam rząd układa to wszystko, ale słowo honoru, łaskawy panie, nie jestem wcale jakobinem, ani żadnym zagorzalcem, nie życzę mu nic złego: ale gdybym był ministrem, daję panu najświętsze moje słowo, żeby to wszystko szło inaczej. Patrz pan na ten przykład, chciałbym moje córki kazać uczyć robienia pudełek. Powiesz mi pan na to: „co znowu, rzemiosło?“ Tak, tak, rzemiosło, liche rzemiosło, mizerny sposób do życia! Co za upadek! szlachetny dobroczyńco. Co za poniżenie, kiedy kto był tem, czem myśmy byli! Niestety! nie pozostało nam już nic z czasów naszego dobrego bytu, nic już jak tylko ten jeden przedmiot; obraz do którego przywiązuję wielce ceny, ale który jednak byłbym skłonny zbyć za pieniądze, bo trzeba żyć przecie — nic nie pomoże — żyć trzeba!

Podczas kiedy Jondrette wypowiadał to wszystko z pewnym rodzajem pozornego nieładu, który w niczem nie zmieniał wyrazu zmyślonego i chytrego jego twarzy, Marjusz podniósł wzrok, i ujrzał w głębi izby kogoś, którego dotąd nie spostrzegał. Istotnie wszedł był jakiś człowiek, i to tak cichaczem, że nawet nie słychać było skrzypnięcia drzwi ani klamki. Miał on na sobie kamizelkę z fioletowego trykotu, starą, zużytą, poplamioną, poprzecieraną, ziewającą szparami na wszystkich składach, szerokie spodnie manszestrowe, grube skarpetki na nogach, był zresztą bez koszuli, z gołą szyją, z gołemi i ponakłuwanemi rękami, z twarzą pomazaną czemś czarnem. Usiadł sobie

w milczeniu, skrzyżowawszy ręce na najbliższym tapczanie; a ponieważ się znajdował po za żoną Jondrett'a, zaledwie go tedy widać było.

Ten rodzaj przeczucia magnetycznego, który ostrzega nas o przybyciu kogoś nowego, sprawił, że pan Biały odwrócił się, prawie jednocześnie ze spostrzeżeniem Marjusza. Nie mógł powściągnąć wyrazu zdziwienia, który nie uszedł oka Jondrett'a.

— A! widzę że się pan przypatruje swojemu surdutowi—zawołał Jondrette zapinając się z postawą pełną ugrzecznienia. Jakby na mnie zrobiony; doprawdy, bardzo mi w nim dobrze.

— Co to za człowiek? — spytał pan Biały.

— To? to sąsiad. Nie ma co zważać na niego.

Ów sąsiad miał osobliwszą powierzchowność. Jednak w okolicy przedmieścia Św. Marcela, znajduje się mnóstwo fabryk wyrobów chemicznych. Również wielu robotników z innych fabryk może miewać twarz uczernioną. Zresztą, cała osoba pana Białego tchnęła prostaczem i zarazem nieustraszonem zaufaniem. Mówił dalej:

— Przepraszam pana. O czemże to mówiliśmy przed chwilą, panie Fabantou?

— Mówiłem, zacny i ukochany opiekunie—ciągnął Jondrette, wsparłszy się łokciami na stole i wlepiając w pana Białego wzrok wryty i rozczulony, dość podobny do spojrzenia węża boa; — mówiłem panu, że mam obraz do sprzedania.

Zrobił się lekki szmer u drzwi. Wszedł drugi jakiś człowiek, i usiadł jak i pierwszy na tapczanie, po za Jondrettą. Miał jak i pierwszy ręce obnażone, i na twarzy powłokę z atramentu, czy z sadzy.

Jakkolwiek ten człowiek istotnie wśliznął się był pocichu do izby, nie przeto jednak pan Biały go spostrzegł.

— Nie ma na to co uważać — rzekł Jondrette. To są domownicy. Mówiłem tedy, że z całej prze-

szłej świetności pozostał mi tylko obraz szacowny. Proszę pana niech pan zobaczy.

Wstał, poszedł ku ścianie, przy której była oparta rama z desek wyżej wzmiankowana, i odwrócił ją zostawiając jak wprzódy opartą o ścianę.

Było to w istocie coś podobnego do obrazu, który blask świecy pozwalał rozpoznać od biedy. Marjusz nie wiele co mógł na nim rozróżnić, gdyż mu go w części Jondrette zasłaniał; potrafił tylko dostrzedz lichą bazgraninę i jakąś niby główną osobę obrazu, namalowaną z krzyczącą jaskrawością bohomazów jarmarkowych i malowideł z parawanu.

— Cóż to takiego? — spytał pan Biały.

Jondrette począł się zachwycać:

— Mistrzowskie malowidło! obraz znakomitej wartości! szlachetny dobroczyńco! Kocham go jak własne moje córki; przywodzi mi na pamięć tyle wspomnień! Ale powiedziałem to już, i nie cofam słów moich, jestem tak nieszczęśliwy, że byłbym skłonnym go sprzedać!

Bądź to wypadkiem, bądź że poczynał przeczuwać niebezpieczeństwo, pan Biały rozpatrując niby obraz, powiódł wzrokiem w głąb izby. Znajdował się tam już w tej chwili czterech ludzi, trzech siedzących na tapczanie, jeden oparty o ścianę przy drzwiach, wszyscy z obnażonemi ramiony, nieruchomi, z twarzami pomazanemi czemś czarnem. Jeden z tych co siedzieli na tapczanie, opierał się o ścianę, mając zamknięte oczy. Można było myśleć że spał. Był to stary jakiś człowiek; jego białe włosy, przy czarnej twarzy, robiły okropne wrażenie. Dwaj drudzy zdawali się młodzi; jeden był z brodą, drugi z długiemi włosami. Żaden z nich nie miał obuwia; ci co nie mieli na nogach skarpetek byli boso.

Jondrette zauważył, że wzrok pana Białego niekiedy zwracał się ku tym ludziom.

— To są przyjaciele, sąsiedzi — rzekł. To tam zamorusane, bo to ma do czynienia z węglami. To

po prostu węglarze. Nie zatrudniaj się niemi zbytecznie, szanowny dobroczyńco, ale oto lepiej kup mój obraz. Miej litość nad moją nędzą. Nie będę się bardzo drożył. Ile też go cenić będziesz?

Ależ — rzekł pan Biały, wpatrując się Jondrettowi w oczy, jak człowiek, który się zaczyna mieć na baczności; ależ to jest jakiś szyld z nad szynkowni, to warte ze trzy franki.

Jondrette odpowiedział ze słodyczą:

— Czy masz pan z sobą swój pugilares? Przestanę na trzech tysiącach franków.

Pan Biały wstał, oparł się o ścianę, i szybko przebiegł wzrokiem całą izbę.

Miał Jondrett'a po lewej stronie, od okna, a jego żonę i czterech przybyłych, po prawej stronie drzwi. Czterej ludzie nie ruszali się bynajmniej, i zdawali się go nawet nie widzieć; Jondrette zaś począł mówić dalej tonem płaczliwym, z okiem tak zamglonem i wyrazem tak żałosnym, iż pan Biały mógł myśleć, że człowiek, którego miał przed oczyma, po prostu tylko oszalał z nędzy.

— Jeżeli nie kupisz odemnie mojego obrazu, szanowny dobroczyńco — mówił Jondrette; niema już dla mnie ratunku, i nie pozostaje mi jak tylko rzucić się do rzeki. Mój Boże! kiedy sobie pomyślę, że chciałem kazać uczyć moje córki roboty pudełek ozdobnych, pudełek do podarunków na kolendy! Otóż potrzeba jest do tego; stołu z wgłębieniem w środku, żeby się czasem szkła nie zsuwały na ziemię; trzeba na to umyślnego piecyka; garnka z trzema przegrodami, na rozmaite stopnie gęstości jakie powinien mieć klej, stosownie do tego, czy go się używa do drzewa, czy do papieru, czy do materji; nożyka do krajania tektury, formy do nadawania jej kształtu, młotka do przybijania ozdób stalowych,, pędzli, pędzelków, djabli tam nareszcie wiedzą czego jeszcze więcej; a wszystko to dla zarobienia czterech soldów dziennie! i trzeba na to czternaście godzin pracy! i każde pudełko musi

przechodzić trzynaście razy przez ręce robotnicy! i zwilżać papier! i nic nie poplamić, broń Boże, i starać się żeby klej nie ostygł! krocset djabłów, ja panu powiadam! cztery soldy dziennie! jakże pan chcesz żeby można było wyżyć z tego?

Mówiąc to wszystko, Jondrette nie patrzał bynajmniej na pana Białego, który mu się bacznie przyglądał. Pan Biały wlepiał wzrok swój w Jondrett'a, a oko Jondrett'a wlepiało się we drzwi. Gorączkowa baczność Marjusza przebiegała od jednego do drugiego. Pan Biały zdawał się zapytywać siebie: Czy ten człowiek zgłupiał? Jondrette powtórzył jeszcze parę razy, rozmaicie swój głos stopniując, ale zawsze w tonie płaczliwym i błagalnym:

— Nie pozostaje mi jak tylko rzucić się w rzekę! Któregoś dnia zbiegłem już nawet na to z trzech schodów od strony mostu Austerlickiego!

Znagła zagasła jego źrenica rozgorzała ohydnym płomieniem, mały ten człowiek wyprostował się i stał się przerażającym; postąpił ku panu Białemu, i zawołał grzmiącym głosem.

— Zresztą, wcale tu już nie o to idzie. Czy mnie pan poznajesz?

XX.

Zasadzka.

W tej chwili drzwi od izby otworzyły się nagle, i ukazało się w nich trzech ludzi w płóciennych niebieskich bluzach, w maskach z czarnego papieru. Pierwszy z nich był chudy, i miał w ręku długą pałkę okutą w żelazo; drugi, który był rodzajem olbrzyma, trzymał przez środek rękojeści i ostrzem na dół, ogromny obuch do zabijania wołów.

Trzeci, człowiek wielce barczysty, mniej chudy od pierwszego ale i mniej atletyczny niż drugi, trzymał w pięści ogromny klucz skradziony zapewne ze drzwi jakiego więzienia.

Zdawało się, iż Jondrette czekał tylko na przybycie tych ludzi. Zawiązała się szybka rozmowa pomiędzy nim i człowiekiem z maczugą, owym chudym.

— Czy wszystko w gotowości?—rzekł Jondrette.

— Wszystko — odpowiedział człowiek chudy.

— A gdzie Parnas?

— Zatrzymał się sowizdrzał poromansować z twoją córką.

— Z którą?

— Ze starszą.

— Czy dorożka jest na dole?

— Jest.

— A dryndulka zaprzężona?

— Zaprzężona.
— A konie dobre.
— Doskonałe.
— Czy czeka tam, gdziem kazał?
— Tam.
— To dobrze — rzekł Jondrette.

Pan Biały był bardzo blady. Rozpatrywał wszystko co się działo w około niego, w izbie, jak człowiek który widzi w co popadł; i głowa jego, kolejno zwracając się ku wszystkim głowom, które go otaczały, poruszała się z baczną powolnością i zdziwieniem, ale nie było w jego postawie nic podobnego do obawy. Zrobił był sobie ze stołu jakby rodzaj zaimprowizowanego szańca, i człowiek ten, który chwilą przedtem wyglądał tylko na starego poczciwca, stał się znagła atletą, i położył swoją pięść potężną na poręczy od krzesła z postawą straszliwą i zadziwiającą.

Starzec ten, tyle pewny siebie i tyle odważny wobec tak wielkiego niebezpieczeństwa, zdawał się być jednym z tych ludzi, którzy są tyle mężni ile są dobrzy, swobodni i z prostotą. Ojciec kobiety, którą kochamy nie jest nigdy obcym dla nas, Marjusz uczuł się dumnym z tego nieznajomego.

Trzej ludzie, o których Jondrette powiedział że są węglarzami, wybrali tymczasem z pośród kupy żelastwa, jeden spore nożyce, drugi obcęgi, trzeci młot, i uszykowali się wpoprzek drzwi, nie mówiąc ani słowa. Stary został na tapczanie, i tylko na chwilę przetarł oczy. Jondretta usiadła obok niego.

Marjusz pomyślał, że lada chwila wypadnie już wdać się w tę sprawę, i podniósł prawą rękę ku sufitowi w kierunku korytarza, w gotowości do wypalenia z krucicy.

Jondrette, ukończywszy swoją rozmowę z człowiekiem mającym maczugę, zwrócił się znowu ku panu Białemu i powtórzył swoje zapytanie, towarzysząc mu tym śmiechem cichym, przytłumionym i straszliwym, który mu był właściwym.

— Więc mnie pan nie poznajesz?

Pan Biały spojrzał mu w oczy i rzekł:

— Nie.

Wtedy Jondrette przybliżył się aż do stołu, pochylił się po nad świecą, zaplatając ręce na krzyż, przybliżając swoją twarz kanciastą i dziką do spokojnego oblicza pana Białego, i podchodząc najbliżej jak mógł, choć pan Biały bynajmniej się przed nim nie usuwał: i w tej postawie dzikiego zwierzęcia, które się zabiera ukąsić, zawołał:

— Otóż, nie nazywam się nawet Jondrette, tylko się nazywam Thenardier! Jestem karczmarzem z Montfermeil! Czy pan słyszysz? Thenardier! A teraz czy mnie poznajesz?

Zaledwie dostrzeżona czerwoność przesunęła się po czole pana Białego, odpowiedział ani drżącym głosem, ani go podnosząc, ale ze zwyczajnym sobie spokojem:

— Nie więcej teraz, jak wprzódy.

Marjusz nie dosłyszał już tej odpowiedzi. Ktoby go był widział w tej chwili, pośród tych ciemności, byłby go znalazł osłupiałym, na pół obłąkanym i jakby rażonym od pioruna. W chwili kiedy Jondrette wyrzekł: *nazywam się Thenardier*, Marjusz zadrżał po wszystkich członkach i zmuszony był oprzeć się o mur, jakby uczuł chłód żelaza przeszywającego mu serce. Potem prawa jego ręka, gotowa lada chwila dać umówiony wystrzał, opuściła się zwolna na dół; i wtedy, kiedy Jondrette powtórzył: „czy słyszysz pan? Thenardier,“ — słabnące jej palce tylko co nie upuściły krucicy. Jondrette, odkrywając znagła kim był w istocie, nie wywołał tem najmniejszego wzruszenia w panu Białym, ale za to zbił z nóg Marjusza.

Nazwisko to, Thenardier, którego pan Biały nie zdawał się znać wcale, Marjusz znał dokładnie. Trzeba sobie przypomnieć, czem to nazwisko było dla niego! Nazwisko to nosił on na sercu, zapisane w testamencie ojca, nosił je w głębi pamięci, w tem świętem

zaleceniu: „Jakiś, nazwiskiem Thenardier, ocalił mi życie. Jeżeliby go syn mój kiedy spotkał, niech zrobi dla niego wszystko, co tylko będzie w jego możności.“ Nazwisko to, jak sobie przypominamy, było jedną ze czci jego duszy; w bałwochwalstwie swojem wiązał je zawsze z nazwiskiem ojca. Jakto? więc to był ten sam Thenardier, więc to był ten sam karczmarz z Montfermeil, którego napróżno i tak długo szukał! Znajdował go nareszcie, ale jakimże! ten zbawca jego ojca był złoczyńcą; ten człowiek, któremu Marjusz pragnął się poświęcić, był potworem! Ten, który ocalił życie pułkownikowi Pontmercy, właśnie w tej chwili zamierzał spełnić zamach, którego charakteru Marjusz dobrze jeszcze nie rozróżniał, ale który niewątpliwie miał się zakończyć morderstwem. I to kto jeszcze miał paść ofiarą tego zamachu? Boże wielki! co za fatalność, co za gorzkie szyderstwo losu! Ojciec jego nakazywał mu z głębi mogiły zrobić wszystko, co będzie w jego możności dla Thenardier'a; od lat czterech, Marjusz nie miał już innej myśli jak spłacić ten święty dług ojca; a tu, właśnie w chwili kiedy miał położyć rękę sprawiedliwości na ramieniu złoczyńcy, w chwili spełnienia przez niego zbrodni, przeznaczenie mu woła: to Thenardier! Życie ojca, ocalone pośród gradu kartaczy na bohaterskich polach Waterloo, przychodziło mu nareszcie zapłacić temu człowiekowi, i to zapłacić rusztowaniem. Przyobiecał był sobie, jeśliby mu się udało kiedy odszukać Thenardier'a, nie powitać go inaczej jak rzucając mu się do nóg; i oto, znajdował go nareszcie, ale na to żeby go wydać w ręce kata! Ojciec jego powiedział mu: wspieraj Thenardier'a; a on odpowiadał na ten głos ubóstwiony i święty, zgniatając Thenardier'a! Dać za widowisko ojcu, w głębi grobu, człowieka, który go wyrwał śmierci z narażeniem własnego życia, ściętego na placu świętego Jakóba, za powodem własnego jego syna, tego samego Marjusza, któremu był w spadku przekazał tego człowieka! I co za bolesne szyderstwo, tak długo nosić na

piersiach wyrazy ostatniej woli ojca, skreślone własną jego ręką, na to, żeby tę wolę spełnić w sposób całkiem przeciwny! Ale znowu z drugiej strony, być świadkiem podobnej zasadzki, i nie przeszkodzić jej! jakże znowu? potępić ofiarę i oszczędzić mordercę? czyż godziło się uważać za związanego jakąkolwiek wdzięcznością względem podobnego nędznika? Wszystkie myśli, które Marjusz od czterech lat przetrawiał w sobie, zostały znagła jakby przeszyte na przestrzał tym niespodziewanym ciosem. Drżał cały. Wszystko zależało od niego, trzymał w swem ręku bez ich wiedzy, wszystkie te istoty miotające się przed jego oczami. Jeżeli wypali z krucicy, pan Biały będzie ocalony, a Thenardier zginie; jeżeli nie zrobi tego, pan Biały padnie ofiarą i kto wie, Thenardier ujdzie może kary. Wtrącić jednego, albo dać upaść drugiemu; z obu stron wyrzuty sumienia. Cóż począć? co wybrać? Przeniewierzyć się wspomnieniom najmocniej nakazującym, tylu przeważnym zobowiązaniom, zawartym z samym sobą, przeniewierzyć się najświętszemu obowiązkowi, zalecaniu tak wyraźnemu, przeniewierzyć się ostatniej woli ojca; albo zezwolić na spełnienie zbrodni.

Zdawało mu się słyszeć z jednej strony *swoją Urszulę* błagającą go za ojcem, a z drugiej pułkownika, polecającego mu Thenardier'a. Czuł, że go obłąkanie ogarnia. Uginały się pod nim kolana, a nie miał nawet czasu do zastanowienia się; tak dalece scena, którą miał przed oczami, pospieszała coraz szaleniej. Był to jakby wir, którego on mniemał być panem, a który go sam pokonywał. Był bliskim omdlenia.

Tymczasem Thenardier, (nie będziemy go już odtąd nazywali inaczej), przechadzał się tam i nazad po przed stołem, w stanie dziwnego podniecenia i wściekłego tryumfu.

Porwał całą garścią świecę, i postawił ją na kominie z naciskiem tak silnym, że knot tylko co nie zgubił płomienia, i że aż łój obryzgał ścianę.

Potem zwrócił się ku panu Białemu, blady, straszliwy, i wyzionął następujące wyrazy:

— A co? złapanyś ptaszku, wpadłeś w samotrzask, nie wyjdziesz ztąd na sucho!

I począł się przechadzać, wybuchając już do reszty.

— A! — wołał — znajduję cię nareszcie, mości filantropie, mości bogaczu obdarty, mości dawaczu lalek, stary Kacperku! A! nie poznajesz mnie? nie? to zapewne nie ty byłeś u mnie w Montfermeil, w mojej karczmie, ośm lat temu, w wigilją Bożego Narodzenia 1823 roku. Nie ty zapewne uprowadziłeś odemnie wtedy dziecko Fantiny, Skowronkę; to zapewne nie ty miałeś wtedy na sobie surdut żółtawy, nie! i zawiniątko pełne odzieży w ręku, jak dzisiejszego poranka tutaj! Widzisz go żono, to jest zdaje się choroba u niego to roznoszenie po domach węzełków pełnych pończoch wełnianych. Miłosierny ten dziadek jakiś! Cóż to, czy masz fabrykę pończoch, mości bogaczu? Zapewne oddajesz biednym twoje zapasy sklepowe, święty człowiecze? co za błazeństwo! A! nie poznajesz mnie; ale otóż ja cię poznaję, ja! poznałem cię od pierwszego razu, kiedyś tu przyszedł niepotrzebnie nos wetknąć. A! przekonasz się nareszcie, że to nie sama rozkosz różana wędrować sobie w taki sposób po czyich domach pod pozorem, że to są zajazdy, w sukniach, niepozornych, z miną biedaka, żeby tylko mu dać grosz, oszukiwać ludzi, udając wspaniałego, odbierać im ich zarobek i straszyć ich po lasach. A za to wszystko kwitować ich potem, kiedyś ich już zniszczył do szczętu, starym surdutem zbyt przestronym, i dwiema lichemi szpitalnemi kołdrami; stary oberwańcze, złodzieju dzieci!

Zatrzymał się i zdawał się przez chwilę rozmawiać z samym sobą. Można było powiedzieć, że szaleństwo jego, na podobieństwo Rodanu, przepadało w jakiejś czeluści podziemnej; potem, jakby dokończa-

jąc głośno to, co sobie był czas jakiś mówił w duszy, uderzył pięścią w stół i zawołał:

— Ze swoją miną dobroduszną!...

I zwracając się ku panu Białemu:

— Tam do djabła! nażartowałeś sobie ze mnie niegdyś. Czy wiesz mój panie, że jesteś przyczyną wszystkich moich nieszczęść! Wziąłeś mi za tysiąc pięćset franków dziewczynę, która była u mnie, i której rodzice byli niezawodnie bogaci, i która mi już niemało przyniosła pieniędzy, i z której byłbym sobie ciągnął dochód, mogący mi wystarczyć na całe życie! Dziewczynę, którąby mi była powróciła z procentem wszystko, com stracił w tej przeklętej garkuchni, gdzie sobie pozwalano do wszystkich djabłów, i gdzie rzuciłem w błoto jak ostatni dureń wszystkie moje krwawo zapracowane grosze! Bodaj wszystkie wino, które kto kiedy wypił u mnie, obróciło mu się w truciznę! Zresztą, pal djabli! No i cóż? musiałeś mnie mieć za baj-bardzo, widząc, jak ci łatwo przyszło zabrać Skowronkę? miałeś ty swoją pałkę w lesie, no, więc byłeś mocniejszy wtedy. Wet za wet, teraz moje na wierzchu. Złapałeś się robaczku. Ho, ho, boki zerwę ze śmiechu. Doprawdy, pęknę od śmiechu! To się dopiero dał wyprowadzić w pole! Powiedziałem mu, że jestem aktorem, że się nazywam Fabantou, że grywałem kiedyś z panną Mars, że gospodarz mój wymagał ostatecznie zapłaty na jutro, to jest 4 lutego, i ani się spostrzegł nawet, że to 8-my stycznia a nie 4-ty lutego jest terminem. Głupie oślisko! I jeszcze te cztery nędzne dukaciny, które mi to przyniosło. To gałgan! nie zdobył się nawet chociaż na sto franków. I jak się dał złapać na moje łgarstwa! Słowo honoru, to mnie bawiło. Mówiłem sobie: ach ty durniu, będziesz ty mój niedługo; dziś rano liżę ja ci łapy, ale za to wydrę ci serce pazurami wieczorem!

Thenardier zamilkł chwilę. Był zadyszany, małe jego szczupłe piersi podnosiły się jak miech kowalski. Oko jego błyszczało tą nikczemną rozkoszą stworzenia

słabego, okrutnego i podłego, które może nareszcie powalić i podeptać to, czego się pierwej lękało, i znieważyć to, czemu pochlebiało; tą radością karła, któryby położył piętę na głowie Goliata; tem pijaństwem szakala, który poczyna rozszarpywać chorego byka, dość już martwego, żeby nie módz się bronić, a dość żywego, żeby módz cierpieć jeszcze.

Pan Biały wcale mu nie przerywał, tylko mu rzekł skoro przestał mówić:

— Nie rozumiem, co pan chcesz powiedzieć. Widzę żeś pan w błędzie. Jestem człowiekiem biednym i nie żaden miljoner. Prócz tego, nie znam pana. Widocznie, bierzesz mnie za kogo innego.

— A! — ryknął Thenardier — wyśmienity wykręt! Widzę, że się upierasz przy tej facecji! Tylko, że się plączesz trochę, mój stary. Ha! ha, nie przypominasz sobie niby, nie wiesz niby kto ja jestem!

— Przeciwnie mój panie—odpowiedział pan Biały z tonem grzeczności, który w podobnej chwili miał coś dziwnie osobliwego i potężnego; wiem że jesteś złoczyńca.

Któż tego nie zauważył, że istoty najpodlejsze mają swoją obraźliwość; potwory nawet bywają drażliwe. Na ten wyraz „złoczyńca“, Thenardierowa podskoczyła na tapczanie, mąż jej zaś porwał krzesło, jakby je chciał zdruzgotać w rękach.

— Ani mi się rusz — krzyknął na żonę.

I zwracając się ku panu Białemu:

— Złoczyńca? — zawołał; — tak, ja wiem, że to tak nazywacie nas wszystkich mości panowie bogacze! A! to tak? ja zbankrutowałem, zmuszony jestem ukrywać się, nie mam chleba, nie mam grosza; jestem złoczyńca! Oto już trzy dni nie miałem nic w ustach; jestem złoczyńca! Ach! a tymczasem wy sobie wygrzewacie nogi, wy zacni panowie, macie sobie buciki od Sakowskiego, macie surduty watowane! Mieszkacie sobie na pierwszych piętrach w domach, gdzie są odźwierni, zjadacie trufle, zjadacie pęki szparagów ko-

sztujące czterdzieści franków w środku stycznia, groszek z marchewką, napychacie sobie brzuchy, i kiedy chcecie wiedzieć: czy tam zimno na dworze? to zaglądacie do dziennika, ile też pokazuje termometr Réaumur'a; a to tymczasem my, mój panie, jesteśmy prawdziwemi termometrami. My nie mamy potrzeby chodzić patrzeć na wybrzeże, na róg wieży zegarowej: ile tam jest stopni zimna na dworzu? My czujemy i bez tego, jak się krew ścina w naszych żyłach, i jak lód dochodzi nam do serca! i mówimy wtedy: nie ma Boga! A wy przychodzicie do naszych jaskiń, tak, do jaskiń naszych, nazywać nas złoczyńcami! Mości milionerze! dowiedz się tego, co następuje: byłem człowiekiem osiadłym, miałem konsens, byłem wyborcą, jestem mieszczaninem; podczas kiedy waszmość mój panie, nie jesteś zapewne ani tem, ani owem, ani tamtem.

Tu Thenardier, postąpił krokiem ku ludziom, stojącym przy drzwiach, i dodał drżąc z wściekłości:

— I to ci taki śmie mówić do człowieka jak do szewca!

Potem, zwracając się znowu do pana Białego z coraz mocniej wzrastającem szaleństwem:

— Dowiedz się jeszcze rzeczy następujących mości filantropie. Ja nie wyleciałem sroce z pod ogona, mój panie, ja nie jestem człowiek, którego nazwiska nikt nie wie, i który włóczy się po domach kraść dzieci. Jestem dawny żołnierz armji francuzkiej, miałem nawet dostać krzyż; byłem pod Waterloo, i w bitwie ocaliłem życie pewnemu jenerałowi nazwiskiem hrabia de Pontmercy! Ten obraz oto, który masz przed oczami, i który jest malowany przez Dawida w Brukselli, czy wiesz kogo on przedstawia? Mnie przedstawia. Dawid chciał uwiecznić ten czyn bohaterski. Ja to dźwigam na tym obrazie jenerała Pontmercy, i unoszę go z pośród kartaczy. Oto tak się rzecz miała! A ten jenerał także nic nigdy nie zrobił dla mnie; nie więcej był wart jak i drudzy! Niemniej jednak ocaliłem mu

życie z narażeniem własnego, i mam na to pełne kieszenie świadectw i dowodów! Jestem żołnierz z pod Waterloo, do miljona piorunów! A teraz, kiedym był tyle łaskaw, żem ci wypowiedział to wszystko, skończmy z sobą, potrzeba mi pieniędzy, potrzeba mi ogromnie dużo pieniędzy, potrzeba mi niesłychaną moc pieniędzy, albo cię zamorduję, do krocset miljonów djabłów.

Tymczasem Marjusz odzyskał był nieco władzy nad swojem wzburzeniem i słuchał. Ostatnia możność powątpiewania rozwiała się w jego umyśle. Pokazało się ostatecznie, że to był istotnie ten sam Thenardier, o którym wspominał testament. Marjusz zadrżał na wyrzut niewdzięczności, zrobiony jego ojcu, którego tylko co sam nie usprawiedliwił, tak widocznie; to zwiększyło jeszcze jego udręczenia. Zresztą przebijało w tych wszystkich słowach Thenardier'a, w ich tonie, w ruchach, w spojrzeniu niemal krzeszącem iskry z każdego słowa, przebijało w tym wybuchu przewrotnej natury, obnażającej się, w tej mieszaninie przechwałkowstwa i poniżenia, pychy i małości, wściekłości i głupstwa, w tym zamęcie słusznych żalów i fałszywych uczuć, w tym bezwstydzie człowieka niegodziwego, lubującego się w rozkoszach gwałtu, w tem bezczelnem obnażeniu szkaradnej duszy, w tem poplątaniu wszystkich cierpień, powołanych ze wszystkiemi nienawiściami; — coś, co było ohydnem jak złe, a dojmującem jak prawda.

Ów zaś mistrzowski obraz, malowidło Dawida, którego nabycie ofiarował panu Białemu, nie był niczem innem, (co czytelnik zgadł już zapewne), jak szyldem dawnej jego garkuchni, malowanym, jak to sobie przypominamy, przez niego samego. Był to ostatni szczątek, ocalony z rozbicia się jego w Montfermeil.

Ponieważ Thenardier przestał wreszcie zasłaniać Marjuszowi, mógł tedy ten ostatni przypatrzeć się teraz obrazowi, i w tej bazgraninie rozpoznał rzeczywi-

ście jakąś bitwę, tło z dymu i niby jakiegoś człowieka, który niósł drugiego na plecach. Miał to być Thenardier i Pontmercy, sierżant zbawca i pułkownik ocalony. Marjusz czuł się jakby pijanym; obraz ten zdawał się w pewnym względzie wskrzeszać jego ojca; nie był to już więcej szyld karczmy w Montfermeil, było to raczej jakieś zmartwychwstanie. Zdawał się tam znagła otwierać grób, z którego jakby wstawało widmo. Marjusz słyszał wyraźnie tętna swego serca w skroniach, a w uszach grzmot dział z pod Waterloo; jego ojciec krwią zbroczony, niewyraźnie namalowany na tych deskach złowieszczych, przerażał go, i zdawało mu się, że ta niezgrabnie nakreślona postać spoglądała mu bystro w oczy.

Thenardier nabrawszy znowu tchu, wlepił w pana Białego swoje krwawe źrenice, i rzekł mu krótko a węzłowato:

— Cóż tam masz do powiedzenia, nim się na dobrze zabierzemy koło ciebie?

Pan Biały milczał. Pośród tego milczenia głos ochrypły rzucił z korytarza to złowrogie szyderstwo:

— Jeżeli tam będzie trzeba rąbać drzewo, to już ja od tego.

Człowiek to z obuchem tak się rozweselił.

Jednocześnie ogromna twarz najeżona i brudna ukazała się we drzwiach, rozdziawiając się okropnym śmiechem, który ukazał szereg, nie już zębów, ale kłów.

Była to twarz człowieka z obuchem.

— Dlaczegoś zdjął maskę — krzyknął na niego Thenardier z wściekłością.

— Żeby się śmiać — odpowiedział człowiek.

Od niejakiego czasu, pan Biały zdawał się uważać i śledzić wszystkie ruchy Thenardier'a, który zaślepiony i olśniony własną wściekłością, chodził tam i nazad po swojej jaskini, ze swobodą człowieka, wiedzącego, że drzwi są strzeżone, że trzyma w zbrojnej dłoni człowieka bezbronnego, że jest w dziewięciu

przeciw jednemu, przypuszczając, że Thenardierowa liczyła się tylko za jednego człowieka. Zresztą, przemawiając do człowieka z obuchem, odwrócony był tyłem do pana Białego.

Pan Biały skorzystał z tej chwili, odepchnął nogą krzesło, pięścią stół, i jednym skokiem, z cudowną zręcznością, zanim Thenardier miał czas się odwrócić, był już u okna. Otworzyć je, wskoczyć na nie, przerzucić nogę, było dziełem jednej chwili. Był już w połowie na zewnątrz, kiedy sześć potężnych pięści schwytało go i gwałtownie wciągnęło napowrót do izby. Byli to trzej tak zwani węglarze, którzy się sprawili w ten sposób. Jednocześnie Thenardierowa porwała go była za włosy.

Na rejwach, jaki się wtedy zrobił, drudzy złoczyńcy zbiegli się z korytarza. Stary, który siedział na tapczanie i który się zdawał pijany, zlazł ze swojego legowiska, i przyszedł także, zataczając się z młotem, od rozbijania kamieni w ręku. Jeden z pomiędzy ludzi poczernionych, na którego twarz pomazaną mocniej nieco padało światło, i w którym Marjusz pomimo zaczernienia rozpoznał Panchaud'a zwanego wiosennym i także urwipołciem, podniósł po nad głową pana Białego jakiś rodzaj krótkiej żelaznej pałki, mającej na obu końcach kule z ołowiu.

Marjusz nie mógł się oprzeć temu widokowi. „Ojcze mój! pomyślał, przebacz mi.“

I palec jego poszukał kurka u krucicy. Strzał już miał wybuchnąć, kiedy z nagła dał się słyszeć głos Thenardier'a.

— Ani się ważcie zrobić mu co złego!

To rozpaczliwe usiłowanie ofiary, zamiast rozwścieklić bardziej Thenardier'a, uspokoiło go owszem. Znajdowało się w nim dwóch ludzi: człowiek dziki i człowiek zręczny. Aż do tej chwili w upojeniu tryumfu, wobec zdobyczy powalonej na ziemię i nie dającej znaku życia, przemagał człowiek dziki; ale kiedy ofiara poczęła się szamotać i zdawała się chcieć stanąć

do walki, człowiek zręczny wyszedł na jaw i wziął górę.

— Ani się ważcie robić mu co złego—powtórzył— ani się domyślając, że podobnie jak temi słowami powstrzymał swoich wspólników, zatrzymał także krucicę gotową dać ognia. Istotnie, odezwanie się to, w okamgnieniu zmieniło także zamiary Marjusza, dla którego tym sposobem znikła konieczność działania natychmiast, i który wobec tej nowej zmiany nie znalazł niewłaściwem wstrzymać się jeszcze. Kto wie, czy nie zajdzie jeszcze coś takiego, co go uwolni od okropnej konieczności pozostawienia zgubie ojca Urszuli, albo zgubienia zbawcy pułkownika?

Wszczęła się olbrzymia walka. Jednem uderzeniem pięści w sam środek piersi, pan Biały zwalił z nóg starego złoczyńcę na podłogę, potem dwoma uderzeniami ręki na odlew położył dwóch innych wspólników i na każdym postawił kolano; nędznicy rzężeli pod tym ciężarem, jakby pod brzemieniem młyńskiego kamienia, ale czterej inni porwali straszliwego starca za obie ręce i za kark, i trzymali go przygiętego po nad dwoma powalonemi węglarzami. W ten sposób, będąc panem jednych, ale poskromiony przez drugich. gniotąc tych, których miał pod sobą, a sam zdławiony przez tych, którzy byli nad nim, daremnie się szamocąc z przemocą, która się nad nim nagromadzała, pan Biały przepadał pod straszliwym nawałem złoczyńców, jak dzik pośród skowyczącej kupy kundlów i ogarów.

Zdołali wreszcie powalić go na tapczan najbliższy okna i tam go opanować.

Przez cały ten czas Thenardierowa ani na chwilę nie była puściła jego włosów.

— Idź sobie—rzekł do niej Thenardier—nie twoja to rzecz. Podrzesz sobie jeszcze chustkę przy tej robocie.

Thenardierowa usłuchała, ale jak wilczyca, któraby usłuchała wilka, z mrukiem.

— A wy—rzekł Thenardier—przestrząśnijcie mu kieszenie.

Pan Biały zdawał się chcieć zaniechać wszelkiego oporu. Przeszukano mu wszystkie kieszenie; nie miał nic więcej przy sobie jak tylko woreczek skórzany, w ktorym było sześć franków i chustkę do nosa.

Thenardier włożył chustkę do swojej kieszeni.

— Jakto? nie ma pugilaresu?—spytał.

— Ani nawet zegarka—odpowiedział jeden z robotników. — Ale też to tęgi gracz — mruknął głosem brzuchomówczym człowiek z zamazaną twarzą—trzymający ogromny klucz w ręku.

Thenardier poszedł do kąta za drzwiami i wziąwszy tam pęk sznurów, rzucił go im.

— Przykrępować go do nogi od łóżka — rzekł. I spostrzegając znagła starego, który pozostał powalony na podłodze od uderzenia pięścią pana Białego, i nie ruszał się:

— Czy Boulatruelle zabity?—spytał.

— Nie—odpowiedział Urwipołeć, pijany.

— Zsunąć go gdzie w kąt.

Dwóch z pomiędzy tak zwanych węglarzy popchnęli pijaka nogą w kierunku kupy żelaztwa.

— Na coś ty ich tylu przyprowadził z sodą?—rzekł Thernadier z cicha do człowieka z pałką. Coś nadto dużo.

— Cóż było poradzić — odpowiedział tamten — kiedy wszyscy chcieli należeć do roboty. Pora jest niegodziwa, nie ma wcale zarobku.

Tapczan, na który pan Biały został powalony, był rodzajem łóżka szpitalnego, wspartego na czterech grubych kawałkach drzewa, zaledwie ociosanych. Pan Biały już się nie bronił bynajmniej, złoczyńcy silnie przytwierdzili go, stojącego na ziemi, do podstawy tapczana najbardziej oddalonej od okna, a bliższej komina.

Po ostatecznem ukończeniu tej roboty, Thenardier wziął krzesło, i siadł na niem prawie naprzeciw pana

Białego. Thernadier nie był już podobnym do siebie; w kilku chwilach twarz jego przeszła ze stanu wyuzdanego szaleństwa, do spokojnej i chytrej słodyczy. Marjusz z trudnością mógł rozpoznać w tym grzecznym uśmiechu biuralisty, usta prawie już bydlęce, które się pieniły przed chwilą. Oglądał z osłupieniem to fantastyczne i niepokojące przeistoczenie, i doznawał wrażenia, jakiegoby doznał człowiek, któryby ujrzał tygrysa, przemieniającego się w patrona trybunału.

— Pogadajmy z sobą nieco — rzekł Thenardier. I ruchem ręki oddalając złoczyńców, którzy jeszcze przytrzymywali pana Białego:

— Odejdźcie sobie—rzekł—bo ja mam tu jeszcze do pomówienia z panem.

Wszyscy cofnęli się ku drzwiom; on mówił dalej:

— Ileś pan zrobił, łaskawy panie, żeś próbował wyskoczyć przez okno. Mogłeś był sobie złamać nogę. Teraz, jeśli pan pozwolisz, pogadamy z sobą spokojnie. Najprzód muszę panu udzielić spostrzeżenia jakie zrobiłem, to jest, żeś pan jeszcze ani razu nie krzyknął.

Thenardier miał słuszność, tak było w istocie, jakkolwiek uszedł ten szczegół uwagi Marjusza w jego wzburzeniu. Pan Biały istotnie zaledwie był wymówił kilka słów przez czas cały i to, nie podnosząc wcale głosu, i nawet w pasowaniu się swojem ze sześcioma złoczyńcami u okna, zachował był najgłębsze i najosobliwsze milczenie. Thenardier mówił dalej:

— A przecież, gdybyś był pan nieco wołał o ratunek, nie byłbym tego wcale znalazł niestosownem. „Ratujcie! zbójcy!“ to się zwykle mówi w takim razie, i co do mnie, nie byłbym się bynajmniej tem obraził. Jest to rzecz dość naturalna, że człowiek robi nieco hałasu, kiedy się znajduje pośród osób, które w nim nie wzbudzają dostatecznego zaufania! Gdybyś pan był to zrobił, nie moglibyśmy mu nawet mieć tego za złe. Nie bylibyśmy nawet panu wpakowali knebla w gębę. I zaraz ci powiem dlaczego. Oto, że ta izba

jest całkowicie głucha. Nie ma ona żadnych innych przymiotów, ale ma ten jeden. To jest istna piwnica; możnaby tu strzelić z armaty, a najbliższemu odwachowi zaledwieby się to zdało chrapnięciem pijaka. Tu pękająca bomba zrobiłaby zaledwie — paf! grzmot zaś zaledwie — pęc! Jest to mieszkanie wielce wygodne. Ale koniec końcem, nie krzyknąłeś pan ani razu, dobrze to jest bardzo, serdecznie panu tego winszuję, i szczerze panu powiem, jaki z tego wywodzę wniosek: Łaskawy panie, kiedy kto krzyknie, to wtedy przybywa? policja. A tuż za policją, co? sprawiedliwość. Otóż, ponieważ pan nie krzyczałeś, to zdaje się dowodzić, że wcale nie więcej od nas życzysz sobie przybycia policji, a za nią sprawiedliwości. Zdaje się bowiem (i oddawna to już mam na myśli), że panu mocno o to idzie, żeby *coś* nie wyszło na jaw. Z naszej strony, i nam także idzie o *coś* podobnego. W ten sposób rzecz postawiwszy, możemy się porozumieć.

Mówiąc to wszystko, Thenardier nie spuszczał wzroku z pana Białego i zdawał się zatapiać przeszywające promienie, wypadające ze źrenic jego oczu aż w głębiach sumienia swego więźnia. Zresztą mowa jego, nosząca cechę jakiegoś miarkowanego i tajonego zuchwalstwa, była przyzwoita i prawie nawet wyszukana; i w tym nędzniku, który jeszcze chwilę temu był tylko złoczyńcą, przebijał teraz człowiek, „co się kiedyś kierował na księdza.“

Milczenie, jakie był zachował więzień, ta ostrożność, która zdawała się dochodzić nawet aż do zapomnienia o bezpieczeństwie własnego życia, ten opór stawiony najprzeważniejszemu popędowi natury, który skłania do wydania krzyku, wszystko to, wyznać należy, od chwili kiedy o tem wspomniał Thenardier, dokuczało umysłowi Marjusza i przykro go zadziwiało.

Uwaga tak słuszna Thenardier'a, przyczyniała się do zaciemnienia jeszcze Marjuszowi tych tajemniczych tumanów, wśród jakich rozpływała mu się ta postać poważna i dziwna, której Courfeyrac rzucił bezmyślne

przezwisko pana Białego. Ale kim bądź on był, to jednak człowiek ten, skrępowany postronkami, otoczony przez oprawców, na pół zagrążony poniekąd w grób, pogłębiający się pod nim o jeden stopień co chwila; człowiek ten, powtarzamy, równie wobec szaleństwa jak i pozornej potulności Thenardier'a, pozostawał niewzruszonym; i Marjusz nie mógł nie podziwiać w podobnej chwili tego oblicza, tak przepysznie zasmuconego.

Była to widocznie dusza nieprzystępna przerażeniu, i nie znająca bynajmniej, co to jest być zgubionym. Był to jeden z tych ludzi, którzy się nie raczą dziwić, nawet w położeniach najbardziej zrozpaczonych. Jakbądź przełom zdawał się być bliskim, jakbądź nieuniknioną była katastrofa, nie było tam nic z konania topielca, otwierającego pod wodą wzrok pełen okropności.

Thenardier wstał jakby nigdy nic, poszedł ku kominowi, odstawił parawan, opierając go o sąsiedni tapczan, i odsłonił tym sposobem fajerkę pełną żarzących węgli, pośród których mógł więzień rozróżnić najdokładniej dłuto rozpalone do białości i nakrapiane tu i owdzie szkarłatnemi gwiazdkami.

Następnie były karczmarz wrócił zasiąść znowu naprzeciw pana Białego.

— Ciągnę dalej—rzekł.—Jak powiedziałem, możemy się porozumieć. Ułóżmy się tedy po przyjacielsku. Zrobiłem nic do rzeczy, unosząc się przed chwilą; nie wiem istotnie co mi się stało. Zaszedłem nawet za daleko; powiedziałem kilka niedorzeczności. Naprzykład, między innemi, z powodu żeś pan miljonerem, powiedziałem ci, że będę wymagał pieniędzy, dużo pieniędzy, ogromnie dużo pieniędzy. Toby nie było rozsądnem. Boże drogi! bądź sobie tam bogaty, mój panie, musisz mieć także swoje wydatki; któż ich nie ma! Otóż ja nie chcę cię bynajmniej zniszczyć, nie jestem wcale derusem, jakby sądzić można. Nie jestem też z rzędu tych ludzi, co to mając przewagę położe-

nia, korzystają z tego, żeby się stać śmiesznemi. Oto wiesz pan co, ustąpię coś z mojej strony, i zrobię także ofiarę. Krótko mówiąc, potrzeba mi tylko dwóch kroć stu tysięcy franków.

Pan Biały nie wyrzekł ani słowa. Thenardier mówił dalej:

— Widzisz pan dobrze, że ja nie jestem trudny do interesu. Nie znam ja tam twojego stanu majątkowego, ale wiem, że nie wiele zważasz na wydatek; a człowiek dobroczynny jak ty, może bezpiecznie dać dwakroć sto tysięcy franków podupadłemu ojcu rodziny, który jest w potrzebie. Bez wątpienia, masz pan także swój rozum; otóż, nie myślisz zapewne, że zadałem sobie tyle trudu w dniu dzisiejszym, i na to tylko urządziłem cały ten interesik, (który, zdaniem tych oto panów, jest robotą wcale dobrze obmyślaną), aby cię poprosić w końcu o co łaska na piwo i na serdelek w sklepiku z przeciwka. Toż to przecie warte dwakroć sto tysięcy franków. Raz pozbywszy się tej fraszki z kieszeni, możesz być pewnym, i za to ci ręczę mojem słowem, że rzecz będzie załatwiona, i że już ci ani marny włosek z głowy nie spadnie. Powiesz mi na to: „ależ nie mam dwakroć stu tysięcy franków przy sobie.“ Och! ja wchodzę we wszystko, ja też nie wymagam tego natychmiast. Będę tylko pana prosił tymczasem o jedną rzecz. Oto chciej mi zrobić tę łaskę i napisać co ci podyktuję.

Tu przerwał sobie, a potem dodał, kładąc nacisk na wyrazy, i spoglądając z uśmiechem w stronę fajerki:

— Uprzedzam tylko pana, iż nie dam sobie wmówić, że nie umiesz pisać, naprzykład.

Uśmiechu jego byłby pozazdrościł sam wielki inkwizytor.

Thenardier popchnął stół tak, żeby się znalazł tuż przy panu Białym, i wyjął kałamarz, pióro i arkusz papieru z szuflady, którą zostawił otwartą.

Błysnęło w niej pod światło długie ostrze noża.

Położywszy arkusz papieru przed panem Białym, rzekł:

— Proszę pisać.

Więzień odezwał się nareszcie:

— Jakże pan chcesz, żebym mógł pisać, przecież jestem związany.

— A prawda, przepraszam pana — rzekł Thenardier—masz pan słuszność.

I zwracając się do Urwipołcia:

— Odwiąż mu prawą rękę, rzekł.

Panchaud, zwany Wiosennym, także Urwipołciem, wykonał rozkaz Thenardier'a. Kiedy prawa ręka więźnia była już wolna, Thenardier umoczył pióro w atramencie i podał mu.

— Zwracam uwagę pańską—rzekł przytem—że jesteś w naszej mocy i na naszej łasce; że żadna siła ludzka nie zdoła cię ztąd wyciągnąć, i że byłoby nam istotnie przykro, gdybyśmy mieli być zmuszeni użyć jakich nieprzyjemnych ostateczności. Nie znam ani nazwiska pana, ani jego adresu, ale uprzedzam go, że zostaniesz tu skrępowany, aż dopóki osoba posłana z listem, który pan napiszesz, nie będzie z powrotem. A teraz racz pisać.

— Cóż takiego?—spytał więzień.

— Będę dyktował.

Pan Biały wziął pióro.

Thenardier począł dyktować:

— „Moja córko....“

Więzień zadrżał i podniósł wzrok na Thenardier'a.

— Nie. Proszę napisać „Kochana Córko“—rzekł Thenardier. Pan Biały usłuchał. Thenardier ciągnął dalej:

— „Przybądź natychmiast.“

Przerwał sobie.

— Wszak jej pan mówisz „ty“—nieprawdaż?

— Komu?—spytał pan Biały.

— Ależ, do djabła, dziewczynie.

Pan Biały odpowiedział bez najmniejszego wzruszenia na pozór:

— Nie wiem o czem pan chcesz mówić.

— No, dalej — rzekł Thenardier i począł dyktować znowu:

— „Przybądź natychmiast. Potrzebuję cię bezwłocznie. Osoba, która ci ten list wręczy, przyprowadzi cię do mnie. Czekam cię. Przyjdź bez obawy.“

Pan Biały pisał wszystko co mu poddawano. Znagła Thenardier rzekł po namyśle:

— Lepiej przemaż pan te słowo „przyjdź bez obawy.“ To może tylko napędzić przypuszczenie, że sprawa nie koniecznie jest czysta, i że godzi się nie mieć do niej zaufania.

Pan Biały przekreślił te trzy wyrazy.

— Teraz—mówił dalej Thenardier—proszę podpisać. Jak się pan nazywasz?

Więzień położył pióro i spytał:

— Do kogóż ten list?

— Pan to wiesz doskonale — odpowiedział Thenardier—do dziewczyny. Tylko com ci to powiedział.

Widocznem było, że Thenardier unikał nazwać tę, o którą szło w tem wszystkiem. Nazywał ją tylko „dziewczyną“ lub „skowronką,“ nie wymówiwszy ani razu jej imienia. Była to zręczna przezorność człowieka, zachowującego tajemnicę wobec swoich wspólników. Powiedzieć imię, byłoby to oddać im w ręce cały „interes“, i dać im wiedzieć z niego więcej niż to było potrzeba.

Ciągnął dalej:

— Podpisz pan. Jak się nazywasz?

— Urban Fabre — rzekł więzień.

Thenardier kocim ruchem ściągnął rękę do swojej kieszeni, i wyjął z niej chustkę zabraną panu Białemu. Poszukał na niej znaku i przybliżył go do świecy.

— U. F., dobrze. Urban Fabre. No to podpisz pan: U. F.

Więzień podpisał.

— Ponieważ potrzeba dwóch rąk do złożenia listu, proszę mi dać go, ja go złożę.

Zrobiwszy to, Thenardier mówił dalej:

— Napisz pan adres. „Pannie Fabre, w domu pańskim.“ Wiem, że pan mieszkasz gdzieś niedaleko ztąd, w okolicy kościoła Św. Jakóba, ponieważ tam chodzicie co dzień na nabożeństwo, ale nie wiem na której ulicy. Widzę że pan zaczynasz rozumieć swoje położenie. Spodziewam się, że tak samo, jakeś pan nie skłamał swojego nazwiska, tak nie zechcesz skłamać także adresu. Napisz go sam.

Więzień namyślał się czas jakiś, wreszcie wziął pióro i napisał:

— „Pannie Fabre, w mieszkaniu pana Urbana Fabre przy ulicy Św. Domika Nr. 17.

Thenardier pochwycił list z pewnym rodzajem gorączkowego pośpiechu.

— Żono! — zawołał.

Przybiegła Thenardierowa.

— Oto masz list. Wiesz już co masz z nim zrobić. Dorożka czeka na dole. Jedź natychmiast, i wracaj co prędzej.

I zwracając się do człowieka z obuchem:

— Ty ponieważ wyglądasz więcej podobny do ludzi, jedź z gosposią. Staniesz za dorożką. Wszak wiesz gdzieś zostawił dryndulkę?

— Wiem — odpowiedział człowiek.

I postawiwszy swój obuch w kącie, poszedł za Thenardierową.

Kiedy już byli odeszli, Thenardier wytknął głowę przez drzwi przetwarte, i zawołał jeszcze w korytarz:

— Tylko żeby mi czasem nie zgubić listu, myśl o tem moja pani, że będziesz miała dwakroć sto tysięcy franków przy sobie.

Ochrypły głos Thenardierowej odpowiedział:

— Nie bój się, schowałam list za pazuchę.

Nie upłynęło minuty, kiedy usłyszano trzaskanie z bicza, które wkrótce zginęło w oddaleniu.

— To dobrze—mruknął Thenardier. Idąc szparko, tak pędząc, gosposia będzie tu z powrotem, ja myślę, najdalej w trzy kwadranse.

Przybliżył sobie krzesło do komina, i usiadł zaplatając ręce nakrzyż, i wystawiając zabłocone buty na gorące fajerki.

— Zimno mi w nogi — rzekł.

W izbie nie pozostało już, prócz Thenardier'a i więźnia, jak tylko pięciu złoczyńców. Ludzie ci, po pod maskami, czy też pod czarną mazaniną, która im zakrywała twarze, i która z nich robiła, stosownie do wyboru przerażonego oka, węglarzy, murzynów albo szatanów, mieli wyraz twarzy odrętwiały i ponury, i widoczna rzecz była, że wykonywali zbrodnię jakby zadaną robotę, spokojnie, bez gniewu i bez miłosierdzia, z pewnym rodzajem znudzenia. Stali w kącie, natłoczeni jak bydło, i milczeli. Thenardier grzał sobie nogi. Więzień popadł znowu w dawne swoje milczenie. Jakiś spokój ponury nastąpił po dzikiej wrzawie, która napełniała izbę jeszcze kilka chwil przedtem. Świeca, której knot narosł szerokim grzybem, zaledwie oświecała nieco to ogromne legowisko. Żar w fajerce poczerniał, i wszystkie te postacie poczwarne, rzucały niekształtne cienie po ścianach i suficie.

Nie słychać było innego hałasu jak tylko spokojne oddychanie starego pijaka, który spał w najlepsze.

Marjusz czekał pośród trwogi, którą wszystko zwiększało. Zagadka była w tej chwili ciemniejszą jeszcze niż kiedy. Cóż to za jedna była ta dziewczyna, którą Thenardier nazywał także „Skowronką?“ Miałażby to być jego „Urszula?“ Więzień wcale się nie pokazał zdziwionym tym wyrazem „Skowronka,“ i odpowiedział na to najnaturalniej w świecie: „Nie rozumiem co pan chcesz powiedzieć.“ Z drugiej znów strony te dwie litery U. i F., stały się nareszcie wy-

tłumaczonemi. Znaczyło to po prostu Urban Fabre, i Urszula nie nazywała się już Urszulą. Oto co w tem wszystkiem Marjusz widział najjaśniej. Jakiś rodzaj okropnego zaklęcia zatrzymywał go przygwożdżonym do miejsca, z którego przyglądał się i panował całej tej scenie. Stał tam ciągle, prawie niezdolny do zastanowienia i ruchu, i jakby na pół martwy od tak bliskiego widoku tylu ohydnych rzeczy. Czekał, wyglądając jakiegoś wypadku, nie wiedzieć czego nareszcie, nie umiejąc pozgromadzać swoich myśli, i nie wiedząc co począć.

— W każdym wypadku, myślał sobie, jeśli to ona jest skowronką, przekonam się o tem wkrótce, gdyż Thenardierowa ma ją tu przyprowadzić. W takim razie nie będę się wahał dłużej, oddam moje życie i wszystką krew moich żył jeżeli tego potrzeba; ale ją ocalę. Nic mnie nie zdoła powstrzymać.

Upłynęło tak z pół godziny. Thenardier zdawał się zatopiony w ciemnych jakichś rozmyślaniach, więzień nie dawał znaku życia. Jednak zdawało się Marjuszowi, że od niejakiego czasu słyszał w przerwach lekki i stłumiony szelest od strony więźnia.

Znagła Thenardier odezwał się do pana Białego:

— Panie Fabre, posłuchajno! wolę ci to powiedzieć natychmiast.

Te kilka słów zdawały się być zapowiedzią jakiegoś wyjaśnienia. Marjusz nadstawił ucha. Thenardier mówił dalej:

— Moja żona wróci niebawem; niech się pan nie niecierpliwi. Myślę, że Skowronka jest istotnie pańską córką, i znajduję to rzeczą całkiem naturalną, żebyś ją miał przy sobie. Tylko, proszę posłuchać nieco. Moja żona przedstawi się jej z pańskim listem. Zaleciłem mojej żonie, żeby się ubrała w taki sposób jak pan widziałeś, ażeby twoja panna mogła się odważyć jechać z nią bez trudności. Siądą tedy obie do dorożki, mając mojego towarzysza z tyłu. Tymczasem znajduje się gdzieś po za rogatką niejaka dryndulka, za-

przężona dwoma dobremi końmi. Do niej to zawiozą twoją panienkę. Wysiądzie z dorożki. Mój towarzysz wsiądzie z nią do dryndulki, moja żona zaś powróci tu powiedzieć nam, że rzecz już jest załatwiona. Co zaś do twojej panienki, nie stanie jej się nic złego; dryndulka zawiezie ją w pewne miejsce, gdzie sobie będzie siedziała spokojnie, i jak tylko mi pan wręczysz owe liche dwakroć sto tysięcy franków, zostanie ci napowrót oddaną. Jeżelibyś zaś chciał mnie kazać przytrzymać, to wtedy mój towarzysz da tylko szczutka Skowronce, i będzie po wszystkiem.

Więzień nie odpowiedział na to ani słowa. Po pewnym przestanku, Thenardier ciągnął dalej:

— To jest rzecz prosta, jak pan widzisz. Nie stanie się nic złego, jeżeli pan sam nie zechcesz, żeby się stało co złego. Wypowiadam ci wszystko bez ogródki. Uprzedzam cię, ażebyś wiedział, czego się masz trzymać.

Zatrzymał się; więzień nie przerwał milczenia jak i wprzódy, a Thenardier mówił dalej:

— Jak tylko moja żona wróci, i jak mi powie: „Skowronka jest już w drodze,“ natychmiast puścimy pana, i wolno ci będzie pójść sobie spokojnie spać do siebie. Widzisz tedy, że nie mamy wcale złych zamiarów.

Straszliwe obrazy poczęły się przesuwać w umyśle Marjusza. „Jakto? nie mają więc tu przyprowadzić tej dziewczyny, którą uprowadzają? I jeszcze jeden z tych potworów ma ją porwać w ciemnościach—i dokąd?... A gdyby też to była ona?... Marjusz czuł jak mu się wstrzymywało bicie serca. Co tu począć? czy wypalić z krucicy? oddać w ręce sprawiedliwości tych wszystkich nędzników? Niemniej jednak wtedy człowiek z obuchem pozostałby po za obrębem tego wszystkiego wraz z porwaną dziewczyną, i Marjusz nie mógł bez dreszczu pomyśleć o tych słowach Thenardiera, których krwawe znaczenie odgadywał przeczuciem:“ jeżelibyś zaś chciał mnie kazać przytrzymać,

to wtedy mój towarzysz *da tylko szczutka* Skowronce, i będzie po wszystkiem.

Teraz nie już przez poszanowanie ostatniej woli ojca, ale z powodów przywiązania swego, przez obawę niebezpieczeństwa tej, którą kochał, czuł się skrępowanym.

Straszliwe to, trwające już więcej godziny położenie, zmieniało pozór co chwila. Marjusz miał jeszcze siłę przypatrzyć z kolei wszystkie najdotkliwsze przypuszczenia, szukając nadziei, i nie znajdując jej nigdzie. Gwarny napływ jego myśli stanowił osobliwsze przeciwieństwo z grobową ciszą jaskini.

Pośród tego milczenia usłyszano skrzyp drzwi wchodowych, które się naprzód otwierały, potem zamykały.

Pan Biały poruszył się w swoich więzach.

— Otóż i nasza gospodyni—rzekł Thenardier.

Nie skończył był jeszcze mówić, kiedy w istocie Thenardierowa wleciała do izby czerwona, zadyszana, z pałającemi oczyma, i zawołała, uderzając się swemi ogromnemi rękoma po udach:

— Adres był fałszywy!

Złoczyńca, którego była wzięła z sobą, ukazał się także za nią, i schylił się wziąść napowrót swój obuch z kąta.

— Co? adres był fałszywy? — powtórzył Thenardier.

Ona ciągnęła dalej:

— Nie znalazłam nic; ulica świętego Dominika! numer 17! ani się tam śniło komu o jakim Urbanie Fabre! nikt nie wie nawet co to za zwierzę!

Zatrzymała się dla nabrania tchu, potem mówiła dalej:

— Mości Thenardier! ten stary pies wystrychnął cię na głupca! Bo też jesteś zanadto dobry, przyznam się; ja, żeby to tak na mnie, tobym zaczęła od tego, żebym go przerąbała na cztery ćwierci, a gdyby i to nic nie pomogło, tobym go kazała żywcem ugotować! Musiałby

powiedzieć choćby nie chciał; i gdzie jest dziewczyna? i gdzie jest worek? Takto byłabym tę rzecz urządziła, żeby to na mnie! Dobrze to powiadają, że mężczyźni głupsi są od kobiet. Żywego ducha powiadam, piękny mi numer 17! Ogromna jakaś brama, nic więcej! Co za Fabre? żadnego Fabra nigdzie! I to, leć na złamanie karku, i to, aż na ulicę świętego Dominika, i jeszcze na piwo dorożkarzowi, i djabli tam wiedzą jeszcze co! Gadałam i z odźwiernym i z jego żoną, która jest tęga, poufała sobie kobieta; żadne z nich o niczem takiem nigdy ani słyszało!

Marjusz odetchnął. Ona, Urszula czy Skowronka, bo już i nie wiedział jak ją wreszcie nazywać, była ocalona.

Podczas kiedy jego żona rozwścieczona wykrzykiwała, Thenardier usiadł na stole: pozostał tak czas jakiś nie mówiąc ani słowa, bujając prawą nogą, która była zwieszona, i rozpatrując się w fajerce z wyrazem dzikiego zamyślenia.

Wreszcie rzekł do więźnia tonem powolnym, i w osobliwszy sposób okrutnym:

— Dałeś adres fałszywy? i nacóżeś ty liczył?

— Na to, żeby zyskać na czasie! — krzyknął więzień grzmiącym głosem.

I jednocześnie wstrząsnął swojemi więzami; były poprzecinane. Więzień był już tylko przywiązany do łóżka za nogę.

Zanim siedmiu ludzi, znajdujących się w izbie miało czas opatrzeć się co się stało, on schylił się ku kominowi, ściągnął ręką do fajerki, potem się wyprostował, i naraz Thenardierowa i złoczyńcy, cofnięci zdumieniem w głąb izby, spoglądali na niego z osłupieniem, widząc jak wznosił po nad głową rozpalone do czerwoności dłuto, iskrzące się złowieszczym blaskiem. Był prawie zupełnie wolny, i stał przed niemi w groźnej postawie.

Śledztwo sądowe, które spowodowała następnie zasadzka w ruderze Gorbeau, stwierdziło, że znaleniony został na ziemi w izbie, kiedy tam zeszła policja, mie-

dziak przecięty i obrobiony w sposób osobliwszy; miedziak ten był jednym z owych cudów sztuki, które cierpliwość galerników stwarza w ciemnościach i dla ciemności; cudów które nie są niczem innem, jak narzędziami, służącemi do przygotowania ucieczki. Te zarazem okropne i wytworne arcydzieła zdumiewającej sztuki, są tem w złotnictwie, czem przenośnie języka złoczyńców w poezji.

Znajdzie się Benvenuto Cellini na galerach, tak jak w nauce języka są Villon'owie. Nieszczęśliwy, wzdychający do oswobodzenia, znajduje sposób, niekiedy bez żadnych narzędzi, czasem tylko za pomocą kozika, czasem starego noża, przeciąć pieniądz na dwie cienkie blaszki, wyżłobić wewnątrz te dwie blaszki ani naruszając wycisków stempla, i wyrobić zęby szrubowe na wewnętrznym obrębie pieniądza, w taki sposób, że blaszki na nowo przystają do siebie. To się zakręca i odkręca według upodobania, jednem słowem jest to pudełko. W pudełku tem można ukryć sprężynę zegarkową, a sprężyna ta, stosownie użyta, przecina ciężkie ogniwa kajdan i kraty żelazne. Myślałbyś, że ten nieszczęśliwy galernik niema jak tylko ten jeden grosz przy duszy, a on w tym groszu posiada wolność. Jeden to z takich miedziaków znaleziony został w izbie, pod tapczanem blisko okna, odszrubowany i w dwóch połówkach, kiedy później policja dokładniej przetrząsnęła miejsce wypadku. Znaleziono tam także maluteneczką piłkę z błękitnej stali, która się mogła ukrywać wewnątrz miedziaka. Zdaje się, że w chwili kiedy złoczyńcy rzucili się przetrząsać kieszenie więźniowi, miał on przy sobie tego miedziaka, potrafiwszy ukryć go w ręku; i że następnie, mając prawą rękę wolną, odszrubował go, i użył piłki do przecinania postronków, któremi był skrępowany; co dopiero mogło wytłumaczyć lekki szelest, i niedojrzane prawie poruszenia więźnia, które był Marjusz zauważał.

— Nie mogąc się jednak schylić, z obawy ażeby się nie zdradził, nie poprzecinał więzów lewej nogi.

Tymczasem złoczyńcy poprzychodzili znów do siebie z pierwszego zdumienia.

— Nic się nie bój — rzekł Urwipołeć do Thenardier'a. Trzyma się jeszcze za nogę, i nie pójdzie hulać tak łatwo. Ręczę ci za to. To ja mu tak moją ręką zawiązałem tę nóżkę.

Więzień odezwał się jak następuje brzmiącym głosem:

— Jesteście nędznicy; ale życie moje niewarte znowu tak dalece obrony.

Co do tego zaś co sobie wyobrażacie: że moglibyście mnie zmusić do napisania tego, czego nie chcę napisać, i do powiedzenia, czego nie chcę powiedzieć:

Obnażył z rękawa całą lewą rękę i dodał:

— To patrzcie!

Jednocześnie wyciągnął ramię i położył na gołem ciele rozżarzone dłuto, które trzymał w prawem ręku za rękojeść drewnianą.

W tej cwili dało się słyszeć syczenie przypalonego ciała, po izbie rozszedł się swąd właściwy miejscom tortur; Marjusz się zachwiał, szalony prawie od zgrozy; sami nawet złoczyńcy uczuli dreszcz po sobie. Ale twarz dziwnego starca zaledwie drgnęła, i podczas gdy rozczerwienione żelazo zagłębiało się w kurzącą ranę, on niewzruszony i prawie wielki, utkwił wzrok w Thenardierze swój piękny wzrok, w którym nie było nienawiści, i gdzie cierpienie rozpływało się w pogodnej powadze.

U istot natury wielkiej i szczytnej walki ciała i zmysłów, oddanych na pastwę cierpieniom fizycznym, wyprowadzają na wierzch duszę i oświetlają nią czoło. Podobnie jak bunty żołdactwa zmuszają wodza do ukazania się.

— Nędznicy—zawołał—lękajcie się mnie tyle tylko, ile ja się was lękam!

I wyrywając dłuto z rany, cisnął je przez okno, które było pozostało otworem i straszliwe narzędzie gorejące znikło, wirując w cieniach nocy i padło gdzieś daleko, gasnąc pośród śniegu.

Więzień odezwał się znowu:

— Teraz róbcie ze mną, co sami chcecie.

Był rozbrojony.

— Pochwycić go—rzekł Thenardier.

Dwóch złoczyńców przytrzymali go za ramiona, a człowiek zamaskowany z głosem brzuchomówcy, stanął naprzeciw niego, gotów roztrzaskać mu czaszkę uderzeniem klucza, za najmniejszym ruchem z jego strony.

Jednocześnie Marjusz usłyszał po pod sobą u dołu ściany, przez którą zaglądał, i to tak blizko, że nie mógł nawet widzieć tych, co rozmawiali te kilka słów wymienionych z cicha:

— Nie pozostaje jak tylko...

— Sprzątnąć go.

— Tak i ja myślę.

Była to narada pomiędzy mężem i żoną.

Thenardier postąpił wolnym krokiem ku stołowi, wysunął szufladę i wziął z niej nóż.

Marjusz machinalnie obracał w ręku rękojeść krucicy. Co za niepewność! Od godziny już dwa głosy walczyły w jego sumieniu: jeden zalecał mu szanować ostatnią wolę ojca, drugi wołał na niego o ratunek dla więźnia. Dwa te głosy nie przestawały odzywać się w nim jednocześnie, i to go odprowadzało od zmysłów. Aż do tej chwili miał niejaką nadzieję znaleźć sposób pogodzenia tych dwóch obowiązków, ale nic możebnego w tym względzie nie nasuwało mu się na myśl. Tymczasem niebezpieczeństwo nagliło, ostatni kres oczekiwania zdawał się być przekroczonym; o kilka kroków od więźnia, Thenardier namyślał się z nożem w ręku.

Marjusz, w obłąkaniu swojem, rozglądał się wkoło siebie, jak to bywa ostatnią machinalną ucieczką rozpaczy.

Nagle zadrżał.

U nóg jego, na stole, żywy promień księżyca w pełni oświecał i zdawał się ukazywać mu kawałek papieru. Na tym świstku wyczytał on wyrazy, które tegoż poranka napisała była, jak sobie przypominamy, starsza córka Thenardier'a.

— *Salcesony idą.*

Myśl, podobna do światłości nagłej przebiegła umysł Marjusza; nasuwał mu się właśnie w ręce środek, którego szukał, jedyne rozwiązanie tego okropnego zadania, które go tyle dręczyło: oszczędzić zabójcę i ocalić ofiarę. Ukląkł na komodzie, schylił się, wziął świstek, oderwał delikatrie kawałek wapna od ściany, obwinął go papierem i rzucił przez szparę do środka izby.

Właśnie było w samą porę. Thenardier pokonał był nareszcie swoje ostatnie obawy, czy też ostatnie skrupuły i szedł ku więźniowi.

— Coś spadło?—zawołała Thernardierowa.

— Co takiego?—rzekł mąż.

Baba poskoczyła, i podniósłszy kawałek wapna, obwinięty w papier, podała go mężowi.

— Którędyż to tu wleciało?—spytał Thernadiur.

— Którędyż chcesz, żeby miało wlecieć?—rzekła kobieta.—Przez okno ma się rozumieć.

— Widziałem nawet, jak leciało — rzekł Urwipołeć.

Thernadier szybko rozwinął świstek i przybliżył go do świecy.

— Patrzaj, to pismo Eponiny. Niechże cię djabli.

Dał znak żonie, która przybliżyła się żywo i pokazał jej pismo. Potem dodał głuchym głosem:

— Żywo! co tchu drabinę! Zostawmy szperkę w pułapce, a sami bierzmy nogi za pas.

— Jakto? nie skręciwszy karku temu łajdakowi? zapytała Thenardierowa.

— Niema chwili czasu do stracenia.

— Ale którędy zmykać?—odezwał się Urwipołeć.

— Oknem—odpowiedział Thenardier. Ponieważ rzuciła ten kamień przez okno, to dowodzi, że dom nie jest obsaczony z tej strony.

Zamaskowany brzuchomówca położył na ziemi swój ogromny klucz, wzniósł w górę obie ręce i po trzykroć szybko otworzył i zamknął dłonie, nie mówiąc ani słowa. Był to jakby znak alarmu w obozie; złoczyńcy, przytrzymujący dotąd więźnia, puścili go; w okamgnieniu drabina sznurowa wyrzuconą została za okno i silnie przytwierdzoną u futryny dwoma żelaznemi hakami.

Więzień nie zwracał wcale uwagi na to, co się działo w koło niego. Zdawał się marzyć, czy też modlić się.

Jak tylko drabina została umocowaną, Thenardier zawołał:

— Za mną, żono.

I rzucił się ku oknu.

Ale w chwili, kiedy miał przełożyć nogę, Urwipołeć porwał go gwałtownie za kołnierz:

— O! nie, kochanku, ty wyjdziesz ostatni.

— Ostatni, zawyli wszyscy złoczyńcy, jakby jeden.

— Pogłupieliście — rzekł Thenardier — tracimy czas napróżno, ogary już nam następują na pięty.

— No, to ciągnijmy na losy: komu pierwszeństwo?—rzekł jeden ze złoczyńców.

Thenardier zawołał:

— Czyście poszaleli? czyście się powściekali? To stado bydląt! tracić czas, ciągnąć na losy! może na kijki? może na węzełki? może jeszcze rozpisywać nasze nazwiska na kartkach i rzucać je w czapkę?...

— Choćby nawet w mój kapelusz — odezwał się głos od progu drzwi.

Wszyscy się odwrócili. Był to Javert.

Trzymał w ręku swój kapelusz i nadstawiał go uśmiechając się.

XXI.

Należałoby zawsze zaczynać od aresztowania ofiar.

Javert z nadejściem nocy, porozstawiał swoich ludzi i sam stanął na czatach po za drzewami ulicy w pobliżu Rogatki Gobelinów, która się znajduje wprost rudery Gorbeau, po drugiej stronie bulwaru. Rozpoczął od otworzenia *swego mieszka* dla schowania w niego dwoje dziewcząt postawionych na straży u przesmyków, wiodących do legowiska. Ale udało mu się *upolować* tylko Anzelmę. Co do Eponiny, nie znaleziono jej na stanowisku; znikła i ani podobna było ją wyśledzić. Następnie zaczaił się znowu, nastawiając ucho na znak umówiony. Uwijanie się dorożki tam i napowrót wielce go było zaniepokoiło. Wreszcie zniecierpliwił się, i pewny, *że się tam znajdowało gniazdo*, pewny jednem słowem *gratki*, poznawszy przytem wielu złoczyńców pomiędzy temi, którzy tam weszli, zdecydował się ostatecznie wejść, nie czekając wystrzału.

Przypominamy sobie, że miał klucz Marjusza.

Wszedł w samą porę.

Przerażeni złoczyńcy rzucili się nazad porwać za bronie, które byli poporzucali po kątach, mając się do ucieczki. Mniej jak w mgnieniu oka ci siedmiu ludzi tak przerażającej powierzchowności, zbili się w kupę w postawie obronnej, jeden ze swoim obuchem, drugi

z kluczem, trzeci z pałką, inni z nożycami, z obcęgami i młotami; Thenardier z nożem w pięści. Thenardierowa porwała ogromny kamień, leżący we framudze okna, który służył za siedzenie dla jej córek.

Javert włożył kapelusz na głowę i postąpił parę kroków w izbie, mając złożone na krzyż ręce, laskę pod pachą i szpadę w pochwie.

— Za pozwoleniem — rzekł. — Nie wyjdziecie oknem, tylko drzwiami. Będzie to nieco zdrowiej. Was jest siedmiu, nas piętnastu. Co się tam mamy brać za łby, jak chłopi. Rozprawmy się przyzwoicie.

Urwipołeć wyjął pistolet z pod bluzy, włożył go w rękę Thenardier'a i szepnął mu w ucho:

— To Javert. Nigdybym się nie ośmielił strzelić do niego. Może ty będziesz śmielszy.

— Spodziewam się!— odpowiedział Thenardier.

— No, strzelaj.

Thenardier chwycił za pistolet i wziął na cel Javerta.

Javert, stojący o trzy kroki, spojrzał mu bystro w oczy i rzekł tylko:

— Nie strzelaj, bo zobaczysz, że ci spali na panewce.

Thenardier pocisnął kurek. Spaliło.

— A co? nie mówiłem ci?—rzekł Javert.

Urwipołeć rzucił maczugę pod nogi Javerta.

— Jesteś królem djabłów—zawołał—poddaję się.

— A wy?—zapytał Javert innych złoczyńców.

Ci odpowiedzieli:

— I my także.

Javert odezwał się spokojnie:

— A! tak to dobrze; powiedziałem, że się jakoś porozumiemy.

— Proszę tylko o jedną rzecz—rzekł Urwipołeć— to jest, żeby mi pozwolono mieć tytuń przez czas, co będę w ciupie.

— Zgoda—rzekł Javert.

I zwracając się do zawołania—dodał:

— Teraz, proszę tutaj.

Gromada żandarmów z gołemi pałaszami w ręku i policjantów, uzbrojonych w giętkie maczugi i grube kije, wtłoczyła się do izby na wezwanie Javerta. Skrępowano złoczyńców. Ten tłum ludzi zaledwo oświetlony, zapełniał cieniami jaskinię.

— Obrączki wszystkim!—krzyknął Javert.

— Chodzieno tu, jeśli łaska—ryknął głos—który wyraźnie nie był głosem męzkim, ale o którym niktby nie mógł powiedzieć, że to głos kobiecy.

Thenardierowa schroniła się była we framugę od okna i jej to usta wydały ten ryk osobliwszy.

Żandarmi i policjanci cofnęli się.

Baba zrzuciła była z siebie chustkę i miała tylko kapelusz na głowie; mąż jej przykurczony po za nią, prawie znikał za jej opuszczoną chustką, a ona zasłaniała go swojem ciałem, unosząc dwiema rękami kamień po nad głową, i bujając nim na podobieństwo olbrzymki, która się zabierała cisnąć skałę.

— Z drogi!—zawołała.

Wszyscy cofnęli się w korytarz. Zrobił się szeroki wyłom pośrodku izby.

Thenardierowa rzuciła spojrzenie złoczyńcom, którzy się dali byli powiązać i mruknęła głosem gardłowym i ochrypłym:

— Podłe tchórze!

Javert uśmiechnął się i wszedł w próżną przestrzeń, którą Thenardierowa pożerała swojemi dwiema źrenicami.

— Ani się waż przyjść tu! — krzyknęła — bo cię zmiażdżę.

— O! to herod baba!—rzekł Javert.—Ej! matulu, ty masz brodę jak chłop, ale ja mam pazury jak baba.

I postąpił ku niej.

Thenardierowa rozczochrana i straszliwa, rozkraczyła się, przegięła w tył, i rzuciła z zajadłością kamień na głowę Javerta. Javert zgiął się, kamień przeleciał po nad nim, uderzył o ścianę, w głębi odwala-

jąc potężny kawał tynku, i wrócił odbijając się od węgła, po przez izbę, szczęściem prawie pustą, by paść już bezsilnie u nóg Javerta.

W tej samej chwili Javert zbliżał się do małżonków Thenardier. Jedna z jego szerokich dłoni porwała za ramię babę, druga za łeb jej męża.

— Obrączki! tu! natychmiast!—zawołał.

Policjanci wpadli tłumnie i w kilka chwil rozkaz Javerta został wykonanym.

Thenardierowa złamana, spojrzała na ręce swoje skrępowane, spojrzała na skrępowanego męża i osunęła się na ziemie, płacząc głośno.

— Moje córki!—wołała.

— Już są w bezpiecznem miejscu—rzekł Javert.

Tymczasem policjanci spostrzegłszy pijaka chrapiącego za drzwiami, poczęli go wstrząsać. Obudził się, jąkając:

— A co? czy już po wszystkiem Jondrecie?

— Tak, tak, po wszystkiem—odpowiedział Javert.

Sześciu związanych złoczyńców pozostawiono stojących; mieli zresztą dawne swoje postawy widziadeł, i trzech z nich mieli twarze poczernione, trzech było w maskach.

— Zostańcie sobie w maskach—rzekł Javert.

I przepatrując ich, rzekł do trzech tak zwanych węglarzy:

— Jak się masz Urwipołciu; jak się masz Brujonie. Jak się masz Złamany Szeląg?

Potem zwracając się ku trzem zamaskowanym—rzekł do człowieka z obuchem:

— Jak się masz, Gumlemer?

A do człowieka z pałką:

— Jak się masz, Babciu?

A do brzuchomówcy:

— Witam cię, Claquesous.

W tej chwili spostrzegł więźnia złoczyńców, który od wejścia gromady policjantów nie wyrzekł był ani jednego słowa i siedział z głową spuszczoną.

— Rozwiążcie tego pana—rzekł Javert—i niech się nikt nie waży wyjść ztąd.

Powiedziawszy to, zasiadł po królewsku przed stołem, na którym stała świeca i przybory do pisania, wyjął z kieszeni papier stęplowy i zaczął pisać protokuł.

Napisawszy kilka wierszy, które są tylko formułą wstępną protokułów, nigdy się nie zmieniającą, podniósł oczy.

— Proszę tu naprzód tego pana—rzekł—którego ci panowie skrępowali.

Policjanci poczęli się oglądać w około.

— No i cóż?—spytał Javert—gdzież jest ten pan?

Więzień złoczyńców, pan Biały, pan Fabre, ojciec Urszuli, czy też Skowronki, znikł, jakby się ziemia pod nim rozstąpiła.

Drzwi były strzeżone, ale okno nie było strzeżone. Jak tylko się ujrzał uwolnionym z więzów, podczas kiedy Javert pisał, skorzystał z zamętu, z zamieszania, z nagromadzenia ludzi w izbie, z ciemności i z chwili kiedy stracono go z uwagi, ażeby wyskoczyć oknem.

Jeden z policjantów pobiegł do okna i spojrzał.

Nie było widać nikogo na dworze.

Drabina sznurowa drżała jeszcze.

— Niech cię djabli, mruknął Javert przez zęby. To musiał być najlepszy gracz ze wszystkich.

XXII.

Dzieciak, który krzyczał w trzecim tomie.

Nazajutrz, dnia, w którym zaszły te wypadki w domu na bulwarze szpitalnym, chłopiec jakiś, który zdawał się iść od mostu Austerlickiego, szedł boczną aleją po prawej stronie bulwaru, w kierunku rogatki Fontainebleau. Była już noc zupełna. Chłopak ten był blady, chudy, w łachmanach, w spodniach płóciennych pomimo lutego, i śpiewał w niebogłosy.

Na rogu ulicy Małego Bankiera, jakaś staruszka schylona grzebała w kupie śmieci przy świetle latarni; chłopak potknął się o nią mimochodem, i cofnął się nagle wykrzykując:

— Patrzcieno! a ja byłem pewny że to pies! ogromny pies!

Stara wyprostowała się w ostatniej złości:

— Ścierwo smarkacz!—mruknęła—żebym tu nie miała roboty, tobym ci tak dała nogą, żebyś zobaczył!

Chłopak znajdował się już w pewnej odległości.

— Gzy, gzy, gzy, marchewka! — zawołał zdaleka skrobiąc na palcu; zresztą możem się i nie bardzo omylił.

Stara, zatykając się z wściekłości, wyprostowała się nagle, i wtedy czerwone światło latarni padło wprost na jej twarz bladą, całą posiekaną w zmarszczki i kanty, i pościąganą dziwacznie ku ustom. Ciało jej całe gi-

nęło w cieniu, i widać było tylko głowę. Powiedziałbyś, że to maska zgrzybiałości, wykrojona z nocy przez światło. Chłopak przypatrywał jej się czas jakiś.

— Jejmość Dobrodziejka — rzekł wreszcie — nie jest wcale z tego rodzaju piękności, w których ja gustuję.

Powiedziawszy to, puścił się w dalszą drogę, i zaczął śpiewać po dawnemu:

Jegomość król Podbipięta,
Chodził polować,
Chodził polować na kruki...

W tem miejscu przerwał sobie. Stanął był właśnie przed numerem 50—52, i znalazłszy drzwi zamknięte, zaczął w nie walić piętami w sposób rozgłośny, grzmiący i bohaterski, zdradzający raczej ciężkość chodaków, w które był obuty, jak małość nogi, mającej rozmiary dziecinne.

Tymczasem, ta sama baba, którą był spotkał na rogu ulicy Małego Bankiera, leciała za nim, wykrzykując co wlazło, i wygrażając pięściami:

— Co to znowu? co takiego? rany Boskie! toż tu ktoś drzwi wywala! dom cały roztrząsa!

Chłopak walił piętami w najlepsze.

Starej aż oddech zatykało.

— Oto mi śliczności gospodarstwo po domach! Bodaj cię choroba!

Znagła stanęła jak wryta. Poznała ulicznika.

— Ach! to ty, przeklęte pół-djable weneckie.

— A! to staruszka — rzekł chłopak. Jak się masz Jejmościuniu? Przyszedłem zwyczajnie odwiedzić moich rodziców.

Stara odpowiedziała z dwuznacznem skrzywieniem twarzy, której zgrzybiałość i brzydota spotęgowała wyraz nienawiści, ale wrażenie tego na nieszczęście przepadło w ciemnościach:

— Niema nikogo, utrapiony bębnie!

— Eeee! — rzekł chłopak — a gdzie tatulo?

— W prochowni.
— Doprawdy? a matula?
— W kryminale.
— No proszę! a siostrzyczki?
— W domu kary i poprawy.

Chłopak podrapał się w głowę, skrzywił się z pod oka na babę, i rzekł tylko:

— Tam do licha!

Potem wykręcił się na pięcie, i w chwilę potem, stara stojąc na progu drzwi, usłyszała go śpiewającego głosem czystym i młodym, podczas kiedy się zapuszczał pod czarne wiązy, szeleszczące od zimowego wiatru:

Jegomość król Podbipięta,
Chodził polować,
Chodził polować na kruki,
Wlazłszy na szczudła.
Kto bądź chciał przejść mu pod spodem,
Musiał zapłacić trzy grosze.

KONIEC TOMU SZÓSTEGO I CZĘŚCI TRZECIEJ.

TREŚĆ TOMU VI.

Część trzecia.

MARJUSZ.

I. Kopalnie i górnicy 7
II. Głębia 11

KSIĘGA SZÓSTA.

Zejście się dwóch dróg gwiazd.

I. Przezwisko: sposób tworzenia nazwiska . . . 17
II. Lux facta est 22
III. Wrażenie wiosny 26
IV. Początki ciężkiej choroby 28
V. Rozmaite gromy spadają na panią Bougon . . 32
VI. Wzięty w niewolę 34
VII. Przygody głoski U, wystawionej na domysły . 38
VIII. Nawet inwalidzi mogą być szczęśliwi 41
IX. Zaćmienie 44

KSIĘGA SIÓDMA.

Szary Matus.

I. Babet, Gumlemer, Claquezous i Parnas . . . 51
II. Skład zgrai 55

KSIĘGA ÓSMA.

Niegodziwy biedak.

I. Szukając dziewczyny w kapeluszu, Marjusz napotyka człowieka w czapce 61
II. Zguba znaleziona 64
III. Człowiek o czterech czołach z miedzi. . . . 67
IV. Kwiat w nędzy 73
V. Okienko Opatrzności. 83
VI. Dziki w swojem legowisku 87
VII. Strategja i taktyka. 93
VIII. Promień w podłej dziurze. 98
IX. Jondrette prawie płacze 101
X. Taksa dorożek: dwa franki na godzinę . . . 107
XI. Nędza ofiaruje swą pomoc boleści 112
XII. Użycie pięciofrankówki pana Białego 116
XIII. Solus cum solo, in loco remoto, non cogitabuntur orare pater noster 123
XIV. W którym urzędnik policyjny przyjmuje adwokata 127
XV. Jondrette załatwia swój sprawunek. 133
XVI. Przygotowanie do roboty 137
XVII. Użycie pięciofrankówki Marjusza 142
XVIII. Dwa krzesła Marjusza stają naprzeciw siebie . 148
XIX. Że należy mieć baczność na ciemne głębie. . 151
XX. Zasadzka 157
XXI. Należałoby zawsze zaczynać od aresztowania ofiar 188
XXII. Dzieciak, który krzyczał w trzecim tomie . . 193

SB II

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
43149 A
5-6
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002734582